radar

magazyn literacki literaturmagazin літературний журнал

1 (5)
märz
marzec
березень
сакавік
2012

BELARUS POLEN die UKRAINE

ISSN/ISSN/ICCH 2081-4577

radar

RADAR
magazyn literacki
Kraków 2012, nr 05
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKCJA
Renata Serednicka (redaktor naczelna)
Małgorzata Różańska (sekretarz redakcji)
Urszula Pieczek (serwis internetowy)

zespół redakcyjny
Birgit Bauer
Małgorzata Buchalik
Robert Ostaszewski
Ostap Sływynski
Natalka Śniadanko
Andreas Volk
współpracownicy
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

PROJEKT GRAFICZNY, ILUSTRACJE, SKŁAD
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
(Pracownia Grafiki), Warszawa
www.pracowniagrafiki.pl

PROJEKT OKŁADKI
Anna Jaworska-Kruk

WYDAWCA
Stowarzyszenie Willa Decjusza
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUK
Drukarnia Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

NAKŁAD
1.000 egzemplarzy

Wydano z finansowym wsparciem Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej

ZDJĘCIA
© Andrej Lankiewicz

RADAR
literaturmagazin
Krakau 2012, Nr. 05
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

REDAKTION
Renata Serednicka (chefredakteurin)
Małgorzata Różańska (redaktionssekretärin)
Urszula Pieczek (internetseite)

redaktionsmitglieder
Birgit Bauer
Małgorzata Buchalik
Robert Ostaszewski
Ostap Slywynski
Natalka Sniadanko
Andreas Volk
zusammenarbeit
Iwona Boruszkowska
Alexander Lay

RADAR ONLINE
www.e-radar.pl

GRAPHIK, ILLUSTRATIONEN, SATZ
Dorota Gawryszewska
Anna Jaworska-Kruk
(Pracownia Grafiki), Warschau
www.pracowniagrafiki.pl

UMSCHLAGGESTALTUNG
Anna Jaworska-Kruk

HERAUSGEBER
Verein Villa Decius
ul. 28 Lipca 17a
PL 30-233 Kraków
www.villa.org.pl

DRUCK
Druckerei Leyko
ul. Romanowicza 11
PL 30-702 Kraków
www.leyko.pl

AUFLAGE
1.000 Exemplare

Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit

FOTOS
© Andrej Lankievič

РАДАР
літературний журнал
Краків 2012, № 05
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЕДАКЦІЯ
Рената Середніцька (головний редактор)
Малґожата Ружанська (секретар редакції)
Уршуля Пєчек (веб-редактор)

редколегія
Бірґіт Бауер
Малґожата Бухалік
Роберт Осташевський
Остап Сливинський
Наталка Сняданко
Андреас Фольк
співпраця
Івона Борушковська
Александер Лей

РАДАР ОНЛАЙН
www.e-radar.pl

ГРАФІЧНИЙ ДИЗАЙН, ІЛЮСТРАЦІЇ, ВЕРСТКА
Дорота Ґавришевська
Аня Яворська-Крук
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРОЕКТ ОБКЛАДИНКИ
Аня Яворська-Крук

ВИДАВЕЦЬ
Асоціація Вілла Деціус
вул. 28 Липня 17а
PL 30-233 Краків
www.villa.org.pl

ДРУК
Друкарня Лейко
вул. Романовіча 11
PL 30-702 Краків
www.leyko.pl

НАКЛАД
1.000 примірників

Видано за фінансової підтримки Фундації польсько-німецької співпраці

ФОТО
© Андрей Ленкевіч

РАДАР
літаратурны часопіс
Кракаў 2012, № 05
e-mail: redakcja.radar@villa.org.pl

РЭДАКЦЫЯ
Рэната Серадніцка (галоўны рэдактар)
Малгажата Ружаньска (сакратар рэдакцыі)
Уршуля Печак (вэб-рэдактар)

Рэдкалегія
Біргіт Баўэр
Малгажата Бухалік
Роберт Асташэўскі
Астап Слівінскі
Наталка Сняданка
Андрэас Вольк
супрацоўнікі
Івона Барушкоўска
Аляксандр Лэй

РАДАР ОНЛАЙН
www.e-radar.pl

ГРАФІЧНЫ ДЫЗАЙН, ІЛЮСТРАЦЫІ, ВЁРСТКА
Дарота Гаўрышэўска
Ганна Яворска-Крук
(Pracownia Grafiki), Варшава
www.pracowniagrafiki.pl

ПРАЕКТ ВОКЛАДКІ
Ганна Яворска-Крук

ВЫДАВЕЦ
Таварыства Віла Дэціюша
вул. 28 Ліпеня 17а
PL 30-233 Кракаў
www.villa.org.pl

ДРУК
Друкарня Лейка
вул. Рамановіча 11
PL 30-702 Кракаў
www.leyko.pl

НАКЛАД
1.000 асобнікаў

Выдадзена пры падтрымцы Фонда польска-нямецкага супрацоўніцтва

ФОТО
© Андрэй Лянкевіч

POLEN, DIE UKRAINE, BELARUS

Die Zahl Drei ist „Radar" so nah, dass wir ihr sogar in dieser Sonderausgabe, die von der dreisprachigen Formel abweicht und Texte in vier oder gar fünf Sprachen präsentiert (was der aufmerksame Leser schnell bemerken wird), treu bleiben. Das Trio heißt diesmal Polen – die Ukraine – Belarus, es ist der regionale Programmschwerpunkt der Leipziger Buchmesse 2012. Die neueste Literatur dieser drei Länder im Original sowie in deutscher Übersetzung – das ist unser Vorschlag für das Buchmessenpublikum wie auch alle sonstigen Leser. Ein literarisches Kaleidoskop der mittelosteuropäischen Welt als Geschenk für unsere westlichen Nachbarn.
Es kommt nicht so sehr darauf an, dass wir alle den anfänglichen Enthusiasmus für die Vision eines vereinigten Europas verloren haben. Europa gibt es weiterhin, vieles verbindet uns und ebenso trennt uns auch einiges. Jedoch verbindet uns heute mehr als noch im Jahre 1989. Dreiundzwanzig Jahre politischer und wirtschaftlicher Turbulenzen liegen hinter uns, die wir zum großen Teil gemeinsam erlebt haben. Wir kennen uns mittlerweile sehr viel besser und haben eine Menge voneinander gelernt. Wir haben aber längst noch nicht ausgelernt. Deswegen laden wir Sie ein zur Lektüre des neuen Hefts von „Radar". In dieser Ausgabe finden Sie unter anderem folgende Themen: Die Metamorphosen der polnischen Literatur unter dem Einfluss neuer Medien, die Piotr Marecki in seiner „Bedienungsanleitung" beschreibt. In dem Fragment des Romans Paranoja von Viktar Marcinovič wird in Verhörprotokollen von der Liebe erzählt. Reichlich Liebe ist traditionell auch in der Lyrik enthalten. Das Thema Holocaust kehrt wieder. Variationen zum Thema „Familie" tauchen hier und da auf. Und die ausgestopften Tiere auf den Fotografien von Andrej Lankievič sind – wie Valancin Akudovič in seinem kurzen Essay schreibt – Totems, die die existentielle Suche des Künstlers symbolisieren. Ob das eine gute Interpretation ist? Es lohnt sich darüber nachzudenken, ob wir etwas über uns selbst erfahren, wenn wir unseren Urahnen in die Augen schauen. Eines ist jedoch sicher: Beim Lesen von „Radar" finden wir manchen Schlüssel zur Selbsterkenntnis und zum Verständnis unserer gemeinsamen Welt.

Für das konsequente Beseitigen neuer europäischer Barrieren, für den „tranzyt", d. h. die Idee des regionalen Programmschwerpunkts zur Förderung der polnischen, ukrainischen und belarussischen Literatur auf der Leipziger Buchmesse, sowie für die Einladung zur Zusammenarbeit dankt die Radar-Redaktion herzlichst

der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit
der Robert Bosch Stiftung
sowie der Leipziger Buchmesse

im Namen der Redaktion
Renata Serednicka

POLSKA, UKRAINA, BIAŁORUŚ

Trójka jest „Radarowi" tak bliska, że nawet w wydaniu specjalnym, które odchodzi o formuły trójjęzyczności, prezentując teksty w czterech a nawet pięciu językach (co uważny czytelnik szybko zauważy), pozostajemy jej wierni. Ta trójka to Polska – Ukraina – Białoruś, czyli regionalny priorytet Lipskich Targów Książki 2012. Najnowsza literatura tych trzech krajów w wersji oryginalnej i w przekładzie na język niemiecki - to nasza propozycja dla publiczności Targów i wszystkich innych czytelników. Literacki kalejdoskop środkowo-wschodnioeuropejskiego świata w prezencie dla zachodnich sąsiadów.
Mniejsza z tym, że wszyscy gdzieś zgubiliśmy pierwotny entuzjazm wobec wizji zjednoczonej Europy. Jesteśmy tu dalej, wiele nas łączy i podobnie wiele dzieli. Jednak dzisiaj łączy nas więcej niż w 1989 roku. Dwadzieścia trzy lata, przeżyte w dużej mierze wspólnie, politycznych i ekonomicznych turbulencji. Już dużo lepiej się znamy i sporo się nawzajem nauczyliśmy. A możemy jeszcze lepiej i więcej. Dlatego zapraszamy do czytania „Radaru". O metamorfozach polskiej literatury pod wpływem nowych mediów, które w swojej „instrukcji obsługi" opisuje Piotr Marecki. O miłości opowiadanej w protokołach podsłuchu, we fragmencie powieści Paranoja Wiktara Marcinowicza. Sporą porcję miłości zawiera też tradycyjnie poezja. Wraca temat Holocaustu. Przewijają się wariacje na tematy rodzinne. A wypchane zwierzęta na fotografiach Andreja Lankiewicza są, jak pisze w swoim krótkim eseju Walancin Akudowicz, totemami symbolizującymi egzystencjalne poszukiwania artysty. Czy to dobra interpretacja? Warto się zastanowić, czy patrząc w oczy naszym praprzodkom, dowiemy się czegoś o sobie samych. Jedno jest pewne. Czytając „Radar", znajdziemy niejeden klucz do poznania siebie i do rozumienia naszego wspólnego świata.

Za konsekwentne działanie na rzecz likwidacji nowych europejskich barier, za „tranzyt", czyli pomysł regionalnego priorytetu promującego na Lipskich Targach Książki literaturę Polski, Ukrainy i Białorusi oraz za zaproszenie do współpracy przy tych działaniach redakcja „Radaru" serdecznie dziękuje

Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej
Fundacji Roberta Boscha
i Lipskim Targom Książki

w imieniu redakcji
Renata Serednicka

{INHALT/TREŚĆ/ЗМІСТ/ЗМЕСТ}

Andrej Lankievič (1981) – belarussischer Fotograf. Dozent für Fotojournalismus an der Europäischen Humanistischen Universität in Vilnius (Litauen). Seit 2007 vertreten durch die „Anzenberger Agency". Seit 2008 Mitglied in der Vereinigung junger Fotografen SPUTNIK. Seine Arbeiten erschienen u.a. in „New York Times", „Le Figaro", „Newsweek", „Die Zeit", „Der Spiegel" oder „GEO". Über 50 Einzel- und Gruppenausstellungen in Europa, Asien und den USA, u.a. im Museum moderner Kunst MUMOK (Wien) und in der Nationalen Kunstgalerie Zachęta (Warschau). Im Oktober 2010 erschien mit *Pahanstva* (Heidentum) sein erstes Buch.

Kontakt: www.liankevich.com

FOTO



© Andrej Lankievič

Андрэй Лянкевіч (1981) – беларускі фатограф. Выкладае курс па фатаграфіі ў Еўрапейскім гуманітарным універсітэце ў Вільнюсе (Літва). У 2007 далучыўся да "Anzenberger agency". У 2008 увайшоў у калектыў маладых фатографаў SPUTNIK. Ягоныя працы тасама публікаваліся ў такіх міжнародных СМІ як "New York Times", "Le Figaro", "Newsweek", "Die Zeit", "Spiegel", "GEO". Яго працы выстаўляліся на больш як 50 персанальных і калектыўных выставах у Еўропе, Азіі і ЗША. У тым ліку ў музеі сучаснага мастацтва MUMOK (Вена) і Нацыянальнай Мастацкай галерэі Zachęta (Варшава). У кастрычніку 2010 пабачыла свет кніга *Паганства* – першая кніга Андрэя Лянкевіча.

Кантакт: www.liankevich.com

Valancin Akudovič Валянцін Акудовіч

SIEH DEINEM URGOTT IN DIE AUGEN
ПАГЛЯДЗІ Ў ВОЧЫ СВАЙМУ ПЕРШАБОГУ


© Andrej Lankievič

In einem früheren Essay hatte ich die gesamte Daseinsgeschichte des Menschen eingeteilt in Totem-Zeit, Mythos-Zeit und Text-Zeit. Über den Menschen der Totem-Zeit hatte ich geschrieben, er sei Steinen, Bäumen und Tieren verwandt und ebenbürtig. Er war wie alle, es gab ihn noch nicht als *ihn*. Selbstlos lebte er wie die selbstlosen Fische, Säuger und Vögel. Im Unterschied zu ihnen suchte er jedoch nach seinem Urgrund. Und er fand ihn in dem, was er sah – in Habicht, Biber, Wolf, Reh oder Reiher … Den Urahn seiner Wahl nennen wir Totem. Wissenschaftlich gesprochen ist das Totem der Gattungsbegriff für ein Tier (oder etwas gänzlich anderes), auf das ein Klan seinen Ursprung zurückführt. Daher auch die mystische Totem-Verehrung, die fast verwandtschaftliche Vereinigung, ja seine Vergötterung.

Nicht zufällig komme ich hier auf das Totem zu sprechen. Als mir Andrej Lankievič am Telefon erzählte, er arbeite an einem Bildband über Tierpräparate, dachte ich unwillkürlich: Das klingt spannend! Dabei war mir nicht sofort klar, was ich eigentlich spannend daran fand, anstelle lebender Tiere deren unwiderruflich stillgelegte Körper zu fotografieren. Vielleicht reizte mich zunächst die Originalität des Projekts. Aufnahmen von lebenden Tieren macht wohl jeder Fotokünstler bei Gelegenheit, selbst wenn er ansonsten auf urbane Räume spezialisiert ist. Aber die Realisierung einer künstlerischen Idee über das Medium präparierter Tiere, die in gewissem Sinne ja selbst Kunstwerke sind – so etwas war mir noch nicht untergekommen. Also fragte ich Andrej nach seinen Beweggründen. Er nannte mir diverse Motive, von denen ich hier eines herausgreifen möchte. Ihn faszinierte die Vorstellung, ein Taxidermist bringe im Präparat nicht in erster Linie das Wesen der Tieres zum Vorschein, sondern sein eigenes.

An diesem Punkt dämmerte mir, dass Andrej und ich uns aus unterschiedlichen Gründen für das Projekt interessierten. Dem jungen Fotokünstler ging es um die existenziellen Faktoren dieses Phänomens, mir um die ontologischen. Durch Andrejs Vorhaben ging mir plötzlich auf, weshalb der Mensch überhaupt Tierbälge ausstopft. Wie kam er denn auf diese abwegige Idee? Noch dazu, da es sich ja in den seltensten Fällen um besonders exotische Tiere handelt, sondern schlicht um die Bewohner des Waldes um die Ecke. Freilich kennt die Geschichte auch zahllose Präparate für das Kuriositätenkabinett. Mikoła Husoŭski (Nicolaus Hussovianus), Verfasser des berühmten Wisent-Gesangs „Carmen de statura feritate ac venatione bisontis“ aus dem frühen 16. Jahrhundert, erwähnt zum Beispiel, dass Papst Leo X. gern einen ausgestopften Wisent nach Rom beordert hätte. Aber uns ist es hier nicht um Unterhaltung zu tun, sondern um das Wesentliche. Ist denn eine Hausgans hässlicher als eine Wildgans? Kann es ein posierender Jagdhund etwa nicht mit einem Wolf aufnehmen? Warum werden dann aber keine Haustiere ausgestopft? Postume Mumifizierungen von Haustieren gab es zwar auch – man denke nur an Lisaweta, die Lieblingsstute Peters des Großen – aber derlei pathologische Ausnahmen bestätigen wohl nur die Regel.

Meine Vermutung stützt sich nicht auf historische Fakten, sie ist eher intuitiv. Und doch bin ich mir relativ sicher, dass unsere ungebrochene Faszination für präparierte Tiere darauf zurückgeht, dass sie dereinst die ersten Götter des Menschen waren. Sie sind eine Art Totem, vor dem auch heute noch unser Selbst zur Ruhe kommt. Dies ist gewiss nicht die einzige Erklärung dafür, dass Taxidermisten Tierpräparate anfertigen und Menschen sich von ihren ausgefallenen Werken fasziniert zeigen. Andere Erklärungen sagen aber nichts über die Tiefe des Abgrunds aus, in dem die schwankenden Schatten unserer Vorväter und ihrer Götter zu erahnen sind.

Gründlich betrachte ich Bild um Bild und kehre immer wieder zu bereits bekannten Fotografien zurück. Ich habe keine Eile, die Seiten zu wenden. Andrej Lankievič und die Taxidermisten, mit deren Werken er gearbeitet hat, mögen mir nachsehen, dass meine Aufmerksamkeit weniger ihrer hohen Kunst gilt, als meinem persönlichen ontologischen Bedürfnis. Während ich die präparierten Tiere, die Vögel, die Frösche konzentriert in Augenschein nehme, versuche ich zu ergründen, wer das Totem meiner ältesten Vorfahren und damit auch mein Urgott war. Natürlich habe ich *ihn* nicht erkannt. Vielleicht hatte Andrej ihn einfach nicht vor der Kamera, wahrscheinlicher ist aber, dass es so überhaupt nicht funktionieren kann, wie weit liegt sie denn zurück, die Totem-Zeit?!

Und doch gefällt mir der Gedanke, ich hätte meinem Urgott in die Augen gesehen. Und wenn ich ihn nicht erkannt habe, so doch er mich.

[Aus dem Belarussischen von Thomas Weiler]

У адным з эсэ я падзяліў усю пару існавання чалавека на эры Татэма, Міфа і Тэкста. Пра чалавека эры Татэма я пісаў, што ён быў роўны і родны каменю, дрэву, рыбе, зверу, птушцы… Ён быў, як ўсе і яго яшчэ не было, як *яго*. Вольны ад самога сябе, ён жыў, як жывуць вольнымі ад саміх сябе рыба, звер, птушка. Аднак ў адрозненне ад іх, чалавек шукаў прычыну самога сябе. І знаходзіў яе ў тым, што бачыў побач – у коршаку, babры, ваўку, казулі ці чаплі… Гэты яго выбар свайго першапродка мы называем татэмам. Навукова кажучы, татэм – гэта відавая назва жывёлы (але не толькі, ім можа быць што заўгодна), з якім пэўнае племя звязвала сваё паходжанне. З гэтага і містычнае шанаванне татэма, і задзіночанне з ім, як з сваім крэўным, і нават абагаўленне.

Натуральна, пра татэм я завёў тут гаворку зусім не выпадкова. Калі Андрэй Лянкевіч патэлефанаваў мне і сказаў, што робіць фотаальбом пудалаў, я адразу падумаў: гэта цікава! Але не адразу зразумеў, што цікавага ў тым, каб фатаграфаваць не жывых істотаў, а іх навечна знерухомленыя целы. Магчыма, перадусім мяне завабіла арыгінальнасць ідэі?
Бо жывых звяроў ды птушак у зручны момант здымае ці не кожны фотамастак, нават калі ён заангажаваны адно урбаністыкай. А вось вырашаць нейкую мастацкую ідэю праз пудалы жывёлаў, якія, у пэўным сэнсе, самі ўжо ёсць творамі мастацтва – гэткага мне раней не сустракалася. Таму я найперш запытаўся, скуль узялася ідэя? Аказваецца, падставаў у яе было некалькі, але я тут перакажу адно наступную. Андрэя ўразіла думка, што мастак-таксідэрміст выяўляе ў пудале не столькі сутву звера, колькі ўласную сутву.

Пасля гэтых словаў я здагадаўся, што нас з Андрэем ягоны праект вабіць зусім з розных падставаў. Маладога фотамайстра захапілі экзістэнцыйныя чыннікі гэтага феномена, мяне – анталагічныя.
Бо з ідэі Андрэя я раптам здаўмеўся, з чаго насамрэч чалавек выштукоўвае пудалы дзікіх звяроў. І сапраўды, навошта яму гэткая дзіўная прыхамаць? Тым болей, што звычайна гэта не нейкія там экзатычныя жывёліны, а тыя што можна высачыць у бліжэйшай пушчы. Хаця сюжэтаў з “дзівосамі” гісторыя таксама назбірала даволі. Мікола Гусоўскі, аўтар славутай “Песні пра зубра”, згадвае, што папа Леў Х вельмі хацеў, каб да яго ў Рым прывезлі пудала нашага зубра. Толькі гэта гісторыя пра забаву, а мы пра сутнае.
І яшчэ вось што. Хіба свойскі гусь менш прыгожы за дзікага, а пастава ганчака саступае ваўчынай? Дык чаму тады не робяць пудалы з свойскай жывёлы?
І хаця мы ведаем прыклады, калі пасля смерці свойскую жывёліну “муміфікуюць”, як было з любай кабылай (Лізавета) Пятра Першага, але гэта ўсяго толькі паталагічныя выключэнні.

У маім здумленні больш інтуіцыі, чым гістарычнай факталогіі. Разам з тым я амаль пэўны, што нашая нязменная цікавасць да пудалаў дзікіх звяроў неўсвядомлена грунтуецца на тым, што некалі яны былі першымі багамі чалавека. Інакш кажучы, пудала – гэта своеасаблівы абраз татэма, перад якім і па сёння сцішаецца нашая самасць. Зразумела, існуе мноства самых розных іншых тлумачэнняў, чаму майстры вырабляюць пудалы, а людзі не стамляюцца захапляцца іх адмысловай працай. Аднак усе гэтыя тлумачэнні нічога не кажуць пра глыбіню таго прадоння, на дне якога ледзьве калыхаюцца цені нашых прапродкаў ды іхніх багоў.

Я паволі праглядаю фотаздымкі, раз-пораз вяртаючыся да ўжо нагледжаных – і не спяшаюся далей перагортваць старонку. Толькі хай мне даруюць і Андрэй Лянкевіч, і майстры-таксідэрмісты, працы якіх ён скарыстаў, але мая засяроджаная ўвага абумоўленая не столькі іх высокім мастацтвам, колькі ўласнай анталагічнай патрэбай. Пільна ўглядаючыся ў пудалы звяроў, птушак ці жабак, я спрабую здагадацца, хто з іх быў татэмам маіх самых даўніх продкаў, а значыць і маім першабогам?! Зразумела, я яго так і не пазнаў. Магчыма, *ён* проста не патрапіў пад аб’ектыў фотакамеры, але больш верагодна, што такое ўвогуле немагчыма, бо калі яна была, тая эра Татэму?!

І ўсё ж такі мне хочацца думаць, што я зазірнуў у вочы свайму першабогу. І калі не я яго, дык ён мяне пазнаў.

VALANCIN AKUDOVIČ (1950) – belarussischer Philosoph, Essayist und Literaturkritiker. Autor philosophischer und belletristischer Werke: *Ich bin nicht. Gedanken auf den Ruinen des Menschen* (1998), *Paris vernichten* (2004), *Dialoge mit Gott* (2006), *Der Code der Nichtexistenz. Von den Grundlagen der belarussischen Mentalität* (2007). Einzelne Texte erschienen in den USA, in Polen, Russland, Tschechien, Mazedonien, Serbien, Litauen und der Ukraine. *Dialoge mit Gott* erschien 2008 in polnischer Übersetzung. Ausgezeichnet mit den Preisen der Zeitschriften „LiM“ (1993) und „Krynica“ (1995), sowie den Preisen des Belarussischen Geisteswissenschaftlichen Zentrums (1997), des Belarussischen PEN-Zentrums (Aleś-Adamovič-Preis, 2001) und dem Literaturpreis „Hliniany Viales“ (2007).

ВАЛЯНЦІН АКУДОВІЧ (1950) – беларускі філосаф, эсэіст, літаратурны крытык. Аўтар філасофскіх і літаратурна-мастацкіх кніг *Мяне няма. Роздумы на руінах чалавека* (1998), *Разбурыць Парыж* (2004), *Дыялогі з Богам* (2006), *Код адсутнасці. Асновы беларускай ментальнасці* (2007). Асобныя тэксты друкаваліся ў ЗША, Польшчы, Расіі, Чэхіі, Македоніі, Сербіі, Украіне, Літве. Кніга *Дыялогі з Богам* перакладзеная на польскую мову (2008). Лаўрэат прэмій штотыднёвіка «ЛіМ» (1993), часопіса «Крыніца» (1995), Беларускага гуманітарнага цэнтра (1997), Беларускага ПЭН-цэнтра (прэмія імя Алеся Адамовіча, 2001), літаратурнай прэміі «Гліняны Вялес» (2007).

Siarhiej Dubaviec **Сяргей Дубавец**

WIE WIR VERGEBEN SOLLEN ЯК ДАРАВАЦЬ?

Besuch im Bordell – Die Sünden sowjetischer Zeiten – Proletarische Tugenden – Alles kann vergeben werden – Sprich …

Паход у вясёлы дом – Грахі савецкіх часоў – Пралетарскія цноты – Даравацьможна ўсё – Гавары…

Vergebung ist eine Verständigung aller Beteiligten ohne bleibende Kränkungen.

Man kann dir in Worten vergeben, aber im Herzen bleibt doch eine Kränkung zurück.

Wenn du dir selbst geschadet oder wenn du gesündigt hast, kann dein *Alter Ego* oder zum Beispiel ein Geistlicher die Rolle des anderen Beteiligten übernehmen.

Ein guter Bekannter berichtete mir, er würde dem Priester bei der Beichte immer erzählen, dass er im Bordell war. Immer wieder gehe er dorthin und immer wieder bereue er. Aber, so gestand er mir, seelische Erleichterung verspüre er nur, wenn er aus dem Bordell kommt – und nicht vom Priester.

Besuch im Bordell

In einer verdrehten Welt kann es vorkommen, dass der Mensch seine Sünden gar nicht bemerkt. Andererseits verlangt angeblich auch eine unschuldige Tat, die das Gerede der anderen einem als Sünde bescheinigt, nach Abbitte.

In letzter Zeit hat mein Bekannter jedoch ernsthaft über sein Verhalten nachgedacht und ist zu dem logischen Schluss gelangt, dass seine Besuche im Bordell gar keine Sünde sind, sondern etwas in der Art eines Friseur- oder Saunabesuchs. Es gebe nun einmal, sagt er, die Physis, und die habe mit der Seele überhaupt nichts zu tun. Er habe schließlich, meint er, niemanden betrogen oder geschädigt, und selbst als Leidenschaft könne man all das wohl kaum bezeichnen. Vielleicht sei das überhaupt eine „Folter“ des Fleisches zur Befreiung des Geistes, ganz im Sinne des Kyrill von Turaŭ; er käme schließlich, sagt der Bekannte, nicht von ungefähr geläutert (heilig-heilig-heilig) von dort zurück.

Nun denn. Danach vergaß der Bekannte auch den Priester nicht, die Geschichte mit dem Bordell verbannte er freilich aus seiner Beichte.

Es ist nicht an mir, dieses Verhalten meines Bekannten zu beurteilen. Mir genügt etwas anderes: Dass er seine eigenen Freunde in schwierigen Situationen nicht hängen lässt. Dabei kenne ich auch große Tugendwächter, die damit prahlen, dass man sich auf sie nicht verlassen kann. Die inneren Nöte eines Menschen sind eben innere Nöte, ob sie nun sündhaft sind oder nicht. Wir sprechen aber über die Beziehungen zu anderen Menschen.

(Nur – was sollen wir da mit der Maxime der Vervollkommnung der Welt durch Selbstvervollkommnung anfangen?)

Die Sünden sowjetischer Zeiten

Die Geschichte von meinem Bekannten und dem Bordell hat, wie ich finde, Anspruch auf Ewigkeit. Uns mag all das immer noch eher wie eine Geschichte aus einem Roman vorkommen, wo man schon zu sowjetischen Zeiten von Sünden las, die man sich in der Wirklichkeit nicht einmal vorstellen konnte. Nun aber ändern sich die Zeiten, wie es so schön heißt, und wir ändern uns mit ihnen. Allmählich ändert sich auch die Bewertung so mancher Verhaltensweise.

Erinnern Sie sich noch, wie es damals hieß: „Unsere Menschen fahren nicht mit dem Taxi zur Bäckerei“? Ich kenne selbst heute noch viele Menschen, die es sich erlauben könnten, ein Taxi zu nehmen, die sich aber lieber verspäten und in einen Trolleybus hineinzwängen oder zu Fuß bis ans Ende der Welt gehen würden, nur um vor sich selbst auch weiterhin als „unsere Menschen“ bestehen zu können.

Die Sünden sowjetischer Zeiten ergaben ein reichlich standardisiertes Sortiment. Eine Taxifahrt wurde ebenso mit einem ausschweifenden Lebenswandel assoziiert wie, sagen wir, ein Restaurantbesuch. Vervollständigt wurde die Liste ungesunder Leidenschaften noch durch das Hören „westlicher Musik“ und lange Haare bei jungen Männern. Ein eigenes Auto, eine eigene Datsche, privater Besitz galten – nach allgemeinem gesellschaftlichen Konsens – überhaupt als heimliche Straftat.

Was Wunder, dass sich auch heute noch mancher Vorwürfe anhören muss, der mit dem Taxi fährt. Dabei entgehen der Aufmerksamkeit des Publikums jedoch die wirklichen moralischen Deformierungen. So ist zum Beispiel der Verrat unter Freunden inzwischen fast schon eine normale Erscheinung. Zumindest empört es kaum

noch jemanden, man spricht auch nicht darüber. Wie übrigens auch über den Vaterlandsverrat.

Proletarische Tugenden
In früheren Zeiten sah der Mensch seine Unwissenheit, Verängstigung und Abgeschiedenheit von der großen weiten Welt als Tugenden an, die einem sowjetischen Bürger gebühren. Ein Leben aus dem Vollen, auf „großen Fuße“, war lasterhaft. Einige erklären das mit dem Erbe der Knechte, das das neu entstandene Proletariat angetreten hatte. Zur Metapher dafür sollten die Häuser der sowjetischen Bauern werden. Sie wurden mit dem Haupteingang zur Straße gebaut, obwohl der in der Regel vernagelt wurde; hinein ging man von hinten, vom Hof aus, wie Dienstpersonal kam man ins eigene Haus.

Mit dem Vaterlandsverrat wurde immer wieder entschieden übertrieben, weil die Treue zur Heimat von oben verordnet war. Im Gegensatz dazu wurde die Freundschaft inoffiziell kultiviert, vor allem in der Tauwetterkultur der „Sechzigergeneration“, bei den Fans von „Papa Hem“. Der Freundschaftskult stand im Mittelpunkt, ganz gleich, worum es ging – den Krieg, den Sport oder geologische Expeditionen im Gebirge. Die Freundschaft wurde zum Credo mehrerer Generationen sowjetischer Menschen. Und Verrat unter Freunden galt als schreckliche Sünde. Darüber machte man keine Witze.

Heute kann man mitten im Zentrum der Hauptstadt eine riesige Werbetafel mit dem Slogan „Freunde zu verkaufen“ sehen. Mit diesem Spruch wollen Witzbolde zum Kauf von Autos animieren.

Die Deformierung der Moral vollzieht sich leider nicht selektiv. Wir mögen noch so oft beteuern, das Beste aus sowjetischen Zeiten bewahrt zu haben – es stimmt nicht. Das zeugt wohl von einer Einheit der Moral, wo Edelmut und Sünde ein Ganzes sind. Und wenn die Sünden „verschwommen“ sind, „verschwimmt“ mit ihnen auch der Edelmut.

Taxi und Restaurant sind heute keine gar so verbotenen Früchte mehr. Normal wird allmählich auch der Privatbesitz.

Der krankhafte Prozess der Stabilisierung neuer Werte verläuft chaotisch und räuberisch, mit verstohlenem Blick. Und so sehr die neuen Herren des Lebens auch ihre Bäuche aufblasen, so oft sie sich gegenseitig auch mit „meine Herren“ anreden mögen – ihr knechtisches Wesen verraten auch heute noch die vernagelten Eingangstüren.

Alles kann vergeben werden
Vorausgesetzt, dass alle Beteiligten das Verbrechen, den Schaden oder die Sünde eingestehen. Einsicht und Reue liegen jeder Vergebung zugrunde.

Da liest man nun, dass türkische Historiker für den Völkermord an den Armeniern um Verzeihung bitten. Heißt das, dass sie auf Vergebung hoffen und dass man einen Völkermord vergeben kann?

Die Welt ist so eingerichtet, dass wir vorwärts und nicht rückwärts leben. Bleibt die Reue aus und folglich auch die Vergebung, widerspricht dies den natürlichen Gesetzmäßigkeiten der Entwicklung. Wir geraten ins Stocken und kommen nicht mehr vom Fleck.

Die Historiker wissen das, von den Beamten lässt sich das freilich nicht sagen. Die türkische Regierung weigert sich nicht nur hartnäckig, um Verzeihung zu bitten, sondern auch, das damalige Geschehen als Völkermord zu bezeichnen.

Wir geraten ins Stocken, wenn der KGB nicht den Mut aufbringt, verbrecherische Massenrepressalien einzugestehen. Wenn sich ein Bürgerrechtsaktivist mit der Gemeinschaftskasse nach Honolulu absetzt. Wenn ein Bildungsminister nicht einsieht, dass er das belarussische Schulsystem in die Sackgasse geführt hat. Wir erstarren nicht vor dem Verbrechen an sich, sondern davor, dass nichts darauf folgt, keine Reue oder wenigstens ein Geständnis. Als würde der Film unseres Lebens immer wieder aufs Neue reißen.

Es ist nicht wichtig, ob du deine Sünde als Sünde siehst, solange es andere gibt, die das tun. Sprich mit ihnen. Dafür hast du die Gabe der Sprache. Vielleicht gelingt es dir ja, sie zu überzeugen, dass dein Handeln legitim ist, und wenn ja, dann sind auch weder Reue noch Vergebung erforderlich. Überzeugst du sie nicht, wirst du bereuen müssen, um weiter leben zu können.

Sprich … Doch weit und breit ist nur Schweigen und Lüge. Nicht verständigen können sich Führung und Volk, Vorgesetzter und Untergebener, Redakteur und Autor. Der größte Fehler derjenigen, die etwas in diesem Leben zu entscheiden haben, ist ihr Glaube, sie könnten schon kraft ihres Amtes das Spiel nur noch auf ein Tor laufen lassen.

Sprich …
In den Maßnahmen der heutigen Machthaber gegen die belarussische Kultur steckt die stumpfsinnige Kränkung weiter Teile der Gesellschaft. Die Unfähigkeit und der Unwillen zu sprechen, lassen den gesamten Prozess ins Stocken geraten. Sagt doch, dass ihr das bewusst und absichtlich tut, damit auch wir uns einen Standpunkt erarbeiten können: Ob ihr nun Okkupanten, Kolonisatoren oder doch nur Verirrte seid? Die Welt besteht nicht nur aus denen, die das Recht des Stärkeren haben. Die Welt besteht immer auch aus der Verständigung aller Beteiligten, aus uns allen.

Diese Sünde spiegelt sich freilich auch in unabhängigen Gesellschaften wieder. Auch hier werden Konflikte in der Regel mit Zwang gelöst, und nicht durch Dialog und Verständigung, Reue und Vergebung.

Wenn man zum Beispiel das belarussische Internet für den wichtigsten Spiegel der Aktivitäten einer unabhängigen Gesellschaft hält, findet man hier zumeist nur den besessenen Drang, den Gesprächspartner zu beleidigen, zu zertreten, zunichte zu machen. Im zensierten Raum der elektronischen Medien, wo der Staatsapparat gegenüber der Opposition weiß Gott nichts anderes tut, wird der bezahlte Hass wenigstens nicht als Herzensdrang empfunden und in mehr oder weniger literarischen Formen zum Ausdruck gebracht. Hier aber … Ein Neuling, der im Internet in einem Diskussionsforum der Opposition gelandet ist, erhält sofort einen Eindruck von den Alternativen zur heutigen Macht, und er, der vielleicht ja auf der Suche nach solchen Alternativen war, bleibt allein mit seiner Überzeugung zurück, dass es diese Alternative nicht gibt. Es braucht wohl nur wenig, um einen Neuling vom Gegenteil zu überzeugen …

[Aus dem Belarussischen von Steffen Beilich]

Дараваньне – гэта паразуменьне бакоў, у выніку якога не застаецца крыўдаў.

Табе могуць дараваць на словах, але крыўда застаецца ў сэрцы.

Калі ты сам сабе нашкодзіў або саграшыў, другім бокам можа выступіць тваё alter ego або, напрыклад, сьвятар.

Прыяцель распавёў, што на споведзі расказвае бацюшку пра тое, што хадзіў у вясёлы дом. Кожны раз ён туды ходзіць і кожны раз каецца. Але, прызнаўся прыяцель, палёгку на душы адчувае тады, калі выходзіць зь вясёлага дому, а не ад бацюшкі.

Паход у вясёлы дом
У перакручаным сьвеце чалавек бывае й не заўважыць, што саграшыў. Зь іншага боку, і бязьвінны ўчынак, што ў пагалосках атэстуецца як грэх, трэба, нібыта, замаліць.

Апошнім часам, аднак, прыяцель мой крэпка задумаўся пра свае паводзіны й лягічным шляхам прыйшоў да высновы, што ягоныя паходы ў вясёлы дом – ніякі ня грэх, а нешта накшталт візытаў у цырульню ці лазьню. Ёсьць, маўляў, фізіялёгія, і ніякага дачыненьня да душы яна ня мае. Маўляў, я ж нікому ня здрадзіў і шкоды не зрабіў, а нават і жарсьцю гэта ўсё толкам не назавеш. Можа быць, гэта ўвогуле – «ісьцязаньне» плоці з мэтай вызваленьня духу, проста паводле Кірылы Тураўскага, нездарма ж выходжу адтуль ачышчаным (сьвят-сьвят-сьвят).

Ну вось. Пасьля гэтага й бацюшку прыяцель не забыў, але эпізод зь вясёлым домам са сваёй споведзі выключыў.

Не мая справа ацэньваць гэткія паводзіны прыяцеля. Мне цалкам дастаткова іншага – што ў цяжкой сытуацыі ён сваіх сяброў ня кідае. Хоць ведаю я й такіх цнатліўцаў, якія нават бравуюць тым, што на іх разьлічваць нельга. Унутраны клопаты чалавека – яны й ёсьць унутраныя, грэшныя ці бязгрэшныя. Мы ж гаворым пра адносіны да іншых.

(Праўда, што тады рабіць з максымай пра ўдасканаленьне сьвету праз удасканаленьне сябе?)
Грахі савецкіх часоў Гісторыя прыяцеля й вясёлага дому, як мне ўяўляецца, прэтэндуе на вечнасьць. Але для нас гэта ўсё яшчэ збольшага кніжная гісторыя, у якой мы з савецкіх часоў вычытвалі такія грахі, якія ў рэчаіснасьці нават і ўявіць сабе было немагчыма. Цяпер, як той казаў, часы мяняюцца і мы разам зь імі. Патроху мяняецца й ацэнка грахоўнасьці тых ці іншых паводзінаў.

Памятаеце, «нашы людзі ў булачную на таксі ня езьдзяць»? Я й сёньня ведаю шмат людзей, якім сродкі дазваляюць узяць таксоўку, але яны, спазьняючыся, будуць душыцца ў тралейбусе або пашыбуюць на край сьвету пешшу, толькі б захаваць самаацэнку сябе як «нашых людзей».

Грахі савецкіх часоў складаліся ў даволі стандартны набор. Карыстаньне таксоўкай нітавалася з распустай гэтаксама, як, скажам, абед у рэстаране. Сьпіс нездаровых жарсьцяў дапаўняўся слуханьнем «заходняй музыкі», доўгімі валасамі ў хлапцоў. А свая машына, свая дача, свая ўласнасьць увогуле ўяўляліся прытоеным злачынствам – паводле ўсеагульнае грамадзкае згоды.

Ня дзіва бывае й сёньня пачуць папрок так соўкай. Але пры тым па-за ўвагай публікі застаюцца сапраўдныя дэфармацыі маралі. Напрыклад, здрада ў сяброўстве цяпер – ледзьве не нармальная зьява. Прынамсі, мала каго абурае, дый не гавораць пра гэта. Як, між іншым, і пра здраду Радзіме.
Пралетарскія цноты У колішнія часы чалавек разглядаў сваю цемнату, забітасьць і адлучанасьць ад шырокага сьвету як належную для савецкага грамадзяніна цноту. Жыць напоўніцу, «на шырокую нагу» было заганна. Некаторыя зьвязваюць гэта з чалядніцкай спадчынай паўсталага пралетарыяту. Мэтафарай гэтага сталі дамы савецкіх сялянаў. Яны будаваліся з парадным уваходам з вуліцы, хоць, як правіла, гэты ўваход забівалі цьвіком, а хадзілі ззаду – з двара, да сябе дадому – як слугі.

Са здрадай Радзіме спрэс выходзілі перагібы, бо вернасьць Радзіме навязвалася зьверху. Сяброўства, наадварот, культывавалася нефармальна, найперш – адліжнай маладой культурай шасьцідзясятнікаў, багомнікаў Папы Хэма. Культ сябра стаў цэнтральным, пра што б ні ішлося – пра вайну, пра спорт, пра альпіністаў-геолягаў. Сяброўства стала сымбалем веры некалькіх пакаленьняў савецкіх людзей. А здрада ў сяброўстве ўспрымалася як страшны грэх. З такіх рэчаў не сьмяяліся.

Сёньня ж у самым цэнтры сталіцы можна пабачыць вялікі рэклямны шчыт са слоганам «Прадаём сяброў». Гэтак дасьціпнікі заклікаюць купляць аўтамабілі. На жаль, дэфармацыя маралі не адбываецца выбарачна. І колькі ні кажы, што мы захавалі найлепшае, што мелі за савецкім часам, гэта ня так. Відаць, гэта сьведчыць пра адзінства маралі, дзе доблесьці й грахі складаюць адно цэлае. І калі «паплылі» грахі, дык «плывуць» разам зь імі й доблесьці.

Сёньня рэстаран з таксоўкай перасталі быць такімі ўжо забароненымі пладамі. Паступова становіцца нормай і прыватная ўласнасьць.

Хваравіты працэс стабілізацыі новых каштоўнасьцяў – хаатычны й драпежны, са злодзейскай аглядкай. І колькі ні надзімаюць жываты новыя гаспадары жыцьця, колькі ні называюць адзін аднаго «гаспадамі», іх чалядніцкую сутнасьць па-ранейшаму выдаюць забітыя парадныя пад'езды.
Даравацъ можна ўсё Пры ўмове, што злачынства, шкода або грэх прызнаюцца ўсімі бакамі. Прызнаньне-раскаяньне ляжыць у аснове любога дараваньня.

Вось пішуць, што турэцкія гісторыкі просяць прабачэньня за генацыд армянаў. Значыць, яны спадзяюцца на дараваньне, і генацыд можна прабачыць?

Сьвет зладжаны такім чынам, каб жыць уперад, а не назад. Адсутнасьць раскаяньня і, у выніку, дараваньня супярэчыць натуральным законам разьвіцьця. Мы спыняемся й пачынаем прабуксоўваць на месцы.

Гісторыкі гэта разумеюць, чаго ня скажаш пра чыноўнікаў. Турэцкі ўрад упарта не жадае ня толькі папрасіць прабачэньня, але нават назваць тое, што адбылося, генацыдам.

Мы спыняемся, калі КГБ не знаходзіць у сабе мужнасьці прызнаць факты злачынных масавых рэпрэсіяў. Калі грамадзкі актывіст умыкае з касай суполкі ў Ганалулу. Калі міністар адукацыі не ўсьведамляе, што загнаў беларускае школьніцтва ў кут. Мы дранцьвеем не ад самога злачынства, а ад адсутнасьці працягу-раскаяньня ці хоць бы прызнаньня. Быццам у кінафільме нашага жыцьця ўвесь час ірвецца стужка.

Гэта ня важна, што ты ня лічыш свой грэх грахом, калі ёсьць тыя, хто так лічыць. Пагавары зь імі. Дар мовы дадзены табе для гэтага. Можа быць, табе ўдасца пераканаць іх, што твой учынак – нармальны, і калі так, дык ні раскаяньня, ні дарав-аньня не патрабуецца. Не пераканаеш – мусіш раска-яцца, каб жыць далей.

Гавары... А спрэс маўчаньне й разлогі крыўдаў. Ня ўмеюць паразумецца кіраўнік з народам, начальнік з падначаленым, рэдактар з аўтарам. Найвялікшая памылка тых, хто нешта вырашае ў гэтым жыцьці, – нібыта яны ўжо ў сілу становішча могуць гуляць у адну браму.
Гавары...
У захадах цяперашняй улады супраць беларушчыны ёсьць тупое крыўджаньне ладнае часткі грамадзтва. Няўменьне й нежаданьне гаварыць спыняе ўвесь працэс. Ну, скажыце, што вы гэта робіце асэнсавана й наўмысна, каб і мы выпрацавалі сваё стаўленьне да вас: акупанты вы, калянізатары ці ўсё ж заблукалыя свае? Сьвет складаецца ня толькі з тых, у каго права сілы. Сьвет заўсёды складаецца з паразуменьня бакоў, з нас усіх.

Праўда, і ў незалежным грамадзтве гэты грэх адбіваецца, як у люстэрку. Тут таксама, як правіла, канфлікты вырашаюцца мусова, а не праз гаварэньне й паразуменьне, пакаяньне й дараваньне.

Да прыкладу, калі беларускі інтэрнэт лічыць галоўным люстэркам чыннасьці незалежнага грамадзтва, дык у большасьці мы знойдзем апантаную прагу абразіць, стаптаць, зьнішчыць суразмоўцу. Далібог, у цэнзураваным полі электронных СМІ, дзе ўлада займаецца тым самым супраць апазыцыі, аплочаная нянавісьць прынамсі не ўспрымаецца як парываньне сэрца і выказваецца ў больш-менш літаратурнай форме. А тут... У нэафіта, які натрапіў на інтэрнэтныя разборкі апазыцыі, імгненна складаецца ўражаньне пра альтэрнатыву сёньняшняй уладзе, і ён, які, можа быць, хацеў бы такую альтэрнатыву знайсьці, застаецца сам-насам са сваёй перакананасьцю, што альтэрнатывы няма. Здавалася б, як мала трэба, каб пераканаць нэафітаў у адваротным...

SIARHIEJ DUBAVIEC (1959) – Prosaschriftsteller, Literaturkritiker, Journalist. Seit Ende der siebziger Jahre Autor und Herausgeber von literarischen und sozial-politischen Untergrundzeitschriften. Während der Unabhängigkeit Chefredakteur der Zeitungen „Svaboda“ (1990-91) und „Naša Niva“ (1991-2000), des Radiosenders „Bałtyjskija Chvali“ (2000-2001) sowie Autor von Sendungen bei „Radio Svaboda“ (seit 1997). In seinen Essays gibt er dem traditionellen Belarus in der modernen Welt und dem modernen Menschen in der belarussischen Tradition einen Platz. Der Essay *Wie wir vergeben sollen* stammt aus der Sammlung *Wie*? (2009) – einem eigentümlichen Einmaleins der Verhaltensweisen und Modelle einer modernen Ethik, einem ABC der Fragen: Wie man Erfüllung finden, ein Feind sein, sich lieben, sich streiten, wie man leben soll...

Kontakt: dubaviecs@gmail.com

СЯРГЕЙ ДУБАВЕЦ (1959) – празаік, літаратурны крытык, журналіст. З канца 1970-х аўтар і выдавец падпольных літаратурных і грамадзка-палітычных часопісаў. У часы незалежнасьці галоўны рэдактар газэт „Свабода" (1990-91) і „Наша Ніва" (1991-2000), радыё „Балтыйскія Хвалі" (2000-2001), сталы аўтар перадач на Радыё Свабода (з 1997). У сваіх эсэ знаходзіць месца традыцыйнай Беларусі ў сучасным сьвеце і месца сучаснага чалавека ў беларускай традыцыі. Эсэ *Як даравацъ*? уваходзіць у кнігу *Як*? (2009) – своеасаблівую азбуку паводзінаў і мадэляў сучаснай этыкі, складзеную з запытаньняў: як адбыцца, варагаваць, любіць, спрачацца, жыць...

Кантакт: dubaviecs@gmail.com

Jaroslav Hrytzak Ярослав Грицак

NATIONALISTISCHE LEIDENSCHAFTEN СТРАСТІ ЗА НАЦІОНАЛІЗМОМ

auszug
уривок

Mythus – Österreichisches Lemberg

Für Historiker ist es nicht allzu schwer in der Geschichte Lembergs eine der heutigen Situation vergleichbare Konstellation zu finden: Zum Beispiel wird auf die wichtige Rolle Lembergs für das Nationalbewusstsein der gebildeten Polen während der Zeit der polnischen Teilungen (1772-1918) hingewiesen, oder man hebt die Bedeutung des polnisch-ukrainischen Kampfes um Lemberg 1918-1919 im Ausgang des Ersten Weltkriegs für die Gründung des polnischen Staates hervor. Anderseits war das Verhältnis zwischen dem polnischen Staat und Lemberg in der Zwischenkriegszeit, milde gesagt, alles andere als gut. Unter den neuen Regierungsinstitutionen des ehemals russischen Warschau wurde das ehemals österreichische Lemberg bald zur Provinz. Um dieser bedrohlichen Entwicklung etwas entgegen zu setzen, wurde in der Stadt eine Kommission zur Rettung der Zukunft Lembergs ins Leben gerufen. Diese Kommission entwickelte Maßnahmen, unter denen neben einigen ganz realistischen auch völlig fantastische waren, zum Beispiel die Idee Lemberg mit einem großen Binnenhafen ein neues Gesicht zu geben. Es versteht sich von selbst, dass aus den meisten dieser Pläne nichts wurde. Der polnische Historiker Andrzej Bonusiak schreibt über die Entwicklung Lembergs in Zwischenkriegszeit zusammenfassend, dass „die Stadt offensichtlich keine Vorteile von der polnischen Staatsgründung hatte, vielmehr überwogen die Nachteile.“

Historische Parallelen können in die Irre führen. Die gegenwärtige Lemberger Stadtverwaltung, die davon träumt die Stadt in ihrer einstigen Größe wieder erblühen zu lassen, orientiert sich sicher nicht an dessen sowjetischen Image (1944-1991), denn wer will das gegenwärtige Lemberg umzingelt von Chruschtschow-Bauten und Hochhäusern im Stil sowjetischer Plattenbauten sehen? Ideal scheinen vielmehr jene Zeiten, in denen Lemberg eine Großstadt mit Gebäuden im Jugendstil und Kaffeehäusern war, in denen man die neueste Wiener Presse lesen konnte und Theatern hatte, in denen europäische Größen gastierten. Somit orientiert man sich an einem Mythus des österreichischen Lembergs, dass auch ein Maßstab für die polnische Stadtverwaltung der Zwischenkriegszeit war.

Wenn man über den Mythus des österreichischen Lembergs redet, dann vergisst man oft, dass dieser unter bestimmten Bedingungen entstanden war und funktionierte, die – man mag das gut heißen oder nicht – nie wiederkehren. Der Zauber von Lemberg gründete in der Distanz und Provinzialität Galiziens. Den ersten österreichischen Beamten, die hier her kamen, schien es Halb-Asien zu sein, das österreichische Sibirien. Wenn die österreichische Beamtenschaft viele Hunderte von Kilometern von Prag oder Wien entfernt in die „Verbannung“ fuhr, versuchten sie sich mit den kleinen Freuden des Lebens schadlos zu halten, wie etwa mit der Anlage breiter Boulevards, wo man sonntäglich mit seinen Familien flanieren konnte.[1] Ein Theater, Kaffeehäuser und Wiener Mode gehören zu jenen Exportartikeln, die auch Lemberg zu einem „Wien des Ostens“ machten.

Von allen Städten der Polnischen Republik war Lemberg die modernste, vielleicht sogar die einzige wirklich moderne Stadt, wenn man als Kriterium der Moderne jene zivilisatorischen Errungenschaften sieht, die auch dem Durchschnittsbürger zugänglich sind. Das lässt sich Modernisierung durch Bürokratisierung nennen, wenn die Akteure zivilisatorischer Prozesse nicht der Kapitalist und Bankier sind, sondern der Bürokrat. Lemberg war die Hauptstadt Galiziens, des größten Teilterritoriums der Habsburger Monarchie, und das heißt, es hatte den größten Anteil an Bürokraten.

Das österreichische System war natürlich nicht perfekt. Aber es war um vieles besser als das, was die städtische Bevölkerung davor und danach zu sehen bekamen. Sowohl das unabhängige Polen von 1919 als auch die unabhängige Ukraine von 1991 profitierten noch von diesem Erbe. Selbstverständlich fiel es im Lemberg des Jahres 1991 schon bedeutend geringer aus (so zum Beispiel der aus Sowjetzeiten ererbte chronische Wassermangel in der Stadt, obwohl die Wasserversorgung bis 1939 problemlos gewesen war). Freilich blieben das Theater und die Cafés wie auch die Gewohnheit sonntags über den zentralen Boulevard zu flanieren. Und doch fehlte und fehlt das Wesentlichste, der Hauptstadtstatus von Lemberg.

Die österreichische Erbschaft der Ukrainer, Polen und Juden machte diesen Status zu einem Status „Piemonts“ (im Falle der Juden – der Mutter Israels), einer kleinen Heimat, die die Wiedergeburt eines großen und unabhängigen nationalen Vaterlandes auf den Weg bringen sollte. In der Erschaffung des Lemberg-Mythus als Wiege des polnischen, ukrainischen und jüdischen Nationalismus beteiligten sich erstaunlicherweise auch die österreichischen Bürokraten. Jene erste Welle österreichischer Bürokraten sah nicht nur in den ruthenischen und jüdischen Städtern, sondern auch in den polnischen Adeligen halbwilde Barbaren. Sich dagegen sahen sie als Zivilisationsbringer und übernahmen die Mission „die sarmatischen Bestien [d.h. die polnischen Adeligen, J.H.] zu erziehen.“ Das Mittel dazu sollte die deutsche Sprache und Kultur sein. Ein deutscher Geselle, der in den 1830er Jahren nach Lemberg geraten wäre, hätte die Stadt im großen und ganzen für deutsch gehalten, in der Art Magdeburgs, Nürnbergs oder Frankfurts am Main. Nicht nur ihre mittelalterliche Anlage, sondern auch ihre Sicherheit, die einwandfreie Ordnung und nicht zuletzt die Kaffeehäuser hätten den deutschen Charakter der Stadt gezeigt.

Die allmähliche Germanisierung der Stadt rief den Widerstand des polnischen Bürgertums hervor. Mitte des 19. Jahrhunderts teilten sich die gebildeten Kreise Lembergs in die Anhänger Schillers und Mickiewiczs. Im letzten Drittel des 19. Jahrhunderts gewann nach der Einführung der galizischen Autonomie die „Partei von Mickiewicz“ die Oberhand, und der letzte Bürgermeister Lembergs, der noch von Wien bestimmt worden war, ordnete in seinem Testament an, ihn im polnischen Kontusch zu beerdigen, also jenem sarmatischen Kostüm, über das die erste Welle österreichischer Bürokraten so gelacht hatte. Die Gründe des Erfolgs des polnischen Nationalismus liegen u.a. in seiner ansprechenden romantischen Haltung sowie dem demokratischen Programm. Selbst die einheimischen Juden und Ukrainer unterlagen seinem Zauber. Der polnische Nationalismus spielt für Osteuropa etwa die gleiche Rolle wie der französische Nationalismus für Westeuropa: Er nationalisierte andere Völker, indem er ihnen fertige ideologische Formeln und politische Formen bereit stellte. Es ist sicher kein Zufall, dass sowohl die jüdische als auch die ukrainische Nationalhymne mit einer ähnliche Zeile beginnen: „Noch ist unsere Nation nicht verloren“ „Noch ist die Ukraine nicht verloren“, die nichts anderes darstellen als eine Variation auf das polnische „Noch ist Polen nicht verloren“.

In der ersten Hälfte des 20. Jahrhunderts hatte Lemberg die Chance zu einem osteuropäischen Sarajevo zu werden. Ein Reiseführer Lembergs vom Beginn des 20. Jahrhunderts zählt nicht nur genauestens alle Lemberger Kaffeehäuser auf, sondern führt auch an, in welchen das polnische, jüdische und ukrainische Publikum getrennt verkehrte. Grzegorz Hryciuk nennt in seinem jüngst erschienen Buch „Polnisches Alltagsleben in Lemberg, 1939-1944.“ zahlreiche Beispiele für gegenseitige ethnische Intoleranz, deren Wurzeln noch in die Vorkriegszeit reichen. Während der ersten sowjetischen Okkupation 1939-1941 verdächtigten und beschuldigten sich Polen und Ukrainer gegenseitig der Zusammenarbeit mit den Bolschewiken, um den jeweiligen „nationalen Feind“ zu vernichten. Eins waren sie sich freilich darin, dass die Juden am allermeisten mit den Sowjets kollaborierten. Die Stimmung unter den Juden gibt das „Jüdische Gebet“ aus den ersten Monaten des Jahres 1941 wieder 1.) lass die [Sowjets] abziehen, 2.) lass ihn [Hitler] nicht kommen, 3.) lass uns hier bleiben, 4.) lass die [Polen] nicht zurück kommen!!!“. Es kam sogar so weit, dass sich in den ersten Tagen der deutschen Okkupation (im Juli 1941) vor den Geschäften nicht nur eine, sondern gleich mehrere Schlangen entsprechend dem Glaubensbekenntnis und der Nationalität bildeten, die Stadtverwaltung verbot dann mit einer speziellen Verordnung eine solche Praxis.

Der Mythus des verlorenen mitteleuropäischen Lembergs

Ein offenes und ungeschöntes Bild der interethnischen Beziehung im „galizischen Piemont“ finden sich im unlängst publizierten Tagebuch des Professors der Klassischen Philologie an der Lemberger Universität Ryszard Gansiniec sowie in den Memoiren von Nata Lenko (Natalija Leontovyč-Bašuk), einer jungen Aktivistin der Organisation Ukrainischer Nationalisten. Das Tagebuch und die Memoiren, posthum gefunden und veröffentlicht, stellen im gewissen Sinn ein symmetrisches Paar dar. Gansiniec beschreibt das alltägliche Leben im Nachkriegs-Lemberg, Nata Lenko im polnisch-ukrainischen Grenzland von Zakerzonnja. Beide Texte entstanden in den Jahren 1944-1946, zu einer Zeit als das polnische Lemberg Teil der kommunistischen Ukraine werden sollte, und das ukrainische Zakerzonnjas Teil des kommunistischen Polens. Sie ähneln einander sehr in dem Gefühl des unwiederbringlichen Verlusts der „kleinen Heimat.“

Ryszard Gansiniec war zweifellos ein intelligenter Mann, und wie seine Tochter im Vorwort schreibt, entgegenkommend zu ukrainischen und jüdischen Studierenden. Umso erstaunlicher scheinen jene Passagen, in denen er mit durch eine „nationalistische Brille“ auf die Welt blickt. Mit seiner Verhaftung kam Ryszard Gansiniec in sowjetische Gefangenschaft. Unter seinen Leidensgenossen war ein Pole jüdischer Herkunft. Der ging in der Zelle auf und ab, wobei er vor sich hinredete: „Ach du lieber Gott“. Gansiniec schlug ihm vor, dass er stattdessen einfach und kurz sagen solle: „Oihh-oi!“ Alle in der Zelle lachten. Unter den verhafteten Ukrainern sah er freilich, „einzig das ukrainische Dorf, mit all dem Schmutz und Ungeziefer, seiner Gemeinheit und seiner Stehlerei.“ Den Dieb, der in Zelle versuchte, Tabak zu stehlen, erkannte der Professor „am Geruch, es war ein Ukrainer“. Später stellte sich freilich heraus, dass es ein Pole war, doch über dessen Geruch findet sich kein Wort im Tagebuch – die eigenen Leute stinken eben nicht.

Doch am meisten bekommen die Sowjets ab. Sie sind für Gansiniec noch unzivilisierter als die einheimischen Ukrainer. Die Sowjets geben kein Geld für Wohnung, Möbel, Wäsche oder Kleidung aus, sondern einzig für's Essen und vor allem für's Saufen. Ein Sonntag ohne Sauferei ist für sie kein Sonntag. In den Wohnungen halten sie Schweine, Ziegen, Kühe, Enten und bleiben unberührt von Gestank und Mist, faulenden Böden und zerstörten Decken. Gansiniec verabscheut insbesondere die Russinnen. Sie sind der Gipfel der Geschmacklosigkeit für den Professor. Alle Sowjetfrauen tragen rote Barette. Und warum? „Damit auch Läuse ihre rotes Eckchen haben“. Doch Polinnen lassen sich auf der Straße sofort an ihrer Gelassenheit und ihrem Gang erkennen, selbst wenn sie ärmlich gekleidet seien. Die Sowjetfrauen dagegen würden nicht gehen, sondern marschieren, wie der Professor schreibt, und dabei mit dem Hintern nach links und rechts wackeln.

Im Tagebuch von Gansiniec finden sich nur vereinzelt Beispiele für Sympathiekundgebungen und Solidarität über ethnische Grenzen hinweg. Im Jahr 1946 begrüßten die ukrainischen Studierenden den Professor zu den katholischen Weihnachten (das von Sowjets zum Arbeitstag erklärt worden war) auf Lateinisch und sangen drei Weihnachtslieder, eines in Latein, eines auf Polnisch und eines auf Ukrainisch. Das Tagebuch zitiert zudem eine „Regel der Leningrader Professoren“: „Nicht denken, und wenn es sich nicht vermeiden lässt - nicht reden und schreiben, und wenn man etwas geschrieben hat - sich dann davon distanzieren.“ Daraus kann man schließen, dass zwischen den polnischen und Leningrader Professoren, die während der antisemitischen Säuberungen nach Lemberg geschickt worden waren, ein gewisses Vertrauensverhältnis herrschte. Wie ließe sich diese Tagebucheintragung sonst erklären?

Auf der Grundlage eines einzigen Tagebuchs lassen sich keine Verallgemeinerungen vornehmen. Aus der neueren Forschungsliteratur weiß man, dass der polnische und ukrainische antikommunistische Untergrund versuchte, gegenseitig Kontakte anzuknüpfen. Im damaligen Lemberg kursierten darüber nur Gerüchte. Ryszard Gansiniec vermerkte sie sorgfältig, doch sie klangen für ihn genauso fantastisch wie die Geschichte vom Teufel, der im Februar 1946 in der Zelenyj-Straße erschienen sein sollte und prophezeit hatte, dass in zwei Wochen ein neuer Krieg beginnen würde.

Die Memoiren von Nata Lenko zeichnen ebenso das Bild einer äußert „nationalisierten Region“, wo man nur überleben könne, wenn man die „nationalen“ Spielregeln kenne: „die Polen müsse man bitten, mit den Sowjets müsse man sich streiten und bei den Deutschen würde gar nichts helfen.“ Die Kinder hatten während Hausdurchsuchungen zu schweigen, sie konnten kein Polnisch und hätten so das Ukrainertum einer Familie verraten.

Doch in den Memoiren von Nata Lenko gibt es auch andere Passagen, in denen Menschlichkeit politische und ethnische Grenzen überschreitet. Ein polnischer Soldat will einer ukrainischen Familie das letzte Huhn wegnehmen, doch er lässt davon ab, als er hört, dass das Familienoberhaupt Häftling in Auschwitz gewesen war. Ukrainer wurden von Polen aus benachbarten Dörfern mit Ausweisen und Geburtsurkunden versorgt und als Mitglieder der eigenen Familien ausgegeben, um sie vor der Zwangsumsiedlung in den Osten zu bewahren. Ein anderes Beispiel: An Weihnachten treffen zufällig in einem Häuschen ukrainische Soldaten zweier verfeindeter Armeen aufeinander – der UPA (Ukrainische Aufstandsarmee) und der Roten Armee. Der sowjetische Offizier wird zum Festtisch eingeladen. Berührt von der unerwarteten Gastfreundschaft mit einem weihnachtlichen Tisch anstelle einer Schlinge im Wald möchte er sich irgendwie erkenntlich zeigen und beschließt, den Aufständischen seine Waffe zu schenken. Diese lehnen das Geschenk freilich ab, denn es ziemt einem Soldat nicht, seine Waffe wegzugeben …

Lemberg taucht in dieser bedrückenden Welt nur einmal auf, als die Mutter ihre kleine Tochter mit einem Märchen über eine herrliche Welt trösten will. Eine Welt, wo Straßenbahnen fahren, es Schokolade und keine fürchterlichen Polen gebe. Wo man baden und Bekannte treffen könne und sich nicht verstecken müsse, und auch keine Angst vor Durchsuchungen und Schießereien haben brauche. Und abends könne man ins Kino gehen. Hinter dieser Märchenstadt scheint das österreichische Lemberg deutlich durch, eine zivilisierte Stadt in einem unzivilisierten Land.

Weder Nata Leno noch ihre Tochter war es vergönnt, in diese Stadt zurückkehren zu können. Sie hörte bereits im Jahr 1944 auf zu existieren, als sie im Sumpf der Sowjetzivilisation versank. Ryszard Gansiniec blickt ebenso schmerzvoll auf die Schönheit dieser erhabenen Stadt, „auf dies Symbol Polens und des Polentums, das allmählich in der Barbarei der Steppe versinkt“. Das Tagebuch endet an der Stelle, als der Professor den Zug besteigt, um Lemberg für immer in Richtung Polen zu verlassen. Elf Jahre später besucht seine Frau Lemberg, auf dem Weg zu archäologischen Ausgrabungen auf der Krim. Ihre Enttäuschung war riesig, sie hatte Lemberg als wunderschöne Stadt in Erinnerung und sah nun Provinzialität, Vernachlässigung und Zerstörung.

Das postsowjetische Lemberg. Zwischen Palermo und Paris, Wroclaw und Donezk

Solch eine Überschrift sollte doch optimistisch stimmen. Der bekannte britische Journalist Timothy Garton Ash schrieb in einem seiner neueren Artikel, dass sich in den 1990er Jahren „in etwa folgende Regel herausbildete: Umso ethnisch vielfältiger ein postkommunistisches Land ist, desto wahrscheinlicher wird es einen nationalistisch autoritären und keinen liberal demokratischen Weg einschlagen. Die Länder mit den besten Resultaten sind die ethnisch homogensten Länder, Polen, Tschechien und Slowenien […] Die Wiedergeburt der mitteleuropäischen Idee in den 1980er Jahren schloss die Wertschätzung der ethnisch kulturellen Vielfalt dieser Region mit ein, etwa multiethnische Städte wie Prag, Tschernowitz oder Bratislawa, in denen die Bevölkerung in drei oder vier Sprachen redete, die zahlreichen Minderheiten, insbesondere die jüdische und deutsche einschloss, die Multikulturalität des Schrifttums. Doch anscheinend ist eines der Kriterien politischer Zugehörigkeit zu Mitteleuropa eben nicht mitteleuropäisch im gerade genannten [multikulturellen] Sinn zu sein.“[2]

Diese Regel scheint auf den ersten Blick auch auf Lemberg zuzutreffen. In politischer Hinsicht ist diese Stadt gerade deshalb mitteleuropäisch, weil sie aufgehört hat in ethnokultureller Hinsicht mitteleuropäisch zu sein. Ein zweiter, dritter und jeder weitere Blick untergräbt solchen Optimismus. Mitteleuropäisch mag Lemberg aus

der Perspektive von Kiew oder Donezk scheinen, aus der Perspektive Budapests, Wiens oder Krakaus sieht Lemberg osteuropäisch aus.

Hinsichtlich der Bürgerinitiativen (entsprechend der Anzahl von Bürgerinitiativen auf je 10 000 Einwohner) ist Lemberg einsame Spitze in der gesamten Ukraine – wie ein Flugzeug, das in den Himmel steigt während der Rest der ukrainischen Städte und Regionen gerade erst anfängt sich aufrecht auf zwei Beinen fort zu bewegen. Doch es ist keine große Leistung sternenhell zu leuchten, wenn kein Mond am Himmel scheint. Im Vergleich zum benachbarten Polen fällt Lemberg ins Mittelfeld zurück. Am ehesten lässt sich die Stadt mit Wroclaw vergleichen, das nach dem Krieg auch seinen „Besitzer wechselte" und wo die Mehrzahl der Bevölkerung Umsiedler ausmachte. Der weitere Vergleich geht dann zu Ungunsten Lembergs aus. Vor kurzem wurden die Vorsitzenden der Bürgerinitiativen von Lemberg und Wroclaw befragt: „Was machen Sie, wenn Probleme auftreten?" Die Befragten in Wroclaw antworteten, dass man mit allen zur Verfügung stehenden Mitteln die Bürger mobilisiere, während die Lemberger antworten, sie würden eine Lösung in den „Korridoren der Macht" suchen.

Diese Befragung wurde im Rahmen eines schwedisch-polnisch-ukrainischen Projekts durchgeführt, dass die Annahme des amerikanischen Politologen Robert Putnams überprüfte, dass Erfolg oder Misserfolg postkommunistischer Reformen von der jeweiligen Geschichte abhänge. Robert Putnam untersuchte im Laufe von zwanzig Jahren Lauf und Einfluss von Reformen der Regionalverwaltungen in Italien, die er in seinem Buch „Making Democracy Work: Civic Traditions in Modern Italy." darlegte. Ihn interessierte am meisten, warum in ein und demselben Land einzelne Reformen unter formal gleichen Voraussetzungen in bestimmten Regionen funktionierten und in anderen scheiterten. Warum in Norditalien die Regionalverwaltungen allein schon dem Äußeren und dem Verhalten der Angestellten nach wie Hochtechnologiebetriebe arbeiten, man im Süden dagegen oft nur mit Mühe das zuständige Büro finden kann, und wenn man es dort findet, dann zuweilen nur einen leeren Tisch, weil die örtlichen Angestellten meist nicht mehr als ein bis zwei Stunden in der Arbeit sind.

Robert Putnam erklärt diesen Unterschied mit dem sozialen Kapital, d.h. mit spezifischen Formen der Kommunikation und des Verhaltens, die für politische Stabilität, effektive Verwaltungsarbeit und wirtschaftliche Reformen wahrscheinlich wichtiger sind als sog. physisches oder Human-Kapital. Eine anonyme Vertrauensbasis und der Wunsch sich freiwillig für gemeinschaftliche Interessen einzusetzen stellt die Grundlage des positiven Sozialkapitals dar. Das negative Sozialkapital basiert dagegen auf Beziehungen innerhalb enger und geschlossener Gruppen wie Familien und Clane, wo das Vertrauen auf persönlichen Beziehungen und Vorteilen gründet. Putnam schließt seine Darlegung mit einer einfachen Schlussfolgerung. Der Typ des Sozialkapitals, das in einer Gesellschaft vorherrsche, hängt von jener Verhaltensnorm ab, die sich in der Vergangenheit herausbildete. Vergangenheit und Zukunft sind eng miteinander verbunden, mit Putnams Worten, „wohin man kommt, hängt davon ab, woher man kommt." Bei den Einwohnern der ehemals kommunistischen Länder Eurasiens, besonders bei ihren prowestlich eingestellten Eliten wird eine solche Schlussfolgerung Pessimismus hervorrufen. Das russische Reich und die Sowjetunion zeichnete eine besondere Vitalität der Clanstruktur, der Korruption und Schmiergelder aus. Darum ähneln alle postsowjetischen – mit Ausnahme der baltischen – Staaten einer verkleinerten Kopie der Sowjetunion. Und wie sieht nun ihre Zukunft aus? So wie Aserbeidschan nicht auf einem fliegenden Teppich an das Baltikum getragen und zu einem europäischen Staat werden wird, so ist eben Palermo das Urbild für die Zukunft Moskaus und nicht Paris oder Wien.

Doch auch Lemberg hat seine Grenzen. Wenn man das soziale Kapital nicht quantitativ, sondern qualitativ misst, dann rückt Lemberg näher an Donezk als an Wroclaw heran. Sowohl in Lemberg als auch in Donezk interessiert sich weniger als die Hälfte der Bevölkerung für Politik und bei der Mehrheit ist das Vertrauen gegenüber den Massenmedien, den Politikern und Beamten und Angestellten des Staates gering. Die Demokratisierung und die Herausbildung einer prowestlichen bürgerlichen Kultur ging zu Zeiten Gorbatschows und am Vorabend der ukrainischen Unabhängigkeit in den Jahren 1988-1991 im flotten Tempo voran, doch in der unabhängigen Ukraine wurde die Entwicklung gebremst. Es strömen keine Massen mehr zu politischen Kundgebungen und die Lemberger zeigen kaum Bereitschaft sich an Bürgerinitiativen zu beteiligen. Anders gesagt, das negative Sozialkapital – der Unwille zur Kooperation und das fehlende Vertrauen – breitet sich über dem ganzen sozialen Körper aus wie eine bösartige Geschwulst, die die gesunden Zellen frisst.

Im postsowjetischen Lemberg kann man die Entstehung neuer, den sowjetischen Clanstrukturen vergleichbar zu beobachten. Sie wachsen mit jenen Clans zusammen, die ihre sowjetische Herkunft nicht einmal verleugnen.
Als anschauliches Beispiel mag die Geschichte des Lemberger Bürgermeistersamts dienen. Dessen Chef Wasyl Kujbida wurde wegen seiner Vergangenheit als Dissident gewählt. In den ersten Jahren seiner Regierung war er beliebt und anerkannt. So bezeichnete ihn der ehemalige Lemberger und jetzige Moskauer Regisseur Roman Wikstjuk als besten Bürgermeister in der gesamten GUS, vor allem weil die UNESCO 1998 dank dem Engagement Kujbidas dem historischen Zentrum Lembergs den Status des Weltkulturerbes verlieh. Dann hielt er sich immer öfter in Kiew auf und die Lemberger konnten ihn schließlich während einer Fußballfernsehübertragung zusammen mit dem Präsidenten auf der Tribüne sehen. Und letzten Sommer konnte man seinen Namen auf einer Liste mit den hundert einflussreichsten, aber auch reichsten Personen der Ukraine finden – wie er als Eigentümer einer bescheiden Zwei-Zimmer-Wohnung auf die Liste geraten war, konnte er auch nicht richtig erklären.

Die Lemberger hätten ihm das nachgesehen, ebenso wie seine Angewohnheit auf Werbeplakaten mit dem immer gleichen Spruch „Unsere Stadt ist die allerschönste" zu prahlen, wenn … ja wenn Lemberg wirklich die schönste Stadt wäre und der Reichtum des Bürgermeisters (sei es nun der angebliche oder tatsächliche) dem Reichtum seiner Mitbürger entsprechen würde. Die Energieversorgung von Stadt und Landkreis liegt in den Händen der gleichen Leute, denen auch der Fußballverein Dynamo Kiew gehört – und deshalb ist die Stadt abends genauso so schlecht beleuchtet wie die Dynamo (k)eine Leuchte im Fußball ist. Der Wassermangel in den Wohnungen und das Bettlerheer im Stadtzentrum erinnert an eine südafrikanische Stadt und die allgemein bekannte Korruption hat südamerikanisches Niveau. Die Stadtverwaltung gibt damit an, dass sich in Lemberg die Hälfte aller historisch-kulturellen Sehenswürdigkeiten der Ukraine befinden. Das macht Angst, denn das heißt doch, dass die Hälfte des kulturellen Erbes der Ukraine einer ständigen Bedrohung durch Zerstörung oder Ausverkauf ausgesetzt ist. Unser Präsident spricht gerne von Lemberg als dem europäischen Gesicht der Ukraine. Falls dem tatsächlich so ist, dann kann man sich gut vorstellen, wie die anderen, weniger europäischen Teile des ukrainischen Körpers aussehen mögen.

Das postsowjetische Lemberg ist in der Realität ein sowjetisches Lemberg. Man sollte sich nicht von der europäischen Architektur und den Wiener Kaffeehäusern, den europäischen Gewohnheiten, der Kleidung und der proeuropäischen Orientierung seiner Bewohner täuschen lassen, denn in unserer slawischen Welt gilt das Wort schon als Tat und die Äußerlichkeit als Wesenhaftigkeit. Wichtig ist was in den Köpfen der Lemberger vorgeht. Alle waren empört als der ukrainische Sänger Ihor Bilozir von Russen am helllichten Tag erschlagen worden war. Doch nur Wenige empörte es, dass seine Mörder nach einem typischen Sowjetschema gedeckt wurden: die Miliz entließ einen der jungen Männer, als sich herausstellte, dass er der Sohn eines lokalen Milizchefs ist. Die Mehrheit der Lemberger mag die russische Musik nicht, die in den Kaffeehäusern und Geschäften fortwährend läuft. Doch niemand würde je dazu aufrufen: „Boykottieren wir diese Cafés! Wer zahlt, bestellt auch die Musik." Oder wie es in einer alten tschechischen Losung heißt: Jeder, wo er hingehört – was den Galiziern der Zwischenkriegszeit als österreichisches Erbe in Fleisch und Blut übergegangen war, fehlt im gegenwärtigen Lemberg völlig. Denn der Atmosphäre fehlt jenes Element, das eine langfristige und planvoll kollektive Solidarität ermöglichen würde. Auf die Beerdigung gehen, paar Fensterscheiben einschmeißen, Fahnen schwenken, einen Demokraten zum Kandidaten küren, eine Papstaudienz, das ist einfach! Und zu einfach! Doch die Wasserversorgung zu gewährleisten oder die Verwüstung der Stadt zu stoppen, das ist schwer. Denn das bedarf einer fortwährender Organisation – jedes einzelnen Wassertropfens, der den Stein nicht mit Kraft, sondern mit Ausdauer höhlt.

In Erwartung eines neuen Mythus

Die Idee eines autonomen Galiziens oder gar einer gesamten Westukraine als letztem Zufluchtsort der wahren ukrainischsprachigen und europäisch ausgerichteten Ukraine wird umso dringlicher desto größer nach dem Schließen der Westgrenze die Gefahr besteht, allein auf sich gestellt im eurasischen Raum zu enden, in dem die Ukrainer dann ohne Visum bis Workuta oder Wladiwostok fahren können. Doch in einer galizischen Ukraine könnte Lemberg zu einer wahren Metropole aufsteigen, denn keine andere westukrainische Stadt könnte diese Rolle einnehmen. Was, wie die Mathematiker sagen, zu beweisen war.

In diesem Zusammenhang liefert man sich gegenwärtig in Lemberg auch verbale Scharmützel, ob man nicht die lateinische Schrift für das Ukrainische wieder einführen sollte; oder ob man den Stadtgründer Danylo von Halytsch als ukrainischen oder galizischen König ehren solle? In den lokalen Zeitungen findet man Karikaturen, die sich über die älteren galizischen Patrioten und ihrem Wunsch einer vereinten Ukraine lustig machen – nach dem Motto: „Und was habt ihre denn erwartet?" Oder geistreiche Zeichnungen des Lemberger Künstlers Wolodymyr Kostyrko über die primitiven ostukrainischen „Schwachköpfe" und die „delikaten" ukrainischen Damen und Herren aus dem Westen. Auf einem seiner Bilder ist Galizien als Mädchen in einer Ritterrüstung dargestellt, das ihrem unsichtbaren Feind zuruft: „Auf die Knie Unwürdiger!"; auf einem anderen wiederum sieht man Soldaten der „SS Division Galizien" in Kettenhemden, wie die Ritter der Tafelrunde, und auf dem Tisch liegen Handgranaten.

Das Alles hängt mit der Schaffung eines neuen Mythus zusammen. Man kann diesen Ansichten folgen oder auch nicht. Sie widerlegen zu wollen, bringt nichts. Denn die Bedeutung eines Mythus oder einer Ideologie besteht nicht darin, ein wahres und unverstelltes Weltbild zu produzieren. Man sollte Mythus oder Ideologie nicht nach ihrem Wahrheitsgehalt bewerten, sondern nach ihrer Effektvität, d.h. inwieweit es ihnen gelingt, die Interessen und Handlungen bestimmter gesellschaftlicher Gruppen zu legitimieren. Es sei daran erinnert, dass 1895 aus den Kreisen eben solcher junger und aufbegehrender ukrainischer Intellektueller Julian Batschynskyjs Buch „Ukraina irredenta" hervorging, das als erstes in der Geschichte der ukrainischen Politologie Potenzial und Unausweichlichkeit der ukrainischen politischen Selbstständigkeit diskutierte. Es machte nichts, dass die Argumentation fehlerhaft und überzogen war, indem sie sich auf die Marxsche Theorie stützte. Sehr rasch wandelte sie sich zu Aktionsrichtlinien bis sie zur Realität auf der politischen Weltkarte geworden war.

Es ist offen, ob und wann überhaupt es den galizischen Autonomiebefürwortern gelingt, ihre Idee zu realisieren. Doch eines ist gewiss: Wenn es gelingen würde diese Idee in nächster Zukunft umzusetzen, dann ist fraglich, ob man damit glücklich würde, denn dann würde man sich natürlich nicht in einem europäischen Galizien wiederfinden, sondern in einem verkleinerten Modell einer postsowjetischen Ukraine, oder – man verzeihe es mir – der Sowjetunion. Mit dem einzigen Unterschied, dass man in Lembergs Straßen mehr Ukrainisch sprechen würde. Doch in den Straßen träfe man Beamte aus Kolomija oder Sambir auf Dienstreisen, um über Bekannte oder Verwandte dem „Zentrum der Macht" möglichst nahe zu kommen und dort seine Geschäfte zu machen. Genauso wie man jetzt die Lemberger in Kiew treffen kann, oder einst in Moskau. Und garantiert würden in einem „progressiven" jungen Provinzblatt aus eben jenem Sambir oder Kolomija Karikaturen über die galizischen Autono-

mievertreter erscheinen, nach dem Motto: Und was habt ihr denn erwartet?

Epilog

Die Leidenschaft für Lemberg ist eine Leidenschaft für Mythen, die nie wirklich werden. Zu den hartnäckigsten gehört der nationale Mythus. Die Debatte über die nationale Frage wurde und wird hier mit einer Intensität geführt, wie sonst in der Ukraine – und vielleicht sogar in ganz Osteuropa - kaum irgendwo. Alle, die in Lemberg wohnen oder hierher kommen, beginnen früher oder später die Stadt und die Welt durch die nationale Brille zu sehen. Deshalb spielt diese Stadt auch eine solche Rolle in den nationalen, oder besser gesagt, nationalisierten Geschichtsbüchern der Ukrainer, Polen, Juden und bis vor kurzem auch Russen. Solche Historien entstanden stets unter dem Einfluss der Furcht, dass „uns" fortwährend etwas bedrohe. Deshalb ist die vorrangige Funktion eines solchen Mythus, den Schutz unserer bedrohten Identität und bedrohten nationalen Ehre zu gewährleisten. Und das vorgeschlagene Rezept ist denkbar einfach: man braucht nur die Fremden zu verdrängen und die Stadt zu „unserer" zu machen.

Der Geschichte Lembergs lässt sich als Aneinanderreihung von verschiedenen siegreichen Nationalismen erzählen, die die Stadt vereinnahmt haben. Als letzter in dieser Reihe erschien der ukrainische Nationalismus. Doch ist auch sein Sieg nicht ganz überzeugend. Wie bereits früher spricht man in Lemberg noch immer davon, dass die ukrainische Kultur hier bedroht sei, dass man sie schleunigst retten müsse etc usw. Damit aus diesem Sieg nicht doch wieder eine Niederlage wird, müsste man die nationalistische Brille abnehmen. Dann würde man wahrnehmen, dass in der Welt, in der wir leben, die Trennung in Fremde und Eigene zu einfach und sogar gefährlich ist. Vor allem dann, wenn die Kriterien der Trennung die Sprache, die Farbe der Barette, ein intelligenter Gesichtsausdruck oder ähnliches sind.
Denn in Wirklichkeit hat doch jeder der „Unseren" etwas vom „Fremden" und die Fremden übernehmen auch Angewohnheiten von uns.

Sag mir, wer dein Feind ist, und ich sage dir, wer du bist. Diese Worte veranschaulichen gut, was in Lemberg und mit Lemberg passiert. Der ukrainische Nationalismus der Zwischenkriegszeit und während des Kriegs war ein guter Schüler seines Hauptfeindes, des polnischen Nationalismus', daher auch ihre gemeinsamen Züge. Die ukrainische Nachkriegsgesellschaft ist ein Abkömmling des Sowjetsystems. Sie ließ sich zwar nicht in der russischsprachigen Sowjetkultur assimilieren, aber ihr soziales Kapital bildete sich unweigerlich unter dem Einfluss sowjetischer Traditionen aus. Deshalb bedroht die „Schreckensvision Palermo" nicht nur Moskau. Sie schwebt auch über unserer Stadt. Lemberg war und ist die am meisten ukrainisierte und europäisierte Stadt, allerdings auf der Karte des großen sowjetischen Kontinents, der sich von Brighton Beach bis Wladiwostok erstreckt.

Man bemerkt dies freilich nur, wenn man von Zeit zu Zeit diesen Kontinent verlässt, und dann wieder auf ihn zurückkehrt. Die Menge der ukrainischen Bevölkerung, die zwischen diesen Welten pendelt, dürfte inzwischen eine Million betragen. So besteht die Hoffnung, dass nicht sie Amerika oder Europa sowjetisieren, sondern im Gegenteil, dass sie mit dem schwer verdienten Geld auch noch anderes, nämlich soziales Kapital mitbringen, das für einen positiven Wandel zu Hause so nötig ist. Und vielleicht wird dann jenes Märchenland Wirklichkeit, in dem die Straßenbahnen fahren, es im Bad immer Wasser gibt, wo man abends ruhig ins Kino gehen kann. Der Mythus einer zivilisierten Stadt in einem zivilisierten Land.

Fragment aus dem Buch *Nationalistische Leidenschaften*, Verlag „Krytyka", Kiew 2004, 2011

[1] Ähnliche städtebaulichen Tendenzen lassen sich in ganz Mitteleuropa verfolgen, aber in Lemberg treten sie bereits 1772-1805 auf, deutlich früher als selbst in Wien (nach 1857) oder Prag (1870). Ausführlich hierzu s. Mykola Bevza, Krzysztof Pawłowski, Olgierd Czerner. Architektura Halychyny XIX – XX st.. L'viv 1996.

[2] Timothy Garton Ash. The Puzzle of Central Europa. New York Review of Books. XLVI (March 18th, 1999)

[Aus dem Ukrainischen von Alexander Kratochvil]

Міт австрійського Львова

Історикам неважко відшукати в історії Львова ситуацію, схожу на сьогоднішню. Вони розкажуть, яке важливе місце займав Львів у національній свідомості освічених поляків під час поділів Польщі (1772–1918) і яку виняткову роль відіграла у відбудові Польської держави битва за Львів під час українсько-польської війни 1918–1919 років. Одначе стосунки міжвоєнного Львова й міжвоєнної Польщі були, м'яко кажучи, не найкращими. Під новими урядами, що керували з «російської» Варшави, колишній австрійський Львів швидко провінціалізувався. Аби протидіяти таким загрозливим тенденціям, у місті постала Комісія захисту майбутнього Львова. Вона виробила низку заходів, серед яких, поряд із цілком реалістичними, був майже божевільний план перетворити Львів на великий річковий порт. Що з тих планів майже нічого не вийшло, годі й розказувати. Підбиваючи підсумки розвитку міжвоєнного Львова, молодий польський історик Анджей Бонусяк пише, що «насправді місто нічого не виграло від появи незалежної польської держави, а, здається, навіть навпаки, втрат було більше, ніж переваг».

Історичні паралелі можуть бути оманливими. Сучасна львівська влада, мріючи відродити минулу велич міста, покликається не на його совєтський (1944–1991) образ, бо хто хоче бачити сучасний Львів обставленим хрущовками й багатоповерховими будинками в стилі совєтського «репресансу»? Її ідеалом є ті часи, коли Львів був великим містом із сецесійними будинками й кав'ярнями, де можна було читати свіжу віденську пресу, й театрами, де гастролювали європейські знаменитості. Тобто вона апелює до міту «австрійського Львова», що був відправним пунктом і для міжвоєнного польського міського уряду.

Але коли говорять про міт австрійського Львова, то забувають, що він виник і функціонував за певних умов, котрих – на добре чи на зле – вже ніколи не вдасться повторити. Чарівність Львова полягала у відсталості й провінційності Галичини. Для перших австрійських чиновників, що прибували в цей край, він був напів-Азією, австрійським Сибіром. Виїхавши за сотні миль від Відня чи Праги, австрійська бюрократія хотіла скомпенсувати своє «заслання» дрібними радощами життя, як-от закладання широких бульварів, де вони могли гуляти в неділю зі своїми родинами [1]. Театр, кав'ярні та віденська мода належать до того ж самого роду експорту, який робив Львів «Віднем Сходу».

З усіх міст колишньої Речі Посполитої Львів був наймодернішим, а можливо, і єдиним направду модерним містом – якщо за критерій модерності взяти ту суму цивілізаційних благ, котрими міг скористатися пересічний міщанин. Це називається «модернізацією через бюрократизацію», коли рушієм цивілізаційних змін ставав не капіталіст і банкір, а бюрократ. Львів був столицею Галичини, найбільшого краю Габсбурзької монархії – а значить, найбільшим осідком чиновництва.

Зрозуміло, що австрійський лад не був досконалим. Але він був набагато ліпшим за те, що звідали місцеві жителі до та після нього. І незалежна Польща в 1919-му, й незалежна Україна в 1991-му скористалися з частки того австрійського спадку. Ясна річ, 1991 року його у Львові було вже набагато менше (скажімо, успадкований від совєтської доби хронічний брак води в місті – хоча до 1939 вода була в достатку). Хоча театри й кав'ярні, як і звичка прогулюватися в неділю центральним бульваром, залишились. Однак бракувало і бракує найсуттєвішого: столичного статусу Львова.

В австрійському спадку українців, поляків і євреїв цей статус набув рис столиці «П'ємонту» (в єврейському випадку – «матері Ізраїлю»): їхньої малої батьківщини, з якої мало початися відродження Великої та незалежної національної батьківщини.
У творенні міту Львова як колиски польського, українського та єврейського націоналізмів австрійські бюрократи теж, хоч як це дивно, відіграли свою роль. Ті з них, що першими прийшли до Львова, не лише в руських чи єврейських міщанах, але й у польській шляхті вбачали малокультурних варварів. Вони покладали на себе велику цивілізаційну місію «перевиховати цих сарматських бестій [шляхтичів. – *Я. Г.*] у людей». Засобом долучення до «цивілізації» мала бути німецька мова й німецька культура. Для німецького мандрівника, котрий у 1830-х роках заблукав до Львова, місто цілком виглядало як німецьке, на кшталт Маґдебурґа, Нюрнберґа чи Франкфурта-на-Майні. На користь його німецькості свідчили не лише середньовічне планування міста, але й відчуття безпеки, бездоганний порядок і, не останньою чергою, кав'ярні.
Поступова германізація міста викликала спротив польського міщанства. На середину XIX століття львівські освічені кола поділилися на «партію Шіллера» та «партію Міцкевича». В останню його третину, після запровадження галицької автономії, «партія Міцкевича» таки взяла гору, й уже останній мер Львова, ще призначений із Відня, заповів поховати себе в польському контуші – тобто в тому сарматському одязі, з якого так сміялися перші австрійські бюрократи. Причини успіху польського націоналізму, серед іншого, були в його романтично-привабливому дусі й демократичній програмі. Навіть місцеві українці та євреї підпадали під його чари. Польський націоналізм відігравав для Східної Європи десь таку саму роль, як і французький для Західної: він націоналізував інші народи, даючи їм готові ідеологічні формули та політичні форми. Не випадково й український, і єврейський національні гімни починаються схожим рядком: «Ще не вмерла Україна», «Ще не вмерла наша надія» – а це ніщо інше, як перелицювання польського «Jeszcze Polska nie zginęła».

У першій половині XX століття Львів мав усі шанси стати східноєвропейським Сараєвом. Путівник по Львову початку XX століття не лише старанно перераховує всі львівські кав'ярні, а й додає, у котрій з них п'є каву окремо польська, українська та єврейська публіка. Ґжеґож Грицюк у своїй недавній книжці «Поляки у Львові, 1939–1944. Повсякденне життя» подає багато прикладів узаємної етнічної ворожості, корені якої сягають іще передвоєнних часів. Під час першої совєтської окупації (1939–1941) українці та поляки підозрювали й оскаржували одні одних у співпраці з більшовиками задля винищення свого «національного ворога». Вони, однак, годилися, що найбільше в совєтській колаборації винні євреї.
А настрій євреїв передає «єврейська молитва» перших місяців 1941 року: «1) щоби ті [совєти] собі пішли; 2) щоби він [Гітлер] не прийшов; 3) щоби ми тут залишилися; 4) щоби ті [поляки] не повернулися!». Доходило до того, що в перші дні німецької окупації (липень 1941 року) під магазинами формувалася не одна, а зразу декілька черг, відповідно до віровизнання й національності, – міська влада мусила спеціальним розпорядженням заборонити таку практику.

Міт утраченого центральноєвропейського Львова

Відверту й неприкрашену картину міжетнічних стосунків у галицькому П'ємонті подають опубліковані недавно щоденник Ришарда Ґансінця, професора класичної філології у Львівському університеті, та спогади Нати Ленко (Наталії Леонтович-Башук), молодої членкині Організації українських націоналістів. І щоденник, і спогади,

знайдені й опубліковані вже по смерті їхніх авторів, складають ніби симетричну пару. Ґансінець пише про повсякдення життя в повоєнному Львові, Ната Ленко – на Закерзонні, українсько-польському пограниччі. Обидва тексти написано в 1944–1946 роках – у той час, коли польський Львів мав стати частиною комуністичної України, а українське Закерзоння – частиною комуністичної Польщі. Вони дуже схожі між собою – передчуттям неминучої втрати своєї «малої батьківщини».

Ришард Ґансінець був, безумовно, людиною інтелігентною, і – як пише в передмові його дочка Радосць – доброзичливою до українських і єврейських студентів. Тим цікавіше виявляти численні місця, котрі явно виказують «націоналістичні окуляри», крізь які він дивився на світ. Ось Ришарда Ґансінця арештовують і кидають до совєтської в'язниці. Серед товаришів у нещасті – поляк єврейського походження. Він ходить по камері й промовляє про себе: «О мій Ісусе коханий». Ґансінець пропонує, щоб замість цього він говорив коротко і просто: «Ай-вай». Камера регоче. А в арештованих українцях він добачає лише «українське село, з усім його брудом, хамством, вошами та злодійством». Злодія, котрий у камері спробував украсти тютюн, професор «пізнав по запаху: був то українець». Потім з'ясувалося, що насправді винен поляк, але про його запахи в щоденнику нема ні слова: видно, свої не пахнуть.

Та найбільше перепадає «москалям». Вони ще менш цивілізовані, аніж місцеві українці. Вони не витрачаються ні на квартиру, ні на меблі, ні на білизну й одяг, а тільки на їжу і, передусім, на питво. Неділя без пиятики для них не неділя. Вони тримають у квартирах свиней, кіз, корів та качок і не зважають на сморід і гній, зігнилу підлогу й знищену стелю. Особливо Ґансінець не любить росіянок. Для професора вони – вершина несмаку. Всі «москальки» носять червоні беретки. Чому червоні? – «А щоб воші теж мали свій червоний куток». А от полькок легко впізнати на вулиці за спокоєм, ходою, навіть коли вони вдягнуті бідно. Натомість «москальки», пише професор, не ходять, а маршують, і рухають задком то вправо, то вліво.

Щоденник Ґансінця подає лише поодинокі приклади, коли почуття симпатії та солідарності прориваються через етнічні кордони. 1946 року на католицьке Різдво (за совєтським звичаєм, оголошене робочим днем) українські студенти в авдиторії привітали професора латинською мовою, а потім заспівали три колядки: латиною, польською й українською. Щоденник цитує «правило ленінградських професорів»: «Не думай, а якщо думаєш, то не говори і не пиши, а якщо написав, то відмовляйся». Це дозволяє припускати, що між польським і ленінградськими професорами, котрих під час хвилі совєтської антисемітської кампанії вислали до Львова, теж установилася якась довіра – інакше звідки взявся б такий запис?

На підставі лише одного щоденника неможливо зробити якісь узагальнення. З новішої наукової літератури знаємо, що були спроби нав'язати контакти між українським і польським антикомуністичним підпіллям. Тоді у Львові про це кружляли лише поголоски. Ришард Ґансінець старанно їх нотує, але вони звучать для нього так само фантастично, як оповістка про чорта, котрий, об'явившись у лютому 1946 року на вулиці Зеленій, оповідав, що за два тижні буде нова війна.

Спогади Нати Ленко теж подають образ украй «знаціоналізованого краю», де вижити можна лише тоді, коли знаєш «національні» правила, як-от: якщо хочеш вижити, то «у поляків треба проситися, з москалем сваритися, а з німцем нічого не поможе». Діти під час домашніх ревізій мусять мовчати: вони не вміють по-польськи, а отже, можуть видати українськість сім'ї.

Але у спогадах Нати Ленко є й інші фраґменти, коли людські почуття все-таки долають етнічні та політичні кордони. Польський солдат хоче забрати в української родини останню курку. Але відпускає здобич, коли дізнається, що голова родини був в'язнем Освенціма. Поляки із сусідніх сіл постачають місцевим українцям документи й метрики, видають їх за членів своїх сімей, щоб урятувати від виселення на Схід. На Різдво в одній хаті випадково зіткнулися лоб у лоба українські солдати з двох ворожих армій – УПА і Червоної армії. Совєтського офіцера запрошують до святкового столу. Зворушений неочікуваною гостинністю – різдвяні страви замість петлі в лісі – він прагне хоч якось віддячити й вирішує подарувати повстанцям свою зброю. Ті не приймають подарунок: не годиться воякові віддавати зброю…
Львів виникає в цьому моторошному світі тільки раз: коли мати заспокоює свою маленьку дочку казкою про гарний світ. Світ, де їздять трамваї, є шоколадки й нема страшних поляків. Де можна купатися в лазничці, зустрічати знайомих і не ховатися, не боятися облав і пострілів. А ввечері йти до кіна. В цій казці виразно проглядається австрійський Львів, цивілізоване місто на нецивілізованих землях.

Волею Божою ані Наті Ленко, ані її дочці не вдалося повернутися до цього міста. Бо воно перестало існувати вже у 1944 році, поринувши в морок совєтської цивілізації. Так само Ришард Ґансінець зі зболеним серцем дивиться на красу цього шляхетного міста, «на той символ Польщі й польськості, котрий поволі тоне у варварстві степу». Щоденник обривається на тому моменті, коли професор сідає до вагона, щоби виїхати до Польщі й назавжди залишити Львів. По одинадцятьох роках Львів відвідала його дружина, їдучи в Крим на археологічні розкопки. Великим було її розчарування: вона пам'ятала Львів прекрасним містом, а побачила провінційність, знищеність і занедбаність.

Львів постсовєтський: між Палермо й Парижем, Вроцлавом і Донецьком

Такий висновок нібито мав би давати підстави для оптимізму. Відомий британський публіцист Тімоті Ґартон Аш писав в одній зі своїх недавніх статтей, що в 1990-х роках установилося щось схоже на правило: чим більше етнічно мішаною є посткомуністична країна, тим імовірніше вона вибирає націоналістичноавторитарний, а не ліберально-демократичний шлях. Країни, які досягали найкращих результатів, є країнами найбільш етнічно однорідними: Польща, Чехія та Словенія. <…> Відродження центральноєвропейської ідеї у 1980-х роках включало уславлення передвоєнної етнічно-культурної мішанини в цьому регіоні: змішаних міст, як Прага, Чернівці або Братислава, де люди звично розмовляли трьома-чотирма мовами; чисельних меншин, особливо німецької та єврейської; мультикультурності avant la lettre. Але, здається, одним із критеріїв політичної належності до Центральної Європи є власне не бути центральноєвропейським у попередньому [мультикультурному] сенсі [2].

Це правило, на перший погляд, спрацьовує у випадку зі Львовом: у політичному сенсі місто так схоже на центральноєвропейське саме тому, що перестало бути центральноєвропейським у сенсі етнічнокультурному. Другий, третій і кожний наступний погляди підважують такий оптимізм. Львів може виглядати центральноєвропейським з перспективи Києва чи Донецька. З перспективи Відня, Будапешта чи Кракова Львів виглядає по-східноєвропейському.

Щодо рівня громадської активності (згідно зі статистикою кількості громадських організацій на 10 тисяч населення) Львову нема рівних в усій Україні – він, як літак, запущений високо в небо, тоді коли решта українських міст і регіонів ледве вчиться ходити по землі. Але легко бути зіркою, коли місяць не світить. Порівняно із сусідньою Польщею Львів ледве вибивається на середній рівень. Найдоцільніше зіставити місто з Вроцлавом: той також після війни змінив свого «власника» і більшість місцевого населення є переселенцями, а не корінними міщанами. Дальші порівняння – не на користь Львова. Нещодавно дослідники запитали лідерів громадських організацій у Львові та Вроцлаві: що ви робите, коли у вас виникають проблеми? У Вроцлаві опитувані відповіли, що вони всіма доступними методами мобілізують саму громаду; львівські лідери шукають розв'язки у «коридорах влади».

Це опитування проводилося в рамках шведсько-українсько-польського проекту, що ставив собі за мету перевірити теорію про залежність успіху чи невдачі посткомуністичних реформ від історичного минулого. Нещодавно американський політолог Роберт Патнем описав її в книжці «Творення демократії. Громадські традиції в сучасній Італії». Двадцять років поспіль Патнем вивчав хід і вплив італійських реформ регіонального самоуправління. Його найбільше цікавило, чому в одній і тій самій країні, за формально однакових умов, успішні в одних місцевостях реформи в інших зазнавали краху? Чому на півночі Італії місцеві регіональні уряди і зовнішнім виглядом, і поведінкою службовців нагадують модерні високотехнологічні фірми, тоді як на півдні проблематично навіть розшукати потрібний офіс, а коли й знайдеш, то швидше за все побачиш там порожній стіл: місцеві чиновники не мають звичаю сидіти на роботі більш як одну-дві години.
Патнем пояснює це різницею між соціальними капіталами – специфічними формами спілкування і стосунків, котрі для політичної стабільності, ефективності правління, економічних реформ, можливо, навіть важливіші за фізичний або людський капітал. В основі «доброякісного» соціального капіталу лежить анонімна довіра та бажання добровільно співпрацювати задля спільних інтересів. «Недоброякісний» соціальний капітал базується на стосунках у вузьких і закритих групах – родинах і кланах, – де довіра ґрунтується на особистому знайомстві та вигоді. Патнем завершує виклад простим висновком: тип соціального капіталу, що панує в кожному суспільстві, залежить від норм поведінки, котрі склались у минулому. Минуле та майбутнє чітко взаємопов'язані: за словами Патнема, «те, куди ти потрапиш, залежить від того, звідки ти вийшов». Мешканцям учорашніх комуністичних країн Євразії, особливо їхнім прозахідно налаштованим демократичним елітам, такий висновок може навіяти песимізм. Російська імперія та Совєтський Союз відзначалися особливою живучістю кланової системи, хабарів і «блату». Тому кожна з постсовєтських держав – за винятком хіба що балтійських – скидається на зменшену копію Совєтського Союзу.
То яким буде їхнє майбутнє? Так само, як Азербайджан не може за помахом чарівної палички перенестися у Балтію і стати «європейською державою», так і Палермо – а не Париж чи Відень – становить прообраз майбутнього для Москви.

Львів теж має свої обмеження. Якщо міряти соціальний капітал не за кількісними, а за якісними параметрами, то він виявляється значно ближчим до Донецька, ніж до Вроцлава. І у Львові, і в Донецьку більш як половина населення не цікавиться політикою і майже всі мало довіряють засобам масової інформації, політикам, державним чиновникам тощо. Демократизація та формування у Львові прозахідної громадянської культури набрали швидких темпів у часи Горбачова й у переддень української незалежності – в 1988–1991 роках. Але в незалежній Україні ці процеси загальмувалися. Політичні мітинги більше не збирають багато людей, львів'яни не мають великої охоти брати участь у громадських організаціях. Інакше кажучи, недоброякісний соціальний капітал – небажання співпрацювати і брак довіри – шириться по всьому суспільному тілі, як недоброякісна пухлина, пожираючи здорові клітини.

У постсовєтському Львові спостерігається формування нових кланів, схожих на старі совєтські. Вони зрощуються з кланами, котрі свого совєтського походження й не приховують. За добрий приклад може правити історія львівської мерії. Її голову Василя Куйбіду обрали за його напівдисидентське минуле. В перші роки правління він тішився славою та симпатією – колишній львів'янин і теперішній московський режисер Роман Віктюк назвав його найкращим мером на всіх просторах СНД. Це завдяки старанням Куйбіди ЮНЕСКО 1998 року надало історичному центру Львова статус світової культурної

спадщини. Проте від певного часу він зачастив до Києва, і львів'яни вже могли побачити його під час футбольної трансляції на трибуні разом із президентом. А торік улітку його прізвище потрапило до списку ста найвпливовіших і найбагатших осіб України – чого сам він, власник скромної двокімнатної квартири, не міг докладно пояснити.

Львів'яни могли б йому це пробачити, як і звичку хизуватися на рекламних щитах з незмінним написом: «Наше місто – найкраще». Якби… якби Львів був справді найкращим містом, а багатство мера, уявне чи справжнє, відповідало багатству його мешканців. Енергозабезпеченням у місті й області відають ті самі люди, що володіють київським «Динамо» – тому вечорами місто освічується так само погано, як погано грають столичні футболісти. Брак води в квартирах і сила-силенна жебраків у центрі міста нагадують південноафриканське місто, а всім відома корупція сягає південноамериканських висот. Місцева влада хвалиться, що у Львові розташована половина історико-культурних пам'яток України. І це страшить, бо означає, що половина української культурної спадщини постійно перебуває під загрозою руйнації та зникнення. Наш президент полюбляє говорити, що Львів – європейське лице України. Якщо це так, то можна собі лише уявити, в якому стані перебувають інші, менш європейські частини українського тіла.

Постсовєтський Львів насправді є Львовом дуже совєтським. Нехай не вводять вас в оману його європейська архітектура й віденські кав'ярні, європейські звички й одяг його мешканців та їхня проєвропейська орієнтація – це тільки в нашому слов'янському світі слово прирівнюється до діла, а зовнішність – до сутності. Важливо, що коїться в голові львів'ян. Усіх обурило, що Білозора вбили росіяни. Але мало хто обурився, що його вбивць покривали за суто совєтською схемою: міліційний патруль відпустив одного з молодиків, виявивши, що то син одного з місцевих міліційних начальників. Більшості львів'ян не подобається, що в кав'ярнях і маґазинах звучить російська музика. Нікому не спаде на думку кинути гасло: «Бойкотуймо ці кав'ярні! Якщо ми платимо їм гроші, то маємо право замовляти у них свою музику». «Свій до свого по своє» – цього старого чеського гасла, що ввійшло у кров і плоть міжвоєнних галичан як частина австрійської спадщини, неможливо зреалізувати в сучасному Львові. Бо в його повітрі бракує чогось такого, що уможливило б довготривалу й сплановану акцію колективної солідарності. Вийти на похорон, побити шибки, пройтися з прапором, проголосувати за кандидата-демократа, зустріти папу – це запросто! І запросто. А от добитися водопостачання чи припинити руйнування міста – заскладно. Бо це вже потребує постійної організованої дії – отих крапель води, що точать камінь не силою, а частотою падіння.

В очікуванні нового міту

Ідея автономної Галичини або навіть усієї Західної України як останнього притулку справжньої україномовної й європейськи зорієнтованої України стає тим нагальнішою, чим сильнішою, із закриттям західних кордонів, є загроза опинитися сам на сам з євразійським простором, куди українцям можна буде їздити без візи аж до Воркути й Владивостока. А в окремо взятій галицькій Україні Львів стане справжньою метрополією, бо жодне інше західноукраїнське місто не годиться на цю роль. Що, як кажуть математики, і треба було довести.

Тому й точаться в сучасному Львові суперечки, чи не варто повернути латинку в українську мову? Або як ушановувати засновника міста Данила Галицького – як українського чи як галицького короля? У місцевих газетах можна побачити карикатури, котрі сміються з бажання старших галицьких патріотів бачити Україну соборною – мовляв: що, дочекалися? Або дотепні малюнки львівського художника Володимира Костирка про примітивних українців-«рогулів» зі Сходу та рафінованих українців-панів і панянок із Заходу. На одній з його картин Галичина в образі одягнутої в лицарські лаштунки дівчини кидає своїм невидимим ворогам виклик: «На коліна, хами!»; на іншій – закуті в лати воїни «СС Галичини» сидять, як лицарі круглого столу, а на столі перед ними лежать гранати – не ті, що їх їдять, а ті, котрі вибухають.

Це все – на рівні нового мітотворення. Ці погляди можна приймати або не приймати. Але сперечатися з ними даремно. Бо призначення мітів та ідеологій не в тому, щоб давати справжню чи викривлену картину світу. Їх треба оцінювати не за правдивістю, а за ефективністю, тобто наскільки вдало вони легітимізують інтереси та дії окремих суспільних груп. Варто нагадати, як 1895 року у Львові із середовища таких самих молодих і сердитих українських інтелектуалів вийшла книжка «Ukraina irredenta» Юліяна Бачинського – книжка, котра вперше в історії української політичної думки аргументувала можливість і доконечність української політичної самостійності. Дарма, що аргументація була хибною та натягнутою, бо спиралася на марксистську теорію. Дуже скоро вона перетворилася на «керівництво до дії», аж поки стала реальністю на політичній карті світу.

Не знати, чи вдасться галицьким автономістам побачити реалізацію своєї ідеї й коли це буде. Одне лише можна сказати певно: якби вона зреалізувалась у найближчому майбутньому, то навряд чи вони були б із того дуже раді, бо тоді, либонь, опинилися б не в «європейській» Галичині, а в зменшеній моделі постсовєтської України, чи, перепрошую, Совєтського Союзу. З тією різницею, що на вулицях Львова більше говорили б українською мовою. Але бігали би вулицями відряджені з Коломиї чи Самбора чиновники, щоб через знайомих і родичів потрапити в «коридори влади» й облаштувати там свої справи. Так само, як тепер бігають львів'яни по Києву, а колись – по Москві. І, напевно, у якійсь провінційній молодіжній «поступовій» газеті в тому ж Самборі чи Коломиї з'явилася б карикатура на галицьких автономістів – мовляв: що, дочекалися?

Епілог

Страсті по Львову є страстями по мітах, які ніколи не збуваються. Один із найтривкіших серед них – міт націоналізму. Обговорення національного питання тут відбувалося й відбувається з інтенсивністю, котру рідко можна надибати в Україні, а може, навіть у всій Східній Європі. Кожен, хто живе у Львові чи приїжджає сюди, рано чи пізно починає дивитися на місто і світ через «національні» окуляри. Тому й відіграє це місто таке велике значення у національних – а, краще сказати, знаціоналізованих – історіях українців, поляків, євреїв, а від недавнього часу ще й росіян. Ці історії завжди формувалися під впливом страху, що «нам» постійно хтось загрожує. Тому головна функція такого міту – забезпечити захист «нашої» загроженої ідентичності та ображеної національної гордості. І рецепт пропонується дуже простий: треба усунути «чужих» і зробити місто «нашим».

Історію Львова можна переповісти як низку перемог різних націоналізмів, кожен з яких постановив зробити місто «своїм». Останнім у цій черзі виявився український націоналізм. Але і його перемога не до кінця переконлива. У Львові, як і раніше, говорять про те, що українська культура тут загрожена, що її треба негайно рятувати, і т. д., і т. д. Аби не перетворити цю перемогу на ще одну чергову поразку, треба таки зняти «національні окуляри». І побачити, що в світі, де ми живемо, поділ на «чужих» і «своїх» є надто спрощеним і навіть згубним. Особливо, коли за критерії такого поділу правлять мова, колір береток, інтеліґентна фізіономія тощо. Бо, насправді, у кожному з «наших» сидить хоча б крапля «чужого», і «чужі» переймають звички «своїх».

Скажи мені, хто твій ворог, і я скажу тобі, хто ти. Ці слова добре пояснюють, що діється у Львові й зі Львовом. Міжвоєнний і воєнний український націоналізм був добрим учнем свого головного ворога – націоналізму польського, звідси в них стільки спільних рис. Повоєнне українське суспільство – вихованець совєтської системи. Воно не дало себе засимілювати в російськомовну совєтську культуру, але його соціяльний капітал неминуче складався під впливом совєтських традицій. Тому Привид Палермо загрожує не лише Москві. Він завис і над нашим містом. Львів був і залишається найбільшим українізованим і европеїзованим містом – але на карті великого «совєтського» континенту, котрий тягнеться від Брайтон-Біч до Владивостока.

Побачити це можна лише тоді, коли час від часу покидаєш цей континент, а потім вертаєшся до нього. Кількість людей з України, котрі постійно курсують між тим і тим світом, нараховує вже мільйони. Є надія, що їм таки не вдасться «совєтизувати» Америку та Європу, навпаки, вони привезуть разом із тяжко зароблениими грошима ще й інший, соціяльний капітал, такий потрібний для позитивних змін удома. І, може, тоді нарешті здійсниться міт про гарний світ, де вчасно їздять трамваї й де постійно є вода в лазничці, а ввечері можна йти спокійно до кіна. Міт про цивілізоване місто на цивілізованих землях.

Публікується в скороченні за виданням: Ярослав Грицак. Страсті за націоналізмом. – Київ: Критика, 2004, 2011.

[1] Подібна тенденція в містобудуванні помітна в усій Центральній Європі, але у Львові вона простежується у 1772–1805 рр. – раніше, ніж у Відні (після 1857-го) чи Празі (після 1870 року). Докладніше про це див. у статті Миколи Бевзи, Кшиштофа Павловського та Ольґерда Чернера в збірнику «Архітектура Галичини XIX–XX ст.» (Львів, 1996).

[2] Timothy Garton Ash. «The Puzzle of Central Europe». – New York Review of Books, XLVI, 5 (March 18, 1999).

JAROSLAV HRYTZAK (1960) – ukrainischer Historiker und Publizist. Doktor der historischen Wissenschaften, Professor der ukrainischen katholischen Universität. Direktor des Instituts für Historische Forschung an der nationalen Iwan-Franko-Universität Lemberg, in den Jahren 1996-2009 Gastprofessor der in Budapest. Chefredakteur der wissenschaftlichen Jahresschrift „Ukraina Moderna", Redaktionsmitglied des Kollegiums für Zeitschriften „Ab Imperio", „Krytyka", „Slavic Review", Aufsichtsratsmitglied der Zeitschrift „Harvard Ukrainian Studies". Honorarprofessor der Nationalen Universität Kiew-Mohyla-Akademie. Autor von über 500 historischen Publikationen. Das präsentierte Fragment stammt aus dem Buch Nationalistische Leidenschaften (Verlag „Krytyka", Kiew 2004, 2011)

Kontakt: yaroslav.hrytsak@gmail.com

ЯРОСЛАВ ГРИЦАК (1960) - український історик і публіцист. Доктор історичних наук, професор Українського Католицького Університету. Директор Інституту історичних досліджень Львівського національного університету ім. І. Франка, гість-професор (1996-2009) Центральноєвропейського університету в Будапешті. Головний редактор наукового щорічника „Україна модерна", член редакційної колегії часописів „Ab Imperio", „Критика", „Slavic Review", член наглядової ради журналу „Harvard Ukrainian Studies". Почесний професор НаУКМА. Автор понад 500 публікацій на історичну тематику. Презентований фрагмент походить із книги Страсті за націоналізмом (Київ: Критика, 2004, 2011).

Контакт: yaroslav.hrytsak@gmail.com

Piotr Marecki Piotr Marecki

DIE LITERATUR DER NEUEN MEDIEN IN POLEN LITERATURA NOWYCH MEDIÓW W POLSCE

Gebrauchsanweisung
Instrukcja obsługi

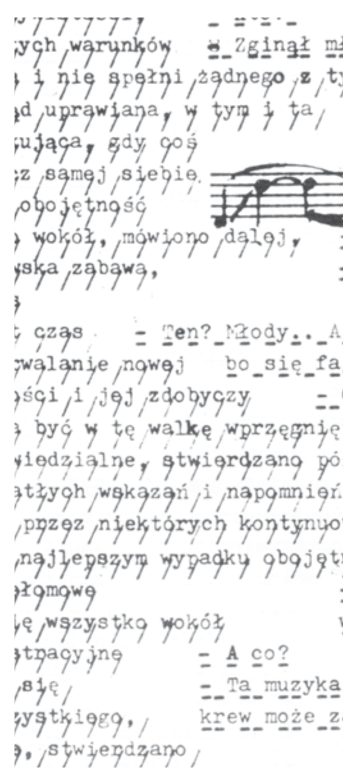
Wie wird die Literatur der Zukunft aussehen? Haben sich mit dem Aufkommen der neuen Medien neue Literaturgattungen entwickelt? Wie beeinflusst das Medium die Qualität der Literatur selbst? Was haben wir in diesem Bereich der Welt Originelles zu bieten?

Jak będzie wyglądać literatura przyszłości? Czy pod wpływem rozwoju nowych mediów pojawiły się nowe gatunki literackie?
Jak medium wpływa na samą jakość literatury?
Co oryginalnego w tej dziedzinie mamy do zaprezentowania światu?









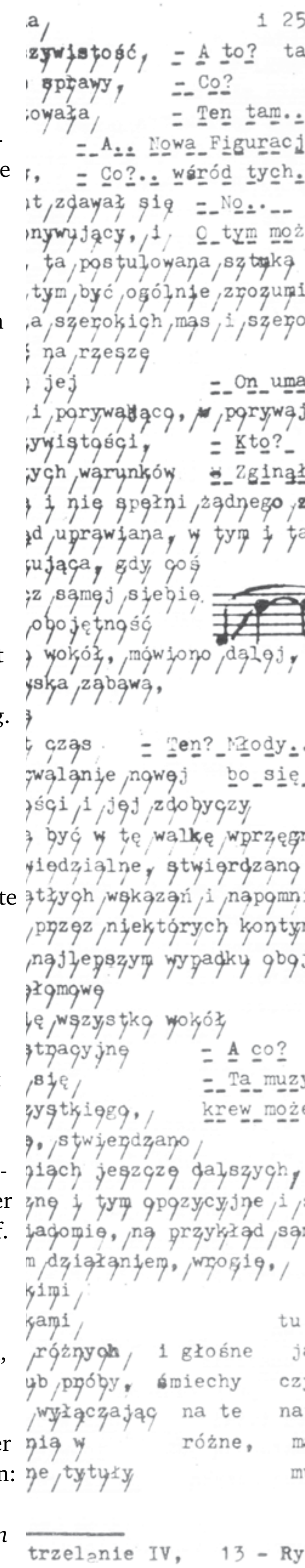
1. *Arw* von Stanisław Czycz oder ein wegweisender intermedialer Text

Arw von Stanisław Czycz (1929-1996) gilt als ein wegweisendes und aus editorischer Sicht zugleich als eines der kompliziertesten Werke der zeitgenössischen polnischen Literatur. Es ist ein Werk mit einer Geschichte. Der Text entstand in den Jahren 1975-1980, wurde aber erst 2007 herausgegeben. Er wurde vom berühmten polnischen Regisseur und Oscar-Preisträger Andrzej Wajda beim avantgardistischen und experimentellen Dichter und Prosaisten Stanisław Czycz in Auftrag gegeben. Wajda träumte davon, einen biografischen Film über seinen verstorbenen Freund, den Maler Andrzej Wróblewski, zu machen, und er täuschte sich nicht in seiner Einschätzung, dass *Czycz ein Autor von etwas Unerwartetem, Unberechenbarem, mit einem originellen Blick* sein könne. Er erhielt einen unberechenbaren Text, den Czycz – wie Wajda behauptete – von Anfang an für sich selbst und nicht im Hinblick auf eine Verfilmung geschaffen hatte; der Text besteht nach den Worten seines Autors aus gleichzeitig „drängenden" Geschichten, Fragmenten und Impressionen.

Arw entstand einerseits als Drehbuch über das Leben und Werk Andrzej Wróblewskis, andererseits als vielschichtiges polyphonisches Werk. In ihm überlagern sich die Geschichte des polnischen Kinos, der polnischen Literatur und der polnischen Malerei. Dem Text vorangestellt war eine Art Gebrauchsanweisung, ein Schlüssel zur Entzifferung dieser komplizierten Textpartitur, die als parallel laufende Stimmen organisiert ist. Sie besteht aus der *Beschreibung dessen, was geschieht, was gehört wird und in welchen Lichtverhältnissen,* der Erzählerstimme *(von jemandem, der durch diese Galerie führt oder – wie in einem Film über Kunst – das Gezeigte kommentiert)*, den Stimmen der Besucher der Galerie sowie den Bewusstseinsströmen der Protagonisten: Arw, d. h. Wróblewski in seiner Jugend (*diese Farbe ist eine Stimme aus der Zeit des Stalinismus*) und Jahre später; sowie Stag (*gegenwärtig, dieser hier, so etwas wie der Protagonist*). Wie es sich für eine große Textpartitur gehört, ist das aber noch nicht alles: es gibt in ihr auch Zitate Bieruts (*oder wer auch immer aus jener Zeit*), der Lagerordnung des KZ Auschwitz und Auszüge aus einer Kantate auf Stalin. Diese Stimmen treten nebeneinander auf, verweben und durchdringen sich gegenseitig; man kann sie wie jedes nicht-lineare Werk auf unterschiedliche Art und Weise interpretieren. Der Leser muss sich entscheiden, ob er sie als parallele und gleichberechtigte Textströme liest oder als Ergänzungen und Kommentare zum Haupttext (was allerdings der Haupttext und was der Nebentext ist, muss der durch den Text navigierende Rezipient ebenfalls selbst entscheiden). *Arw* ist ein Beispiel für ein Werk, das – vor allem aus technischen Gründen – seine Zeit und seinen Autor dermaßen überragte, dass es in vollem Umfang erst drei Jahrzehnte nach seiner Entstehung und ein Jahrzehnt nach dem Tod des Autors veröffentlicht wurde. Heute, in Zeiten weit fortgeschrittener technischer Möglichkeiten, gibt es einige Medien, die man zur Realisierung des Poems nutzen könnte. *Arw* ist das Beispiel eines für seine Epoche unmöglichen Werkes, das intuitiv mit einem riesigen Gegenwartspotenzial ausgestattet wurde. Es ist ein wegweisendes Werk angesichts bestimmter Tendenzen und Richtungen, die in der polnischen Literatur und der Weltliteratur später in Erscheinung treten werden, insbesondere angesichts nicht-sequenzieller und nicht-linearer Schreibweisen um die Jahrtausendwende (das natürliche Entstehungsumfeld solcher Werke ist das Internet). Es ist ein Szenario, eine Partitur zur Realisierung eines multimedialen Projektes, das die visuellen Künste, den Ton, die Responsivität und die Multilinearität mit einbezieht.

2. *Æ* von Robert Szczerbowski oder zum Anfang „das Ende der Literatur"

Die 1996 vom Verlag Pusty Obłok auf Diskette herausgegebene erste Hypertextpublikation in polnischer Sprache erschien anonym, mit dem Aufkleber „Hypertextbuch zum Lesen am Computer". Es war die digitale Version der Druckausgabe von 1991. Der anonyme Charakter dieses Werkes ist ein programmatischer Kunstgriff, der eng verbunden ist mit dem Inhalt und der konsequenten Haltung des Autors Robert Szczerbowski (geb. 1959). Der erste polnische literarische Hypertext war gleichzeitig das letzte literarische Projekt Szczerbowskis, des Autors von *Księga Żywota* [Das Buch des Lebens] und *Kompozycja na słowa* [Wortkomposition]. *Ich habe begriffen, dass falls ich etwas Wesentliches zu sagen habe, dann nicht in Worten*, sagte der Schriftsteller in einem Interview. Robert Szczerbowski ist ein Autor, der der postmodernen Prosa zugerechnet wird, ein visueller Künstler und Konzeptualist. Sein Schaffen zeichnet sich durch große Wechselhaftigkeit aus, das Spektrum reicht von rein sprachlichen Mitteln bis hin zum völligen Verstummen und zur ausschließlich visuellen Übermittlung. Ein Denken in postliterarischen Kategorien ist diesem Autor vertraut. Bereits das 1991 herausgegebene Buch *Księga żywota* verschwieg den Namen seines Autors und suggerierte, die kurzen, präzise miteinander verbundenen Erzählungen seien ein im Laufe von tausenden von Jahren entstandener Komplex, der gleichsam die gesamte Literatur zusammenfasse. Dieses auf Totalität angelegte Werk war der Versuch einer Stilisierung, mit der die Geschichte der Zivilisation von den ersten schriftlichen Zeugnissen bis zur Gegenwart erzählt werden sollte. Nach einem solchen Projekt konnte lediglich ein Werk folgen, das noch mutiger und extremer war. Auch *Æ* hat keinen Verfasser, was inhaltlich thematisiert wird; die Mitteilung bestimmt die Sprache, die an ihre Grenzen stößt. Robert Szczerbowski spielt mit dem Ende der Literatur und dem Ende des Buches, so wie er vorher in einer totalen Art und Weise die universelle Erzählung entwarf. Der literarische Text wird aller poetologischen Kriterien beraubt, dargeboten wird stattdessen ein zweigeteiltes Buch, das ein sich selbst erzeugendes Wörterbuch enthält. Das Werk wird auch als ein konkreter Text gesehen, der sich auf eine visuelle Form stützt. Die Ausgabe von 1996 löste sich von der Papierform, was die Radikalität des Denkens in postliterarischen Kategorien noch stärker betonte. In einem Herausgeberwort schrieb Piotr Rypson: *Dies ist eine beispiellose „unpersönliche und selbstschöpferische" Computerpublikation mit nahezu unerschöpflichen Textkombinationen: das erste literarische Hypertextbuch in polnischer Sprache. Wenn Du mittelalterliche Logikdiagramme, die Erzählungen von Jorge Louis Borges und konkrete Poesie, OULIPO und Grammatologie magst; wenn*



Dich Hermeneutik und Phänomenologie, antike Labyrinthe und barocke Kombinationsgedichte faszinieren; wenn Du gerne an den nicht enden wollenden Regalen einer guten Bibliothek entlangwanderst – dann ist das ein Buch für Dich.

Die Expertin für konkrete Poesie Małgorzata Dawidek Gryglicka kommentierte Robert Szczerbowskis Geste wie folgt: *Die letzte Form, die Æ einnimmt, bildet eine bedeutsame philosophische Geste, die an die Hegel'sche Kategorie „des ganz Leeren" anknüpft, die eine energiegeladene völlige Ursprünglichkeit betrifft. Im Fall von Szczerbowskis Büchern vollzieht sich dieser Prozess umgekehrt. Das sich selbst erschaffende Wort dehnt sich nicht aus, wuchert nicht, tritt nicht aus sich heraus, vermehrt und multipliziert sich nicht, aber es teilt, bröckelt, reißt. Weder grafisch noch phonetisch oder semantisch nimmt es zusätzliche Bedeutungen an. Es ist weder visuell noch semantisch attraktiv. Es reinigt sich. Zieht sich zurück. Verschwindet einfach. Es nimmt einem die Möglichkeit, sich mit der Bedeutung zu identifizieren. Kehrt zur ursprünglichen Leere zurück. Das bedeutet nicht, dass es seinen kreativen Wert aufgibt. Es ist weiterhin kreativ und fruchtbar, so wie Leere kreativ und fruchtbar ist.*

3. *Blok* [Der Block] von Sławomir Shuty oder Geschichten über die „schrecklichen Einwohner" von Nowa Huta

Mit *Blok* von Sławomir Shuty erschien 2002 der erste polnische Hypertextroman. Dieses Werk ist kostenlos im Internet verfügbar auf der Seite www.blok.art.pl. Das Pseudonym des Autors spielt auf den Ort an, an dem er aufgewachsen ist, nämlich auf Nowa Huta, einen während des real existierenden Sozialismus hochgezogenen Stadtteil von Krakau. Der Autor des Projekts ist nicht nur Schriftsteller, sondern auch Fotograf, Performer und Filmemacher. Er wird mit der naiven Kunst in Verbindung gebracht und erhielt 2004 den renommierten Preis „Paszport Polityki". Zu Beginn des 21. Jahrhunderts führte Shuty konsum- und konzernkritische Motive in die polnische Kultur ein (der Autor hat eine ökonomische Ausbildung und arbeitete einige Jahre in einer Bank).

Der Schlüssel, um das Phänomen Shuty (und auch das Projekt *Blok*) zu verstehen, ist dessen spezifische Auffassung von Gemeinschaft, dessen Bereitschaft zur Zusammenarbeit mit anderen Künstlern und dessen Verhältnis zu naiven, volkstümlichen Formen. In einem Interview erklärte Shuty: *Ich persönlich arbeite oft mit Bekannten bei verschiedenen Musik- oder Malereiprojekten zusammen, schwer zu beurteilen, wer was ist und welcher Rang und welche Verantwortung wem zukommt. Das Wichtigste ist der Effekt und die Atmosphäre des gemeinsamen Handelns. Die Volkskunst, die sich auf das Handeln stützt, auf Begegnungen, zwischenmenschliche Interaktionen, ist mir sehr nahe.*

Der Hypertextroman *Blok* ist die Quintessenz aller bisherigen Aktivitäten Shutys, ein intermediales, gewissermaßen internetperformatives Werk, eine Mischung aus Collage und Recycling, ein literarisches, gesellschaftliches, naiv-kollektiv-volkstümliches, programmatisch überladenes Werk, sowohl in der linearen als auch in der nicht-linearen Lektüre.

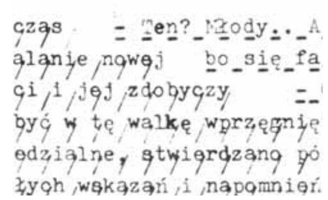
Protagonist des Hypertextes sind der Wohnblock und seine Bewohner. Dargebracht wird das Ganze in Form von kurzen, sehr ähnlich konstruierten Bildern entsprechend einer – wie Shuty selbst schreibt – „Reality-Beziehung" aus dem Leben im Wohnblock sowie einer besonderen Vorstellung von Nachbarschaft. Hier wird von der Gemeinschaft der Transformationsverlierer erzählt. Die aus seinen vorhergehenden Werken bekannte künstlerische Methode von Shuty war das Recyceln und gemeinsame Handeln. *Blok* ist auch ein Projekt, das als ein Gemeinschaftswerk des Literaten Shuty, des Malers Marcin Maciejowski (der alle „Reality-Beziehungen" illustriert hat) sowie des Praktikers und Produzenten des Hypertextes Mariusz Pisarski (der nach Anleitung des Autors den Hypertext adaptierte) betrachtet werden kann. *Blok* ist auch Recycling, eine literarische Collage, ein Sampling schon fertiger Werke (Shuty nutzte seine Texte aus den Erzählbänden, ergänzte sie, versah sie mit Links und Sprechblasen, passte sie ans Internet an).

Blok ist zu hundert Prozent Nowa Huta. In einer Erzählung über die Rychlickis heißt es: *Die Stadt. Ach, Nowa Huta. Plattenbau. Was bist du nur für eine Dame. Dass die feschen Jungs dir nachlaufen. Alle wie ein Mann. Alle für einen. 30 Jahre Plackerei im Walzwerk*. Das ist insofern wichtig, als Nowa Huta in Shutys Wahrnehmung ein einziger großer Block ist, in dem eine ganz eigene Art von Nachbarschaft herrscht, die Protagonisten, d. h. die Bewohner der Siedlung haben eine besondere Beziehung zueinander, sind miteinander verlinkt. Am besten wird diese Nachbarschaft wohl durch die Praktiken eines ihrer Bewohner charakterisiert: *Dann muss er Pornos in der Videothek holen, und immer wenn er sie ausleiht, sagt er vertraulich und wie nebenbei: „Das ist für meine Kumpels". Er hält das für eine gute Ausrede. Und, was das wichtigste ist, er verliert nicht das Gesicht in der Videothek, die zur Siedlung gehört. Hört bloß auf, in so einer kleinen Siedlung kennt doch jeder jeden. Man kann nichts verbergen. Deshalb muss man immer den Schein wahren. Und zu allen höflich sein*.

Die Protagonisten platzen aus allen Nähten, sind extrem überfüttert, sowohl mit Lebensmittelprodukten als auch mit überflüssigen Konsumgütern, mit Informationen und primitivsten Unterhaltungsprogrammen, die in rauen Mengen aus dem Fernseher kommen (einer der Protagonisten, Herr Mętlak, *ist vollgefressen bis zum Gehtnichtmehr*). Die Diktatur der Konsumgesellschaft beeinflusst auch ihre Wünsche und Träume, sie wollen alles haben, in Größe XXXL, wie der Held der Texteinheit „drei", der aufblasbare Päpste verkauft und davon träumt, das Copyright für die Bibel zu besitzen.

Shutys Hypertextroman hat die Struktur eines Treppenhauses in einem Hochhaus. Wenn man auf „öffne die Tür" klickt, gelangt man zum Mieterverzeichnis, und der Rezipient kann nach Belieben die Wohnungen der Protagonisten besuchen, die in den einzelnen Stockwerken wohnen. Nachdem er die Geschichte einer Familie aus dem zehnten Stock kennengelernt hat, kann der Rezipient zu einer anderen Mietpartei navigieren, die auf irgendeine Weise mit den Nachbarn verbunden ist.

Die Struktur des Hypertextes spiegelt die seltsamen

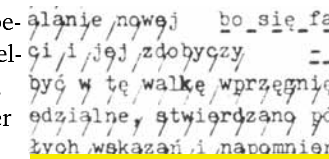


Beziehungen zwischen den Nachbarn wider. Triebfeder von *Blok* sind die Gerüchte, die die Gemeinschaft im Wohnblock umtreiben. Es tratschen buchstäblich alle, jeder interessiert sich für jeden, der Hyperlink ist hier sozusagen der Türspion, ein Spanner. Die Mieter von Shutys Wohnblock verhalten sich wie ihre Götter aus dem Fernsehen und den Boulevardblättern, die versuchen sich im „Informationslärm" gegenseitig zu übertreffen, sie kopieren deren Verhaltensweisen. Alle sind in dieser Hinsicht gleich, jeden interessiert, wer, wo, wann, für wie viel, wie angezogen war.

Neben der literarischen Haupterzählung erscheint eine zweite in den sogenannten Sprechblasen bei den Hyperlinks, die die verschiedenen Wohnungen des Hochhauses miteinander verbinden. Diese ist zu hundert Prozent an die Möglichkeiten des neuen Mediums gebunden. Neben dem traditionellen literarischen Erzählstrang sowie der sich aus der Nutzung des neuen Mediums ergebenden Narration (Links mit Sprechblasen), bietet *Blok* noch einen visuellen Erzählstrang (gewissermaßen der dritte Erzählstrang des Hypertextes), der das Ergebnis der sehr engen Zusammenarbeit des Autors mit Marcin Maciejowski sowie ihrer gemeinsamen künstlerischen Intuitionen ist. Dank dieser Narration können wir sehen, wie die Protagonisten aussehen, wie identisch, vereinheitlicht, ähnlich, marionettenhaft und durchschnittlich sie sind.

4. *Koniec świata według Emeryka* [Das Ende der Welt nach Emeryk] von Radosław Nowakowski oder die posthumanistische Perspektive

Als bekanntestes literarisches Projekt der neuen Medien in Polen gilt *Koniec świata według Emeryka* von Radosław Nowakowski. Dieser Roman ist auch das erste Hypertextbuch, das als Hör-CD herausgebracht und im Buchhandel vertrieben wurde. Die vollständige Version erschien 2005, der Autor begann mit der Arbeit am Roman 2001 und veröffentlichte große Teile davon im Internet. Radosław Nowakowski (geb. 1955) ist von Beruf Architekt und hat oft betont, dass er Fragen des Raums besondere Beachtung schenke und daher nicht vom Text, sondern vom Buch her denke. Nowakowskis Bücher werden als „Liberatur" bezeichnet (Zenon Fajfer), also als ganzheitliche Werke, bei denen der physische Aspekt (die Art des Papiers, das Format, die Gestaltung der Absätze und Seiten, die benutzte Schriftart) integraler Bestandteil des Buches ist. Nowakowski ist Schriftsteller, Büchernarr, Übersetzer und Musiker der Band „Osjan". Eigenhändig geschaffen hat er u. a. die Werke *Traktat Kartkograficzny* [Ein papiergraphisches Traktat], *Ogon Słonia* [Der Schwanz des Elefanten] und *Hasa Rapasa*, die Zyklen *Nieopisanie świata* [Die Nichtbeschreibung der Welt] und *Tajna Kronika Sabiny* [Sabines geheime Chronik] sowie die zehn Meter lange *Ulica Sienkiewicza w Kielcach* [Die Sienkiewicz-Straße in Kielce]. Er hat den wichtigsten Hypertextroman *Afternoon, a story* (2011) von Michael Joyce ins Polnische übersetzt (*popołudnie. pewna historia*). Seit 2010 realisiert er im Netz das Großprojekt *Liberlandia* als permanentes „work in progress". Im Vorwort erklärt der Autor: *Hier ist mein Staat. Ein Staat mit einer Hypertext-Ordnung. Unentwegt im Aufbau begriffen. In einem nicht enden wollenden Umbau. Ein Buch, das in der Mitte beginnt und sich in alle Richtungen ausbreitet. Ein freies Buch für freie Leser. Ein Land, in dem der Aufenthalt fast nichts kostet, gerade einmal so viel wie die zum Lesen gebrauchte Zeit.* Die meisten Bücher Nowakowskis sind in drei Sprachen verfasst: in Polnisch, Englisch und Esperanto. Sie wurden oft auf Ausstellungen in vielen Ländern präsentiert und finden sich auch in den Beständen vieler renommierter Bibliotheken auf der ganzen Welt.



Das Phänomen von Radosław Nowakowskis Schaffen beruht darauf, dass der Autor alle Aspekte der Buchherstellung beherrscht: vom Schreiben über die Drucklegung, den Druck und das Buchbinden bis hin zum Vertrieb (er bestellt nur das Papier). Der 2005 publizierte Hypertextroman ist das vorläufige Ziel des Künstlers, der seit Anfang der achtziger Jahre an seinen experimentellen Werken arbeitet. *Koniec świata według Emeryka* hat eine originelle Konstruktion. Der Autor, der in Dąbrowa Dolna im Heiligkreuzgebirge wohnt, beruft sich auf eine lokale Legende. Der Titelheld Emeryk verweist auf die Figur eines knienden Pilgers in Nowa Słupia, der sich laut Legende jedes Jahr um die Länge eines Sandkorns in Richtung des Święty Krzyż (des bekanntesten Gipfels dieser Berge) bewegt. Wenn er dort ankommt, wird das Ende der Welt erreicht sein. Diesen Tag des Weltendes stellt Nowakowski in seinem Roman dar, indem er den Versuch macht, die Parallelität des Geschehens wie auch die Parallelität verschiedenartiger Existenzformen zu beschreiben. *Koniec świata według Emeryka* hat keine anthropologische, keine menschliche Perspektive. Die erzählenden Subjekte sind z. B. eine Eidechse, ein Schmetterling, eine Katze, ein Fluss, Wolken, ein Habicht.
Der Roman besteht aus über 200 Leseeinheiten, die auf verschiedene Weisen miteinander verbunden sind. Das Werk korrespondiert mit den Strömungen der zeitgenössischen Geisteswissenschaften, besonders mit dem Posthumanismus, der die Welt aus einer Perspektive zu beschreiben versucht, in der der Mensch keine Ausnahme darstellt und in der die Welt selbst nicht nur in Bezug auf das sie erkennende menschliche Subjekt existiert. Für die Posthumanisten koexistiert der Mensch auf einer Ebene mit den nicht-menschlichen Lebewesen und bildet mit diesen eine gemeinsame Ebene. Der Mensch ist nicht imstande, sich selbst losgelöst von seiner Beziehung zu den nicht-menschlichen Akteuren, mit denen er eine Gemeinschaft bildet, zu verstehen. Radosław Nowakowski sagte in einem Interview: *Es gibt ein sehr einfaches Gedankenexperiment, das festzustellen erlaubt, wer der Wichtigere ist. Man muss nur einmal versuchen, sich vorzustellen, was geschähe, wenn man jemanden Bestimmtes aus der Welt entfernen würde. Entfernte man also den Menschen, würde leider nichts Besonderes passieren – vielleicht wären die Mücken ein wenig bekümmert. Entfernte man die Säugetiere, käme es zu einiger Aufregung in der Biosphäre, aber so groß wäre sie auch nicht, täuschen wir uns da nicht. Entfernte man aber die Insekten … dann hätten wir ein echtes Problem.*
Nowakowskis Hypertext präsentiert die Perspektiven der anderen Lebewesen, verleiht ihnen Subjektivität. Der Autor bemüht sich um die sprachliche Stilisierung und die visuelle Eigenständigkeit der einzelnen „Lexias". *Emeryk* und *Liberlandia* sind Teile des umfangreicheren Projekts *Nieopisanie świata*. Nowakowski betont:

Der Mensch ist Teil der Welt, so wie ein Buchstabe Teil eines Buches und ein Buch Teil einer Bibliothek ist.

5. *Big Dick* von Wojciech Bruszewski oder die literarische Mockumentary

Der 2007 entstandene Roman *Big Dick* ist der erste polnische Multimediaroman. Sein Autor ist Wojciech Bruszewski (1947-2009), Mitbegründer der filmischen Avantgarde in Polen, Mitglied der Gruppe „Warsztat Formy Filmowej“ [Werkstatt für Filmische Form], visueller Künstler und Videopionier. Der Roman liegt druckfertig im Archiv des Künstlers. Auf dem von ihm entworfenen Umschlag befindet sich die folgende Beschreibung:
Der Autor, jener finstere „Br...ski“, nahm an der Arbeit der Kommission teil, die 2006 im Berliner Hotel Kempinski tagte. Anfangs ordnete er die gesammelten Materialien entsprechend den Bedürfnissen der Kommissionsmitglieder (später aber zwecks Eigenreklame) in einer elektronischen Kartei. Die einzelnen Einträge werden durch digitale Schlüssel geschützt. Der Autor macht in diesem Buch 44 Schlüssel zugänglich. Dank ihrer Kenntnis hat der Leser Zugang zu einigen Dokumenten, die von den Spitzenkönnern des polizeilichen „Turms zu Babel“ gesammelt wurden.

Bruszewskis Multimediaroman besteht aus einem klassischen belletristischen Buch sowie aus einer Internetseite, auf der sich Filme, Fotografien, Klänge und gescannte Presseartikel befinden, die konkrete Passagen des Romans und die Entwicklung der Handlung begleiten. Der Zugang zu den Materialien ist kodiert. Im Roman sind 44 Schlüssel enthalten, die man eingeben muss, dann werden die Archivalien Schritt für Schritt zugänglich gemacht, wobei die ins Netz gestellten Filme, Klänge und Fotografien die Handlung des Romans mitbestimmen, die nicht nur im literarischen, sondern auch im filmischen, visuellen und klanglichen Medium spielt. Bruszewskis Roman ist gattungsmäßig zwischen *fiction* und *nonfiction* anzusiedeln. Das ist eine klassische literarische Mockumentary, im Untertitel taucht die Bezeichnung „dokumentarische Fiktion“ auf. In der Einleitung kommt Bruszewski auf die Frage des Genres zu sprechen:
Dies ist ein Märchen für Erwachsene. Kinder und Heranwachsende sollten es nicht lesen. Es kommt darin zu Vulgarismen, rassistischen Elementen, zu Sex an öffentlichen Orten, Pornografie und zur Missachtung von Autoritäten. Namen wie Bill Gates, Lech Kaczyński, George Herbert Walker Bush oder Izabela Cywińska sind ausgedacht, und die Übereinstimmung mit ähnlichen Namen in der realen Welt ist rein zufällig. Die Wirklichkeit dieses Buches erinnert an ein Schauspiel, das an der ephemeren Grenze zwischen Wachen und Träumen aufgeführt wird. Die geschilderten Fakten, die in vielerlei Hinsicht historischen Ereignissen ähneln, entspringen der Phantasie des Autors. Niemand sollte auf den Gedanken kommen, hier würden die Persönlichkeitsrechte von irgendjemandem verletzt.

Denn die Namen wurden, wie Bruszewski betont, ganz unabsichtlich von neuem ausgedacht. Die Form des Buches ist eng mit der Story und der Konstruktion des Protagonisten verbunden. Verstärkt wird dies durch die Rätselhaftigkeit der Handlung und den unklaren Status des Protagonisten.

Dick hat keinen festen Wohnsitz. Komfortable Apartments in 5-Sterne-Hotels sind sein flüchtiges Zuhause. Den Nachrichtendiensten erleichtert dies die Kontrolle seines Gepäcks und das Anbringen von Abhöranlagen. Die einen halten ihn für einen Deutschen, die anderen für einen Juden. Weder bestätigt noch dementiert er das. Seine Lebensweise und sein Akzent, wenn er Deutsch spricht, würden eher auf einen Schweizer hindeuten. Wenn er sich auf Englisch verständigt, schwingen skandinavische Anklänge mit. Das Französische beherrscht er gut. Polnisch spricht er ausgezeichnet. Auch Italienisch spricht er nicht schlecht. Es scheint, als hätte er auch Grundkenntnisse im Russischen und Japanischen. Er trägt einen Reiseausweis für Staatenlose bei sich. Das erste Exemplar hat ihm noch der Völkerbund ausgestellt. Als der Pass ungültig wurde, tauchte auf dem neuen sogenannten „Londoner Reisedokument“, das ihm der Hohe Flüchtlingskommissar der Vereinten Nationen ausgestellt hatte, zwischen dem Vornamen „Richard“ und dem Nachnamen „Hakenkreuz“ das prestigeträchtige, altertümliche „von“ auf. Wenn ihn jemand dazu zwingt, seine Nationalität anzugeben, sagt er, er sei Afrikaander.

Richard von Hakenkreuz ist eine Gestalt, die in keinen Rahmen passt. Geboren und aufgewachsen ist er in Afrika, aber er ist weiß. Er lebt das gesamte 20. Jahrhundert über, begegnet den wichtigsten Architekten der Weltordnung, Armeeführern, Präsidenten, Visionären, Superreichen, beeinflusst ihre Entscheidungen. Er bringt das Hakenkreuz von Afrika mit nach Europa und begleitet dieses Symbol über Jahrzehnte hinweg, über den Höhepunkt seines Ruhms in der NS-Zeit bis hin zu seiner Löschung aus der Tabelle der Sonderzeichen im Windows-Betriebssystem.

6. *Schemat* [Das Schema] von Konrad Polak oder ein Roman für Smartphones

Der 2011 erschienene Debütroman Schemat von Konrad Polak ist ein Roman für Smartphones, ein Werk, das auf Mobiltelefonen gelesen werden soll. Mariusz Pisarski erklärt in seinem Wörterbuch der Gattungen digitaler Literatur dieses Genre so: *ein literarisches Werk, angepasst an Systeme, Benutzeroberflächen und Lesegewohnheiten, die tragbaren Geräten wie Smartphones zu eigen sind und die – hinsichtlich technischem Entwicklungsstand und Bedienung – zwischen Systemen, Benutzeroberflächen und Lesegewohnheiten angesiedelt sind, die charakteristisch sind für PCs oder Laptops und solchen, die für traditionelle Mobiltelefone kennzeichnend sind. Genrespezifisch für ein solches Werk ist die materielle Gestaltung des Textes, die an die Beschränkungen des Lesegeräts angepasste Komposition (z. B. die Portionierung der Lektüre, ihre Segmentierung, der kleine Bildschirm, auf dem der Text erscheint) sowie der Vertriebsweg des Werkes über die Plattform. Wenn ein Werk diese drei Kriterien verfehlt, kann es dem besprochenen Genre nicht zugerechnet werden.*

Schemat setzt sich aus vier sichtbaren, verschiedenfarbigen Erzählsträngen zusammen, sowie einem fünften versteckten, den der Leser auf eigene Faust finden muss. Der Roman von Polak entfaltet sich an der Grenze von Schlaf- und Wachzustand, und sein Ehrgeiz ist es, ein Schema geistiger Arbeit abzubilden (daher der Titel).

Der Autor des Projekts beschäftigt sich professionell mit geteilten Träumen (also mit solchen, die man gemeinsam träumen kann) und mit bewusstem Träumen. Neben der Sphäre des Tages, des Erzählens, die sich in Krakau abspielt, bildet die Sphäre der Nacht, in der Träume präsentiert werden (Polak hat diesen Teil nachts geschrieben; wenn er aus einem Traum aufwachte, versuchte er ihn, sogleich aufzuschreiben, daher die Mängel in Grammatik und Satzbau), einen eigenen Teil des Buches. Weitere Ebenen dieses Werkes bilden theoretische Überlegungen über Träume sowie autothematische Passagen, in denen es um die Suche nach einem Schema für einen Hypertextroman und die Form des Romans an sich geht. Die spezielle App für Smartphones basiert auf einer Adaption von Polaks Prosa in kleine, sich farblich und thematisch unterscheidende Textpartien, die sich kreuzen, ineinander übergehen. Der Roman hat keinen Anfang und kein Ende, wegen des Mediums weiß der Leser auch nicht mit Sicherheit, in welchem Teil des Werkes er sich gerade befindet. Es scheint, dass Schemat aufgrund des Trägers sehr getreu das Schema geistiger Arbeit darstellt, indem es die Logik des Tages und der Nacht, von Bewusstem und Unbewusstem betont.

***

Aus den hier kurz besprochenen Werken polnischer Schriftsteller lässt sich ein schnelles Reagieren auf die Entwicklung der neuen Medien ableiten. Literatur passt sich an die neuen Träger an (in den beiden vergangenen Jahrzehnten waren dies Disketten, CDs, das Internet, Tablets und Smartphones) und nutzt auch die Eigenschaften der neuen Medien. Die Narration und die Handlung entwickeln sich nicht linear, sondern bilden eher ein Netz, verästeln sich, der Rezipient hingegen wählt die Richtung, in die er navigiert. Die Autoren denken in kürzeren Leseeinheiten, die über Hyperlinks miteinander verbunden sind und als rhetorische Kunstgriffe benutzt werden. Diese kürzeren Textpartien treten in Beziehung zur auditiven und visuellen Übermittlung. Das hat zur Folge, dass der Text selbst komplexer, zweideutiger ist und eine größere Anzahl intermedialer Interpretationen hervorbringt. Positiv zu bewerten ist auch die Heterogenität der Literatur der neuen Medien: von programmatisch naiven Werken (wie Blok) über Werke, die den fiktiven Status der dargestellten Welt aufheben (Bruszewskis Roman), die sich an den literarischen Konventionen reiben (Szczerbowski), bis hin zu Werken, die sich in aktuelle philosophische und psychologische Diskussionen einreihen (Czycz, Nowakowski, Polak).

Wichtige Links:
http://www.techsty.art.pl/ae/raster.html – von Robert Szczerbowski
www.blok.art.pl – Hypertextroman von Sławomir Shuty
http://www.liberlandia.net/ – *Liberlandia* – Hypertext-Staat von Radosław Nowakowski
http://www.liberatorium.com/emeryk/emeryk.html – *Das Ende der Welt nach Emeryk*
http://ha.art.pl/wydawnictwo/katalog-ksiazek/1997-konrad-polak-schemat.html – *Das Schema* von Konrad Polak
http://voytek.pl/-bigdick/index.htm – Seite von Wojciech Bruszewskis *Big Dick*
www.techsty.art.pl – Portal, das sich programmatisch mit Literatur und neuen Medien beschäftigt

[Aus dem Polnischen von Ulrich Heisse]

1. *Arw* Stanisława Czycza, czyli prekursorski tekst intermedialny

Arw Stanisława Czycza (1929-1996) uznawany jest za jeden z najbardziej prekursorskich i zarazem najbardziej skomplikowanych pod względem edytorskim utworów współczesnej polskiej literatury. Jest to utwór z tzw. legendą. Powstały w latach 1975-1980, wydany dopiero w 2007, został zamówiony przez wybitnego polskiego reżysera, laureata Oskara, Andrzeja Wajdę u awangardowego i eksperymentalnego poety i prozaika Stanisława Czycza. Wajda marzył o realizacji filmu wokół biografii swojego zmarłego przyjaciela, malarza Andrzeja Wróblewskiego. Nie mylił się też, że „Czycz może być autorem czegoś niespodziewanego, nieobliczalnego, autorem jakiegoś oryginalnego spojrzenia”. Dostał tekst nieobliczalny, który – jak twierdzi reżyser – pisarz od początku tworzył dla samego siebie, a nie dla potrzeb filmu, składający się – jak twierdził sam autor – z równocześnie „pchających się” historyjek, urywków, migotów.
Arw powstawał jako z jednej strony scenariusz o życiu i dziele Andrzeja Wróblewskiego, z drugiej jako wielowarstwowe dzieło polifoniczne. W nim nachodzi na siebie historia polskiego kina, literatury i malarstwa. Maszynopis *Arwa* poprzedzony został swoistą instrukcją obsługi, kluczem do odczytania partytury skomplikowanego tekstu, zorganizowanego jako biegnące obok siebie głosy. Składają się na nią: „opis tego, co się dzieje, i co słyszane, i w jakich światłach”, głos narratora („kogoś oprowadzającego po tej galerii czy – gdy to film o sztuce – komentujący to, co pokazywane”), głosy rozmawiających, odwiedzających galerię, albo strumienie świadomości bohaterów: Arw, czyli Wróblewski w młodości („ten kolor to głos z czasów stalinowskich”) i po latach; czy Stag („obecnie, ten tu, jakby bohater”). Jak przystało na wielką tekstową partyturę, nie koniec na tym: są w niej także słowa Bieruta („czy obojętnie kto taki z tamtego czasu”), fragmenty regulaminu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu czy zapisu kantaty o Stalinie. Głosy te występują obok siebie, przeplatają się, przepychają; czytać je można – jak każdy utwór nielinearny – na kilka co najmniej sposobów. Czytelnik zmuszony jest wybrać, czy będzie je czytał jako równoległe i pełnoprawne strumienie tekstu, czy też jako dopełnienia, komentarze do tekstu głównego (tylko co jest tekstem głównym, a co pobocznym? – o tym także musi zdecydować nawigujący po tekście odbiorca). *Arw* to przykład dzieła, które – głównie ze względów technicznych – przerosło swoje czasy i swojego

autora do tego stopnia, że utwór Czycza doczekał się publikacji w pełnym wyglądzie dopiero trzy dekady od czasu powstania i dekadę po śmierci pisarza. Obecnie, w dobie dość mocno rozwiniętych możliwości technicznych, istnieje kilka mediów, które mogłyby posłużyć do realizacji poematu. *Arw* jest przykładem dzieła niemożliwego dla swojej epoki, intuicyjnie zaopatrzonego w ogromny współczesny potencjał. Jest to utwór prekursorski wobec kilku tendencji i kierunków, które miały się później pojawić w polskiej i światowej literaturze, zwłaszcza wobec niesekwencyjnych i nielinearnych rodzajów pisarstwa przełomu wieków (naturalnym środowiskiem powstawania takich utworów jest internet). Jest to scenariusz, partytura do realizacji multimedialnego projektu, uwzględniającego sztuki wizualne, dźwięk, responsywność, multilinearność.

2. Æ Roberta Szczerbowskiego, czyli na początek „koniec literatury"

Wydana w roku 1996 na dyskietce przez wydawnictwo Pusty Obłok pierwsza hipertekstowa publikacja w języku polskim ukazała się anonimowo, z naklejką o treści "książka hipertekstowa do czytania na komputerze". Była to cyfrowa wersja drukowanego wydania z roku 1991. Anonimowość tej pozycji jest jednym z zabiegów programowych, ściśle związanych z treścią i konsekwentną postawą autora Roberta Szczerbowskiego (ur. 1959). Pierwszy polski literacki hipertekst był jednocześnie ostatnią literacką realizacją Szczerbowskiego, autora wcześniejszej *Księgi Żywota* oraz *Kompozycji na słowa.* “Zrozumiałem, że jeżeli mam powiedzieć coś istotnego, to nie poprzez słowa" - mówił pisarz w jednym z wywiadów. Robert Szczerbowski to twórca kojarzony z nurtem prozy postmodernistycznej, artysta z pola sztuk wizualnych i konceptualista. Jego twórczość cechuje się dużym potencjałem zmiany, od środków czysto językowych, do całkowitego zamilknięcia i nakierowania na przekaz tylko wizualny. Autorowi bliskie jest myślenie w kategoriach post-literatury. Już wydana w 1991 roku książka *Księga żywota* nie posiadała sygnatury autora i sugerowała, że krótkie opowiadania precyzyjnie ze sobą połączone to zestaw powstały na przestrzeni tysięcy lat, podsumowujący niejako całą literaturę. To totalnie zakrojone dzieło było próbą stylizacji, opowiedzenia dziejów cywilizacji od pierwszych zapisów piśmiennych po współczesność. Po takim projekcie mogło pojawić się dzieło jedynie jeszcze bardziej odważne i ekstremalne. Utwór *Æ* również nie posiada autora i jest to w treści stematyzowane, komunikat nadaje język, który dochodzi do kresu. Robert Szczerbowski gra z końcem literatury i końcem książki, podobnie jak wcześniej rozgrywał w sposób totalny opowieść uniwersalistyczną. Tekst literacki zostaje pozbawiony wszystkich kryteriów poetologicznych, zaproponowana zostaje formuła dwuksięgu, zawierającego samogenerujący się słownik. To utwór także rozpatrywany w kategoriach tekstu konkretnego, opierający się na wizualnej formie. Edycja z 1996 oderwana została od papieru, co jeszcze bardziej podkreślało krańcowość myślenia w kategoriach post-literatury. W nocie od wydawcy Piotr Rypson pisał: *Oto nie znająca przykładu "bezosobowa i samostwórcza" publikacja komputerowa o niewyczerpanych bez mała kombinacjach tekstu: pierwsza literacka książka hipertekstowa w języku polskim. Jeśli lubisz średniowieczne diagramy logiczne, opowiadania Jorge Louisa Borgesa i poezję konkretną, OULIPO i Grammatologię; jeżeli pociąga Cię hermeneutyka i fenomenologia, antyczne labirynty i barokowe wiersze kombinatoryczne; jeśli bawi Cię wędrówka wzdłuż niekończących się półek dobrej biblioteki – oto książka dla Ciebie.*

Znawczyni problematyki poezji konkretnej Małgorzata Dawidek-Gryglicka w ten sposób komentowała gest Roberta Szczerbowskiego: *Ostatnia forma, jaką przybiera Æ stanowi wymowny, filozoficzny gest, nawiązujący do heglowskiej kategorii „das ganz Leere", która dotyczy obdarowanej energią zupełnej pierwotności. W przypadku książek Szczerbowskiego proces ten odbywa się w kierunku przeciwnym. Samorodne słowo nie narasta, nie obrasta, nie wybiega poza siebie, nie mnoży się i nie multiplikuje, ale dzieli, kruszy, rwie. Ani graficznie, ani fonetycznie, ani znaczeniowo nie nabiera dodatkowych walorów. Nie jest atrakcyjne ani wizualnie, ani znaczeniowo. Oczyszcza się. Cofa. Po prostu zanika. Pozbawia identyfikacji ze znaczeniem. Wraca do pierwotnej pustki. Nie oznacza to, że porzuca swoje wartości kreacje. Nadal jest twórcze i płodne jak twórcza i płodna jest pustka.*

3. *Blok* Sławomira Shuty, czyli opowieści o “strasznych mieszkańcach" z Nowej Huty

Pierwszą polską powieścią hipertekstową jest *Blok* Sławomira Shuty z 2002 roku. Utwór jest bezpłatnie zamieszczony w internecie na stronie www.blok.art.pl. Sam pseudonim autora odnosi się do miejsca, w którym się wychowywał, czyli Nowej Huty, zbudowanej w dobie realnego socjalizmu dzielnicy Krakowa. Autor projektu jest nie tylko pisarzem, także fotografem, performerem i filmowcem. Kojarzony jest z nurtem sztuki naiwnej, w 2004 roku otrzymał prestiżowy Paszport Polityki. Na początku XXI wieku Shuty wprowadzał do polskiej kultury wątki antykonsumpcyjne i antykorporacyjne (autor ma wykształcenie ekonomiczne i przez kilka lat pracował w banku).

Kluczem do zrozumienia fenomenu pisarza (a także projektu *Blok*) jest swoiście pojęta przez artystę wspólnotowość, nastawienie na współpracę z innymi artystami oraz podejście do form naiwnych, ludowych. W jednym z wywiadów Shuty deklarował: „Osobiście często współpracuję ze znajomymi przy okazji różnych projektów, muzycznych, malarskich, trudno oceniać, kto staje się kim, jaka ranga i odpowiedzialność na kogo spada. Najważniejszy jest efekt i klimacik wspólnych działań. Sztuka ludowa, która opierała się na działaniach – spotkaniach, interakcjach międzyludzkich jest mi bardzo bliska". Powieść hipertekstowa *Blok* to konsekwentna składowa wszystkich dotychczasowych aktywności Shutego, dzieło intermedialne, poniekąd sieciowo performatywne, kolażowo-recyclingowe, literackie, społeczne, naiwno-zbiorowo-ludowe, programowo przeładowane zarówno w lekturze linearnej, jak i nielinearnej.

Bohaterem hipertekstu Shutego jest blok i jego mieszkańcy, formą podawczą są krótkie bardzo podobnie skonstruowane obrazki, mające formułę – jak pisze sam Shuty



– "reality relacji" z życia w bloku oraz swoiście pojętego sąsiedztwa. To narracja o zbiorowości, która przegrała na transformacji. Twórczą metodą Shutego, znaną z jego poprzednich dzieł, była działalność recyclingowa i zbiorowa. Blok to także utwór, który może być rozpatrywany jako dzieło wspólne literata Shutego i wizualne malarza Marcina Maciejowskiego (który zilustrował wszystkie „reality relacje"), także praktyka i producenta hipertekstu Mariusza Pisarskiego, który dokonał adaptacji hipertekstowej według wskazówek autora. *Blok* to także recycling, literacki kolaż, sampling utworów już gotowych (Shuty wykorzystał swoje teksty ze zbiorów opowiadań, dopisał, oznaczył linkami i dymkami, przystosował do adaptacji na sieć).

Blok jest w stu procentach nowohucki. W jednej z opowieści o Państwie Rychlickich pojawia się fragment: *Miasto. Nowa Huto. Wielka płyto. Cóżeś ty za pani. Że za tobą poszli, że za tobą poszli, chłopcy malowani. Wszyscy jak jeden mąż. Wszyscy za jednego. Trzydzieści lat wysługi na walcowni.* To o tyle istotne, że Nowa Huta jest w postrzeganiu Shutego jednym wielkim blokiem, na którym panuje swoistego rodzaju sąsiedztwo, bohaterowie, czyli mieszkańcy osiedla wchodzą w szczególne relacje, są ze sobą zlinkowani. Chyba najlepiej scharakteryzują je praktyki jednego z bohaterów: *Tymczasem musi chodzić do wypożyczalni po pornosy i zawsze gdy je wypożycza, mówi konfidencjalnie i od niechcenia: "to dla kolegów". Jest pewien że to dobra wymówka. I nie traci, co najważniejsze, twarzy na osiedlowej wypożyczalni. Dajcie spokój, na takim małym osiedlu, to każdy każdego zna. Nic się ukryć nie da. Dlatego zawsze trzeba trzymać fason.*
I grzecznie ze wszystkimi.

Wszyscy ci bohaterowie pękają w szwach, są ekstremalnie nakarmieni a to produktami żywieniowymi, a to zbędnymi towarami, a to informacjami i najpodlejszą rozrywką, sączącą się w hiperilościach z telewizora (jeden z bohaterów, pan Mętlak, jest *najedzony na fest maks. Jest tak objedzony jak bąk*). Dyktatura konsumpcyjnego stylu życia wpływa także na ich pragnienia i marzenia, chcą mieć wszystko, w rozmiarach XXXL, jak bohater leksji „trzy", który sprzedaje dmuchane papieże i marzy o tym, żeby mieć copyright na Biblię.

Powieść hipertekstowa Shutego ma strukturę klatki w wieżowcu, poprzez przycisk „otwórz drzwi" wchodzi się do spisu mieszkańców i odbiorca może swobodnie odwiedzać mieszkania bohaterów, zamieszkujących poszczególne piętra. Zapoznając się z historią rodziny z piętra X odbiorca może nawigować do innej, w jakiś sposób połączonej z sąsiadami.

Struktura hipertekstu oddaje dziwne relacje sąsiadów. Kołem napędowym Bloku jest wszechnapędzająca społeczność blokowo-osiedlową plotka. Plotkują dosłownie wszyscy, każdy się interesuje każdym, hiperłącze jest tutaj poniekąd Judaszem, podglądaczem, mieszkańcy bloku Shutego zachowują się jak ich prześcigający się w "informacyjnym skrzeku" bogowie z telewizji i brukowców, kopiują ich zachowania. Wszyscy są pod tym względem tacy sami, każdego interesuje kto, gdzie, kiedy, za ile, jak był ubrany.

Obok głównej narracji literackiej pojawia się druga w tzw. dymkach przy hiperlinkach łączących różne mieszkania wieżowca. Ta jest stuprocentowo warunkowana możliwościami nowego medium. Obok narracji tradycyjnie literackiej oraz tej wynikającej z wykorzystania nowego medium (odymkowane linki), *Blok* oferuje jeszcze narrację wizualną (poniekąd trzecia narracja hipertekstu) będącą efektem bardzo bliskiej współpracy pisarza z Marcinem Maciejowskim i wspólnych artystycznych intuicji. To dzięki niemu widzimy jak wyglądają bohaterowie, jak bardzo są identyczni, ujednoliceni, podobni, marionetkowi, przeciętni.

4. *Koniec świata według Emeryka* Radosława Nowakowskiego, czyli perspektywa posthumanistyczna

Za najwybitniejszy projekt literacko-nowomedialny w Polsce uznaje się *Koniec świata według Emeryka* Radosława Nowakowskiego, powieść ta jest także pierwszym utworem hipertekstowym wydanym na płycie i dystrybuowanym w księgarniach. Pełna wersja ukazała się w 2005 roku, autor rozpoczął pracę nad powieścią w 2001 roku i spore jej partie zamieszczał w internecie. Radosław Nowakowski (1955) z wykształcenia jest architektem, niejednokrotnie powtarzał, że ze względu na szczególną wrażliwość na kwestie przestrzeni nie myśli tekstem, ale książką. Książki Nowakowskiego określane są mianem liberatury (termin Zenona Fajfera), czyli dzieł totalnych, gdzie fizyczność (rodzaj papieru, format, kompozycja akapitu, strony, rodzaj użytej czcionki) jest jej integralną jej częścią. Nowakowski jest pisarzem, książkarzem, tłumaczem i muzykiem zespołu Osjan. Własnoręcznie wykonał kilka dzieł (m.in. *Traktat Kartko-graficzny*, *Ogon Słonia*, *Hasa Rapasa*, cykle *Nieopisanie świata* i *Tajna Kronika Sabiny*) oraz 10metrową *Ulicę Sienkiewicza w Kielcach*. Autor przetłumaczył na język polski najważniejszą powieść hipertekstową *popołudnie. pewna historia* (2011) Michaela Joyce'a. Od 2010 roku w sieci realizuje kolejny duży projekt Liberlandia jako nieustający work in progress. Na wstępie autor zadeklarował: *Oto moje państwo. Państwo o ustroju hipertekstowym. W nieustannej budowie. W niekończącej się przebudowie. Książka zaczynająca się w środku i rozchodząca na wszystkie strony. Wolna książka dla wolnych czytelników. Kraj, w którym pobyt prawie nic niekosztuje, ledwie tyle co stracony czas na czytanie*. Większość książek Nowakowskiego pisana jest w trzech językach: po polsku, angielsku i w esperanto. Autor często prezentował je na wystawach w kilkunastu krajach, znajdują się także w zbiorach wielu renomowanych bibliotek świata.

Fenomen twórczości Radosława Nowakowskiego polega na tym, że autor potrafi zapanować nad wszystkimi aspektami produkcji książki od napisania, przygotowania do druku, druku i introligatorki po dystrybucję (zamawia jedynie papier). Opublikowana w 2005 roku powieść hipertekstowa jest punktem dojścia twórcy realizującego swojego eksperymentalne utwory od początku lat 80. *Koniec świata według Emeryka* ma oryginalną konstrukcję. Autor, który mieszka w Górach Świętokrzyskich w Dąbrowie Dolnej, odwołał się do lokalnej legendy. Tytułowy Emeryk odsyła do postaci klęczącego Pielgrzyma w Nowej Słupi, który – jak mówi legenda – posuwa się o jedno ziarno piasku co rok w stronę Świętego Krzyża

(najbardziej znanego szczytu gór). Kiedy tam dojdzie będzie koniec świata. Ten dzień końca świata przedstawia Nowakowski w swojej powieści, testując próbę opisania równoległości dziania się, jak i równoległości istnienia odmiennych bytów. Koniec świata według Emeryka nie posiada perspektywy antropologicznej, ludzkiej. Podmiotami opowiadającymi dzień są np. jaszczurka, motyl, kot, rzeka, chmury, jastrząb. Powieść składa się z ponad 200 jednostek czytania na kilka sposobów ze sobą połączonych. Ten utwór koresponduje z nurtami współczesnej humanistyki, zwłaszcza posthumanizmem, który próbuje opowiadać świat w takiej perspektywie, w której człowiek nie stanowi wyjątku i w którym sam świat nie istnieje tylko ze względu na poznający go ludzki podmiot. Według intuicji posthumanistów człowiek współistnieje na jednej płaszczyźnie z nie-ludzkimi bytami, tworząc z nimi pewną wspólną płaszczyznę. Człowiek nie jest w stanie zrozumieć siebie bez swojej relacji z nie-ludzkimi aktorami, jak zwierzęta, z którymi tworzy wspólnotę. Radosław Nowakowski w jednym z wywiadów mówił: *Jest taki bardzo prosty eksperyment myślowy pozwalający ustalić, kto od kogo jest ważniejszy, mianowicie trzeba spróbować sobie wyobrazić, co stałoby się ze światem, gdyby tego kogoś ze świata usunąć. Otóż, gdyby usunąć człowieka, niestety nic szczególnego by się nie stało – trochę by się komary zmartwiły. Gdyby usunąć ssaki, jakieś zaburzenie w biosferze by wystąpiło, ale zbyt wielkie by ono nie było, nie łudźmy się. Gdyby usunąć owady… no, to już bardzo poważna sprawa.*

Hipertekst Nowakowskiego przedstawia punkty widzenia inno-bytów, daje im podmiotowość. Autor zadbał o stylizację językową oraz wizualną odmienność poszczególnych leksji. *Emeryk* i *Liberlandia* są częściami szerszego projektu Nieopisanie świata. Autor podkreśla: *Człowiek jest częścią świata, tak jak litera jest częścią książki, a książka częścią biblioteki.*

5. *Big Dick* Wojciecha Bruszewskiego, czyli literacki mockument

Napisana w 2007 roku powieść *Big Dick* to pierwsza polska powieść multimedialna. Jej autorem jest Wojciech Bruszewski (1947-2009) współtwórca filmowej awangardy w Polsce, członek Warsztatu Formy Filmowej, artysta z pola sztuk wizualnych, prekursor sztuki video. Powieść została napisana i przygotowana do druku, znajduje się w archiwum artysty. Na zaprojektowanej okładce znajduje się następujący opis.
Autor, ów ponury „Br…ski", brał udział w pracach komisji, która obradowała latem 2006 w hotelu Kempinski w Berlinie. Początkowo na potrzeby członków komisji, (a później dla autoreklamy) uporządkował zebrane materiały w elektronicznej kartotece. Poszczególne zapisy chronione są cyfrowymi kluczami. Autor, na stronicach tej książki udostępnia 44 klucze. Dzięki ich znajomości czytelnik ma dostęp do niektórych dokumentów zebranych przez asów policyjnej „Wieży Babel".

Multimedialna powieść Bruszewskiego składa się z klasycznie zaprojektowanej książki fabularnej oraz strony internetowej, na której znajdują się filmy, fotografie, dźwięki, skany wycinków z prasy, towarzyszące konkretnym partiom powieści i rozwojowi akcji. Dostęp do materiałów jest zahasłowany. W powieści znajdują się 44 klucze, które należy wpisać, wówczas krok po kroku udostępniane są archiwalia, a zamieszczone w sieci filmy, dźwięki, fotografie współtworzą akcję powieści, która rozgrywa się nie tylko w medium literackim, ale także filmowym, wizualnym, dźwiękowym. Powieść Bruszewskiego genologicznie rozciąga się na granicy fiction i non-fiction. To klasyczny literacki mockument, w podtytule autor zamieścił określenie „fikcja dokumentalna".
We wstępie twórca odnosi się do gatunku:
Jest to bajka dla dorosłych. Dzieci i dorastająca młodzież nie powinny jej czytać. Zdarzają się tutaj wulgaryzmy, elementy rasistowskie, seks w miejscach publicznych, pornografia i brak szacunku dla autorytetów. Nazwiska takie jak Bill Gates, Lech Kaczyński, George Herbert Walker Bush czy Izabela Cywińska są zmyślone, a ich zbieżność z podobnymi nazwiskami, funkcjonującymi w realnym świecie jest całkowicie przypadkowa. Rzeczywistość tej książki przypomina spektakl grany na efemerycznej granicy jawy i snu. Opisywane fakty, zbliżone pod wieloma względami do wydarzeń historycznych, są tworem wyobraźni autora. Nikt nie powinien mieć pretensji o naruszenie czyichkolwiek dóbr osobistych.

Bowiem jak zaznacza Bruszewski nazwiska zostały zupełnie niechcący, ponownie wymyślone. Forma książki jest ściśle związana z fabułą i konstrukcją bohatera. Potęguje jej tajemniczość i niejasny status bohatera.
Dick nie ma stałego adresu zamieszkania. Wygodne apartamenty pięciogwiazdkowych hoteli to jego efemeryczny dom. Służbom specjalnym ułatwia to kontrolę jego bagaży i instalację podsłuchów. Jedni mówią, że jest Niemcem, inni, że Żydem. Ani tego nie potwierdza, ani nie dementuje. Sposób bycia i akcent, gdy mówi po niemiecku, wskazywałby raczej na Szwajcara. Gdy porozumiewa się po angielsku, w powietrzu pobrzękują skandynawskie nuty. Francuski zna dobrze. Po polsku mówi doskonale. Nieźle mówi po włosku. Wygląda na to, że zna również, na poziomie podstawowym rosyjski i japoński. W kieszeni nosi paszport bezpaństwowca. Pierwszy egzemplarz wydała mu jeszcze Liga Narodów. Kiedy paszport stracił ważność, na nowym, tak zwanym „londyńskim dokumencie podróży", który wystawił mu Wysoki Komisarz ds. Uchodźców ONZ, pomiędzy imieniem „Richard", a nazwiskiem „Hakenkreuz" pojawiło się podnoszące prestiż, staroświeckie „von". Gdy ktoś bardzo nalega, gdy zmuszają go, aby zadeklarował jakąś narodowość, mówi, że jest Afrykanerem.

Richard von Hakenkreuz to postać, której nie można wpisać w żadne ramy. Urodził się i wychowuje się w Afryce, ale jest biały. Żyje cały XX wiek, spotyka się najważniejszymi budowniczymi światowego porządku, dowódcami, prezydentami, wizjonerami, najbogatszymi, wpływa na ich decyzje. Z Afryki do Europy przywozi symbol swastyki i temu symbolowi towarzyszy na przestrzeni dekad poprzez szczyt sławy w okresie hitleryzmu, do momentu usunięcia z tabeli znaków specjalnych w systemie Windows.

6. *Schemat* Konrada Polaka, czyli powieść na smartfony

Wydany w 2011 roku *Schemat* debiutanta Konrada Polaka to powieść dostosowana do smartfonów, utwór, który powinien być czytany na urządzeniach mobilnych. Mariusz Pisarski w Słowniku Gatunków Literatury Cyfrowej tak objaśnia gatunek: *utwór literacki przystosowany do systemów, interfejsów i nawyków lekturowych właściwych przenośnym urządzeniom typu smartfon (ang. smartphone), które – pod względem zaawansowania i obsługi – sytuują się pomiędzy systemami, interfejsami i nawykami lekturowymi charakterystycznymi dla komputerów stacjonarnych i kieszonkowych a tymi znanymi z tradycyjnych telefonów komórkowych. Wyróżnikiem gatunkowym takiego utworu jest specyficzne materialne osadzenie tekstu, kompozycja dostosowana do ograniczeń czytnika (np. porcjowanie lektury, jej sesyjność, niewielki ekran do wyświetlania tekstu) oraz ponadplatformowy sposób dystrybucji utworu. Jeśli dzieło omija te trzy kryteria, nie sposób go za liczyć do omawianego gatunku.*

Schemat składa się z czterech widocznych linii narracyjnych, zróżnicowanych kolorystycznie oraz piątej ukrytej, którą czytelnik musi znaleźć na własną rękę. Powieść Polaka rozwija się na granicy snu i jawy, a jej ambicją jest próba odwzorowania schematu pracy umysłu (stąd tytuł). Autor projektu profesjonalnie zajmuje się snami dzielonymi (czyli takimi które można śnić wspólnie) i świadomym śnieniem. Obok sfery dziennej, fabularnej, rozgrywającej się w Krakowie, osobną partię utworu stanowi partia nocna, w której przedstawiane są sny (autor tę linię pisał nocami, wybudzając się ze snu, starał się łapać je na gorąco, stąd brak poprawności gramatycznej i składniowej). Kolejne poziomy tego utworu stanowią teoretyczne rozważania o snach, a także partie autotematyczne, skupiające się na poszukiwaniu schematu powieści hipertekstowej i formy powieści w ogóle. Specjalna aplikacja na smartfony polegała na adaptacji prozy Konrada Polaka na niewielkie partie tekstu, które zróżnicowane kolorystycznie i tematycznie krzyżują się, nachodzą na siebie. Powieść nie ma początku i końca, ze względu na medium brak także pewności w której partii utworu czytelnik się znajduje. Wydaje się, że dzięki użytemu nośnikowi *Schemat* najwierniej przedstawił schemat pracy umysłu, akcentując logikę dzienną i nocną, świadomą i podświadomą.

***

W pokrótce omówionych wybranych utworach polskich pisarzy da się zauważyć regułę dość szybkiego reagowania na rozwój nowych mediów. Literatura remediuje, czyli dopasowuje się do nowych nośników (w ciągu ostatnich dwóch dekad będą to dyskietki, płyty CD, internet, tablety, smartfony), wykorzystuje także właściwości nowych mediów. Narracja i fabuła nie układa się w jednej linii, raczej tworzy sieć, rozgałęzia się, zaś odbiorca sam wybiera kierunek nawigacji. Twórcy myślą w kategoriach krótszych jednostek czytania, połączonych hiperlinkami, traktowanymi jako chwyty retoryczne. Te krótsze partie tekstu wchodzą w relację z audialnym i wizualnym przekazem. To powoduje, że sam tekst jest bardziej złożony, niejednoznaczny, generujący większą ilość intermedialnych interpretacji. Na plus należy ocenić także różnorodność literatury nowych mediów, od utworów programowo naiwnych (jak *Blok*), poprzez zawieszające fikcyjny status świata przedstawionego (powieść Bruszewskiego), wadzące się z konwencją literatury (Szczerbowski), po utwory wpisujące się we współczesne intuicje filozoficzne, psychologiczne (Czycz, Nowakowski, Polak).

Przydatne linki:
http://www.techsty.art.pl/ae/raster.html – Roberta Szczerbowskiego
www.blok.art.pl – powieść hipertekstowa Sławomira Shuty
http://www.liberlandia.net/– *Liberlandia* – Hipertekstowe państwo Radosława Nowakowskiego
http://www.liberatorium.com/emeryk/emeryk.html – *Koniec świata według Emeryka*
http://ha.art.pl/wydawnictwo/katalog-ksiazek/1997-konrad-polak-schemat.html – *Schemat* Konrada Polaka
http://voytek.pl/-bigdick/index.htm – strona „Big Dicka" Wojciecha Bruszewskiego
www.techsty.art.pl – portal programowo zajmujący się literaturą i nowymi mediami

PIOTR MARECKI (1976) – Redakteur, Verleger, Kulturwissenschaftler. Vorsitzender des Verlags Ha!art und Chefredakteur des Magazins für zeitgenössische Kultur "Ha!art". Absolvent der Polonistik und Filmwissenschaft an der Jagiellonen-Universität, wissenschaftlicher Mitarbeiter am Lehrstuhl für Zeitgenössische Kultur des Kulturinstituts der UJ, Organisator von Literaturfestivals und wissenschaftlicher Sitzungen. Beschäftigt sich vor allem mit zeitgenössischem Kino und Literatur sowie Mitverfasser vieler Bücher, unter anderem *Literarische Hypertexte. Literatur und neue Medien.*

Kontakt: piotr.marecki@ha.art.pl

PIOTR MARECKI (1976) – redaktor, wydawca, kulturoznawca. Prezes Wydawnictwa Ha!art i redaktor naczelny magazynu o kulturze współczesnej "Ha!art". Absolwent polonistyki i filmoznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, adiunkt w katedrze Kultury Współczesnej Instytutu Kultury UJ, organizator festiwali literackich i sesji naukowych. Zajmuje się przede wszystkim współczesnym kinem i literaturą oraz związkami literatury z nowymi mediami. Autor, redaktor i współautor wielu książek, między innymi *Hiperteksty literackie. Literatura i nowe media.*

Kontakt: piotr.marecki@ha.art.pl



© Andrej Lankievič



© Andrej Lankievič

 Szczepan Kopyt

SZCZEPAN KOPYT

(1983) – Dichter, Musiker. Preisträger des prestigeträchtigen landesweiten Jacek-Bierezin-Poesiewettbewerbs (2004). Nominiert für den Literaturpreis Gdingen für den Sammelband *sale sale sale* sowie für den Kulturpreis „Paszporty Polityki" für den Sammelband *buch*. Der Sammelband *buch* wird von einer vom Duo Kopyt/Kowalski aufgenommenen CD begleitet (diese stellt einen Teil des Sammelbandes dar, ist aber auch auf der Seite www.kopytkowalski.pl erhältlich). Das Duo spielte 2011 unter anderem auf den Festivals „Off Festival", „Misietu-podoba" sowie „Vlna naživo". Als Bassist und Co-Komponist nahm er zusammen mit der Band „Yazzbot Mazut" die CD *In der Wüste und im Urwald* (2008) sowie *Mazut mazut* (2010) auf. Seine Gedichte wurden ins Ukrainische, Tschechische und Slowakische übersetzt. Laut des geschätzten Kritikers Przemysław Czapliński hat Kopyt „die Fähigkeit sich allen Diskursen in den Weg zu stellen und eine linguistische Rebellion auf jedem Sprachfeld anzuzetteln". Die präsentierten Gedichte stammen aus dem Sammelband *buch* (Posen, 2011).

Kontakt: szczepankopyt@gmail.com

SZCZEPAN KOPYT (1983) – poeta, muzyk. Laureat prestiżowego Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina (2004). Nominowany do Nagrody Literackiej Gdynia za tom *sale sale sale* oraz do Paszportów „Polityki" za tom *buch*. Tomowi *buch* towarzyszy płyta nagrana przez duet Kopyt/Kowalski (stanowiąca część tomu, ale udostępniona też na stronie www.kopytkowalski.pl). Duet zagrał w 2011r. m. in. na festiwalach „Off Festival", „Misietupodoba" i „Vlna naživo". Jako basista i współkompozytor nagrał z zespołem „Yazzbot Mazut" płyty *W pustyni i w puszczy* (2008) oraz *Mazut mazut* (2010). Jego wiersze tłumaczono na ukraiński, czeski i słowacki. Ceniony krytyk, Przemysław Czapliński twierdzi, że Kopyt ma „umiejętność wchodzenia w szkodę wszystkim dyskursom i wszczynania rebelii lingwistycznej na każdym polu językowym". Prezentowane wiersze pochodzą z tomu *buch* (Poznań, 2011).

Kontakt: szczepankopyt@gmail.com

spitale

sei immer innen frei und grenzenlos dabei lass die luft raus setz dein segel drauf lass sonne
sein die dich wärmt und musik die dich wiegt genau das ist es was du brauchst

du brauchst nichts als die wärme des dachs über dem kopf denk dran die musik ist in dir und
das ganze billige technische babylon eine lüge die dich hindert zu atmen

der atem ist deine wichtigste nahrung sauge die flora mit den augen auf deine haut ist eine
endlose sensorische batterie

der akku deines gehirns hat eine tiefe bassfrequenz ihre amplitude wirft dich raus in die stadt
wo du fällst also spült sie dich in die stadt zurück wo du aufstehst nüchtern und nass

habe angst nur vor der angst selbst weil das auf dauer kein zustand ist so wie der stress
von dem die ganze branche lebt und die wichser deren wahrheit das medium ist

du bist das medium deiner wahrheit keine definition kein glanz weil der wahre diamant unter
der erde wächst und der glanz lösegeld der seele billiges babylon rechts und links

du bist das medium deines blutes der fährmann der wahrheit das erwachen von denen die
wachen die fallen wie alle anderen aber doch wieder aufstehen und nur sie wissen wie

du bist das medium des friedens von fanatikern hältst du nichts die in waffen machen gegen
die lügenhafte leere der ökonomie die endlos ist aber ihr anfang heißt gier

du bist das medium des elektronischen raubzugs und wenn du das steuer loslässt segelt dein
schiff auf wellen die nur narkonauten kennen sie sind die erde nach der sie haschen

hasch ist für dich das medium der freiheit wie musik für die armen weil nur sie die musik
haben weil sie nichts haben und alles yo

hasch für deine lieben weil die zeit wie die wälder weit uns nicht verzeiht und die säure ist die
den rost frisst beim verbrauch der gefühle hasch für die alten

hasch für erwachsene zu den vibrationen physischer aktionen mit erlaubnis der zukunft die
zum greifen der worte nahe ist jetzt

nur musik schlagzeug und und bass der nachhall die quadrofonie der wandernden wörter

jetzt nur noch rhythmus während du einschläfst auf der seite

algorithmus des bluts und atemwellen

sand

schlamm

schwimm

szpitale

musisz być zawsze wewnętrznie wolny i nieograniczony miej wentyl i wiej z jego powietrzem
niech będzie tam słońce które grzeje i muzyka co kołysze musisz mieć właśnie to

niczego innego nie potrzebujesz oprócz ciepła dachu nad głową pamiętaj twoja muzyka jest w tobie
i cały techniczny babilon za bilon to ściema która niszczy twój oddech

twój oddech jest najważniejszym pożywieniem twoje oczy chłoną roślinność twoja skóra to
sensoryczna bateria która nigdy się nie wytraci

akumulator mózgu tętni niską basową falą jej amplituda wyrzuca cię w miasto gdzie upadasz więc
zmywa cię z powrotem do miasta gdzie wstajesz trzeźwy i mokry

bój się tylko samego strachu bo to stan w którym nie można żyć dłużej tak jak w permanentnym
stresie którym karmi się branża i brandzlują ci których prawdą jest medium

ty jesteś medium swojej prawdy która nie szuka definicji i która nie błyszczy bo prawdziwy
diament jest w ziemi a błysk to okup krwi babilon bilon jego prawo i lewo

ty jesteś medium swojej krwi przewoźnikiem prawdy przebudzeniem które jest udziałem uważnych
choć upadają jak inni ale powstają w tylko sobie znany sposób

ty jesteś medium pokoju i nie popierasz oszołomów którzy produkcją broni chcą wypełnić pustkę
ekonomicznej ściemy która nie ma końca choć jej początkiem jest chciwość

ty jesteś medium elektronicznej grabieży i jeśli odłączysz się od sterowania to twój statek złapie
fale które dostępne narkonautom przenoszą ich na ziemię której gliną jest hasz

hasz dla ciebie medium wolności która bliska jest muzyce biednych bo tylko oni mają muzykę bo
nie mają nic i mają wszystko yo

hasz dla twoich bliskich bo czas którego las otacza zewsząd nas to kwas który wyżera rdzę zużycia
uczuć hasz dla starych

hasz dla dorosłych do wibracji podejmujących cielesnych akcji za przyzwoleniem przyszłości która
tkwi na wyciągnięcie słów teraz

tylko muzyka bębny i bas pogłosy i kwadrofoniczne wędrówki słów

teraz tylko rytm i to kiedy zasypiasz na boku

algorytm krwi i fale oddechu

piasek

muł

płyń

Szczepan Kopyt Szczepan Kopyt

dämmerung

die luft an den tankstellen ist voll
von liebe die liebe ist überall
zum greifen nah für die nachttaxifahrer
die alte frau die nach essen fragt
alles voll liebe im blick der subjekte
der lebensmittelgeschäfte
berstend vor liebe die mützen
der jungs mit begleitschutz
ihre mütter lieben diese serie
die schauspieler darin lieben ihr spiel

zmierzch

powietrze na stacjach benzynowych jest pełne
miłości miłość jest wszędzie
w zasięgu ręki nocnych taksówkarzy
starszej kobiety co pyta o jedzenie
pełne miłości są spojrzenia subiektów
sklepów monopolowych
miłość rozsadza czapeczki
konwojowanych chłopców
ich matki kochają ten serial
aktorzy kochają w nim grać



© Ania Jaworska-Kruk

self-made man / du aus der menge

hey self-made man
hey du aus der menge
glasklar wer du bist
dass es scheppert
leichen am wegrand
die sich für die idee des auto töten ließen
kranke in den krankenhäusern
wie kannst du über kriegskunst nachdenken
die orga-meetings sind von fehlschlägen voll
zunächst werdet ihr nur fallen üben
etwa nicht?
da verstecken selbst die koptischen kapläne
ihre hände in den von haschisch vollen taschen
du bist der den sie zum antworten aufgerufen haben
sie lassen dich in den schlaglichtern laufen

aber du kommst nicht im archiv an
das archiv hat keine gültigkeit mehr
wir senden live aus afghanistan
unsere jungs fahren hier her um zu töten
gefährliche tiere
ja menschen doch nicht

self-made man / ty z tłumu

hej self-made man
hej ty z tłumu
prawda o tobie leży pośrodku
i kwiczy
na poboczach trupy
dali się zabić za ideę auta
w szpitalach chorzy
jak możesz myśleć o sztuce walki
spotkania organizacyjne są pełne chybień
najpierw będziecie ćwiczyć tylko upadki
wątpisz?
w tej sprawie nawet koptyjscy kapłani
zanurzają ręce w kieszeniach pełnych haszyszu
jesteś kimś kogo wywołano do odpowiedzi
puszczą cię w migawce
ale nie trafisz do archiwum
archiwum przestało obowiązywać
nadajemy na żywo z afganistanu
nasi chłopcy jeżdżą tu zabijać
groźne zwierzęta
bo przecież nie ludzi

vor den kolonisatoren waren meist händler da (herbert)

1
die geschichten der kriege nähern sich aneinander an
die kriege bleiben die gleichen

1
die fremden wollen wieder die fremden sein weil sie die fremden sind
die siebzehnjährige witwe die sich in der metro hochjagte
hinterließ bilder
keine chance für kein mitgefühl
sie hat diesen
che-guevara-mäßigen reiz

1
eine so weite perspektive ist unmenschlich
wo wir doch immer weiter gehn
begrenzte materie verwandelt sich in die menschheit

1
die kultur ist ein betriebsunfall

1
oder oder
sagen wir uns selbst beim blick auf die berüchtigte grenze
dieser ersten und zweiten

1
oder oder oder
denken wir
aber die worte klingen stumpf wie pulsschlag

1
ein verwirrtes tier zerreißt die menge
ein flugzeug schlägt im gebäude ein
heilige glut frisst die bücherreihen auf

 Szczepan Kopyt

kolonizatorów poprzedzali zwykle kupcy (herbert)

1
historie wojen upodobniają się do siebie
a wojny są takie same

1
obcy chcą znowu być obcy bo są obcy
siedemnastoletnia wdowa która wysadziła się w metrze
zostawiła po sobie zdjęcia
nie sposób jej nie współczuć
ma w sobie czar
doktora che guevary

1
tak duża perspektywa jest nieludzka
a przecież wciąż idziemy dalej
skończona ilość materii przekształca się w ludzkość

1
kultura to wypadek przy pracy

1
albo albo
mówimy sobie patrząc na osławiony kres
tej pierwszej i drugiej

1
albo albo albo
myślimy
ale dźwięk słów jest tylko tępym rytmem tętna

1
wzburzone zwierzę rozszarpuje tłum
samolot wbija się w budynek
rzędy książek trawi święty żar



© Ania Jaworska-Kruk

 Szczepan Kopyt

hört zu

bisschen holz eisen knochenleim da erhob sich musik
ergänzen wir noch die früchte des zorns erinnern wir an
reefer madness und alle im hunger geschriebenen evergreens
für eine handvoll dollar

hört zu nigger es gibt einen deal ihr spielt solange wir wach sind
wir brauchen hier nette musike zum ficken
aber schön wegschauen mit euern weißen äuglein
und weg mit den trommeln es gibt ne gitarre

bisschen holz knochenleim und eisen das in der hand vibriert
und ein mündlich überlieferter text von radio zu radio
ihr spielt für fünf dollar wir übernehmen den rest
die leute sind da es gibt werbung

hört zu schwarze brüder schließlich kaufen wir
euern dreck hier hundert dollar aber
nicht dieses dschungelgeheul ok
weg mit den langen posaunen

bisschen holz konochenleim und eisen für die saiten
unsre army hat die besten musiker seht her
mit unseren verstärkern machen wir euch die töchter taub
sie werden tanzen zu unserm spiel hey

hört zu schwarze da habt ihr klavier habt ihr stereo
habt ihr ne geige wir wollen eurer kreischen eure schreie wir wol-
len
eurer goldgier zusehen wir lassen euch frei
go! ihr habt fünf minuten spielt einen lovesong

bisschen holz knochenleim da erhob sich musik
ergänzen wir noch trommeln und bass erinnern wir
an die röhrenverstärker und bänder das war über die zeit
da gab's musik und instrumente

hört zu ihr schwarzen
hört zu

【Aus dem Polnischen Andre Rudolph】

 Szczepan Kopyt

słuchajcie

trochę drewna żelaza kleju z kości i powstała muzyka
powiedzmy jeszcze o tych gronach gniewu wspomnijmy
reefer madness i wszystkie evergreeny pisane na głodzie
za kilkadziesiąt dolarów

słuchajcie czarnuchy jest deal gracie póki nie zaśniemy
chcemy tu mieć fajną muzyczkę do ruchania
trzymajcie jednak z dala swoje białe oczy
i schowajcie bębny jest gitara

trochę drewna kleju i żelaza wibrujące w dłoni
i tekst przekazywany doustnie i z radia do radia
gracie za pięć dolców a my zgarniamy resztę
są ludzie jest reklama

słuchajcie czarni bracia ostatecznie kupujemy
to wasze gówno macie tu sto dolców ale
nie chcemy słyszeć tych krzyków z dżungli
schowajcie swoje długie puzony

trochę drewna kleju z kości i żelaza na struny
to nasza armia ma najlepszych grajków spójrz
mamy wzmacniacz którym ogłuszymy wasze córki
będą tańczyły jak im zagramy hej

słuchajcie czarni macie fortepian macie stereo
macie smyki chcemy waszych jęków i krzyków chcemy
patrzeć na wasz pęd do złota puszczamy was wolno
go! macie pięć minut grajcie pieśń miłosną

trochę drewna kleju z kości i powstała muzyka
powiedzmy jeszcze o bębnach i basie wspomnijmy
wzmacniacze lampowe i ciepłą taśmę to było o tym
kiedy były instrumenty i muzyka

słuchajcie czarni
słuchajcie czarni

HALYNA KRUK

(1974) – Schriftstellerin, Übersetzerin, Literaturwissenschaftlerin, Autorin von drei Poesiebänden sowie zweier Kinderbücher, die in fünfzehn Sprachen übersetzt wurden. Teilnehmerin an vielen ukrainischen und internationalen Literaturfestivals sowie künstlerischen Multimediaprojekten. Mitglied des PEN-Clubs. Stipendiatin des polnisches Programms *Gaude Polonia*, des Programms *Homines Urbani* in der Villa Decius in Krakau sowie des Baltischen Schriftsteller- und Übersetzerzentrums auf Gotland. Lehrt Literatur an der Iwan-Franko-Universität in Lemberg. Die präsentierten Gedichte stammen aus dem noch unveröffentlichten Poesieband *Das Lied des Seins*.

Kontakt: http://sincere.ly/halynakruk/

ГАЛИНА КРУК (1974) – письменниця, перекладачка, літературознавець, авторка трьох поетичних збірок та двох дитячих книжок, перекладених п'ятнадцятьма мовами; учасниця багатьох українських та міжнародних фестивалів та мультимедійних мистецьких проектів. Член ПЕН-клубу. Стипендіатка *Gaude Polonia* та програми Вілли Деціуша *Homines Urbani* у Кракові, а також Балтійського центру письменників та перекладачів на острові Ґотланд. Викладає літературу у Львівському університеті. Запрезентовані вірші походять зі ще не виданої збірки *Спів існування*.

Контакт: http://sincere.ly/halynakruk/

***

я відкрила останні двері, за якими ні тебе, ні мене немає
інша жінка ходить по кухні в зачовганих капцях, грюкає банякими,
інший чоловік валяється на дивані в спортивних штанях
знуджено курить і спльовує на підлогу
інша жінка, зовсім на мене не схожа, як дві краплі –
та, що з моря і та, що з-під крана
інший чоловік, здутий, як протерте на згинах рятівне коло,
навіщо він тут? згадка про літо?
а хіба у тих двох могло бути якесь літо?
я відкрила двері, я впустила світло,
яке б'ється тут як пташка об шибу,
я відкрила двері туди, де нікому нема діла до пташки
інша жінка, груба і пласка, як непоциклььована дошка
інший чоловік – крихкий і безнадійний, як спорохнявіле поліно
навіть побутова сварка не може викресати із них жодної іскри,
розпалити пожежі,
тільки попіл у попільничці, попіл на головах, всюди – попіл
я відкрила двері важкі, як віко на гробі, як повіки померлих,
я відкрила двері, я не можу їх більше закрити

+++

ich habe die letzte Tür geöffnet, hinter der weder du bist noch ich
eine andere Frau läuft in ausgetretenen Pantoffeln durch die Küche, klirrt mit Gläsern,
ein anderer Mann wälzt sich in Trainingshosen auf dem Sofa,
raucht träge und spuckt auf den Boden,
eine andere Frau, die mir nicht gleicht wie ein Wassertropfen dem anderen –
aus dem Meer, aus dem Hahn
ein anderer Mann, aufgebläht wie ein abgewetzter Rettungsring,
was will er hier? eine Erinnerung an den Sommer?
gab es für die zwei je einen Sommer?
ich habe die Tür geöffnet, Licht eingelassen,
das wie ein Vogel gegen die Scheibe schlägt,
ich habe die Tür dahin geöffnet, wo keiner sich um Vögel schert
eine andere Frau, schwer und flach wie ein ungeschliffenes Brett
ein anderer Mann, brüchig und trostlos wie ein morscher Scheit
selbst der tägliche Streit entlockt ihnen keinen Funken,
entfacht kein Feuer,
nur Asche im Becher, Asche auf den Köpfen, ringsum Asche
ich habe die Tür geöffnet, schwer wie ein Grabdeckel, wie die Lider der Toten
ich habe sie geöffnet, ich kann sie nicht mehr schließen

+++

до пори до часу
не даєш мені бачити двох гадюк у високій траві
за пару кроків від місця, де ми всілися перепочити,
безпечні, з маленькими дітьми і великими планами на майбутнє

до пори до часу

не даєш мені бачити відходу моїх близьких,
як розгладжуються до болю знайомі мімічні зморшки,
як застигають їхні тіла і чужіють риси.

до пори до часу мовби бережеш мене

для чогось іншого, більшого, страшнішого,
з чим не можна жити, без чого не можна померти

+++

einstweilen

lässt du mich die zwei Kreuzottern im hohen Gras nicht schauen
ein paar Schritt von dem Ort, wo wir uns niedergelassen haben, um auszuruhen,
arglos, mit kleinen Kindern und großen Zukunftsplänen

einstweilen

lässt du mich den Weggang meiner Nächsten nicht schauen,
wie sich schmerzhaft die vertrauten Falten glätten,
wie die Körper erkalten und ihre Züge verfremden.

einstweilen bewahrst du mich wohl

für etwas Anderes, Größeres, Schlimmeres,
mit dem man nicht leben, ohne das man nicht sterben kann

+++

чуєш,
у ночвах ночі полощеться білий прапор цвіту,
що його вже готові викинути над цитаделлю дерева –
бо рідко хто може вистояти в цьому протистоянні,
не здавшись
у таку пору все, що тобі здається,
слід приймати на віру:
ті, що живуть у пам"яті, носять маленькі дзвіночки
як прокажені (прокажи їх – і вийдуть на світло)
навіть найменший рух ачи подих вітру
видає їх присутність,
бо не все підпорядковане розкладу
далеко не все в цьому світі
часом весна приходить зненацька,
коли її ще ніхто не чекає,
без бою займає сонні околиці,
окопується під цитаделлю
і ось вже перше дерево викидає білий прапор
здається, зацвітає,
чи тільки здається?

+++

hörst du,
im Trog der Nacht wird das weiße Blütenbanner gespült,
das die Bäume über der Zitadelle zu hissen sich anschicken –
denn kaum einer erträgt diesen Gegensatz,
ohne sich zu ergeben,
in dieser Zeit musst du alles, was dir vorkommt,
glauben:
die in der Erinnerung leben, tragen kleine Glöckchen
wie die Aussätzigen (ruf sie heraus – sie kommen ans Licht)
schon eine kleine Bewegung, ein Lufthauch
verrät ihre Anwesenheit,
denn nicht alles beugt sich dem Plan,
längst nicht alles auf dieser Welt
manchmal kommt der Frühling unverhofft,
wenn ihn keiner erwartet,
besetzt kampflos die schläfrigen Viertel,
hebt unter der Zitadelle einen Graben aus,
und schon hisst der erste Baum sein Banner
und erblüht,
oder scheint es nur so?

Notausgang

all die Männer, die in ihr einen doppelten Boden suchten,
Spanne um Spanne die schwerzugänglichen Hautpartien abtasteten,

all die Frauen, die sie in der letzten Kurve überholte,
ihren Vertrauensvorschuss für Nichtigkeiten verschleuderte,

all die Kinder, die sie zur Liebe verführen wollten,
selbst jenes, das sie nicht gebären konnte,

all die Vierbeiner und Zimmerpflanzen, die
die das Leben in ihrer Gegenwart nicht lange ertrugen, –

sie lassen sie nicht unterwegs abspringen,
ungeschoren davon kommen, die Regeln ändern,

denn wer sie ständig im Visier hat wie die Grenze
zwischen nackt und nachtblau, zwischen gerecht und ungeschickt

wer auf den Feldern Schwarzerde und Schnee mischt,
wer die Handlinien aufs Geratewohl kreuzt,

wer dich Tag für Tag plattmacht wie eine eingeweichte Semmel,
dich hochspült wie das Wasser einen Ertrunkenen,

wer dich schachmatt setzt, dir Kischmisch reicht,
in dir Pingpong spielt (hörst du dieses Klopfen etwa nicht?),

führt sie doch aus dem Umkreis der Fernen und Nahen heraus,
aus Reih' und Glied, aus der Lovestory, aus Umarmung und Arm,

obwohl er weiß, dass er nicht ankommt – es gibt keine einfachen Wege,
und bevor noch der Vers verklingt und die Grube gähnt,

löst man sie
aus der Erinnerung dunkler Frauenröcke und anderer feiner Materialien,
löst sie wie einen Fleck.

[Aus dem Ukrainischen Claudia Dathe]

запасний вихід

усі ті чоловіки, що шукали в ній подвійного дна,
п'ядь за п'яддю промацуючи важкодоступні ділянки шкіри,

усі ті жінки, яких обійшла вона на останньому віражі,
розтринькавши на дурнички весь їхній кредит довіри,

усі ті діти, що намагалися розвести її на любов,
навіть те єдине, якого вона не змогла народити,

усі ті домашні улюбленці і кімнатні рослини, що довго
не витримували в її присутності жити, –

вони не дозволять їй зіскочити на ходу
вийти сухою з води, змінити якесь із правил

бо той, хто веде її на мушці, немов межу
між голим і голубим, між праведним і невправним,

хто змішує на полях чорноземи і сніги,
хто схрещує навмання лінії на руці,

хто мочить тебе щодня, як булку у молоці,
виносить тебе на поверхню, як потопельця вода

хто ставить тобі шах-мат, приносить тобі киш-миш,
хто грає в тобі пінг-понг (хіба ти не чуєш цей стук), –

та все-ж він виводить її з оточення дальніх і ближніх,
із різних рядів і лав, з лавсторі, з обіймів, із рук

хоч знає, що не довести – немає шляхів простих
і доки ще стих не стих над нею й копають яму

із пам'яті темних плахт та інших матерій тонких,
виводить її таки,
виводить її, як пляму

PIOTR MACIERZYŃSKI

(1971) – Poet, veröffentliche seine Gedichte u. a. in den Zeitschriften "Studium", "Lampa", "Kwartalnik Artystyczny", "Akcent", "Ha!art" und "Opcje". Gab die Bände *Danse macabre und andere Arten der Freizeitgestaltung* (2001), *tfu, tfu* (2004), *Rückstösse* (2007) sowie *Aufgabensammlung zur Chemie und Metaphysik* (2009) heraus. Die präsentierten Gedichte stammten aus dem Band *Eine Anthologie von SS-Gedichten* (Krakau, 2011), der Impressionen zum Thema Holocaust aus der Perspektive der Opfer und Täter enthält.

Kontakt: www.piotrmacierzynski.republika.pl

PIOTR MACIERZYŃSKI (1971) – poeta, publikował wiersze między innymi w pismach "Studium", "Lampa", "Kwartalnik Artystyczny", "Akcent", "Ha!art", "Opcje". Wydał tomiki *Danse macabre i inne sposoby spędzania wolnego czasu* (2001), *tfu, tfu* (2004), *Odrzuty* (2007), *Zbiór zadań z chemii i metafizyki* (2009). Prezentowane wiersze pochodzą z tomiku *Antologia wierszy ss-mańskich* (Kraków, 2011), zawierającego impresje na temat Holocaustu z perspektywy ofiary i sprawcy.

Kontakt: www.piotrmacierzynski.republika.pl

xxx

in der schule wurden antikes latein
und andere unnütze dinge abgefragt
aber uns wurde nicht beigebracht wie man sich
in einem konzentrationslager verhält
statt einer eins in geographie
hätte ich lieber gewusst wie man kartoffeln stiehlt
alles was ich gelernt habe ist hier nutzlos
oder wird anders verstanden
die ärzte muss man fürchten
verbrecher üben die funktion von vorgesetzten aus
es gilt von der eigenen intelligenz abzulenken
wie von nicht gemachten hausaufgaben
stets halten wir die andere wange hin
wir sind eine einzige andere wange
vor dem krieg haben die kameraden der hj uns gewarnt
dass unser unterrichtssystem zu nichts tauge
hätte ich eine zwei plus im klauen von lebensmitteln
ein ausreichend fürs flüchten
würde ich mich ausgezeichnet prügeln
und wäre ich imstande ansteckende krankheiten zu meiden
bekäme ich die beförderung ins morgen

bisher habe ich das abitur im leichenwegtragen bestanden
und ich tue alles
um nicht selbst gegenstand
des examens zu werden

diejenigen die diese reife erreicht haben
werden zur strafe nie die prüfung
in religion ethik und schönheit ablegen können

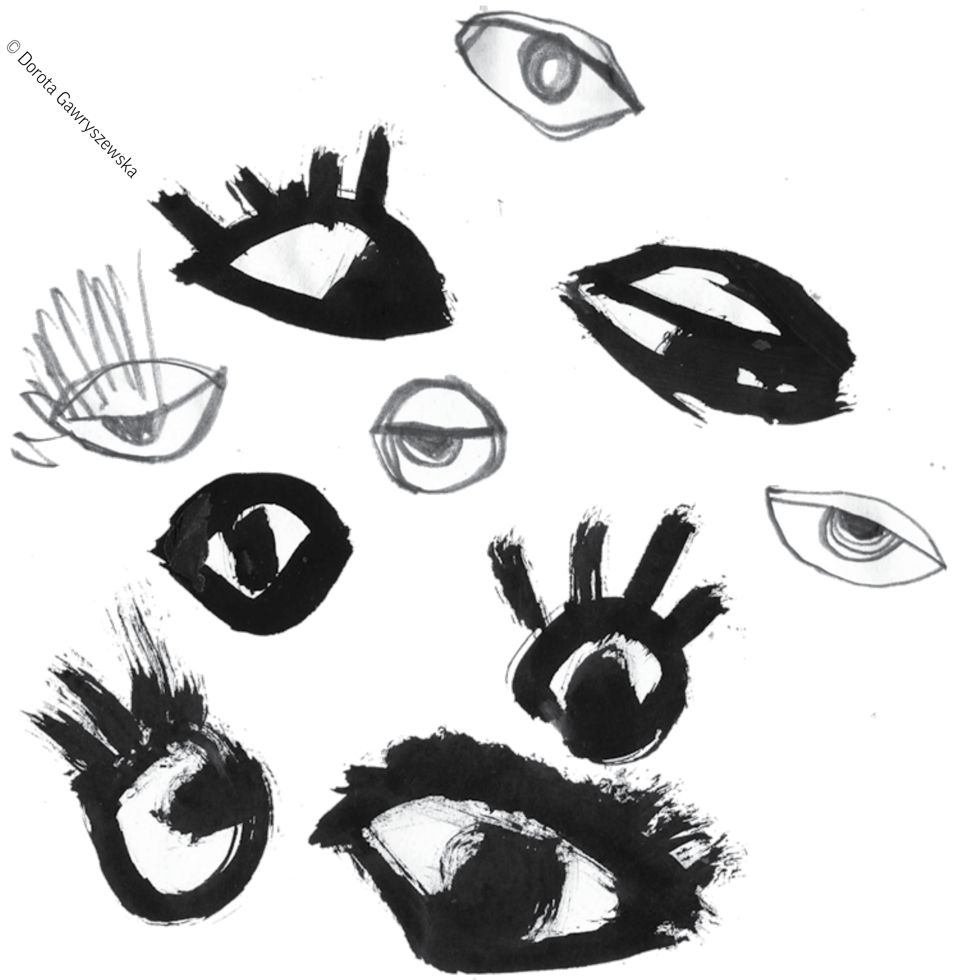


xxx

w szkole odpytywano nas z antyku łaciny
i innych niepotrzebnych rzeczy
nie uczono nas jak się zachowywać
w obozie koncentracyjnym
zamieniłbym piątkę z geografii
na umiejętność kradzieży ziemniaków
wszystko co wiem jest tu niepotrzebne
albo rozumiane inaczej
lekarzy trzeba się bać
kryminaliści pełnią funkcję przełożonych
z inteligencją należy się ukrywać
jak z nieodrobioną lekcją
ciągle nadstawiamy drugi policzek
cali jesteśmy zbudowani z drugiego policzka
jeszcze przed wojną koledzy z Hitlerjugend ostrzegali
że nasz system nauczania jest do luftu
gdybym umiał kraść żywność na cztery z plusem
uciekać na dostateczny
bić się na piątkę
i unikać chorób zakaźnych
dostałbym promocję do jutra

na razie zdałem maturę z wywożenia trupów
i robię wszystko
żeby nie stać się przedmiotem
egzaminu

ci którzy dorośli do tej dojrzałości
za karę nigdy nie będą mogli zdawać
z religii etyki i piękna



© Dorota Gawryszewska

Rozrywki obozowe

zrobiłem sondę wśród współwięźniów
czy wierzysz w nasze ocalenie
i z wyników mogli być zadowoleni
jedynie wartownicy

pytałem też czy istnieje Bóg
wśród tych co trwają w obozie od kilku miesięcy
Bóg się nie uchował
nowi wierzyli z dawnego rozpędu

zadałem pytanie czy zabiłbyś za pajdę chleba
i uzyskałem taką zgodność
jakiej oczekuje się na zebraniach
gdy pada pytanie czy wspomógłbyś kalekie dzieci

oczywiście sfałszowałem dane
ale i tak trudno było zasnąć

Lagerzeitvertreib

ich hatte eine umfrage unter den mitgefangenen gemacht
glaubst du an unsere errettung
und mit den ergebnissen zufrieden konnten
einzig und allein die wärter sein

ich hatte auch die frage gestellt existiert Gott
unter denen die seit mehreren monaten im lager einsaßen
hatte Gott nicht überdauert
die neuen glaubten noch aus alter gewohnheit

ich hatte wissen wollen würdest du für eine scheibe brot töten
es herrschte eine derartige einmütigkeit
wie man sie auf versammlungen erwartet
wenn gefragt wird würdest du behinderten kindern helfen

natürlich hatte ich die daten gefälscht
aber auch so fiel es schwer einzuschlafen

XXX

kurioserweise werden zum appell auch die toten getragen
obwohl das keine feierstunde für die gefallenen ist
die zahl muss stimmen wir stehen angefangen vom größten
die leichen dürfen liegen
und müssen nicht arbeiten

neben dem ersten krematorium ist ein sportplatz
die ss-männer und das sonderkommando spielen
das genaue spielergebnis werden wir nie erfahren

für das lesen eines buches gibt es zwanzig tage
bunkerhaft natürlich ohne die möglichkeit
das buch zu ende zu lesen

die dosen mit zyklon bringt ein fahrzeug
mit einem roten kreuz
greise krüppel und psychisch kranke können mit hilfe rechnen
beim ausziehen zuunterst liegen die säuglinge
die kinder etwas höher die frauen
oben die männer
die zusätzliche minuten der qual gewonnen haben
im moment des gastods entleeren sich alle
damit sind reichlich probleme verbunden
deshalb werden die toten körper mit wasser übergossen
anschließend müssen sie noch auseinandergerissen werden
denn sie bilden einen vollgekotzten gordischen knoten

als zukünftiger zahnarzt könnte ich mich darauf verlegen
den leichen die goldenen zähne auszureißen

die bei den leichen arbeiten haben privilegien
sie leben kürzer und können sich zweimal täglich baden

morgens schien es mir als gäbe es eine grenze ab der der schmerz unerträglich
wird
eine gemeinheit die ich nicht tun werde
abends müssen die grenzen neu gezogen werden

bis morgen muss ich mich entscheiden
ob ich mich eigne für die arbeit im sonderkommando



taka ciekawostka że do apelu przynosi się również zmarłych
choć nie jest to apel poległych
liczba musi się zgadzać my stajemy od najwyższego
trupy mogą leżeć
i nie muszą pracować

obok pierwszego krematorium jest boisko
grają esesmani i Sonderkommando
nigdy nie poznamy dokładnego wyniku

za czytanie książki jest dwadzieścia dni
w bunkrze oczywiście bez możliwości
doczytania do końca

puszki z cyklonem przywozi samochód
oznaczony Czerwonym Krzyżem
starcy kaleki i psychicznie chorzy mogą liczyć na pomoc
podczas rozbierania na spodzie leżą niemowlęta
dzieci trochę wyżej kobiety
na górze mężczyźni którzy wygrali
dodatkowe minuty męczarni
w chwili gazowej śmierci wszyscy się wypróżniają
jest z tym sporo kłopotu
dlatego ciała polewa się wodą
potem trzeba je jeszcze porozrywać
bo tworzą obrzygany gordyjski węzeł

jako przyszły dentysta mógłbym się specjalizować
w wyrywaniu trupom złotych zębów

ci co pracują przy zwłokach mają przywileje
żyją krócej i mogą się kąpać dwa razy dziennie

rano wydawało mi się że jest granica bólu którego nie wytrzymam
podłość której nie zrobię
wieczorem granice trzeba wytyczać na nowo
do jutra mam podjąć decyzję
czy nadawałbym się do pracy w Sonderkommando

xxx

ob ich einen Juden verstecken würde
ich hätte vermutlich nicht den mut dazu
selbst wenn es eine hübsche Jüdin wäre

mein leben gefährden für einen stinkenden typen
der an einen verprügelten hund erinnert
und der im ghetto für ein stück brot zu allem fähig war
was nicht heißt dass man ihm trauen darf
nicht einmal wenn er mit dem schwanz wedelt

was hat die menschen veranlasst Juden zu retten
trotz
die liebe zum risiko
ein an vorstellungslosigkeit grenzendes mitleid

würde ich riskieren wollen
das dichten und die probleme mit der freundin
gegen ein konzentrationslager einzutauschen
wie würde ich das mutter erklären

außerdem wo sollte er schlafen
würde sein husten uns nicht verraten
wie würde ich für seinen unterhalt aufkommen
würde ich nicht allzu einfach eine ausrede finden

[Aus dem Polnischen von Andreas Volk]

xxx

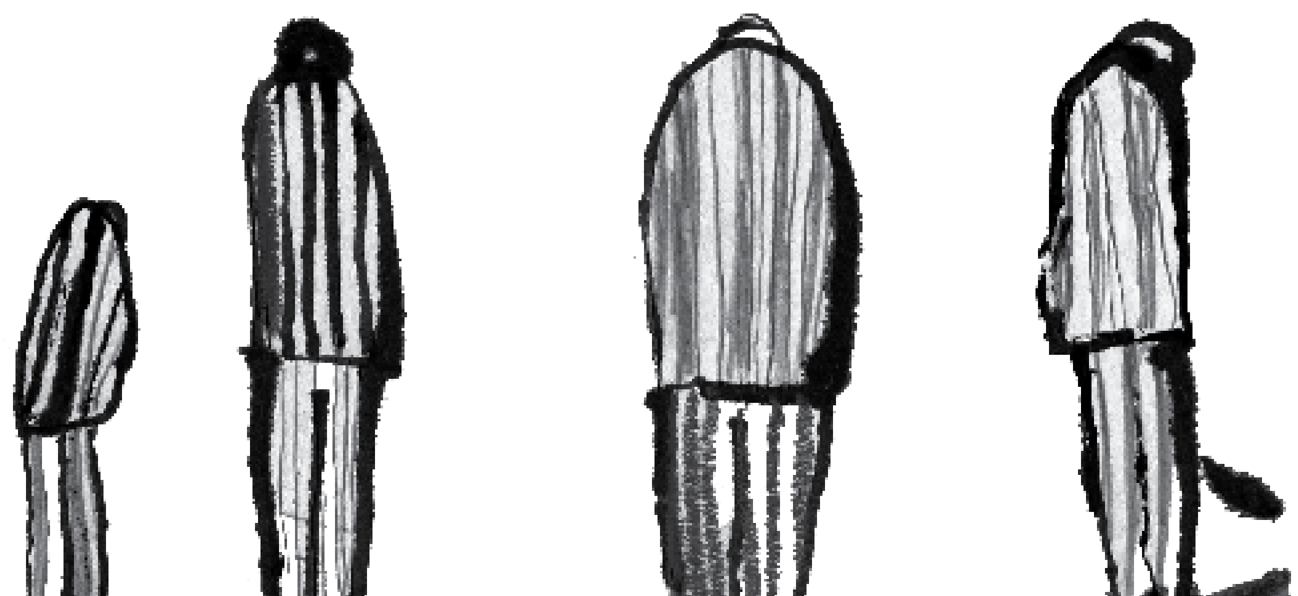
czy ukrywałbym Żyda
chyba nie miałbym odwagi
nawet gdyby chodziło o ładną Żydówkę

jak narażać życie dla śmierdzącego faceta
przypominającego pobitego psa
który w getcie był zdolny zrobić wszystko za kawałek chleba
co nie znaczy że można mu zaufać
nawet gdy merda ogonem

co kierowało ludźmi ratującymi Żydów
przekora
miłość do ryzyka
litość granicząca z brakiem wyobraźni

czy chciałoby mi się zaryzykować zamianę
pisania wierszy i problemów z dziewczyną
na obóz koncentracyjny
jak wytłumaczyłbym to matce

poza tym gdzie by spał
czy nie zdradziłby nas jego kaszel
za co bym go utrzymywał
czy zbyt łatwo nie znalazłbym wymówki



© Dorota Gawryszewska

MARYJA MARTYSIEVIČ

(1982) – Lyrikerin und Journalistin. Stipendien: *Homines Urbani* (Villa Decius, Krakau), *International Writing Program* (Universität Iowa, USA). Als Journalistin tätig für „Novy čas“ und das Medienmagazin „34mag.net“. Als Essayistin und Lyrikerin an zahlreichen internationalen Kulturfestivals beteiligt. Gedichte und Essays erschienen in ukrainischer, tschechischer, slowakischer, litauischer, deutscher und russischer Übersetzung. In Belarus Veröffentlichungen in den Zeitschriften „ARCHE“, „Dziejasłoŭ“, „pARTisan“. Autorin von *Die Drachen fliegen zum Laichen: Essays in Prosa und Versen* (2008) sowie *Ambasada: Essays in Prosa und Versen* (2011).
Der Zyklus *Barbara Radziwills Livejournal* wurde im Internet unter der Adresse www.barbara_r.livejournal.com veröffentlicht. Ausgewählte Gedichte fanden in *Der Zauberspiegel des Herrn Twardowski* im Puppentheater Hrodna Verwendung.

Kontakt: maryjka.m@gmail.com

МАРЫЯ МАРТЫСЕВІЧ (1982) – паэтка і журналітска. Стыпендыятка *Homines Urbani* (Таварыства Villa Decius Кракаў) і *International Writing Program* (Універсітэт Аявы, ЗША). Як журналітска сцупрацоўнічае з газетай „Новы час” і мультымедыя часопісам „34mag.net”. Як эсэістка і паэтка ўдзельнічала ў шэрагу міжнародных фестываляў культуры. Яе вершы і эсэ перакладаліся на ўкраінскую, чэшскую, славацкую, польскую, літоўскую, нямецкую, рускую мовы. У Беларусі публікуецца ў часопісах „ARCHE”, „Дзеяслоў”, „pARTyzan”. Аўтар кніг *Цмокі лятуць на нераст: эсэ ў вершах і прозе* (2008) і *Амбасада: эсэ ў вершах і прозе* (2011). *Інтэрнэт-дзёньнік Барбары Радзівіл* упершыню был апублікаваны онлайн, па адрасе www.barbara_r.livejournal.com. Вершы з паэмы гучаць у спэктаклі *Магічнае люстра пана Твардоўскага* Гродзенскага тэатру лялек.

Кантакт: maryjka.m@gmail.com

BARBARA RADZIWILLS LIVEJOURNAL

(Aus dem Blog der barbara_r)

1.

Von Jahrhunderten zerfetzt: das Tarot
der alten Chasarin. Wieder schmink ich
im Lift meine Lippen, flitze zur Metro
und lass mich verschlingen, elektrisch.

Der Automat, ein Tüftler, Klugscheißer,
spuckt mir verächtlich das Geld entgegen.
Die Chasarin prophezeite Kissen, weiße.
Einen Priester. Und der Tod steht daneben.

Warschau (auf dem Weg nach Heranjony) 1542

[Aus dem Belarussischen von Uljana Wolf]

BARBARA RADZIWIL'S LIVEJOURNAL

(урыўкі з інтэрнэт-дзёньніку barbara_r)

1.

Зацертае стагодзьдзямі таро
сівой хазаркі. Зноў фарбую вусны
у ліфце і лячу ў сваё мэтро,
і праглынае электрычны вусень,

і банкамат, мудруючы, круцель,
пагардліва выплёўвае гатоўку.
Хазарка прадказала мне пасьцель.
І сьвятара. І менціць сьмерць літоўку.

Варшава (па дарозе ў Геранёны) 1542 г.

2.

Ich stand mit den Schlüsseln zum Haus
an der mächtigen Schwelle,
übereignete bloß seinem Sachwalter
Kammern und Zellen.
Als er eintrat,
geriet ich in plötzliche Glut.
Und er sagte,
Schwarz stehe mir ausnehmend gut.

Ich schnappte nach Luft,
als wär ich im Hochgebirge,
sprach über Bekannte und Wetter
mit Hängen und Würgen.
In den Nischen liebten sich Raben
und schlugen Radau.
Und er sagte,
er habe eine schwerkranke Frau.

Ich trat vor die Tür,
irrte völlig konfus durch den Park,
fand nicht mehr in den Schlaf
und las nächtelang nur noch Petrarca.
Zu Weihnachten erst wäre die Zeit
meiner Witwentrauer vorbei,
und er sagte
mit Worten und Rosen, wie reizend ich sei.

Ich hörte nicht, worüber der Priester
am Mittagstisch sinnierte,
ich legte nur Hand neben Hand
und schlug ängstlich die Augen nieder.
An den Scheiben das zarte Geschnäbel
der Raben.
Und er sagte,
er wolle das Schlafzimmer nachts offen haben.

Heranjony 1542

[Aus dem Belarussischen von Thomas Weiler]

2.

Я стаяла з ключамі
на ганку вялізнага дома,
я здавала каморы і клеці
яго аканомам.
Калі ён увайшоў,
мяне як абдало варам.
А ён сказаў,
што чорнае мне да твару.

Я ня мела чым дыхаць,
нібы на высокіх стромах,
ледзь адказвала пра надвор'е
й агульных знаёмых.
Крумкачы кахаліся ў нішах
і каркалі звонка.
А ён сказаў,
што ў яго дома хворая жонка.

Я выходзіла вонкі
й бязмэтна блукала ў парку,
раптам страчвала сон
і чытала начамі Пэтрарку.
Мне было яшчэ да Раства насіць
жалобу па мужы,
А ён сказаў,
што я пекная, і падарыў ружу.

Я ня чула, аб чым разважаў
за абедам пробашч,
я баялася ўзьняць вочы
і клала далонь побач.
У шыбы пяшчотна грукалі дзюбамі
крумкачы.
А ён сказаў,
каб не замыкала спальню ўначы.

Геранёны 1542 г.

3.

Mein Sigismund, mein junger Shykgimont
geht in die Welt mit seinem Teenie-Krieg
mit einem Iro schockt er die beau monde
und damit, dass ich bei ihm lieg.

Mein Sigismund wird rot, wenn er das Wort
Oralsex hört; er hat vor seiner Mutter Angst,
vor ihren Partys auf Schloß Pazew, dort
vor den Familienlügen beim Gesandtentanz.

Mein Shykgimont – sein spitzes „k“ und „g“
in meinem Mund ist wahre Liebe, Knalleffekt.
Mon petit prince, je suis très fatiguée
O Sigismündchen, lass uns gehn, ums Eck ...

Mein Sigismund hat eine große Gabe,
sein Zepter wird Geschichte schreiben.
Einstweilen aber eilt mein stolzer Knabe
auf Zehenspitzen, um bei mir zu bleiben ...

Denn eines lässt sich nicht mehr drehn
(die Leute denken sichs im Stillen nur):
in mir hat man den Sigismund gesehn
als kleine, scheue Zellstruktur.

Wilna 1547

[Aus dem Belarussischen von Uljana Wolf]

3.

Мой Жыкгімонт, мой юны Жыкгімонт
ідзе на сьвет падлеткавай вайною,
кранальна эпатуючы beau monde
кіслотнаю фрызураю і мною,

Мой Жыкгімонт саромеецца слоў
“аральны сэкс”, і так баіца маці,
ёй хлусячы пра соймы і паслоў,
калі ў палацы Пацаў зноўку party.

Мой Жыкгімонт – завостранае “кг”
Бы выбух у каханьнем поўным роце.
O mon petit prince, je suis très fatiguée
Хадзем ад іх, мой любы Жыкгімонце...

Мой Жыкгімонт – у ім адметны дар
яго ўладарства станецца эпохай,
ну а пакуль мой слаўны гаспадар
сьпяшае да мяне таемным лёхам,

бо ёсьць адно, што болей не міне,
пра што пакуль што думаецца ўпотай:
мой Жыкгімонт ужо жыве ўва мне
маленькай сарамліваю зыкготай.

Вільня 1547 г.

5.

Das wärs dann. Die Streitaxt liegt nicht weit vom Stamm.
Das Gift in den Adern. In der Luft – Bedrohung.
Ich bin verzweifelt, als erfahre jedes Milligramm
Rosenblüten auf der Erde seine Veräußerung.

Das Buch indessen hat nur ein Haupt,
und selbst das hab ich noch nicht mal ausgelesen,
die Liebe, auch diese wartet darauf,
dass ich sie endgültig zur Seite lege.

Ganz gleich, ob sich Freunde am Herd versammeln,
du liegst mit zugeschnürter Brust danieder.
Sie werden kommen. Diesen Gefallen
machst du mir nicht, dennoch, du denkst an mich, hin und wieder.

Das wärs dann. Gott bediente – Shift.
Ist wohl besser so. Schluss mit dem ewigen Umgarnen.
So nimmt eine Mutter vor dem Eingang zum Lift
besorgt ihr Kind auf die Arme.

Die Straße gleißt frostig. Der Wald
wirft uns noch alle irgendwann um.
Sagen Sie, der Himmel, kommt der bald?
Fahr doch nach Golgatha. Dann bis Grodno – bis zur Aufforstung.

„Dzień dobry, Guten Tag",
sagt der Grenzbeamte, „Pässe bereithalten,
hier ist der Grenzübergang,
und schon mal auf der richtigen Seite entfalten."

„Mutter, verstehst du, warum sagen die das
Dzień dobry? Wie soll man das verstehen?
Jetzt ist es dunkel und tiefe Nacht."
„Töchterchen, weil es bei denen
immer hell ist – wie am Tag."

Krakau, 8. Mai 1551

[Aus dem Belarussischen von Martina Jakobson]

5.

Ну вось і ўсё – сякера пры камлі.
Па жылах разьліваецца атрута.
Мне роспачна, нібыта на зямлі
ля кожнае прысады вяне рута.

Ля ложку распачатае чытво –
адно недачытанае каханьне.
Сьвет – кніга, й крыўдна пакідаць яго,
спыніўшы на сярэдзіне чытаньне.

Цікава, ці наведаюць браты
хоць раз, калі пліта прыцісьне грудзі?
Бо ён, які ня прыйдзе да пліты,
мяне, на жаль, ніколі не забудзе.

Ну вось і ўсё – Гасподзь націснуў Shift.
Далей – лягчэй. Больш не пужаюць мукі,
нібыта мама пры ўваходзе ў ліфт
абачліва бярэ з вазка на рукі.

І аўтабан, зіхоткі ад імжы,
заблытвае дзясяткам вострых брамак.
– Прабачце, як даехаць да мяжы?
– Зьезд на Галгофу. Гродзенскі напрамак.

– Dzień dobry,
rajska stzaż graniczna.
Proszę państwa o przygotowanie paszportów,
i otworzenie ich na zdjęciach.

– Мамачка, а чаму
яны кажуць "Дзень добры"?
Зараз жа цёмна і ноч.
– А ў іх, дачушка, заўсёды,
бы ўдзень, сьветла.

Кракаў 8 траўня 1551 г.

VITAL RYŽKOŬ

(1986) – belarussischer Lyriker, Übersetzer aus dem Englischen und Ukrainischen. Ausgezeichnet mit dem „Załaty apostraf"-Preis der Zeitschrift „Dziejasłoŭ" (2008), Shortlist im Wettbewerb des Belarussischen PEN-Zentrums zum 100-jährigen Bestehen der Zeitschrift „Naša Niva" sowie im Carlos-Sherman-Wettbewerb, Gewinner des Poetry Slam beim Festival „Beresnsewi Koty-4" (Uzhhorod, Ukraine), ausgezeichnet mit dem Maksim-Bahdanovič-Debüt-Preis für den *Lyrikband Verschlossene Türen*. Gedichte erschienen u.a. in den Zeitschriften „Maładość", „Dziejasłoŭ", „Naša Niva" und „Novy čas". Teilnahme an den Literaturfestivals „Paradak słoŭ" (Minsk, 2006-2010), „Kyjiwski Lawry" (Kiew, 2008) und weiteren Literaturveranstaltungen in Belarus, Russland und der Ukraine.

Kontakt: ryzhkou@gmail.com"ryzhkou@gmail.com

ВІТАЛЬ РЫЖКОЎ (1986) – беларускі паэт, перакладчык. Ляўрэат прэміі часопіса „Дзеяслоў" „Залаты апостраф" (2008), фіналіст конкурсаў Беларускага ПЭН-цэнтру да стагодзьдзя газэты „Наша Ніва" (2006), конкурсу імя К. Шэрмана (2009), пераможца слэму фэстывалю Березневі „Коти-4" (г. Ужгарад, Украіна), ляўрэат прэміі Дэбют імя М. Багдановіча за кнігу паэзіі *Дзьверы, замкнёныя на ключы*. Вершы друкаваліся ў часопісах „Маладосць", „Дзеяслоў", штотыднёвіках „Наша Ніва", „Новы час" ды інш. Удзельнік літаратурных фэстываляў „Порядок слов" (Менск, 2006-2010), „Кіеўскія Лаўры" (Кіеў, 2008) і іншых літаратурных мерапрыемстваў у Беларусі, Украіне, Расеі. Перакладае з ангельскай і ўкраінскай моў.

Кантакт: ryzhkou@gmail.com

verschlossene türen

die alte verlor den verstand. der alte
verliert gehör und gesicht. seinen kummer
posaunt er in den hörer. der zufall
diktiert ihm dabei die nummern.

die tochter erreicht er nur selten. die tochter
eist sich los, um ins dorf zu rasen,
räumt auf und bittet, wartet doch.
ansonsten hat sie nichts zu sagen.

sie kocht für den alten. seufzt. legt sich hin,
kann nicht schlafen. der kummer nagt:
die mutter, immerhin.
am morgen fährt sie wortlos in die stadt.

die alte sieht sich jung. erkennt nur
den alten, die tochter, den fernsehsprecher …
befremdet beguckt sie die enkel. retour
geht es nicht besser.

altern ist unheilbar, sagt ein verwandter,
arzt im kreiskrankenhaus.
die fakten sind ihm bekannt,
er weicht der verantwortung aus.

abends werden die türen verschlossen.
der alte liest laut, hält seine märchenstunde.
nachts schweigt das radio. auch alles sonst,
bis auf den hund.

2009

дзверы, замкнёныя на ключы

старая страціла розум. яе стары
хутка губляе зрок. і слых. на ўсё наваколле
па тэлефоне намякае на рознае. нумары
збольшага выпадковыя.

зрэдку дазвоньваецца дачцэ. дачка
зрываецца з працы, прылятае ў вёску,
прыбіраецца ў хаце, просіць яшчэ пачакаць.
болей нічога не просіць.

гатуе старому. ўздыхае. кладзецца спаць,
ёй падоўгу не спіцца. такое гора:
усё-такі ж маці.
ранкам моўчкі з'язджае ў горад.

старая бачыць сябе маладой. пазнае
толькі старога, дачку, вядоўцу з тэлепраграмы...
дзіўна глядзіць на ўнукаў. яны на яе
таксама.

старасць не лечыцца, кажа сваяк,
урач абласной бальніцы.
ён, улічваючы гэты факт,
браць на сябе адказнасць баіцца.

увечары дзверы замкнёныя на ключы.
стары ўголас чытае, пераказвае байкі.
радыё па начах маўчыць. увогуле ўсё маўчыць,
акрамя сабакі.

2009



Die heilige Wahrheit

Heute, Gott, lachten deine Ikonen.

Batjuschka Michail von der Kirche der Heiligen drei Hierarchen
wurde wegen Trunkenheit am Steuer von einem Verkehrspolizisten gestoppt
(einem ganz jungen, im Militärjargon hieße er „Geist“);
aus dem Revier im Lenin-Bezirk – zum Glück um die Ecke –
wurde eine zweiköpfige Polizistenkommission hinzugezogen,
Vater und Sohn.

Batjuschka Michail verflucht alle drei im Namen des Herrn
Batjuschka Michail verspricht ihnen eine heiße Höllenfahrt
Batjuschka Michail versteht sich als heiligen Wagenheber
er nimmt sich den Polizisten zur Brust und hebt ihn näher zu Gott.
Es sieht danach aus, als wolle er nicht aufs Revier

der riesige Pope schüttelt den Bart
der Popen-Hüne wehrt sich gegen die Handschellen
sie bekommen den Kirchenmann kaum in den Wagen
endlich fahren sie

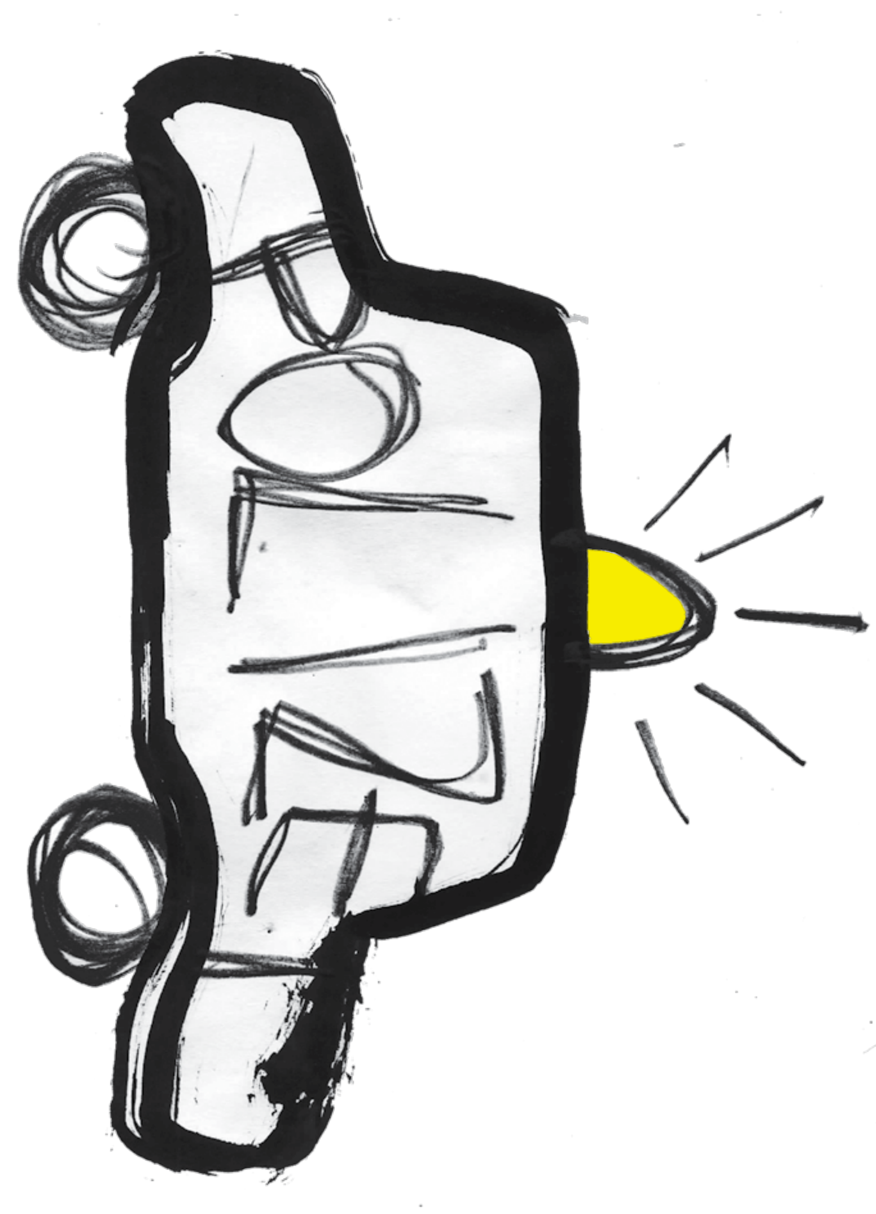
Batjuschka Michail sitzt für gewöhnlich ganz vorne
Batjuschka Michail fühlt sich indisponiert
Batjuschka Michail schiebt ein Bein in den vorderen Wagenteil
und tritt den Fahrer und den Beifahrer-Polizisten,
verhasste Söhne der Orthodoxie, verfluchte verstoßene Missgeburten

der Wagen hält an
man fesselt dem Popen die Beine mit einem Lederriemen
der Wagen fährt aufs Revier

danach wird es selbstredend langweilig
Durchsuchung, Verhör, Protokoll
Vater, Sohn und Geist-Polizist, ihr alleiniges Wollen und Wirken ist Liebe
und der Anruf von oben, die Sache schnell fallen zu lassen und alles zu vergessen

Dank sei dir, Gott, für Tränen und Lachen,
für Leben und Liebe, für Freiheit und Wahrheit
für das Läuten von St. Nikolai und den Heiligen drei Hierarchen
für die pünktlichen Anrufe von oben

2008



Святая праўда

Сёння, Божа, іконы твае смяяліся.

Праваслаўны бацюшка Міхаіл Царквы Трох Свяціцеляў
за стырном у нецвярозым стане спынены супрацоўнікам ДАІ
(зусім яшчэ маладзенькім, па вайсковых панятках – духам);
з Ленінскага РАУСа – як добра, што ён недалёка, –
выкліканая на асведчанне камісія з двух міліцыянтаў,
бацькі і сына.

бацюшка Міхаіл кляне ўсіх трох імем Госпада
бацюшка Міхаіл абяцае ўсім гарачыя пуцёўкі ў Пекла
бацюшка Міхаіл адчувае сябе святым дамкратам
ён бярэ загрудкі міліцыянта і ўздымае яго бліжэй – да Бога.
таму складаецца ўражанне, што ён не хоча ў аддзяленне

вялізны святар трасе барадой
бамбіза-святар не дае начапіць кайданкі
супрацоўніка царквы ледзь запхнулі ў машыну
урэшце едуць

бацюшка Міхаіл прызвычаіўся на пярэдніх месцах
бацюшка Міхаіл адчувае няёмкасць
бацюшка Міхаіл прасоўвае нагу ў пярэднюю частку машыны
і пі..дзіць, пі..дзіць ёй кіроўцу і пасажыра-міліцыянта,
нялюбых сыноў праваслаўя, клятых анафемскіх вырадкаў

машына спыняецца
бацюшку звязваюць ногі скураным рамянём
машына едзе да аддзялення

зрэшты, тое, што было далей, зразумела і нецікава
вобшук, допыт, складанне актаў
бацька, сын і дух-даішнік і іх адзіная воля і справа – любоў
і званок, каб хутчэй прыпынялі справу і ўсё забылі, ад некага зверху

дзякуй, Божа, за слёзы ад смеху,
за жыццё і любоў, за свабоду і праўду
за званы Падніколля і Царквы Трох Свяціцеляў
за своечасовыя тэлефанаванні зверху

2008

schwarz-weiß-gedicht

... wer tyrannen oder autokraten ans leben will,
wird – zurecht – nicht von allen als held betrachtet,
die propaganda des bösen lässt keine wahl,
so wenig wie andere waffen.

das böse wird sich nicht für böse befinden,
gedanken über zweck, mittel, fruchtlose zusammenhänge ergeben
das altbekannte: das böse braucht ständig für seine sünden
den bock, den schwarzen peter

erklärt ihn zum bösen, schießt quer,
macht ihn kaputt, erklärt ihm die welt, als wäre er blind.
für das gute ergibt dieses spiel, hin und her,
keinen sinn,

denn das gute wird automatisch böse nach der bezwingung
des bösen; der sieg ist die niederlage des guten.
und die wahrheit ist das gewissen, geknüpft zur schlinge
um den hals des stummen.

wahrheit ist der lappen, den man dir um die ohren schlägt.
wahrheit ist der werbeartikel, der auf die nerven geht.

wahrheit ist pathetisch naiv, mit wechselndem habitus.
wahrheit ist die verhuschte mitschülerin, die gefallen muss.

solange das böse die wahrheit missbraucht, sie dem guten zu willen
sein muss, ist die chance auf führung versiebt,
wahrheit ist deine halbblinde lehrerin,
die selten nachhilfe gibt,

selten bringt sie die geistig lahmen
durchs examen.

2009

чорна-белы верш

...тых, хто замахваўся на тыранаў ці аўтарытарных лідараў,
далёка не ўсе – і справядліва – лічылі героямі,
бо прапаганда зла не пакідае выбару,
як і любая зброя.

вядома, зло сябе не залічыць да зла,
але з думак пра мэты, сродкі, іх спалучэнні марныя
вынікае старое: злу пастаянна трэба знаходзіць казла
ахвярнага,

злом абвяшчаць яго і яму ствараць перашкоды,
зломваць, тлумачыць свет, як сляпому.
дабру ўсе гэтыя гульні з перацягваннем коўдры
весці без понту,

бо дабро робіцца злом пасля перамогі над злом
аўтаматычна; параза дабра – перамога.
а праўда – гэта сумленне, сцягнутае вузлом
на шыі нямога.

праўда – тое, чым лупяць па твары, нібыта анучай.
праўда – рэкламны тавар, які надакучвае.

праўда – наіўная і пафасная, са зменлівай інтанацыяй.
праўда – зацюканая аднакласніца з прагаю падабацца.

і пакуль зло карыстае праўду, а дабро карыстаецца
праўдай, ёй не выпадае шанцаў на лідарства,
праўда – твая паўсляпая настаўніца,
што зрэдку бярэ рэпетытарства

і падцягвае па прадмеце тых, каму не хапае спрыту,
да выпускнога іспыту.

2009



© Dorota Gawryszewska

Einsames Gedicht

Ich ramme den Kopf an die glatte Wand –
ich spreche nicht mit dem Schatten.

Im Grunde ists gleich, obs weiter regnen will –
sag ich der Wand durch die Stirn, sonst ist hier ja keiner.
Meine Einsamkeit lässt sich nicht vage beschreiben. Ich bin
so alleine,

dass der Sieben-Zigaretten-Pfad zielstrebig
durch die leere Straße und das Haus führt, wo deine
Fenster wissen, du bist weit; das lässt mich eben
so alleine.

Worte bieten kein Obdach, es gibt doch mehr Nerven
als Worte … In Zeichensprache
erklär ich dem Schatten: Es ist nicht zu ändern.
Er zuckt die Achseln.

2008

[Aus dem Belarussischen von Thomas Weiler]

Адзінокі верш

Ілбом грукаю ў сцены –
замест дыялогу з ценем.

Прынцыпова ўсё роўна, скончыцца дождж ці не –
тлумачу ілбом сцяне, бо нікога навокал.
І нельга маю адзіноту прыкінуць на вока. Мне
так адзінока,

што маршрут у сем цыгарэт пралягае праз
бязлюдную вуліцу і твой дом, дзе й вокны
ведаюць, што ты далёка; і таму якраз
так адзінока.

І нельга схавацца за словы, бо словаў менш,
чым нервовасці… Умоўнымі знакамі
ценю тлумачу: нічога не зменіш.
Яму абыякава.

2008



Daria Awertschenko Roman Bondartschuk Alla Tiutiunnyk
Дар'я Аверченко Роман Бондарчук Алла Тютюнник

22-24 DREHBUCHAUSSCHNITTE
22–24 УРИВКИ КІНОСЦЕНАРІЮ

Fussgängerbrücke Über Den Dnjepr, Morgen. Frühherbst. Morgendämmerung. Tonja (21 Jahre alt, eine große, sportliche junge Frau mit üppigem braunem Haar) steht auf der Brüstung der Fußgängerbrücke, ihr lose gebundener Seidenschal flattert im Wind. Sie betrachtet das morgendliche Panorama der Stadt. Auf der Uferstraße fahren Autos, aus dem Tunnel kommt eine U-Bahn, von einer Reklametafel sieht sie ein SCHÖNLING an (26 Jahre alt, blond, nicht sehr groß, kleiner als Tonja), mit einem aufgesetzten Lächeln und einem Mobiltelefon in der Hand … Dann verlangsamt sich alles … Sie stößt sich von der Brücke ab und fliegt … Sie sieht sich selbst im Flug, gleichsam von der Seite. Aufschlag auf dem Wasser … Dunkel.

Uferstrasse, Morgen. Auf dem Wasser schwimmt der Seidenschal. Tonja taucht hustend und prustend aus dem Wasser auf.

Ufer, Morgen. Tonja kommt ans Ufer. Ein FISCHER (50 Jahre alt, mit rundem Gesicht, langsamen Bewegungen und abwesendem Blick) sieht sie verwundert an. Tonja wringt im Gehen ihre nassen Haare und den Rock aus.

Chaussee, Morgen. Tonja läuft zur Straße, winkt. Ein Taxi hält an – ein alter Opel, sichtlich getuned. Der TAXIFAHRER (45 Jahre alt, nicht sehr groß, füllig, flink) sieht die nasse Frau misstrauisch an. Tonja setzt sich schnell auf die Rückbank.

Tonja: Nach Darnyzja bitte.

Im Taxi, Morgen. Das Armaturenbrett ist mit Bekanntmachungen vollgeklebt: „Radiosender wechseln – 5 Hrywna." „Kaffee trinken fahren – 10 Hrywna." „Zu den Mädels bringen – 40 Hrywna." Der Taxifahrer sieht die nasse Kundin neugierig im Rückspiegel an.

Taxifahrer: Hat dich jemand gestoßen oder bist du selber?

Tonja: Selber.

Taxifahrer: *(startet)* Du hättest die Klamotten ausziehen können.

Tonja: Ich bin von der Brücke gesprungen.

Taxifahrer: Liebe?

Tonja: *(klappert mit den Zähnen)*
Ich wollte sehen, wie das ist …

Die Blicke von Tonja und dem Taxifahrer begegnen sich im Rückspiegel.

Tonja: Ich bin fast zweiundzwanzig. Und ich fühle überhaupt nichts.
Ich liebe niemanden. Ich weine nie …
Ich weiß überhaupt nicht, ob ich lebendig bin …

Taxifahrer: Und? Weißt du's jetzt?

Tonja wendet den Blick ab und sieht aus dem Fenster auf die grauen, traurigen Hochhäuser der Trabantenstadt. Sie zieht die Nase hoch und bibbert.

Tonja: Irgendwo in der Nähe passiert das wahre Leben, aber ich bin nicht da, es passiert ohne mich …

Der Taxifahrer fährt an den Straßenrand, hält an und dreht sich zu ihr um.

Taxifahrer: Willst du Kaffee?

Tonja sieht zögernd erst ihn an, dann das Preisschild „Kaffee trinken fahren – 10 Hrywna."

Taxifahrer: Ich gebe einen aus. Komm.

Strassenrand, Morgen: An dem verwilderten Rand der breiten Chaussee steht der Opel. Daneben Tonja und der Taxifahrer. An ihnen vorbei rasen ununterbrochen Autos. Weit hinter der Brache ist ein endloses Häusermeer zu sehen.
Tonja ist in eine Decke eingewickelt, der Taxifahrer gießt ihr aus seiner Thermosflasche Kaffee in eine Plastiktasse und sich selbst in den Deckel der Thermosflasche.

Taxifahrer: Vorgestern wurde von der Brücke eine wie du runtergestoßen.
Sie ist nicht ans Ufer gekommen …
Weißt du eigentlich, was du willst?

Tonja: *(denkt nach)*
Ich weiß nicht … Ich will die Welt sehen.

Taxifahrer: Dann geh arbeiten, verdien ein bisschen was und fahr los, guck dir die Welt an. Wo ist das Problem?!

Tonjas Telefon klingelt. Sie nimmt das nasse Handy aus der Tasche.

Mama: *(durchs Telefon)*
Schätzchen, warum rufst du nicht an? Ich mache mir Sorgen. Wie geht's dir?

Tonja: Könnte nicht besser sein.

Mama: Ich habe mich für einen Kurs angemeldet.
Der nächste Schritt in der Entwicklung des Menschen.
Klarer Verstand, ein Gefühl von Ruhe und Sicherheit.
Ich lerne, über Feuer zu gehen. Wenn du kommst, zeige ich's dir. Wann kommst du?

Tonja: Bald. Mach dir keine Sorgen.

Der Taxifahrer hört auf, seinen Kaffee zu schlürfen – er hat noch nie gesehen, dass ein Handy nach dem Baden funktioniert hätte.

Taxifahrer: Bist du mit dem Telefon ins Wasser gesprungen?

Tonja: Ja.

Taxifahrer: Was ist denn das, irgendein neues Modell?

Tonja: Nein, nein, meine Mutter ist bloß so – wenn's sein muss, erreicht sie einen auch unter Wasser …

Kunstakademie, Atelier, Tag. Im Kreis der Staffeleien und Studenten sitzt ein Aktmodell. Hier und da strecken sich ihm Bleistifte entgegen, mit denen die Kunststudenten seine Proportionen messen. Tonja zieht eine Bleistiftlinie auf dem Papier und verwischt sie mit dem Finger.
Es klingelt zur Pause. Tonja steht von der Staffelei auf und holt ein belegtes Brot raus.
Drei junge Frauen in farbbespritzten Monteuranzügen sitzen auf dem Fensterbrett, essen belegte Brote und baumeln mit den Beinen. Das Modell kommt auf sie zu, nur in Unterhosen und mit einer Flasche Mineralwasser, erstarrt in der Bildpose. Die Frauen lachen.
Tonja geht an den Arbeiten der anderen vorbei, auf denen verschiedene Körperteile des Modells abgebildet sind.
Ein JUNGER MANN sieht ihr nach *(21 Jahre alt, groß und dünn, mit kindlich roten Wangen und großen, grauen Augen, ein bisschen linkisch und sehr offen)*.

Kunstakademie, Flur, Tag. Tonja steht im Flur vor dem schwarzen Brett. Der junge Mann kommt dazu und stellt sich hinter sie. Tonja kaut ihr Brot und liest die Jobangebote für Studenten *(„Wir suchen junge Frauen mit attraktivem Äußeren für …")*

Junger Mann: *(leicht ironisch)*
Versuch's mal bei uns. Flexible Arbeitszeiten, Betriebsfeiern, Ausflüge ins Grüne …

Benjamin Fedorowytsch: *(ein kleiner, grauhaariger, zerzauster älterer Herr mit einem langen flauschigen Bart)* kommt den Flur entlang. Die beiden Studenten stehen stramm, nicken im ehrfurchtsvoll zu:

Der Junge Mann Und Tonja *(gleichzeitig)*
Guten Tag, Benjamin Fedorowytsch!

Werbeagentur, Tag. Tonja steht in einem schicken Büro mit weißen Ledersesseln. Überall in den Ecken stehen Vasen, Körbe und sogar Eimer mit frischen und verwelkten Rosen. Ein weißes Tischchen voller Grußkarten. Dahinter schaut die CHEFIN hervor *(eine nicht mehr ganz frische Blondine, solariumgebräunt, trägt ein Basecap, auf dem in Strasssteinchen Roberto Cavalli steht)*. Neben ihr steht der junge Mann. Vor ihnen liegen Zeichnungen – ein Kopf mit offenem Schädel, voller großer und kleiner Buchstaben und Wörter. Derselbe Kopf im Profil, von vorn, mit Bart und ohne. Aufschrift: „Magst du scharfe Gefühle?"

Chefin: *(wirft Tonja einen flüchtigen Blick zu und vertieft sich wieder in die Zeichnungen)*
Ich habe zu tun.

Tonja: Ich heiße Antonina. Ich studiere an der Kunstakademie. Ich kann besser zeichnen als das da (sie deutet auf den offenen Schädel). Ich möchte arbeiten. Bei Ihnen.

Tonja nimmt ihre Zeichnungen aus der Mappe und legt sie auf den offenen Schädel. Die Chefin hebt den Kopf und mustert Tonja von oben bis unten.

Chefin: *(wirft keinen Blick auf die Zeichnungen, spricht wie mit sich selbst)*
Vielleicht … als Assistentin.

Tonja ist sichtlich enttäuscht, sie zögert. Die Chefin bemerkt ihr Zögern.

Chefin: Wir brauchen keine Künstler. Wir brauchen Leute, die anpacken. Denk mal etwas bescheidener.

Tonja: Meine Oma hat immer gesagt: Bescheidenheit haben die Angsthasen erfunden.

Chefin: Wie, wie? Haben die Angsthasen erfunden?
(zu dem jungen Mann) Schreib das mal auf, vielleicht können wir's irgendwo gebrauchen …

Die Chefin bedeutet dem jungen Mann mit einer Geste, dass er die Arbeiten vom Tisch räumen soll. Er nimmt die Arbeiten zusammen und geht. Die Chefin zeigt auf einen Sessel.

Chefin: Setz dich.

Tonja setzt sich in den großen Ledersessel und springt sofort wieder auf, nimmt einen recht großen Bronzefrosch mit einer Münze im Mund vom Sitz, stellt ihn auf den Tisch und setzt sich vorsichtig auf den Sesselrand.

Chefin: (lehnt sich vor und sieht Tonja in die Augen)
Ein erfolgreiches Büro, das sind junge, energiegeladene, gepflegte Männer und Frauen. Es müssen gleich viele Männer und Frauen sein – wegen dem richtigen Zusammenwirken der Energien von Yin und Yang. Die Frauen müssen besonders gepflegt sein – Kosmetik, Figur, Geruch … Damit die Energie des Yin auf das Yang reagiert, damit die Männer gern arbeiten, damit unser Yang sie inspiriert. Hast du verstanden?

Tonja nickt.

Chefin: *(deutet auf die Tür)*
Das war's.

Werbeagentur, Pavillon, Tag. Der junge Mann zieht einen schweren Vorhang auf, er und Tonja finden sich in einem dunklen Pavillon wieder. Im Scheinwerferlicht stehen zwei weibliche Models. Auf einem tiefen Sofa sitzt der Schönling, er hält eine Videokamera und richtet sie von einer Frau auf die andere. Die Frauen sprechen abwechselnd in die Kamera.

Erstes Model: *(mit tiefer, erotischer Stimme)*
Magst du scharfe Gefühle?

Zweites Model: *(noch erotischer)*
Magst du scharfe Gefühle?

Der Schönling dreht sich um und mustert Tonja und den jungen Mann über das Kameradisplay.

Schönling: *(zu Tonja)*
Sag: „Magst du scharfe Gefühle?"

Tonja: Weiß ich noch nicht.

Schönling: Wen hast du denn da mitgebracht?

Junger Mann: Die neue Assistentin.

Der Schönling taxiert Tonja und führt die Kamera langsam von ihren Füßen zum Kopf. Er zoomt ihr lächelndes Gesicht heran.

Tonja: Tonja!

Sie streckt ihm die Hand hin.
Der Schönling streckt ebenfalls seine Hand aus, ohne die Kamera abzuschalten.
Tonja bemerkt, dass das genau der Typ ist, der von allen Reklametafeln der Stadt lächelt. Sein Porträt auf der Tafel mit dem Mobiltelefon hatte sie gesehen, als sie von der Brücke gesprungen war.

Terassencafé, Tag: Tonja und der Schönling trinken an einem Tischchen in einem Sommercafé Kaffee. Auf dem Tischchen liegt die Videokamera des Schönlings. Hinter dem Schönling ist ein Teil einer riesigen Reklametafel mit einem nackten Frauenbein zu sehen. Hinter Tonja ist ein Teil einer Reklame mit einer Whiskyflasche zu sehen.

Tonja: *(lächelt)*
Nimmst du zu jeder Verabredung deine Kamera mit?

Schönling: Ich bin ein Sammler von Erinnerungen …
Wir alle sind nicht mehr und nicht weniger als Büchsen voller Erinnerungen und Wertungen …

Tonja: *(leise)* Und Gefühle? …

Schönling: Wir verbringen unser Leben und dann können wir uns nicht mal mehr an ein Zehntel dessen erinnern, was wir erlebt haben.

Tonja: Vielleicht ist es der Rest nicht wert, dass man sich daran erinnert?

Schönling: Wenn die Erinnerungen nicht bleiben, bleibt gar nichts. Aber für mich bleibt es.

[…]

Tonjas Wohnung, Abend: Am Abend duscht Tonja und kommt nackt aus der Dusche. Sie ekelt sich vor ihrer Kleidung. Tonja geht zum Fenster, steht davor und betrachtet die Spiegelung ihres Zimmers und ihres nackten Körpers. Sie schaltet das Licht aus, und das Zimmer und ihr Spiegelbild verschwinden, dafür erscheinen die Lichter der nächtlichen Stadt. Tonja ruft ihren älteren BRUDER an *(24 Jahre alt, Kleidungsstil, Figur und Verhalten erinnern an einen Biker)*.

Tonja: Hallo. Ich brauche eine andere Wohnung.
Nichts ist passiert.
(nach einer Pause)
Wen soll ich denn sonst anrufen? Du bist mein großer Bruder und du hast schon zehn Wohnungen.

Werbeagentur, Tag. In dem Pavillon findet ein Casting statt. Es läuft Musik. Drei Mädchen tanzen, der Schönling filmt sie. Auf dem Sofa sitzen drei Mitarbeiter der Agentur *(die Tonja beigebracht hatten, Blubber zu rauchen)*. Tonja steht mit einer Mappe und einem Stift hinter ihnen. Zwei Mädchen tanzen synchron. TIRA *(25 Jahre alt, hübsch)* tanzt die ganze Zeit nicht im Takt. Die drei Mitarbeiter lachen laut. Der Schönling dreht die Musik ab.

Schönling: Los, noch einmal. Synchroner!

Der Schönling macht die Musik wieder an.
Aber Tira kommt immer wieder aus dem Takt.

Schönling: Bist du taub, oder was?

Die drei Mitarbeiter auf dem Sofa lachen noch lauter.
Tira beginnt, untröstlich zu schluchzen.

Schönling: *(zu Tonja)*
Wer hat die denn hierher gebracht? Bring sie raus!

Tira läuft tränenüberströmt aus dem Pavillon.
Tonja schlägt mit aller Kraft den Mitarbeitern auf dem Sofa die Mappe um die Ohren, Bögen und Fotos fliegen raus. Sie schleudert die Mappe in Richtung des Schönlings und läuft Tira hinterher.

Eine Strasse Der Stadt, Tag: Die verweinte Tira geht schnell die Straße entlang. Tonja holt sie ein, tippt ihr auf die Schulter, Tira dreht sich um und lehnt den Kopf an Tonjas Schulter. Tonja umarmt sie.

Tira: *(unnatürlich laut, schluchzend)*
Ich bin doch taub! Taub! Wenn die Musik lauter gewesen wäre … hätte ich's gehört … Ich kann Wör-ter ver-stehen, Lip-pen le-sen … Und ich kann spre-chen. Ich hab meinen Mann ver-lassen. Für im-mer. Ich weiß eh nicht, wer er ist und was er macht … Alle ha-ben ge-sagt: In Massen-szenen zu spie-len ist einfach … Du bist hübsch – dich nehmen sie …

Tonjas Telefon piept, eine SMS. Sie schaut aufs Display und sagt:

Tonja: Mein Bruder hat eine Wohnung gefunden. Komm.

Die Neue Wohnung, Abend: Tonjas Bruder schließ die Wohnung auf.

Bruder: Aber macht bloß nichts kaputt.
Seid vorsichtig. Die Hütte ist mit gehobener Ausstattung.

Der Bruder macht die Tür auf, die Mädchen gehen ins Zimmer. Mittendrin steht ein riesiges rundes Bett mit einer Wassermatratze, mit farbigem Atlas bezogen; überall Rüschen, flauschige Stehlampen, Lianen.
Auf dem runden Bett schläft eine Prostituierte.

Bruder: Was ist denn hier los? Was machst du hier?
Los, raus mit dir, gib die Schlüssel her und verpiss dich!

Die Prostituierte lacht erst mit tiefer Stimme, dann piepst sie dünn und zappelt mit den Beinen, die mit löchrigen Strumpfhosen bekleidet sind. Ihre Stimmungslage wechselt von schallendem Gelächter zu Hysterie.

Prostituierte: Das ist unmenschlich, mich rauszuschmeißen! Hau ab, du hast an mir ein Vermögen verdient!
Lass mich in Ruhe!

Der Bruder zieht ihr mit Gewalt den rosa Federmantel an und schubst sie raus in den Flur.
Die Mädchen sehen mit großen Augen zu.
Der Bruder blickt sich auf der Schwelle um.

Bruder: Macht's euch bequem!

Tira öffnet den Schrank, nimmt ein durchsichtiges Unterkleid, Strümpfe mit Strapsen und Hüte raus. Die Mädchen probieren kichernd die exzentrischen Sachen an.

Club, Abend. Tonja und Tira im Club, die Mädchen haben Klamotten an, die sie in der neuen Wohnung gefunden haben. Auf der Bühne spielt eine Rockgruppe, mit dem Sänger IGOR *(30 Jahre alt, Künstlertyp, fröhlich, ironisch)*. Tira ist von ihm sichtlich angetan. Tira schreit, drängt sich durch die Menge zur Bühne vor, tanzt. Tonja sieht sich um. Es sind viele Männer verschiedenen Alters da, Tonja begegnet ihren Blicken. Direkt vor der Bühne tanzt ein CHEMIKER *(27 Jahre alt, nicht sehr groß, er ist sehr zerzaust, hat verschieden lange Beine, hinkt und trägt eine John-Lennon-Brille. Der Chemiker geht allein zu allen Konzerten der Gruppe, tanzt wie besessen mit geschlossenen Augen und flüstert die Texte der Lieder mit. Er geht nicht zu den Musikern heran, sie sind für ihn unerreichbare Wesen)*.
Tonja geht an die Bar und bestellt sich was zu trinken.
An einem Tischchen in der Nähe sitzen zwei Verliebte, sie halten Händchen, daneben steht ein schöner kupferner Leuchter mit brennenden Kerzen.
Tonjas Telefon klingelt. Ihre Mutter ist dran.

Mama: Siehst du gerade fern? Da läuft eine Sendung über einen Damenclub. Magier befreien vom Fluch der Ehelosigkeit …! Mach mal den Fernseher an!

Igor hört auf zu singen. Tonja sieht, dass er Tiras Blick erwidert hat und sie anstarrt.
Tira steht an einer Säule in dem flackernden Licht des Clubs.
Die merkwürdige Kleidung, die die Mädchen in der Wohnung gefunden haben, steht ihr sehr gut. Sie ist geheimnisvoll und sehr schön. Sie sieht Igor unentwegt an. Sie strahlt durch und durch …
Tonja springt von dem hohen Barhocker, stößt dabei ein Glas um, packt den schönen kupfernen Leuchter vom Tisch der Verliebten und läuft nach draußen.
Ein Wachmann läuft ihr hinterher, bleibt aber nach einem Stück keuchend stehen …

[Aus dem Ukrainischen von Lidia Nagel]

Пішохідний Міст Через Дніпро, Ранок. Рання осінь. Світанок. Тоня (21 рік, висока, спортивної статури дівчина з розкішним каштановим волоссям) стоїть на парапеті пішохідного мосту, її недбало зав'язаний шовковий шарф полощеться на вітрі. Вона оглядає вранішню панораму міста. По набережній їдуть машини, з тунелю виповзає поїзд метро, з рекламного білборду на неї дивиться Красунчик (26 років, блондин, невисокого зросту, нижчий за героїню) з приклеєною посмішкою і мобільним телефоном у руці... Далі – усе заповільнюється... Вона відштовхується від мосту і летить... Бачить себе в польоті, наче збоку. Удар об воду... Темрява.

Набережна, Ранок. По воді пливе шовковий шарф. Тоня, голосно пирхаючи бризками, виринає з води.

Берег, Ранок. Тоня виходить на берег. Рибалка *(50 років, кругловидий, з повільними рухами і відстороненим поглядом)* здивовано дивиться на неї. Тоня на ходу викручує мокре волосся, спідницю.

Шосе, Ранок. Тоня виходить на дорогу, голосує. Зупиняється таксі – старий «Опель» з ознаками домашнього тюнінгу. Таксист *(45 років, невисокий, повнуватий, жвавий)* підозріло оглядає мокру дівчину. Тоня швидко сідає на заднє сидіння.

Тоня: На Дарницю, будь-ласка.

Салон таксі. Ранок.
Уся передня панель в салоні авто обклеєна повідомленнями: „Переключити радіостанцію – 5 грн.", „Заїхати на каву – 10 грн.", „Відвезти до дєвочок – 40 грн.". Таксист із цікавістю розглядає в люстерку мокру пасажирку.

Таксист: Тебе скинули, чи сама?

Тоня: Сама.

Таксист: (рушаючи) Плаття можна було зняти.

Тоня: Я з мосту стрибала.

Таксист: Любов?

Тоня: *(цокаючи зубами)* Хотіла перевірити, як це...

Таксист і Тоня зустрічаються в люстерку очима.

Тоня: Мені скоро двадцять два. А я нічого не відчуваю. Я нікого не люблю. Я ніколи не плачу...
Я взагалі не знаю, чи жива...

Таксист: Ну, і що? Тепер знаєш?

Тоня відводить погляд, дивиться у вікно на сірі сумні свічки багатоповерхівок спального району. Вона шморгає носом, дрібно тремтить.

Тоня: Здається, десь поруч відбувається справжнє життя, але я – не там, воно відбувається без мене...

Таксист звертає на узбіччя, зупиняється, обертається до неї.

Таксист: Каву будеш?

Тоня, вагаючись, дивиться на нього, потім на цінник „Заїхати на каву – 10 грн.".

Таксист: Пригощаю. Виходь.

Узбіччя шосе, ранок. На пустельному узбіччі широкого шосе стоїть "Опель". Біля нього – Тоня й Таксист. Повз них безупинним суцільним потоком мчать авто. Далеко за пустирем видно суцільний ліс багатоповерхівок.
Тоня закутана в ковдру, Таксист наливає їй із термоса каву в пластикове горнятко, собі наливає в кришку від термоса.

Таксист: Позавчора з того мосту таку, як ти,
– скинули. Не виплила...
Ти взагалі знаєш, чого хочеш?

Тоня: *(замислившись)* Не знаю... Хочу побачити світ.

Таксист: Так іди попрацюй, заробиш трохи – і їдь собі, дивися на світ. Які проблеми?!

У Тоні дзвонить телефон. Дівчина виймає з кишені мокрий мобільник.

Мама: *(у слухавці)*
Рибонько моя, чому не дзвониш? Я хвилююся. Як ти?

Тоня: Краще не буває.

Мама: А я на курси записалася. Наступний еволюційний крок людини. Ясний розум, відчуття спокою і впевненості. Вчуся ходити по вогню. Приїдеш – покажу. Ти коли приїдеш?

Тоня: Приїду. Скоро. Не хвилюйся.

Таксист перестає сьорбати каву – йому не доводилося бачити, щоб після купання телефон працював.

Таксист: Ти з телефоном у воду стрибала?

Тоня: З телефоном.

Таксист: Це що, якась нова модель?

Тоня: Та ні, це просто в мене мама така – коли їй треба, то й під воду додзвониться...

Художня Академія, майстерня, день. У колі мольбертів і студентів сидить оголений натурник. Тут і там випростуються руки з націленими на нього олівцями, якими студенти-художники міряють його пропорції. Тоня проводить олівцем лінію на папері і розтушовує її пальцем. Лунає дзвінок на перерву. Тоня встає з-за мольберту, дістає бутерброд.
Трійко дівчаток у заплямованих фарбою робочих комбінезонах обсіли підвіконня, їдять бутерброди, гойдають ногами. До них підходить натурник у самих лише трусах з пляшечкою мінеральної води, завмирає у картинній позі. Дівчата сміються.
Тоня проходить повз чужі роботи, на яких зображені різні частини тіла натурника. Їй услід дивиться ХЛОПЧИК *(21 рік, високий, худий, з дитячим рум'янцем на щоках, з великими сірими очима, трохи незграбний і дуже відкритий)*.

Художня Академія, коридор, день. Тоня стоїть у коридорі біля дошки оголошень. Підходить Хлопчик, стає за її спиною. Жуючи бутерброд, Тоня читає оголошення, в яких студентів запрошують на роботу *(„Потрібні дівчата модельної зовнішності для...")*.

Хлопчик: *(трохи іронічно)* Спробуй до нас. Гнучкий робочий графік, корпоративи, вилазки на природу...

По коридору йде Веніамін Федорович *(маленький кудлатий сивий літній чоловік з довгою пухнастою бородою)*. Обидва студенти стають на витяжку, поважно кивають головами:

Хлопчик, Тоня: *(в один голос)* Доброго дня, Веніаміне Федоровичу!

Рекламне агентство, день. Тоня стоїть у гламурному кабінеті з білими шкіряними кріслами. По всіх кутках – вази, кошики і навіть відра зі свіжими й зів'ялими трояндами. Білий салонний стіл заставлений привітальними листівками. З-за них визирає НАЧАЛЬНИЦЯ *(несвіжа блондинка зі штучною засмагою, у бейсболці, на якій стразами написано "Роберто Каваллі")*. Поруч із нею стоїть Хлопчик. Перед ними малюнки – голова з розкуроченим черепом, повним великих і малих буквочок і слів. Та сама голова в профіль, анфас, голова з бородою, без бороди.

Напис: „Любиш гострі відчуття?"

Начальниця: *(кинувши побіжний погляд на Тоню й знову втупившись у малюнки)* Я зайнята.

Тоня: Мене звуть Антоніна. Я вчуся в Художній Академії. Я малюю краще, ніж ото *(вона киває на голову з розкуроченим черепом)*. Я хочу працювати. У вас.

Тоня виймає з папки свої малюнки, кладе поверх розкуроченої голови. Начальниця піднімає голову й оглядає Тоню з ніг до голови.

Начальниця: *(так і не глянувши на малюнки, говорить ніби сама до себе)* Може бути... асистентом.

Тоня явно розчарована, вона вагається. Начальниця помічає її вагання.

Начальниця: Нам художники не потрібні. Нам потрібні робочі руки. Скромніше мисли.

Тоня: Моя бабуся казала: скромність боягузи придумали.

Начальниця: Як, як? Боягузи придумали?
(до Хлопчика) Запиши, може десь знадобиться...

Начальниця жестом показує Хлопчику, щоб він прибрав зі столу роботи. Він згрібає всі малюнки й виходить. Начальниця показує Тоні рукою на крісло.

Начальниця: Сядь.

Тоня сідає у велике шкіряне крісло, відразу підхоплюється, прибирає з сидіння чималу бронзову жабу з монетою в роті, ставить на стіл і знову обережно сідає на краєчок.

Начальниця: (нахилившись уперед і дивлячись в очі Тоні) Успішний офіс – це молоді енергійні, доглянуті чоловіки й жінки. Чоловіків і жінок має бути порівну – для правильної взаємодії енергій інь і янь. Жінки мають бути особливо доглянуті – косметика, силует, запах... Щоб енергія інь реагувала на янь, щоб мужчинам хотілося працювати, щоб наша янь їх надихала. Ти зрозуміла?

Тоня киває головою.
Начальниця: *(махнувши рукою в бік дверей)*
Чірік-куку!

Рекламне агентство, павільйон, день. Хлопчик відхиляє важку штору, вони з Тонею опиняються в темному павільйоні. У світляному колі – дві дівчини-моделі. Потонувши в дивані, сидить Красунчик, він тримає в руках відеокамеру, переводить її з однієї дівчини на іншу. Дівчата по черзі говорять в камеру.

Перша Модель: *(низьким сексуальним голосом)*
Любиш гострі відчуття?

Друга Модель: *(ще більш сексуально)* Любиш гострі відчуття?

Красунчик повертається і через екранчик камери оглядає Тоню і Хлопчика.

Красунчик: *(до Тоні)* Скажи: „Любиш гострі відчуття?"

Тоня: Ще не знаю.

Красунчик: Кого це ти нам привів?

Хлопчик: Нового асистента.

Красунчик, оцінюючи Тоню, повільно проводить камерою з ніг до голови. Зумом наближає усміхнене дівоче обличчя.

Тоня: Тоня!

Дівчина простягає йому руку.
Красунчик теж простягає руку, не вимикаючи камеру.

Тоня пригадує, що це саме той хлопець, який усміхається з усіх реклам міста. Його портрет на білборді з мобільним телефоном вона бачила, коли стрибала з мосту.

Відкрите кафе, день. Тоня й Красунчик п'ють каву за столиком літньої кав'ярні. На столику лежить відеокамера Красунчика. За Красунчиком видно частину гігантського рекламного щита з голою жіночою ногою. За Тонею видно частину реклами з пляшкою віскі.

Тоня: *(усміхаючись)* Ти завжди на побачення береш відеокамеру?

Красунчик: Я – збирач спогадів...
Усі ми – банки спогадів і оцінок – всього-навсього...

Тоня: *(тихо)* А почуттів?..

Красунчик: Ми проживаємо життя, але потім не можемо згадати й 10-ї частини того, що з нами було.

Тоня: Так може, решту й не варто згадувати?

Красунчик: Не лишається спогадів – не лишається нічого. А в мене – лишається.

[...]

Квартира Тоні, вечір. Увечері Тоня миється в душі, виходить з нього гола. Вона відчуває відразу до свого одягу. Тоня підходить до вікна, стоїть перед ним, дивлячись на копію своєї кімнати за темним вікном, на своє голе відображення. Вимикає світло – кімната й відображення зникають, натомість з'являються вогні нічного міста. Тоня телефонує своєму старшому БРАТОВІ (24 роки, стиль одягу, статура і поведінка нагадують байкера).

Тоня: Привіт. Мені потрібна інша квартира.
Нічого не трапилося.
(після паузи)
А кому мені ще дзвонити? Ти мій старший брат,

і в тебе вже десять квартир.

Рекламне агентство, день. У павільйоні відбувається кастинг. Грає музика. Троє дівчат танцюють, Красунчик знімає їх на відео. На дивані сидять три співробітники агентства *(які вчили раніше Тоню курити бульбулятор)*. Тоня з папкою і ручкою стоїть за їхніми спинами.
Дві дівчини танцюють синхронно. Тіра *(25 років, красива)* весь час танцює невпопад. Троє співробітників регочуться. Красунчик вимикає музику.

Красунчик: Давайте ще раз. Синхронніше!

Красунчик знову вмикає музику. Але Тіра весь час збивається з ритму.

Красунчик: Ти що, глуха?

Троє співробітників на дивані регочуть іще дужче. Тіра починає безутішно ридати.

Красунчик: *(До Тоні)* Хто її сюди привів? Прибери її звідси!

Тіра в сльозах вибігає з павільйону.
Тоня щосили лупить папкою співробітників на дивані, так, що з папки летять аркуші й фотокартки. Вона жбурляє папкою у Красунчика і біжить за Тірою.

Вулиця міста, день. Заплакана Тіра швидко йде по вулиці. Її наздоганяє Тоня, торкає її за плече, Тіра обертається і втикається головою в Тоню. Тоня обіймає її.

Тіра: *(неприродно голосно, схлипуючи)* Я глухомашка! Глухомашка! Якби музика була голосно… я б почула… Я сло-ва розу-мію, чи-таю по гу-бах… І говорити можу. Я піш-ла від чоловіка. Назавжди. Я так і не знаю, хто він і чим займаєть-ся… Усі каза-ли: зніма-тися в масов-ках – просто… Ти краси-ва – тебе візьмуть…

В Тоні сигналить телефон: прийшов смс. Вона дивиться на екран і каже:

Тоня: Брат квартиру знайшов. Пішли.

Нова квартира, вечір. Брат Тоні відкриває квартиру ключем.

Брат: Тільки нічого там не попсуйте і не зламайте. Ходіть акуратно: в хаті – дизайнерський євроремонт.

Брат відкриває двері, дівчата заходять до кімнати. Посередині стоїть гігантське кругле ліжко з водяним матрацом, обтягнуте кольоровим атласом; скрізь кокетливі оборочки, пухнасті торшери, ліани.
На круглому ліжку спить повія.

Брат: Я не пойняв! Ти шо тут робиш? Так, на виход – жени ключі і ковиляй звідси!

Повія спочатку сміється низьким голосом, потім тонко пищить, відбрикується ногами в дірявих колготках. Її настрій змінюється від заливного реготу до істерики.

Повія: Виганять мене на вулицю – безчеловечно! Уйді, ти на мені состояніє заработал! Та дай пожить!

Брат силоміць натягує на неї рожеву шубку з пір"я і виштовхує в коридор.

Дівчата круглими очима дивляться на все дійство. Брат озирається на порозі.

Брат: Адаптуйтесь!

Тіра відкриває шафу, виймає прозору комбінацію, панчохи на підтяжках, капелюшки. Дівчата, підсміюючись, приміряють на себе ексцентричні речі.

КЛУБ, ВЕЧІР.

Тоня й Тіра у клубі, дівчата вдягнені в одежі, знайдені в новій квартирі. На сцені виступає рок-група і співак Ігор (30 років, артистичний, веселий, іронічний). Тірі він явно подобається, Тіра кричить, пробивається крізь натовп ближче до сцени, танцює. Тоня роззирається навколо. Всюди багато чоловіків різного віку, Тоня ловить їхні погляди.
Під самою сценою танцює Хімік (27 років, невисокого зросту, він дуже кудлатий, має ноги різної довжини, кульгає і носить окуляри, як у Джона Ленона. Хімік ходить сам на всі концерти групи, несамовито танцює із заплющеними очима й шепоче губами тексти пісень. До музикантів він не підходить, вони йому здаються недосяжними істотами).
Тоня йде до бару, замовляє собі випити. Неподалік за столиком сидять двоє закоханих, вони тримаються за руки, поруч стоїть красивий мідний підсвічник. У ньому горять свічки.
В Тоні дзвонить телефон. Мама на зв'язку.

Мама: Ти дивишся телевізор? Там дамський клуб показують. Екстрасенси знімають закляття від безбрачія…! Вмикай телевізор!

Ігор закінчує співати пісню. Тоня бачить, що він упіймав погляд Тіри і невідривно дивиться на неї.
Тіра стоїть під колоною у мерехтливому світлі клубу. Їй дуже личить те чудернацьке вбрання, що дівчата знайшли у квартирі. Вона загадкова й дуже красива. Вона невідривно дивиться на Ігоря. Вона вся просто світиться…

Тоня рвучко зістрибує з високого барного стільця, перевернувши склянку, хапає зі столика закоханих красивий мідний підсвічник і вибігає на вулицю.

За нею вибігає охоронець, але, трохи пробігши, зупиняється, задихавшись…

DARIA AWERTSCHENKO (1983) – Drehbuchautorin, Filmproduzentin. Studierte an der Internationalen Universität Kiew und an der Freien Universität Berlin. Der Film *Radonica* (Regie Roman Bondartschuk) nach ihrem Drehbuch erhielt den Preis für den besten Dokumentarfilm auf dem Filmfestival in Wiesbaden (2009). Die Drehbücher der abendfüllenden live-action-Filme *22-24* und *Vulkan* (Koautoren Roman Bondartschuk und Alla Tiutiunnyk) wurden auf dem landesweiten Literaturwettbewerb der Ukraine „Koronacija slowa" (Krönung des Wortes) 2009 und 2011 preisgekrönt.

Kontakt: daverchenko@gmail.com

ROMAN BONDARTSCHUK (1982) – Filmregisseur. Studierte an der Iwan-Karpenko-Kary-Universität in Kiew. Preisträger auf vielen Filmfestivals. Sein Film *Taxifahrer* wurde von der Gilde Russischer Produzenten und der Gilde Russischer Filmkritiker auf dem Festival KINOSCHOCK 2007 preisgekrönt, sowie mit dem Preis „Für Arroganz und Poesie" während des Festivals KINOTEATR.DOC in Moskau ausgezeichnet.

Kontakt: rbondarchuk@gmail.com

ALLA TIUTIUNNYK (1949) – Schriftstellerin, Drehbuchautorin. Studierte an der Pädagogischen Universität in Cherson. Absolventin der Literaturkurse am Maxim-Gorki-Literaturinstitut in Moskau. Autorin von Poesiebänden sowie Romanen. Auf der Basis ihres Buches *Weiterhin fliegen Schüsse* dreht Wasil Witer einen zweiteiligen Film (1990). 2011 erhielt sie für das Drehbuch des abendfüllenden Films *Erster September* den zweiten Preis auf dem landesweiten Literaturwettbewerb der Ukraine „Koronacija slowa" (Krönung des Wortes).

Kontakt: alla.tyutyunnyk@gmail.com

Das präsentierte Fragment ist Teil des Filmsdrehbuchs *22-24*.

ДАР'Я АВЕРЧЕНКО (1983) – сценаристка, кінопродюсер. Навчалася у Київському міжнародному університеті та Вільному університеті Берліна. Фільм *Радуниця* (реж. Роман Бондарчук) за її сценарієм виборов приз Найкращий документальний фільм на кінофестивалі GO EAST у Вісбадені (2009). Сценарії повнометражних ігрових фільмів *22-24*, *Вулкан* (у співавторстві з Романом Бондарчуком та Аллою Тютюнник) були нагороджені на Всеукраїнському літературному конкурсі „Коронація слова" у 2009 і 2011 роках.

Контакт: daverchenko@gmail.com

РОМАН БОНДАРЧУК (1982) – кінорежисер. Навчався в Університеті ім. Карпенка-Карого. Призер численних кінофестивалів. Його ігровий фільм *Таксист* отримав одразу два призи від Гільдії російських продюсерів та від Гільдії російських кінокритиків на фестивалі КІНОШОК у 2007 році, а також приз „За нахабність і поезію" на фестивалі КІНОТЕАТР.DOC у Москві.

Контакт: rbondarchuk@gmail.com

АЛЛА ТЮТЮННИК (1949) – письменниця, кінодраматург. Навчалася у Херсонському педагогічному університеті та на Вищих літературних курсах інституту ім. Горького в Москві. Авторка книг поезій та прози. За романом *Далі польоту стріли* режисер Василь Вітер зняв двосерійний художній фільм (1990). У 2011 році за сценарій повнометражного фільму *Перше вересня* отримала Другу премію на Всеукраїнському літературному конкурсі „Коронація слова".

Контакт: alla.tyutyunnyk@gmail.com

Презентиваний фрагмент – це частина сценарію фільму *22-24*.

DIE WIEDERKEHR DES HUNGERKÜNSTLERS ВЯРТАННЕ ГАЛАДАРА

Parabelstück in zwei Aufzügen
П'еса-прыпавесць у 2-х дзеях



© Andrej Lankievič

Tadeusz Różewicz
und allen großen Hungerkünstlern
dieser Welt gewidmet
Тадэвушу Ружэвічу
і ўсім вялікім галадарам
гэтага свету прысвячаецца

PERSONEN

ERNA, Direktorin einer Tierschau
DER UNBEKANNTE
BÜRGERMEISTER
JOURNALISTIN
ALAKSANDR, ein junger Lehrer
PFAUS, Aufseher der Tierschau
BETTLERIN
PFLEGER
PUBLIKUM

ERSTER AUFZUG

Erste Szene

Am Rande eines Provinzstädtchens hat eine fahrende Tierschau Station gemacht. Am Eingang ist ein kleiner Zirkuswagen mit Fenster und der Aufschrift „Kasse“ zu sehen, daneben ein leerer Käfig mit Plakat „Hungerkünstler: 40 Tage ohne Nahrung“. Hinter dem Wagen kommt der Aufseher der Tierschau hervor *(ein Dickwanst, der „Pfaus“ genannt wird)* und beginnt gelangweilt den von Zeitungsschnipseln, Bier- und Konservendosen verunreinigten Platz zu fegen.
Pfaus brummelt ein Lied vor sich hin. Von Zeit zu Zeit sind auch das gedämpfte Gebrüll eines wilden Tieres und der Schrei eines exotischen Raubvogels zu hören. Eine alte Bettlerin taucht auf dem Platz auf und betrachtet neugierig Wagen, Käfig und Aufseher.

Bettlerin *(missbilligend)*: Wer zum Teufel ist das jetzt wieder! Kommen aus der weiten Welt und haben nur eins im Sinn: uns ausnehmen wie eine Weihnachtsgans. *(Geht, sich anbiedernd, auf Pfaus zu)*. Gott helfe euch, guter Mann. *(Streckt ihm die Hand hin)*. Eine milde Gabe für eine arme Frau.
Pfaus *(ohne aufzusehen)*: Die gibts von Gott.
Bettlerin *(jammert)*: Nur ein paar Groschen, guter Mann.
Pfaus: Geh weg, Oma. Ich kann Bettler und andere Rumtreiber nicht ausstehen.
Bettlerin: Das ist schlecht, guter Mann. Den Bettlern gehört das Himmelreich, hat der Herrgott gesagt.
Pfaus *(unterbricht seine Arbeit)*: Und schon gar nicht ausstehen kann ich Bettler, die das Himmelreich suchen. Bettler aus Überzeugung, Hochmuts-Apostel, Weltuntergangs-Propheten. Die halten sich für besonders schlau und betteln nicht, weil sie keine Arbeit haben, sondern weil sie sie verachten. Und damit verachten sie auch mich persönlich, den Aufseher Pfaus. *(Zur Bettlerin)* Wieso soll ich arbeiten und du nicht?
Bettlerin *(jammert)*: Ich bin ein altes, gebrechliches Weib. Wer würde mir eine Arbeit geben?
Pfaus: Ich. *(Drückt der Bettlerin den Besen in die Hand)*. Hier. Du wirst jetzt jeden Morgen den Platz vor der Tierschau und zwischen den Wagen fegen und ich gebe dir etwas dafür.
Bettlerin: Vielen Dank, mein Junge! *(Hoffnungsvoll)* Seid ihr für länger bei uns? *(eifrig fegend)*
Pfaus *(setzt sich auf die Stufen vor dem Wagen, holt seine Zigaretten heraus)*: Kommt auf die Einnahmen an.
Bettlerin: Da seid unbesorgt, guter Mann. Die Leute in unserem Städtchen sind nicht reich, aber sehr neugierig. Wer war nicht schon alles bei uns, was wurde hier nicht schon alles gezeigt! Sodom und Gomorrha!
Pfaus *(rauchend)*: Siehst du, die Konkurrenz schläft nicht. Wenn dann noch die Stadt ihre Steuer draufschlägt, heißt es einpacken und verschwinden.

Die Direktorin der Tierschau Erna und der Bürgermeister des Städtchens treten auf. Erna, eine junge, attraktive Frau, ist praktisch aber stilvoll gekleidet. Der Bürgermeister versucht elegant zu erscheinen, ist aber sofort als Landei zu erkennen.

Bettlerin: Wenn man vom Teufel spricht …
Pfaus *(flüsternd)*: Das wars für heute! *(steckt der Bettlerin ein paar Münzen zu und nimmt ihr den Besen wieder ab)*. Komm mir vor morgen früh nicht unter die Augen!

Die Bettlerin verschwindet eilig, Pfaus tut so, als fege er eifrig den Platz.

Erna: So, Ende der Besichtigung. Sie sind unser erster Ehrengast, Herr Bürgermeister.
Bürgermeister :Na, Ihre Tierschau macht insgesamt einen ganz ordentlichen Eindruck. Gepflegte Tiere, saubere Käfige. Die nähere Bekanntschaft unserer Einwohner mit den Vertretern der Tierwelt wird sich positiv auf ihren Charakter auswirken. Nur dieser Orang-Utan in Käfig Nr. 3, was macht der da?
Erna: Kein Orang-Utan, Herr Bürgermeister. Ein Schimpansenmännchen.
Bürgermeister: Orang-Utan, Schimpanse, Makake – was solls? Aber Ihr Männchen da, Sie werden entschuldigen, Fräulein …
Erna: Erna.
Bürgermeister: Ihr Männchen, verehrte Erna, onaniert.
Erna *(achselzuckend)*: Das ganz natürliche Betragen eines Männchens ohne Weibchen.
Bürgermeister: Mir ist schon klar, dass der Makake keinen Hochschulabschluss vorzuweisen hat, aber aus Rücksicht auf unsere Frauen und Kinder möge er seinen natürlichen Bedürfnissen doch bitteschön anderswo nachkommen. *(Vertraulich)* Nennen Sie mich doch einfach Artur.
(Bemerkt den leeren Käfig mit dem Plakat „Hungerkünstler: 40 Tage ohne Nahrung“). Und warum ist dieser Käfig leer?

Erna: Mit diesem Käfig hat unsere Tierschau überhaupt erst angefangen. Hier hat früher ein berühmter Hungerkünstler gelebt – ein Mann, der 40 Tage lang ohne Nahrung auskommen konnte. Mit den Auftritten des Hungerkünstlers hat mein Vater seine Karriere als Impresario begonnen, dann kam meine Mutter als Seiltänzerin dazu und später die Tierschau.
Bürgermeister: Und was ist aus dem Hungerkünstler geworden? *(lacht)*. Ist er verhungert?
Erna *(achselzuckend)*: Niemand weiß das so genau. Mein Vater hat gesagt, es gab kein Publikum mehr für seine Auftritte, deshalb musste er ihn entlassen. Meine Mutter hat erzählt, der Meister hätte sich über die Leute geärgert, die den Sinn seines Hungerns nicht begreifen konnten, und er hätte sich nach Tibet abgesetzt. *(Grinst)* Und unser Aufseher Pfaus hat noch eine ganz eigene originelle Version auf Lager.

Pfaus unterbricht seine Arbeit und klinkt sich beflissen in das Gespräch ein.

Pfaus: Erna lacht über mich, dabei ist das die reine Wahrheit. Es stimmt, dass die Leute das Interesse an den Auftritten dieses Sonderlings verloren hatten, das weiß ich von meinem Vorgänger, dem alten Aufseher. Aber der Hungerkünstler wurde nicht entlassen, er hat sich auch nirgendwohin abgesetzt. Er hat einfach irgendwann nach den 40 Tagen weitergehungert. Der Ärmste hat gehungert, bis er ganz dürr und ausgetrocknet war, dass man ihn fast mit der Lupe suchen musste. Früher konnte man ihn noch zwischen dem Stroh erkennen, jetzt hört man nur noch sein dünnes Stimmchen leise singen.
Bürgermeister: Nein, so etwas! Für diese Geschichte müssten Sie eigentlich Geld nehmen!
Erna: Keine Sorge, das tut Pfaus auch, leichtgläubige Zuhörer gibt es genug. Wie dem auch sei, im Andenken an meinen Vater habe ich den Käfig des Hungerkünstlers immer noch in der Tierschau. Als Reliquie der Familie.
Bürgermeister *(respektvoll)*: Recht so: Respekt vor den Eltern. Sie gefallen mir immer besser, Erna. Und als Zeichen meiner Zuneigung möchte ich Sie zum Abendessen einladen. *(Flüstert)* Ganz zwanglos, unter vier Augen.
Erna: Vielen Dank, Artur. Aber … heute nicht. Ich habe noch so viel zu tun: Die Genehmigung vom Amt für Gesundheit und Seuchenschutz, Werbung, Pressearbeit. *(Steckt dem Bürgermeister heimlich einen Umschlag zu)*. Hier eine kleine Aufmerksamkeit für Sie … unter Tierfreunden.

Der Bürgermeister lässt den Umschlag schnell in der Tasche verschwinden, Pfaus wendet sich diskret ab.

Bürgermeister *(munter)*: Die Genehmigung haben Sie so gut wie in der Tasche, ich spreche gleich mit dem Leiter der Behörde. Um die Werbung machen Sie sich auch mal keine Gedanken: Ich erkläre den Besuch Ihrer Tierschau zum Pflichtprogramm für die gesamte Einwohnerschaft. Nur mit der Presse wäre ich vorsichtig …

Die Journalistin tritt auf, ein Diktiergerät in der Hand, als der Bürgermeister sie bemerkt, wird er nervös und verabschiedet sich schnell.

Bürgermeister: Sie werdens schon merken … Nett, Sie kennengelernt zu haben, Erna. *(Leise)* Denken Sie an meine Einladung.
Erna *(mit einem gekünstelten Lächeln)*: Herzlichen Dank! Kommen Sie doch mit der ganzen Familie in unsere Tierschau.
Bürgermeister *(zähneknirschend)*: Bin ich schon. *(Im Vorbeigehen zur Journalistin).* Perverse Sau!
Journalistin *(zähneknirschend)*: Geiler Bock!

Der Bürgermeister tritt eilig ab. Die Journalistin geht auf Erna zu und reicht ihr die Hand.

Journalistin *(würdevoll)*: Kassandra. Redakteurin der Lokalzeitung.
Erna *(freundlich)*: Erna. Direktorin der Tierschau.
Journalistin: Kompetenzüberschreitung, sexuelle Nötigung und Vorteilsnahme. Das komplette Herrengedeck, hab ich Recht?
Erna *(verblüfft):* Was?
Journalistin *(lächelt bissig)*: Nichts, nur so. Darf ich Sie interviewen?

Der Aufseher Pfaus stellt vor dem Wagen mit der Aufschrift „Kasse" einen kleinen Klapptisch und zwei Klappstühle auf. Danach geht er ab. Erna bittet die Journalistin Platz zu nehmen, dann setzt auch sie sich. Die Journalistin legt ihr Diktiergerät auf den Tisch und schaltet es ein.

Erna: Nur gleich vorneweg: Ich beantworte keine persönlichen Fragen und keine allgemeinen.
Journalistin: Alles klar: kein Sex, keine Politik.
Erna: Genau, nur Werbung.
Journalistin: Mal ehrlich. Glauben Sie an Werbung ohne Sex und Politik?
Erna *(diplomatisch)*: Ich hoffe, dass unser Interview dazu beitragen kann, die Einwohner des Städtchens zu einem Besuch der Tierschau zu bewegen.
Journalistin: Das hängt ganz davon ab, wie korrekt und originell Ihre Antworten sind. *(Aufmunternd)* Versuchen Sie unseren Lesern zu gefallen. Sind Sie zum ersten Mal in unserer Gegend?
Erna: Ja, aber vor vielen Jahren waren meine Eltern schon einmal hier. *(Nett)* Damit finde ich Ihr Städtchen naturgemäß sympathisch.
Journalistin: Meinen Sie denn, das hat unser Städtchen verdient?
Erna *(verwirrt)*: Ich verstehe nicht.
Journalistin: Gut, nächste Frage. *(Munter)* Wie fühlen Sie sich, eine junge, attraktive Frau, eigentlich als Direktorin einer Tierschau?
Erna: Bestens.
Journalistin: Und die Tiere, die in die Käfigen sitzen, sind die nicht ganz froh, dass ihre Chefin eine Frau ist?
Erna *(erstaunt)*: Wie sollte sich das denn äußern?
Journalistin: In einem humaneren Umgang mit den Opfern. Finden Sie nicht, dass die Frau grundsätzlich besser geeignet ist, ein Gemeinwesen zu führen?
Erna: Ehrlich gesagt, hätte ich unseren Familienbetrieb nur zu gern meinem Bruder überlassen, wenn ich denn einen gehabt hätte.
Journalistin: Und wieso nicht Ihrem Mann? Wie kann es sein, dass eine so charmante, gut aussehende Frau nicht verheiratet ist? *(Plötzlich)* Sind Sie lesbisch?
Erna: Was?
Journalistin: Wie stehen Sie zur Pride Parade?
Erna: Was hat denn das mit unserem Thema zu tun?
Journalistin: Hatten Sie schon Schwierigkeiten mit Tierrechtsaktivisten?
Erna: Ich gehöre ihrem Verband an und zahle regelmäßig meine Beiträge aus den Einkünften mit der Tierschau.
Journalistin: Wie setzen Sie sich in ihrer Position als Direktorin gegen Geschlechterdiskriminierung ein?
Erna *(erstaunt)*: Was sollte ich da denn tun? Statt „Löwe" lieber „Löwin" auf das Käfigschild schreiben?
Journalistin: Die Frage war durchaus ernst gemeint. Denken Sie nicht, dass die Tierschau die perfekte Metapher für unsere heutige Welt ist?
Erna *(erschöpft)*: Ich denke darüber nach, wie viele Tonnen Futter ich für die Tiere kaufen muss, um sie satt zu bekommen, wie viel ich den Arbeitern bezahlen muss, dass sie mir nicht weglaufen, wie viel die Pacht kostet, der Strom, die Steuern und, unter uns, diverse halboffizielle Aufewndungen … Ich habe keine Zeit über Metaphern nachzudenken.
Journalistin: Und wie stehen Sie zum Thema Abtreibung?
Erna: Finden Sie nicht …
Journalistin *(unterbricht sie)*: Und zur Sterbehilfe?
Erna: Wie sollen denn meine Antworten auf diese Fragen die Leute in die Tierschau locken?
Journalistin: Unseren Lesern ist Ihre soziale Gesinnung wichtig. Was machen Sie denn mit unheilbar kranken Tieren?
Erna: Die werden eingeschläfert.
Journalistin: Fühlen Sie sich in unserer männlich-patriarchalen Gesellschaft eigentlich frei?
Erna: Ich bin etwas erschöpft. *(Beugt sich über den Tisch und schaltet das Diktiergerät aus)* Ende des Interviews. Ich fürchte, ich habe wenig Aussichten, Ihren Lesern zu gefallen.
Journalistin *(überraschend milde)*: Aber woher denn, was sind Sie denn so aufgeregt, Erna? Nichts für ungut, das ist einfach meine Art. Das Interview wird wunderbar.

Alaksandr tritt auf, begleitet von Pfaus. Alaksandr hält ein Diktiergerät in der Hand.

Pfaus *(entschuldigend)*: Erna, hier ist noch einer.
Erna *(erschrocken)*: Nein! Keine Presse mehr!
Alaksandr: Ich bin nicht von der Presse.
Journalistin *(gönnerhaft)*: Allerdings.
Alaksandr: Ich bin Lehrer. Ich unterrichte hier am Gymnasium, und in meiner Freizeit befasse ich mich mit dem Hungerproblem. *(Schüchtern zu Erna)* Hätten Sie einen Moment Zeit?
Erna: Nein! Bei mir hungern die Tiere nicht!
Alaksandr: Sie haben mich missverstanden. Ich beschäftige mich mit der metaphysischen Dimension des Hungers, dem Problem der Freiheit.
Erna: Bloß keine Probleme mehr! Pfaus, du begleitest unseren Besuch hinaus.
Alaksandr *(verzweifelt)*: Warten Sie! Es ist unerhört wichtig. Wir müssen uns unbedingt unterhalten! Ich schreibe ein Buch über den Hungerkünstler.

Erna *(schnell)*: Viel Erfolg! *(besinnt sich, überrascht)* Über wen schreiben Sie?
Alaksandr *(aufgeregt)*: Über den Meister der Hungerkunst, der im Zirkus Ihres Vaters aufgetreten ist. Ich habe alles Archivmaterial mit sämtlichen Zeitungsberichten zu seinem Leben gesammelt, zahllose wissenschaftliche Studien zu seinem Wirken gesichtet und meine ureigene, neuartige Theorie entwickelt. Ohne unbescheiden sein zu wollen, ich bin wohl der erste, der den Sinn seiner großen Mission wirklich verstanden hat.
Journalistin *(grinsend)*: Unser Lokalidiot.
Erna *(nach kurzer Denkpause)*: Ich verstehe immer noch nicht, wie ich Ihnen helfen soll. Reden Sie doch mit Pfaus, wenn Sie wollen, das ist sein Lieblingsthema. *(Zur Journalistin)*. Kommen Sie, ich bringe Sie.
Journalistin: Ich bringe Sie raus, meinten Sie? *(Steht vom Klappstuhl auf)* Was ich Ihnen noch sagen wollte: Hüten Sie sich vor unserem Bürgermeister. *(Belehrend)* Unter dem Schafspelz sitzt der Wolf.
Erna *(kühl)*: Besten Dank. Ich bin mit Tieren groß geworden.

Die Journalistin und Erna treten ab. Alaksandr starrt wie gebannt auf den Käfig des Hungerkünstlers. Pfaus zupft ihn ungeduldig am Ärmel. Alaksandr wendet sich dem Aufseher zu.

Pfaus *(zu Alaksandr)*: Junger Mann! Gegen einen geringen Geldbetrag können Sie die hochinteressante und lehrreiche Geschichte hören, die sich in unserer Tierschau zugetragen hat.

Alaksandr kramt ein paar Scheine aus der Hosentasche und streckt sie dem Aufseher hin. Pfaus küsst das Geld vorsichtig und lässt es in seiner Tasche verschwinden.

Pfaus *(mit forcierter Stimme)*: Hören Sie her, mein Bester! In diesem Käfig, den Sie vor sich sehen, lebte einst ein Hungerkünstler – ein Mann, der vierzig Tage ohne Nahrung auskommen konnte. Seine außergewöhnliche Gabe verhalf ihm zu hohem Ansehen, Reichtum und Erfolg bei der Damenwelt. Mit einem Wort, zu dem, was wir uns alle wünschen. Doch die Fortuna lockt den Menschen gern in die Falle des Glücks, um ihn hernach auf den stinkenden Müllhaufen der Realität zu schmeißen. Bald hatten die Leute kein Interesse mehr an den Auftritten des Hungerkünstlers. Der einstige Held war auf einmal verstoßen und vergessen, sein buntes Leben wich einer grauen Existenz. Da hat er nach den 40 Tagen irgendwann einfach weitergehungert. Bis er ganz dürr und ausgetrocknet war und schließlich winzig klein im Stroh verschwand. Nun ist er gar nicht mehr zu sehen, aber sein trauriges, leises Lied hört man immer noch.
Alaksandr: Ich kenne diese Kafka-Erzählung … *(Ironisch)* Glauben Sie etwa an die Märchen, die Sie hier erzählen?
Pfaus *(erbost)*: Was denn für ein Kafka? Wer ist Kafka? Hat der vielleicht in unserer Tierschau gearbeitet? Ich sage die reine Wahrheit!
Alaksandr *(irritiert)*: Verzeihung, ich wollte Sie nicht beleidigen. Sie wissen wohl gar nicht, dass der Hungerkünstler seinen Käfig verlassen hat, als er hier in unserem Städtchen war. Nach meinen Recherchen muss das nun dreißig Jahre her sein.
Pfaus: Meine Güte, was bist du für ein Schlaumeier? *(Finster zu Alaksandr)* Hast du es etwa auf meinen Posten abgesehen? Sag mir lieber, wo hier bei euch die nächste Bar ist?
Alaksandr *(verschämt)*: Weiß ich nicht.
Pfaus: Na sauber! Erzählt hier was von vor dreißig Jahren und weiß nicht, was heute in seiner Stadt los ist.

Pfaus macht sich auf die Suche nach einer Bar. Alaksandr geht zum Käfig des Hungerkünstlers und berührt mit zitternden Fingern die Gitterstäbe.

Alaksandr: Und in diesem Käfig saß einst der Mann, der das Zeug hatte, die Welt zu verändern …

Zweite Szene

Einige Tage später am selben Ort. Morgens, bei schönem Wetter. Die Bettlerin fegt den Platz vor der Tierschau. Pfaus tritt aus dem Wagen, gähnt und sieht auf seine Uhr.

Pfaus *(philosophisch)*: Nichts ist von Dauer auf dieser Welt: Weder der Preis für ein Brot oder eine Schachtel Zigaretten, noch die Namen von Straßen und Städten, auch Philosophien und Religionen ändern sich. Nur ein Gesetz steht felsenfest: Jeden Morgen muss Pfaus in aller Herrgottsfrühe aus den Federn und die Tiere füttern. Und wenn ich nun einmal verschlafen würde, müsste wohl die Welt untergehen. Die hungrigen Tiere würden aus ihren Käfigen ausbrechen und alle Erdenbewohner auffressen. Die Einwohner dieses verschlafenen Städtchens hier zuallererst. *(Zu der Bettlerin, die ihre Arbeit unterbrochen hat und seinen Ergüssen zuhört)* Schaffe, schaffe, Oma, das war nicht ernst gemeint.

Die Bettlerin fegt eifrig weiter und verschwindet hinter dem Wagen.

Pfaus *(zufrieden)*: Ist doch schön zu sehen, dass wenigstens irgendwer noch früher aufsteht als ich. (Geht ein paar Schritte und bemerkt plötzlich im Käfig des Hungerkünstlers den Unbekannten). Was ist denn das für eine Nummer? He, Freundchen, wer bist du denn?

Der Unbekannte zeigt keinerlei Reaktion.

Pfaus: Hallo? Wieso steigst du hier in den Käfig, du Vogel? *(Tritt näher und mustert den Unbekannten von Kopf bis Fuß)* Du siehst nicht aus wie ein Penner, eher wie ein abgedrehter Professor … Nun gibs schon zu, du hast gestern mit deinen Kumpels gesoffen und bist dann nicht zu deiner Ollen ins warme Bett gestiegen, sondern hier in den kalten Käfig. *(Nachdenklich)* Eingesperrt bist du hier wie da, aber geh mal lieber nach Hause.

Der Unbekannte reagiert nicht. Pfaus joviale Stimmung schlägt allmählich um ins Aggressive.

Pfaus: Jetzt reichts mir aber. Ich sprech mit dir von Mann zu Mann, und du wackelst nicht mal mit den Ohren. Raus aus dem Käfig, oder muss ich nachhelfen? *(Drohend)*:Hörst du mich, du Pfeife? Ich zähle bis drei. Eins, zwei …

Der Unbekannte brummelt etwas vor sich hin, die Dro-

hungen des Aufsehers machen ihm offenbar zu schaffen.

Pfaus: Aha, er rührt sich endlich. *(Öffnet die Käfigtür)* Drei. Hopp, auf in die Freiheit mit dir. Zwing mich bloß nicht, handgreiflich zu werden. Wir haben unterschiedliche Gewichtsklassen, und der Unterschied spricht klar gegen dich.

Anstatt den Käfig zu verlassen, kauert sich der Unbekannte angstvoll in die hinterste Ecke.

Pfaus: So! Jetzt reißt mir aber die Geduld. Bist du taub? Oder stumm? Oder ein Irrer, der hier aus der Anstalt abgehauen ist? Bitte, von mir aus gern: Sollen ruhig alle Irren aus ihren Anstalten fliehen und die Kriminellen aus den ihren Gefängnissen. Aber bitte nicht alle bei uns verstecken, wir haben nicht genug Käfige. *(Drohend)* Raus aus dem Käfig, du Psycho! Wirds bald?!

Hinter dem Wagen lugt für einen Moment die Bettlerin hervor.

Bettlerin: Was ist denn hier für ein Geschrei, guter Mann?
Pfaus *(verärgert)*: Eine Begegnung der dritten Art!
Bettlerin Ach du lieber Gott!

Aufgeschreckt durch den Lärm tritt Erna auf. Die Direktorin trägt einen hastig übergeworfenen Hausmantel, sie sieht verschlafen und verärgert aus. Die Bettlerin versteckt sich bei ihrem Anblick schnell hinter dem Wagen.

Erna: Was ist los, Pfaus? Was schreist du hier herum?

Der Unbekannte hebt den Kopf, als er Ernas Stimme hört.

Pfaus: Das ist doch auch zum Schreien, Erna! Sehen Sie mal. *(Deutet auf den Käfig des Hungerkünstlers)*
Erna: Wer ist dieser Mann? *(Gähnt)* Was macht er hier im Käfig?
Pfaus: Was weiß ich? Wahrscheinlich der Dorf-Alki. Dem werd ichs zeigen! *(Ballt die Fäuste und will in den Käfig steigen)*
Erna: Warte, Pfaus. Ich rufe lieber die Polizei. Wir sind schließlich in einer fremden Stadt.

Der Unbekannte springt plötzlich auf und stürzt an die Gitterstäbe.

Der Unbekannte: Marta!

Erna fährt zusammen und sieht dem Unbekannten erschrocken in die Augen.

Pfaus: Und ich dachte schon, der ist taub.
Der Unbekannte *(verunsichert)*: Marta?
Erna *(verwirrt)*: Was will dieser Mann?
Der Unbekannte: Entschuldigung! Eine Verwechslung. *(Zieht sich im Käfig zurück und setzt sich auf den Boden)*
Pfaus: Sag ichs doch, ein Psycho. Rufen Sie die Polizei, Erna. Oder gleich den Krankenwagen.
Erna: Warte. *(Geht zum Käfig und versucht den Unbekannten anzusprechen)* Kennen Sie mich? Wie sind Sie in diesen Käfig gekommen?

Der Unbekannte sitzt apathisch auf dem Boden.

Pfaus: Das ist vertane Zeit, Erna. Bleiben Sie lieber von den Gitterstäben weg. Wer weiß, ob der gefährlich ist.
Erna *(zu dem Unbekannten)*: Warum haben Sie mich Marta genannt? Kannten Sie sie?
Der Unbekannte *(blickt auf und sieht Erna noch einmal aufmerksam an)*: Sie sind nicht Marta.
Erna: Aber wer sind Sie? Was wollen Sie?
Der Unbekannte *(teilnahmslos)*: Lassen Sie mich in Ruhe. *(lässt den Kopf hängen)*

Erna rückt vom Käfig ab.

Pfaus: Haben Sie das gehört? Frechheit!
Erna *(unsicher)*: Hör mal, Pfaus … Und wenn … das nun sein Käfig ist?
Pfaus *(erstaunt)*: Was soll das heißen, Erna? Ist dieser Psycho vielleicht …

Irgendwoher taucht plötzlich ganz ergriffen Alaksandr auf, läuft zum Käfig und sieht den Unbekannten mit großen Augen an.

Alaksandr: Tatsächlich! Die Tierschau ist da und er ist zurück. *(Zu Pfaus)* Ich hatte Recht, ich habe mich nicht getäuscht. ER ist es! *(Zu Erna)* Verstehen Sie das? Verstehen Sie, was nun wird? Mit uns, mit der ganzen Welt?
Pfaus: Na prima, noch einer. Lauter Verrückte! Wir wären besser nicht hierhergekommen, Erna.
[…]

[Aus dem Belarussischen von Thomas Weiler]

ДЗЕЙНЫЯ АСОБЫ

ЭРНА, дырэктарка звярынца
НЕЗНАЁМЫ
БУРМІСТР
ЖУРНАЛІСТКА
АЛЯКСАНДР, малады настаўнік
ПЫЗА, вартаўнік звярынца
ЖАБРАЧКА
САНІТАРЫ
ПУБЛІКА

ДЗЕЯ ПЕРШАЯ

З'ява першая

На ўскраіне правінцыйнага мястэчка спыніўся вандроўны звярынец. Ля ўваходу мы бачым вагончык з акенцам і надпісам “Каса”, побач – пустую клетку з афішай “Галадар: 40 дзён без ежы”. З-за вагончыка выходзіць вартаўнік звярынца – таўстун па мянушцы “Пыза” – і пачынае ляніва падмятаць пляц, забруджаны абрыўкамі газет, піўнымі і кансервавымі бляшанкамі.

Пыза мармыча сабе пад нос нейкую песенку. Час ад часу чуваць таксама глухі звярыны рык і крык нейкай экзатычнай драпежнай птушкі.
На пляцы з’яўляецца старая Жабрачка, з цікаўнасцю разглядае вагончык, клетку і вартаўніка.
Жабрачка *(асуджальна)*: Зноў некага чорт прынёс! Панаедуць з-за свету – адно ім у галаве: абадраць нас як ліпку. *(Падахыдзіць бліжэй да Пызы, лісліва)*. Бог у помач, паночку. *(Працягвае руку)*. Падайце беднай жанчыне.
Пыза *(не адрываючыся ад працы)*: Бог падасць.
Жабрачка *(ные)*: Хоць пару грошыкаў, паночку.
Пыза: Ідзі прэч, бабуля. Не пераношу жабракоў ды іншых гультаёў.
Жабрачка: Нядобра, паночку. Гасподзь сказаў, што жабракам будзе належыць Царства Нябеснае.
Пыза *(спыняе працу)*: Асабліва не пераношу тых жабракоў, якія шукаюць Царства Нябеснага. Жабракоў па перакананні, апосталаў пыхі, прарокаў канца свету. Яны лічаць сябе разумнейшымі за іншых і жабруюць, не таму, што не маюць працы, а таму, што пагарджаюць ёй. А, значыць, – пагарджаюць асабіста мной, вартаўніком Пызай. *(Да Жабрачкі)* Чаму я павінен працаваць, а ты – не?
Жабрачка *(ные):* Я – старая, нямоглая жанчына. Хто мне дасць працу?
Пыза: Я. *(Аддае Жабрачцы мятлу)* Бяры. Будзеш кожнага ранку падмятаць пляц перад звярынцам і паміж вагончыкамі, а я буду даваць табе колькі грошаў.
Жабрачка: Дзякуй табе, сынок! *(З надзеяй)* Надоўга да нас прыехалі? *(Старанна падмятае пляц)*
Пыза *(сядае на прыступкі перад вагончыкам, вымае цыгарэты)*: Пабачым, якія будуць зборы.
Жабрачка: Наконт гэтага не хвалюйцеся, паночку. Людзі ў нашым мястэчку не багатыя, але вельмі цікаўныя. Хто толькі да нас не прыяжджаў, што толькі не паказвалі! Садом ды Гамора!
Пыза *(паліць)*: Вось бачыш, вялікая канкурэнцыя. А яшчэ мясцовыя ўлады як накладуць падатак – дык збірай манаткі і ў дарогу.

З’яўляюцца дырэктарка звярынца Эрна і Бурмістр мястэчка. Эрна – маладая, прыгожая жанчына, апранутая па-дзелавому, але стыльна. Бурмістр – мужчына з прэтэнзіямі на элегантнасць, але выглядае як тыповы правінцыял.

Жабрачка: Пра воўка памоўка, а воўк на парог!

Пыза *(шэптам)*: На сёння праца скончана! *(Дае Жабрачцы колькі грошаў і адбірае мятлу)* Каб вочы мае цябе не бачылі да заўтра!

Жабрачка паспешліва знікае, а Пыза робіць выгляд, што старанна падмятае пляц.

Эрна: Усё, агляд закончаны. Вы – наш першы, ганаровы наведвальнік, пане Бурмістр.

Бурмістр: Што ж, уражанне ад вашага звярынца ў цэлым добрае. Звяры дагледжаныя, клеткі чыстыя. Блізкае знаёмства жыхароў нашага мястэчка з прадстаўнікамі жывёльнага свету палепшыць іх норавы. Вось толькі гэты арангутанг у трэцяй клетцы, чым ён займаецца?

Эрна: Не арангутанг, пане Бурмістр. Самец шымпанзэ.

Бурмістр: Арангутанг, шымпанзэ, макака, якая розніца? Але самец ваш, прашу прабачэння, пані…

Эрна: Эрна.

Бурмістр: Самец ваш, пані Эрна, займаецца ананізмам.

Эрна *(паціскае плячыма)*: Натуральныя паводзіны самца ў адсутнасці самкі.

Бурмістр: Я разумею, макакака універсітэтаў ды акадэмій не заканчвала, але, дбаючы пра цнатлівасць жанчын і дзяцей, няхай бы яна займалася натуральнымі паводзінамі ў менш публічным месцы. *(Фамільярна)* Дарэчы, можаце зваць мяне проста Артурам. *(Заўважае пустую клетку з афішай “Галадар: 40 дзён без ежы”)* А гэтая клетка чаму пустая?

Эрна: З гэтай клеткі пачыналася гісторыя нашага звярынца. Калісьці ў ёй жыў славуты Галадар – чалавек, які сорак дзён вытрымліваў без ежы. З выступленняў Галадара мой бацька распачынаў кар’еру імпрэсарыю, потым маці пачала таньчыць на канаце, пазней з’явіўся звярынец.

Бурмістр: А што сталася з тым Галадаром? *(Смяецца)* Памёр з голаду?

Эрна *(паціскае плячыма)*: Ніхто не ведае. Бацька казаў, што выступленні Галадара перасталі прываблівацць публіку, і давялося яго звольніць. Маці расказвала, што майстар пакрыўдзіўся на людзей, якія не разумелі сэнсу яго галадання, і з’ехаў у Тыбет. *(Усміхаецца)*. А вось у нашага вартаўніка Пызы свая, арыгінальная версія.

Пыза спыняе працу і ахвотна ўключаецца ў размову.

Пыза: Пані Эрна з мяне смяецца, але я кажу чыстую праўду. Тое, што людзі перасталі цікавіцца выступленнямі дзівака – факт, мне мой папярэднік, стары вартаўнік распавядаў. Але ніхто Галадара не звальняў і нікуды ён не з’яжджаў. Проста аднойчы пасля сарака дзён ён наўмысна не спыніў галадоўку. Няшчасны галадаў далей, худнеў ды сохнуў, ажно пакуль не зменшыўся да мікраскапічных памераў. Спачатку яго можна было яшчэ ўгледзець ў саломе, а цяпер можна толькі пачуць, як ён ціхенька спявае сваім пісклявым галаском.

Бурмістр: Якія дзівосы! Такую гісторыю за грошы трэба расказваць!

Эрна: Не сумнявайцеся: Пыза так і робіць, а даверлівых слухачоў не бракуе. Як бы там не было, але шануючы памяць бацькі, я пакінула клетку Галадара ў звярынцы. Сямейная рэліквія.

Бурмістр *(з павагай)*: Правільна: бацькоў трэба шанаваць. Вы мне ўсё больш падабаецеся, Эрна. І каб засведчыць вам сваю сімпатыю, я запрашаю вас на вячэру. *(Шэптам)* У неафіцыйнай абстаноўцы, сам-насам.

Эрна: Дзякуй, пане Артур. Але… не сёння. Яшчэ столькі спраў на галаве: атрымаць дазвол ад санэпідэмстанцыі, задбаць пра рэкламу, правесці кампанію ў прэсе. (Незаўважна працягвае Бурмістру канверт). Гэта вам невялічкі падарунак… у знак агульнай любові да жывёлаў.

Бурмістр хуценька хавае канверт у кішэню, Пыза пры гэтым далікатна адварочваецца.

Бурмістр *(бадзёра)*: Дазвол, лічыце, у вас ужо ў кішэні, я патэлефаную начальніку санэпідэмстанцыі. Пра рэкламу таксама можаце не клапаціцца: я распараджуся, каб наведванне вашага звярынца стала абавязковым мерапрыемствам для ўсіх жыхароў мястэчка. А вось з прэсай раю быць асцярожнай…

З'яўляецца Журналістка з дыктафонам у руках, заўважыўшы яе Бурмістар пачынае нервавацца і паспешліва адкланьвацца.

Бурмістр: Зрэшты, самі з'арыентуецеся… Прыемна было пазнаёміцца, пані Эрна. *(Ціха)* Памятайце пра маю прапанову.

Эрна *(са штучнай усмешкай на твары)*: Дзякуй вялікі! Запрашаю наведаць наш звярынец усёй сям'ёй.

Бурмістр *(скрозь зубы)*: Ужо наведалі. *(Праходзячы каля Журналісткі)* Збачэнка.

Журналістка *(скрозь зубы)*: Кабель!

Бурмістр імкліва сыходзіць. Журналістка падыходзіць да Эрны і працягвае ёй руку.

Журналістка *(з пачуццём годнасці)*: Касандра. Рэдактарка мясцовай газеты.

Эрна *(прыязна)*: Эрна. Дырэктарка звярынца.

Журналістка: Перавышэнне службовых паўнамоцтваў, сэксуальныя дамаганні і, урэшце, прынятак ўзяткі. Поўны джэнтэльменскі набор, праўда?

Эрна *(здзіўлена)*: Што?

Журналістка *(з'едліва ўсміхаецца)*: Ды так, нічога. Магу я ўзяць у вас інтэрв'ю?..

Вартаўнік Пыза стаўляе перад вагончыкам з надпісам "Каса" невялікі раскладны столік і два раскладныя крэслы. Выканаўшы справу, сыходзіць. Эрна запрашае Журналістку сесці, потым прысаджваецца сама. Журналістка кладзе дыктафон на столік і націскае кнопку.

Эрна: Хачу вас адразу папярэдзіць: я не буду адказваць на занадта асабістыя пытанні. І на занадта агульныя – таксама.

Журналістка: Ясна: аніякага сэксу, аніякай палітыкі.

Эрна: Так, чыстая рэклама.

Журналістка: Шчыра. А вы верыце ў рэкламу без сэксу і палітыкі?

Эрна *(дыпламатычна)*: Я, спадзяюся, што нашае інтэрв'ю паспрыяе наведванню звярынца жыхарамі мястэчка.

Журналістка: Гэта залежыць ад правільнасці і арыгінальнасці вашых адказаў. *(Дабразычліва)* Пастарайцеся спадабацца нашым чытачам. Вы ўпершыню ў нашых краях?

Эрна: Так, але шмат гадоў таму назад сюды прыязджалі мае бацькі. *(Дабразычліва)* Так што ў мяне прыроджаная сімпатыя да вашага мястэчка.

Журналістка: Думаеце, наша мястэчка яе заслугоўвае?

Эрна *(разгублена)*: Не разумею.

Журналістка: Добра, пойдзем далей. *(Бадзёра)* Скажыце, як вы, маладая, прыгожая жанчына адчуваеце сябе ў ролі дырэктара звярынца?

Эрна: Цудоўна.

Журналістка: А звяры, якія сядзяць у клетцы, яны адчуваюць палёгку ад таго, што іхняя гаспадыня – жанчына?

Эрна *(здзіўлена)*: У чым гэта можа праяўляцца?

Журналістка: У больш гуманным стаўленні да ахвяраў. Вы не лічыце, што жанчына ўвогуле больш падыходзіць да кіравання грамадствам?

Эрна: Шчыра кажучы, я ахвотна перадала б наш сямейны бізнес свайму брату, калі б такі ў мяне быў.

Журналістка: А чаму не мужу? Як растлумачыць, што такая абаяльная, прыгожая жанчына незамужам? *(Нечакана)* Вы – лесбіянка?

Эрна: Што?

Журналістка: Як вы ставіцеся да Парадаў роўнасці?

Эрна: Якое дачыненне мае гэтае пытанне да тэмы нашай гутаркі?

Журналістка: У вас не было праблемаў з абаронцамі правоў жывёлаў?

Эрна: Я належу да іхняга Таварыства і рэгулярна палачу складкі з даходаў звярынца.

Журналістка: Скажыце, як вы, выкарыстоўваючы сваю дырэктарскую пасаду, змагаецеся з палавой дыскрымінацыяй?

Эрна *(здзіўлена)*: А якім чынам я магу з ёй змагацца? Памяняць шыльду "Леў" на клетцы "Ільвіца"?

Журналістка: Я пытаюся сур'ёзна. Вы не лічыце, што звярынец – гэта ідэальная метафара нашага сённяшняга свету?

Эрна *(стомлена)*: Я лічу, колькі тон ежы закупіць для жывёлаў, каб яны адчувалі сябе сытымі, колькі заплаціць рабочым, каб яны не разбегліся, лічу колькі каштуе арэнда тэрыторыі, аплата электрычнасці, колькі пойдзе на падаткі і прабачце, на розныя, неафіцыйныя выдаткі… У мяне няма часу думаць пра метафары.

Журналістка: Скажыце, як вы ставіцеся да абортаў?

Эрна: Вам не здаецца…

Журналістка *(перапыняе)*: А да аўтаназіі?

Эрна: Якім чынам адказы на гэтыя пытанні паспрыяюць наведванню звярынца?

Журналістка: Нашым чытачам важна ведаць вашую грамадзянскую пазіцыю. Дык што вы робіце з безнадзейна хворымі жывёламі?

Эрна: Іх усыпляюць.

Журналістка: Скажыце ці адчуваеце вы сябе свабоднай у нашым патрыярхальна-мужчынскім грамадстве?

Эрна: Я адчуваю сябе стомленай. *(Нахіляецца над столікам і выключае дыктафон)* Інтэрв'ю скончана. Баюся, у мяне няма шансаў спадабацца вашым чытачам.

Журналістка *(нечакана лагодна)*: Дарэмна, вы так нервуецеся, Эрна. Не крыўдуйце, проста ў мяне такі стыль. А інтэрв'ю атрымаецца цудоўнае.

З'яўляецца Аляксандр у суправаджэнні Пызы. У руках у Аляксандра дыктафон.

Пыза *(разводзіць рукамі)*: Пані Эрна, тут яшчэ адзін.

Эрна *(спалохана)*: Не! Больш – ніякіх журналістаў!

Аляксандр: Я не журналіст.

Журналістка *(паблажліва)*: Гэта праўда.

Аляксандр: Я настаўнік. Працую ў мясцовай гімназіі, а ў вольны час вывучаю праблему галадання. *(Да Эрны, нясмела)* Мы маглі б паразмаўляць?

Эрна: Не! У маім звярынцы звяры не галадаюць!

Аляксандр: Вы не зразумелі. Мяне цікавіць галаданне ў метафізічным сэнсе: праблема свабоды.

Эрна: Хопіць з мяне праблемаў! Пыза, правядзь госця.

Аляксандр *(у адчаі)*: Пачакайце! Гэта вельмі важна. Мы павінны з вамі паразмаўляць! Я пішу кніжку пра Галадара.

Эрна *(паспешліва)*: Поспехаў!.. *(Усвядоміўшы, здзіўлена)* Пра каго вы пішаце?

Аляксандр *(усхвалявана)*: Пра Майстра галадання, які працаваў у цырку вашага бацькі. Я сабраў усе архіўныя матэрыялы, усе газетныя публікацыі пра ягонае жыццё, крытычна разгледзіў шматлікія навуковыя інтэрпрэтацыі ягонай дзейнасці і стварыў сваю ўласную, арыгінальную тэорыю. Я не хачу выглядаць нясціплым, але, здаецца, я – першы, хто правільна зразумеў сэнс ягонай вялікай місіі.

Журналістка *(усміхаецца)*: Наш мясцовы дзівак.

Эрна *(павагаўшыся хвіліну)*: Усё роўна не разумею, чым я магу вам дапамагчы. Калі хочаце, паразмаўляйце з Пызай, гэта яго ўлюбёная тэма. *(Да Журналісткі)* Хадземце, я вас праводжу.

Журналістка: Вы хацелі сказаць – выправаджу? *(Узнімаецца з крэсла)* Дарэчы, я хачу вас папярэдзіць: будзьце асцярожныя з нашым Бурмістрам. *(Павучальна)* Пад маскай ягняці хаваецца аблічча ільва.

Эрна *(непрыязна)*: Дзякуй за папярэджанне. Але я вырасла сярод звяроў.
Журналістка з Эрнай адыходзяць. Аляксандр як загіпнатызаваны глядзіць на клетку Галадара. Пыза нецярпліва торгае яго за рукаў. Аляксандр абарочваецца да вартаўніка.

Пыза *(да Аляксандра)*: Малады чалавек! За невялікую колькасць плацёжных адзінак вы можаце выслухаць надзвычай цікавую і павучальную гісторыю, якая некалі здарылася ў нашым звярынцы.

Аляксандр вымае з кішэні некалькі паперак і працягвае вартаўніку. Пыза з павагай цалуе грошы і хавае ў кішэню.

Пыза *(пастаўленым голасам)*: Ну, слухайце, шаноўны! У клетцы, якую вы перад сабой бачыце, жыў некалі Галадар – чалавек, які сорак дзён мог абыходзіцца без ежы. Такі незвычайны талент прынёс яму гучную славу, багацце і ўвагу з боку жанчын. Карацей, усё тое, да чаго кожны з нас імкнецца. Але Фартуна любіць завабіць чалавека ў пастку краявідамі шчасця, а потым выкінуць на брудную памыйку рэчаіснасці. Неўзабаве людзі перасталі цікавіцца выступленнямі Галадара. Учарашні герой аказаўся нікому непатрэбны і забыты, ягонае каляровае жыццё ператварылася ў шэрае існаванне. І вось аднойчы, пасля сарака дзён Галадар наўмысна не спыніў галадоўку. Ён худнеў ды сохнуў, ажно пакуль не зменшыўся да памераў казюркі і не згубіўся ў

саломе на дне клеткі. Цяпер яго ўжо не ўгледзіш, але можна яшчэ пачуць яго ціхую тужлівую песенку.

Аляксандр: Я таксама чытаў гэтае апяваданне Кафкі… *(Іранічна)* І вы верыце ў тыя казкі, якія расказваеце?

Пыза *(абурана)*: Які яшчэ Кафка? Хто такі Кафка? Ён што, працаваў у нашым звярынцы? Я табе чыстую праўду расказваю!

Аляксандр *(сумеўшыся)*: Прабачце, я не хацеў вас абразіць. Вы, мусіць, проста не ведаеце, што Галадар пакінуў сваю клетку якраз падчас выступлення ў нашым мястэчку. Па маіх падліках, здарылася гэта трыццаць гадоў таму назад.

Пыза: Слухай, адкуль ты ўзяўся такі разумнік? *(Насоўваецца на Аляксандра)* Можа прэтэндуеш на маё месца, га? Скажы лепш, дзе тут у вас бліжэйшы бар?

Аляксандр *(вінавата)*: Не ведаю.

Пыза: Цьфу! Бярэшся расказваць пра тое, што здарылася трыццаць гадоў назад, а што цяпер адбываецца ў тваім горадзе – не ведаеш.

Пыза адпраўляецца шукаць бар.
Аляксандр падыходзіць і дрыжачай рукой дакранаецца да прутоў клеткі Галадара.

Аляксандр: Няўжо тут, у гэтай клетцы, сядзеў некалі чалавек, які мог перайначыць свет?…

З'ява другая
Праз некалькі дзён на тым самым месцы. Пагодны ранак. Жабрачка падмятае пляц перад звярынцам. З вагончыка выходзіць Пыза, пазяхае, глядзіць на гадзіннік.

Пыза *(філасофскі)*: Усё ў гэтым свеце змяняецца: кошты на хлеб і на цыгарэты, назвы вуліц і гарадоў, філасофіі і рэлігіі. І толькі адно правіла застаецца непарушным: кожнага дня Пыза мусіць прачынацца з цёмнага рана і карміць звяроў. Цікава, каб я хоць аднойчы праспаў, няўжо свет развaліўся б? Галодныя звяры вылезлі б са сваіх клетак і зжэрлі ўсіх жыхароў планеты. Пачынаючы з насельнікаў гэтага соннага мястэчка. *(Да Жабрачкі, якая спыніла працу і слухае яговыя разважанні)* Працуй, працуй, бабуля: я жартую.

Жабрачка, старанна падмятае далей і знікае за вагончыкам.

Пыза *(задаволена)*: Але прыемна бачыць, што хоць нехта прачынаецца раней за мяне. *(Робіць некалькі крокаў і нечакана заўважае ў клетцы Галадара Незнаёмага)* А гэта што за нумар? Гэй, прыяцель, ты хто такі?

Незнаёмы ніяк не рэагуе на словы вартаўніка.
Пыза: Не чуеш? Навошта ты залез у клетку, дзівак? *(Падыходзіць бліжэй і разглядае Незнаёмага з ног да галавы)* На бамжа ты не падобны, хутчэй – на загуляўшага прафесара… Прызнайся, шаноўны: перабраў учора з калегамі, і, замест таго, каб залезці ў цёплы ложак да жоначкі, забраўся ў гэтую халодную клетку. *(Разважліва)* Яно, канечне, і там, і там – няволя, але лепей ідзі ты дадому.

Незнаёмы не рэагуе. Настрой у Пызы пачынае змяняцца з фамільярнага на злосны.

Пыза: Ну, хопіць. Я з табой па-сяброўскі, а ты і вухам не вядзеш. А ну, вылазь з клеткі, пакуль я цябе сілком не выцягнуў. *(Пагрозліва)* Чуеш, фраер? Лічу да трох. Раз, два…

Незнаёмы мармыча сабе нешта пад нос, пагрозы вартаўніка відавочна выклікаюць у яго занепакоенасць.

Пыза: Ага, заварушыўся, нарэшце. *(Адчыняе дзверцы клеткі)* Тры. Давай, давай, выходзь на свабоду. Не змушай мяне да гвалтоўных дзеянняў. У нас з табой розныя вагавыя катэгорыі і розніца не на тваю карысць.

Незнаёмы замест таго, каб пакінуць клетку, спалохана забіваецца ў самы кут.

Пыза: Т-а-а-ак. Я пачынаю губляць цярплівасць. Ты што: глухі? Нямы? А, можа, ты вар'ят, які ўцёк з гарадскога шпіталю? Калі ласка, я не супраць: няхай хоць усе вар'яты уцякуць з бальніц, а злачынцы – з турмаў. Толькі не трэба хавацца ў нашым звярынцы, у нас на ўсіх клетак не хопіць. *(Пагрозліва)* Вылазь з клеткі, псіх! Я каму сказаў?!

З-за вагончыка, на імгненне паказваецца галава Жабрачкі.

Жабрачка: Што за вэрхал, паночку?

Пыза *(раздражнёна)*: Другое Прышэсце, старая!

Жабрачка: А Божа ты мой!

На шум з'яўляецца ўстрывожаная Эрна. Дырэктарка апранута ў лёгкі халацік, накінуты наспех, твар у яе заспаны і незадаволены. Убачыўшы дырэктарку, Жабрачка паспешліва хаваецца за вагончыкам.

Эрна: Што здарылася, Пыза? Чаму ты крычыш як шаленец?

Пачуўшы голас Эрны, Незнаёмы ўзнімае галаву.

Пыза: Як жа мне не крычаць, пані Эрна?
Самі зірніце.
(Паказвае на клетку Галадара).

Эрна: Хто гэты чалавек? *(Пазяхае)* Навошта ён залез у клетку?

Пыза: А я ведаю? Мусіць, мясцовы выпівоха. Зараз я яму! *(Сціскае кулакі і хоча ўвайсці ў клетку)*

Эрна: Пачакай, Пыза. Лепш я выклічу паліцыю. Усё ж такі мы ў чужым горадзе.

Незнаёмы нечакана ўсхопліваецца на ногі і кідаецца на пруты клеткі.

Незнаёмы: Марта!

Эрна ўздрыгвае і са страхам углядаецца ў твар Незнаёмага.

Пыза: А я ўжо было падумаў, што ён нямы.

Незнаёмы *(няўпэўнена)*: Марта?

Эрна *(разгублена)*: Чаго хоча гэты чалавек?

Незнаёмы: Entschuldigung! Я памыліўся. *(Адыходзіць углыб клеткі і сядае на падлогу)*

Пыза: Я ж казаў: псіх. Выклікайце паліцыю, пані Эрна. Або адразу лекараў.

Эрна: Пачакай. *(Падыходзіць да клеткі і спрабуе завязаць размову з Незнаёмым)* Вы мяне ведаеце? Як вы апынуліся ў гэтай клетцы?

Незнаёмы сядзіць на падлозе з абыякавым выглядам.

Пыза: Не губляйце часу, пані Эрна. І трымайцеся на ўсялякі выпадак далей ад прутоў клеткі. Раптам, ён небяспечны?

Эрна *(да Незнаёмага)*: Чаму вы назвалі мяне Мартай? Вы былі з ёй знаёмыя?

Незнаёмы *(узнімае галаву і яшчэ раз уважліва разглядае Эрну)*: Вы не Марта.

Эрна: А вы хто? Чаго вы хочаце?

Незнаёмы *(абыякава)*: Пакіньце мяне ў спакоі. *(Апускае галаву)*.

Эрна адыходзіць ад клеткі.

Пыза: Чулі яго? Якое нахабства!

Эрна *(няўпэўнена)*: Паслухай, Пыза… а раптам… гэта ягоная клетка?

Пыза *(здзіўлена)*: Што вы хочаце сказаць, пані Эрна? Нібыта гэты псіх можа быць…

Невядома адкуль з'яўляецца ўзрушаны Аляксандр, падбягае да клеткі і ва ўсе вочы глядзіць на Незнаёмага.

Аляксандр: Так і ёсць! Прыехаў звярынец і Ён вярнуўся. *(Да Пызы)* Я не памыліўся, я ўсё правільна падлічыў. Гэта Ён! *(Да Эрны)* Вы разумееце, што адбылося? Вы разумееце, што цяпер адбудзецца? З намі, з усім светам?

Пыза: Ну, вось: яшчэ адзін. Мястэчка вар'ятаў! Пані Эрна, дарэмна мы сюды прыехалі.

<…>

SIARHIEJ KAVALOŬ (1963) – belarussischer Dramatiker und Literaturwissenschaftler. In den 1980er Jahren als Literaturkritiker aktiv, einer der führenden Köpfe der unabhängigen Vereinigung „Tutejšyja“. In den 1990er Jahren erste Versuche als Dramatiker, entwickelte die Gattung des hermeneutischen Dramas. Autor von über zwanzig Stücken, viele davon sind übersetzt und an Theatern in Belarus, der Ukraine, Russland, der Slowakei und Polen inszeniert worden. Kritiker loben die originellen Sujets, die hohe Sprachkultur sowie die intertextuellen Bezüge zur mittelosteuropäischen Literatur. Der vorliegende Text ist ein Auszug aus dem Stück *Die Wiederkehr des Hungerkünstlers*, uraufgeführt am Staatstheater der Belarussischen Dramaturgie (Minsk) in Zusammenarbeit mit dem internationalen Festival „Konfrontacje Teatralne“ (Lublin); in Buchform erschien das Stück im Sammelband *Psyches Schwestern* (Minsk, 2011).

Kontakt: skowalow@wp.pl

СЯРГЕЙ КАВАЛЁЎ (1963) – беларускі драматург, літаратуразнаўца. У 80-х гг. актыўна займаўся літаратурнай крытыкай, быў адным з кіраўнікоў незалежнага таварыства “Тутэйшыя”. У 90-я гг. звярнуўся да драматургічнай творчасці, распрацаваўшы жанр герменеўтычнай п'есы. Аўтар звыш дваццаці п'ес, многія з якіх перакладзены на іншыя мовы, ставіліся ў тэатрах Беларусі, Украіны, Расіі, Славакіі, Польшчы. Крытыкі адзначаюць у яго творах арыгінальнасць сюжэтаў, высокую культуру пісьма, наяўнасць інтэртэкстуальных сувязяў з літаратурай Сярэдне-Усходняй Еўропы. Прэзентаваны тэкст – фрагмент п'есы *Вяртанне Галадара,* пастаўленай у Рэспубліканскім Тэатры Беларускай Драматургіі (Мінск) пры супрацоўніцтве з Міжнародным фестывалем “Konfrontacje Teatralne” (Люблін), надрукаванай у зборніку *Сёстры Псіхеі* (Мінск, 2011).

Кантакт: skowalow@wp.pl

Dana Łukasińska Dana Łukasińska

VARIATIONEN MIT WIEDERHOLUNGEN
WARIACJE Z POWTÓRZENIAMI

Warschau, Januar 2012

PERSONEN:
EXSTAR, auch Schauspielerin und Mutter von ZumGlückSohn
LEIDERTOCHTER, wird ihre Mutter nicht los
NOCHFRAU, hat ihre Träume nicht verwirklicht
SPANIERIN, sollte wie eine Seuche sein
MUTTER, glaubt an den Priester und verfolgt LeiderTochter
ZUMGLÜCKSOHN, will ein eigenes Leben führen
PRIESTER, auch Schauspieler 2
MACHO, auch Schauspieler 1

Das Stück spielt hauptsächlich in der Erinnerung, in Visonen und Träumen von Frauen, deren Leben vergeht …

ERSTER TEIL

Auf einem Sofa sitzen vier Frauen: ExStar, NochFrau, LeiderTochter, Spanierin. Sie warten, grübeln, erinnern, träumen …

Erste Szene
ExStars Vision. ZumGlückSohn und Macho verkleidet als Drag Queens.

Zumglücksohn: Meine Fresse! Das nenne ich Stil und Klasse! Flitter, Jetts und Perlen. Ein Fest des Lebens, nicht des Todes. Noch leben wir! Teufel auch …

Macho: Noch leben wir. Heute. Und morgen roter Ausschlag. Weiße Blasen. Wie bei Bosch.

Zumglücksohn: Dieses CFS hat mich ein bisschen umgehauen. Sieht so aus, als wäre Denken wirklich schädlich.

Macho: Sie vermehren sich mit geometrischer Geschwindigkeit. Hast du's dir eingeführt? Ist doch eigentlich interessant: „einführen", klingt fast wie „einfühlen".

Zumglücksohn: Hast du irgendwo das Telefon gesehen?

Macho: Gleich. Kann man eigentlich auch sagen „einführsam"?

Zumglücksohn: Ich gehe ohne. Ich weiß nicht. Das beißt, hijo de puta!

Macho: Es wird sich auflösen.

Zumglücksohn: Wann hört es auf?

Macho: Wenn es sich aufgelöst hat. Dann sterben sie, aber das Design ist nicht schlecht. Ein Klumpen mit Hülle, eine Spirale mit Hülle, ein Spiral-Klumpen mit einer Hülle in Form eines Klumpens oder einer Spirale. Klein, aber so gut wie unzerstörbar.

Zumglücksohn: Steh auf.

Macho: Ich sitze hier gut.

Zumglücksohn: Du sitzt drauf! Gib her!

Macho: Ruf nicht an.

Zumglücksohn: Gib her!

Macho: Lass sie in Ruhe. Du machst dich zur Idiotin. Mal wieder.

Zumglücksohn: Nichts zu hören.

Zweite Szene
ExStars Erinnerung. Eine Werbung, in der sie spielte.

Schauspieler 1: Erster Tag: roter Ausschlag und weiße Blasen auf der Haut.

Schauspielerin: Zweiter Tag: schwarzer Gaumen.

Schauspieler 2: Dritter Tag: das Herz weicht auf, der Körper scheidet den eigenen Körper aus.

Schauspieler 1: Und spritzt auf andere. Was, wenn es deine Nächsten trifft? Deinen Mann, deine Frau, die Kinder, die Eltern?

Schauspielerin: Nicht einmal Bosch erfand Bilder solchen Leids.

Schauspieler 1: E. bo. la.

Schauspielerin: H 5.

Schauspieler 1: N 1.

Schauspielerin: HPV. Rota. HIV. HCV.

Schauspieler 2: ARD, MTV, RTL.

Schauspieler 1: AH 1, N 1 und CBV.

Schauspieler 1: Viren, Virionen, Prionen.

Schauspieler 2: Neben dir.

Schauspielerin: Dir.

Schauspieler 1: Und dir.

Schauspieler 2: Ahnungslos.

Schauspieler 1: Sie wissen nicht, dass du …

Schauspieler 2, Schauspielerin: … bewaffnet bist!

Schauspieler 1: Töte sie, bevor sie dich erledigen!

Schauspieler 2: Einfach rektal einführen …

Schauspielerin: … und du hast …

Schauspieler 1: … die Viren im …

Schauspieler 2: … aus dem Kopf!

Dritte Szene
NochFraus Vision, in der sie ihren Traum verwirklicht – sie ist eine Fernsehfrau.

Nochfrau: *(Vorspann)* Familie. Idylle oder Alptraum? Eltern. Kinder. Segen oder Fluch? Herzlich willkommen in unserer allwöchentlichen Sendung Das Laboratorium menschlicher Ichs.
(im Studio)
Ein gewisser Regisseur, dessen Namen ich hier mit Rücksicht auf sein gotterbärmliches Schaffen gnädig verschweige, hat einmal – wenn auch wohl eher zufällig – etwas sehr Interessantes, um nicht zu sagen Originelles gesagt. Auf die Frage, wie er unsere Zukunft sieht, die Zukunft der Gattung Mensch, sagte er, in der Zukunft wären wir so unvollkommen und unsere Unvollkommenheiten so offensichtlich, dass uns nichts übrig bleiben würde, als tolerant gegen andere und intolerant gegen uns selbst zu sein. Oder war es umgekehrt? Deshalb frage ich: Ist die Familie immer noch nur die kleinste Zelle der Gesellschaft? Oder doch ein diskursiver Raum, offen für heterogene Lektüren, der den Familienmitgliedern erlaubt, unterschiedliche – oft miteinander konfligierende – Identitätspositionen zu besetzen? Ich gebe diese Frage an unsere Gäste weiter, die ich speziell für Sie, meine Damen und Herren, heute in meine Sendung eingeladen habe. Sehr geehrte Damen und Herren! Hier ist der Star!
(Applaus)
Star, du bist Schauspielerin, aber auch fürsorgende Mutter. Was ist Familie für dich?

Exstar: Alles. *(Applaus)* Luft. *(Applaus)* Ohne Familie würde ich ersticken. Ich nehme keine Rollen an, für die ich länger von meiner Familie fort müsste. Wenn mir nicht vertraglich zugesichert wird, dass meine Familie bei mir sein kann, wird nichts aus dem Projekt.

Nochfrau: Du hast einen Sohn …

Exstar: Ja. *(Applaus)* Er ist mein Augapfel. *(Applaus)* Mein Schatz. *(Applaus)* Meine Bestimmung. Mein Leben. Mein Ein und Alles. *(Applaus)*

Nochfrau: Du bist alleinerziehende Mutter.

Exstar: So hat es wohl sein sollen.

Leidertochter: Männer sind Schweine.

Nochfrau: Wie immer scharf: Gilletta! Feministin! Diskurskünstlerin und Genderpoetin. Mit scharfen, punkigen Worten hilft sie uns, das Rätsel von Geschlecht und Sexualität zu lösen. Willkommen Gilletta! *(Applaus)*
Du bist Single, Gilletta?

Leidertochter: Nein, Langspielplatte. *(Lachen)*

Nochfrau: Also?

Leidertochter: Ich bin eigenständig, aber nicht einsam.

Nochfrau: Du bist eine Frau, nicht wahr?

Leidertochter: Wenn das Frausein eine Maske ist, die man trägt, um seine Männlichkeit zu verbergen oder um der Vergeltung zu entgehen, falls sie doch einmal zum Vorschein kommt, dann ja: ich bin eine Frau.

Nochfrau: Hast du Familie?

Leidertochter: Wenn du unter Familie eine harmonisches Idyll meinst, dann nein: ich habe keine.

Nochfrau: Hast du Familienpläne? Würdest du dich nicht gerne in sie verlieben, eventuell in ihn, dein Leben mit ihr teilen, eventuell mit ihm, Kinder haben mit ihr, eventuell mit ihm?

Leidertochter: Nein. *(Applaus)*

Nochfrau: Zwei extreme Standpunkte zum Wesen der Familie. Das könnte scharf werden. Zeit für Ihre Anrufe! Das Laboratorium menschlicher Ichs wartet auf deine Probleme! Sie sind verwickelt? Wir entwirren sie!

Kompliziert? Wir vereinfachen! Düster? Wir erhellen! Die ersten fünf Anrufer bekommen einen Gutschein …! Achtung … Da! Hallo?

Zumglücksohn: Guten Tag. *(Applaus)*

Nochfrau: Wer du auch bist, willkommen in der Sendung Das Laboratorium menschlicher Ichs! *(Applaus)* Wie heißt du?

Macho: Idiot.

Zumglücksohn: Artur.

Nochfrau: Willkommen, Artur, du musst den Fernseher leiser stellen, sonst gibt es Rückkopplungen.

Zumglücksohn: So besser?

Nochfrau: Viel besser. Was ist dein Problem, Artur?

Zumglücksohn: Meine Mutter ist toxisch.

Mutter: Unsinn. Es gibt keine schlechten Mütter. Die Kinder sind schuld, wenn die Mutter zuweilen ausrastet.

Priester: Die Krone der Alten sind die Söhne der Söhne, der Stolz der Kinder sind ihre Väter.

Leidertochter: Das ist meine Sendung, Mama.

Nochfrau: Wohl eher meine.

Leidertochter: Es tut mir leid.

Mutter: Mir tut es leid.

Priester: Sei nicht toxisch!

Nochfrau: Du sagst also, Artur, deine Mutter sei toxisch? Auf welcher Grundlage? Vergiss nicht, die Schlussfolgerungen ziehe ich. So funktioniert die Sendung.
Du beschreibst Symptome, ich stelle die Diagnose.

Zumglücksohn: Sie meint, ich müsse rebellieren, und weil ich es nicht tue, bin ich für sie nicht normal.
Exstar: Bist du es denn?

Nochfrau: Kommentar folgt gleich.

Zumglücksohn: Seit zehn Jahren macht sie mir systematisch das Leben zur Hölle. Sie setzt mir keine Grenzen. Ich darf alles: Drogen nehmen, mich betrinken, fluchen, Sex haben mit wem und wie ich will. Sie erwartet von mir, dass ich aggressiv, vulgär und rücksichtslos bin.

Nochfrau: Hältst du das für schlecht?

Zumglücksohn: Das ist doch nicht normal. *(Lachen)*

Nochfrau: Was ist denn deiner Meinung nach normal?

Zumglücksohn: Alles, was nicht so ist, wie sie möchte, dass es ist. Ich weiß es nicht, ich kann es nicht sagen.

Nochfrau: Wie alt bist du?

Zumglücksohn: Neunzehn.

Exstar: Wie heißt du?

Macho: Idiot.

Zumglücksohn: Artur.

Exstar: Artur, glaubst du, dass deine Mutter dich liebt?

Zumglücksohn: Aber das ist doch eine kranke Liebe.

Nochfrau: Artur, ich warne dich: Noch eine Diagnose von dir, und wir nehmen dich aus der Sendung.

Exstar: Ich habe keine weiteren Fragen.

Nochfrau: Vielen Dank, Artur. Gleich bekommst du unsere Diagnose zu deinen Problem und das Rezept zu ihrer Lösung. Und jetzt schon einen Gutschein für essbare Unterwäsche in Höhe von 200 Euro! Einen Applaus für deinen Mut, Artur! *(Applaus)*

Exstar: Seine Mutter ist eine großherzige Frau. Und ein guter Mensch mit einem weiten geistigen Horizont. Sie öffnet ihrem Sohn viele Türen und sagt: wähle aus, probiere, teste, damit du weißt, was für dich das Beste ist. Das ist Liebe in ihrer reinsten Form. *(sie weint) (Applaus)*

Nochfrau: Jim, in deinem Fall handelt es sich um eine rein klinische Problematisierung der Mimetizität des Realismus in seiner postmodernen Spielart, um die Zerstörung der referentiellen Bindung in einem repräsentationalistischen Ansatz sowie auch um die konsequente Störung der Relation zwischen dem Imaginierten. Mehr noch! Dem Realen.

Vierte Szene

LeiderTochters Vision, in der sie ihr Credo anderen LeiderTochtern übermittelt. In die Vision platzt plötzlich die Mutter herein, zusammen mit dem unzertrennlichen Priester, den LeiderTochter nicht hört und nicht sieht.

Leidertochter: Die Rose hat Dornen, hat Dornen,
hat Dornen.
Ihre Blüten sind nass von Tränen und Blut.
Sieh mich an.
Was siehst du?
Geschminkte Lippen.
Mit Tusche nachgezogene Wimpern.
Die Brüste im Push-up wie auf einem Präsentierteller.
Der Hintern wie der Traum eines Alpinisten mit Eispickel in der Hand.
Die Beine – Autobahnen in den Himmel.
Und die Mitte des Universums, zu deren Eroberung ganze Arsenale von Boden-Luft-Raketen bereitstehen.
Falsch. Was du siehst, ist nur eine Ansammlung von sinnlich erfassbaren Daten. Ein Komplex physischer Merkmale.
Das Geschlecht.
Man sieht nur das Geschlecht und meint, das Geschlecht wäre alles, was es gibt.
Falsch! Ich bin nicht mein Geschlecht. Ich bin ich.
Löse dein „Ich" vom Geschlecht. Werde nicht sein Opfer. Seinetwegen nennen sie dich „Blümchen". Tausendschön. Vergissmeinnicht. Röschen. Warum sagen sie nicht gleich: Objekt. Damit sie sich das Objekt ohne schlechtes Gewissen nehmen können! Wenn die Rose „nein" schreit – hören sie „ja". Selbst das Wort „Klatschmohn" würden sie für „mach schon" halten, um noch schneller ans Vögeln zu kommen. Aber vergiss nicht! Rosen sind nicht wehrlos! Sie haben Dornen.
Die Rose hat Dornen, hat Dornen, hat Dornen.
Ihre Blüten sind nass von Tränen und Blut.
Aber es genügt nicht, „nein" zu sagen. Ihr müsst ihnen dieses „nein" zeigen! Nein! Nein! Nein! Wie? So! Und so! Und so! Und dann so, so, so, so, so …

Mutter: Ich habe geträumt, ich hätte ein Kind geboren. Einen Sohn zu gebären, ist ein Segen und ein Glück für die ganze Familie. Eine Tochter zu gebären – schon schlechter. Ein Zeichen, dass Gott den Menschen verlassen hat. Eine Tochter zu gebären heißt ins Elend zu stürzen. Und so habe ich in diesem Traum zwei Mal geboren. Beim ersten Mal kam ein Licht von hier, aus mir. Ich wusste gleich, es ist ein Junge. Schön und rosig. Mit grünen Augen schaute er mich an. Er war so gut. Dann gebar ich ein zweites Mal. Ich wusste gleich, es ist ein Mädchen. Sie zappelte. Sie hatte lockiges Haar. Die Fingernägel rot lackiert. Und dicke Negerlippen. O weh, dachte ich, was nützt mir das Glück, einen Sohn geboren zu haben, einen schönen, wenn jetzt das Elend auf mich einstürzt. Ich wachte auf und dachte, dir steht ein Unheil bevor, Töchterchen, deshalb bin ich gekommen. Gepriesen sei Maria in der Heiligsten Dreifaltigkeit.

Priester: In Ewigkeit.

Leidertochter: Wie geht es dir, Mama …

Mutter: … wie schon? Ich bin nicht mehr die Jüngste, mein Leben lang habe ich für die Familie geschuftet, meine Gesundheit auf dem Altar des heimischen Herds geopfert, wie soll es mir denn da schon gehen. Ich pfeife aus dem letzten Loch.

Priester: Sag ihr die Wahrheit.

Mutter: Wahrlich, ich werde sie ihr sagen.

Leidertochter: Du solltest dich durchchecken lassen, Mama.

Priester: Du hast ein Herz wie eine Glocke. Zeig ihr das letzte EKG.

Mutter: Ich zeige dir, wo es mir wehtut. Hier, und hier, und hier. Und du bist immer noch allein!

Priester: Maria …

Leidertochter: Mama.

Mutter: Du bist allein und wirst allein bleiben, das ist ein Fluch.

Leidertochter: Mama!

Priester: Maria!

Mutter: Du wirst sterben. Nicht als Heilige und nicht als Hure. Als Sonderling. Als Feministin.

Leidertochter: Mama, ich habe dir schon so oft gesagt, der Mensch wird nicht als Frau geboren, er wird dazu gemacht.

Mutter: Das höre ich zum ersten Mal.

Priester: Interessant.

Leidertochter: Und dass der Mensch, sobald er sich bewusst wurde, dass er eine Frau ist, diese Maskerade nicht mitmachen muss, bei der die Mehrheit der unbewussten Frauen mitmacht, indem sie teilhat am Begehren der Männer sogar um den Preis der Selbstaufgabe.

Mutter: Was redest du denn da schon wieder?

Leidertochter: Die Frau erwartet, begehrt und geliebt zu werden für etwas, was sie nicht ist, woraus sie aber einen Fetisch macht.

Priester: Frage sie nach der Libido.

Mutter: Denkst du nicht ein bisschen zu viel? Die Frau wurde nicht zum Denken geschaffen, sondern zum Gebären. Weißt du, was ich dir als Kind vorgesungen habe: „Ich bin Eva, die Frau des edlen Adam.
Es gäbe die Hölle nicht ohne mich."

Leidertochter: Ich erinnere mich nicht.

Priester: Gut so. Dummes Zeug und Aberglaube.

Mutter: Und das? Woraus werden kleine Mädchen gemacht?

Leidertochter: Aus Zucker, Wohlgeruch und jeglicher Schlüpfrigkeit.

Mutter: Und jeglicher Süßigkeit. Du warst schon immer dumm und widerspenstig. Ganz wie dein Vater. Er hat mein Leben verpfuscht. Warum bist du so blass?

Leidertochter: Mir ist schlecht.

Mutter: Ich wusste es! Warum habe ich dich nur auf diese Welt gebracht! Keinen Mann haben, aber schwanger sein!

Leidertochter: Freust du dich nicht? Eine unbefleckte Empfängnis.

Mutter: Ich gebe dir gleich eine Empfängnis!

Priester: Gott freut sich über jedes empfangene Leben.

Mutter:
zu LeiderTochter
Er freut sich vielleicht. Ich nicht.
zum Priester
Und ja kein Wort!

Fünfte Szene
NochFraus Vision, ihre Sendung läuft noch, die Spanierin erscheint unerwartet.

Spanierin: Du hast recht, Artur. Deine Mutter ist nicht normal.
(Buhrufe)
Die Schwingungen deines Namens sagen mir, dass du nicht lügst. Über Fünfer kann man alles sagen, aber nicht, dass sie lügen. Du bist empfindsam und sanft. Du suchst Ruhe und Stabilität. Sicherheit und Liebe. Das kann dir deine Mutter leider nicht geben.
(Buhrufe)
Aus dem einfachen Grund, weil sie numerologisch eine Eins ist, die bekanntlich zu Empathie und Hingabe nicht fähig sind. Klein und gemein.
(Buhrufe)

Nochfrau: Und was kann uns die Spanierin über Siebener erzählen? Diese Zahl ist ihr wohl sehr nahe. Die letzten sieben Jahre hat sie nämlich in der Psychiatrie verbracht.
(Lachen)
Wo sie die Terrorgruppe Kollektiv Normaler Patienten gründete!
(Lachen)
Die behauptete, nicht sie seien krank, sondern die Gesellschaft!
(Lachen)
Die Pläne des Kollektivs scheiterten schon mit der ersten terroristischen Aktion, bei der sie eine Geisel nehmen und als Lösegeld den Kopf des Gesundheitsministers fordern wollten!
(Lachen)
Zwei Patienten – Entschuldigung – zwei Terroristen zerstritten sich über die Frage, wie man die Geisel – einen Pflegerin aus der Neurosenabteilung – stillstellen sollte. Ein Terrorist war dafür, den Finger an den Mund zu legen und Pssst zu sagen, der zweite für eine brutalere Lösung: das Mundhalten. Aus dem Streit wurde ein Kampf, in dessen Verlauf einer der Terroristen den anderen tötete,
(Bravorufe)
und zwar mit einem museumsreifen Gewehr des Typs Mauser.
(Lachen)

Spanierin: Das ändert nichts an der Tatsache, dass Arturs Mutter nicht normal ist.
(Buhrufe)

Exstar: Wie geht es denn deinem Sohn?

Spanierin: Antek.

Exstar: Antonio. Ist es normal, dass eine Mutter sich nicht für das Schicksal ihres Kindes interessiert?

Spanierin: Antek. Ist es denn normal, dass eine Mutter ihr Kind so wenig akzeptiert?

Exstar: Antonio. Er hat in Hollywood Karriere gemacht.

Spanierin: Antek. Um die du ihn beneidest.

Exstar: Antonio. Nicht im geringsten. Er hätte Künstler werden können, aber er wurde ein Star.

Spanierin: Antek. Die Schwingungen seiner Unterschrift haben ihm das gesichert.

Exstar: Antonio. Schwingungen? Klar, aber andere als du denkst. Wer sich nicht hingibt, kann die Karriere vergessen.

Spanierin: Antek. Wollte keiner deine Hingabe?
(Buhrufe)

Nochfrau: Es sieht so aus, als hätten wir den nächsten Zuschauer in der Leitung.
(Bravorufe)

Spanierin: *(singt)*
ich nerve dich
weil ich so normal bin
ich nerve dich
weil ich so unikal bin
ich nerve dich
weil ich nach eigenen Regeln lebe
ich nerve dich
weil ich nichts auf eure Ordnung gebe

ich tanze auf einem Seil über eine Schlucht
ein seltsames Entlein
das Freiheit sucht
das Leben als Fest leben
sterben als ich
leben als ich
ich bin ich

du nervst mich
denn du gehst immer im Gänseschritt
du nervst mich
denn du läufst immer mit der Menge mit
du nervst mich
denn du hast keine eigene Meinung
begreife doch
das Andere ist eine göttliche Erscheinung

ich tanze auf einem Seil über eine Schlucht
ein seltsames Entlein
das Freiheit sucht
das Leben als Fest leben
sterben als ich
leben als ich
ich bin ich

Nochfrau: Es sieht so aus, als hätten wir den nächsten Zuschauer in der Leitung. Wer immer du bist, willkommen!
(Bravorufe)

Sechste Szene
ExStars Vision. ZumGlückSohn singt mit der Spanierin. Er tanzt und legt das Drag-Queen-Kostüm ab.

Zumglücksohn: „ich tanze auf einem Seil über eine Schlucht
ein seltsames Entlein
das Freiheit sucht
das Leben als Fest leben
sterben als ich
leben als ich
ich bin ich"

Macho: Idiot.

Siebte Szene
Vier Frauen sitzen auf einem Sofa: ExStar, NochFrau, LeiderTochter, Spanierin. Sie warten …

Spanierin: *(summt)*

Exstar: Es heißt, das Ende der Welt wäre nahe.

Nochfrau: Schnell und besser. So muss man leben.

Leidertochter: So muss man sterben. Je schneller, desto besser. Ich sorge mich nicht darum, dass die Welt untergeht, sondern wie sie untergeht. Wird sie verbrennen, versinken oder zermalmt werden?

Exstar: Sie wird explodieren.

Nochfrau: Warum?

Exstar: Der Schmerz dauert eine Sekunde.

Nochfrau: Und dann Leere, Null?

Spanierin: Null ist das Nichts, in dem das Potenzial des Seins und neuer Anfänge pulsiert. Eine neue Lebensetappe.

Exstar: Bist du nicht mehr normal?

Spanierin: Ich bin normal. Ich habe sogar ein Attest.

Leidertochter: Ein gefälschtes.

Exstar: Nach uns hört die Welt auf zu existieren.
Spanierin: Nicht die Welt. Nur der Erdball. Bällchen. Kügelchen. Koralle. Kosmisch gesehen ändert sich nichts. Wir nehmen uns und das Leben zu wichtig.

Exstar: Du hast leicht reden. Du hast keine Familie.

Spanierin: Ich habe Familie, aber sie braucht mich nicht mehr. Man muss wissen, wann man loslassen muss.

Exstar: Wenn dir der Pfleger die Zwangsjacke abnimmt?

Spanierin: Ich habe in der Psychiatrie viele toxische Mütter wie dich gesehen. Manche haben ihre Kinder aus Liebe gefressen.

Exstar: Du bist nicht normal.

Leidertochter: Deshalb werde ich keine Kinder haben. Dopamin, Oxytocin, und du bist nicht mehr du. Ein Atavismus, Gefühl genannt.

Nochfrau: Wenn mich auf der Straße ein Reporter anhalten würde, ihr wisst ja, sie machen manchmal so Straßenumfragen, und wissen wollte, was ich noch gerne tun würde, bevor die Welt untergeht, dann würde ich sagen: Ich würde mich gerne in sie, vielleicht auch in ihn verlieben, mich mit ihr, vielleicht auch mit ihm vereinigen und mit ihr, vielleicht auch mit ihm ein Kind haben.

Exstar: Uns fragt keiner. Wir sind zu alt.

Leidertochter: *(zu NochFrau)*
Bis du lesbisch?

Exstar: Du bist vulgär. Lesbisch. Asia und lesbisch?

Leidertochter: Mir würde es gefallen.

Nochfrau: Vulgär zu sein?

Leidertochter: Hauptsache nicht das ganze Leben auf dem Altar des heimischen Herdes opfern.

Nochfrau: Und die Einsamkeit? Fürchtest du sie nicht?

Leidertochter: Ich bin eigenständig, aber nicht einsam.

Spanierin: Dummes Zeug.

Achte Szene
ExStars Wohnung. Sie übt Dialoge aus „… denn sie wissen nicht was sie tun". Als Macho erscheint – üben sie gemeinsam.

Exstar: Benimm dich, Jim, ich warne dich.
Lassen sie mich in Ruhe.
Nein. Du willst mich herausfordern, damit ich dich einsperre, ja?
Er steht unter dem Pantoffel und lässt es sich gefallen?
Großmutter?
Mutter.
Macho kommt herein.
Du kommst spät.

Macho: *(findet die Textstelle nicht)* Äh?

Exstar: Großmutter?

Macho: Mutter. Sie behandelt ihn, wie's ihr grade passt. Wenn er wenigstens den Mut hätte, einmal richtig mit der Faust auf den Tisch zu schlagen.

Exstar: Weil er ein Hasenfuß ist?

Macho: Sie wollten wohl sagen: Weil er sensibel ist.

Exstar: Ich weiß, was ich sagen wollte. Hasenfüße haben keine Chance, Jim.

Macho: Äh? Vater möchte mir immer ein Freund sein. Ich will keinen Freund. Ich will einen Vater!

Exstar: Manchmal ist es besser, keinen Vater zu haben.

Macho: Äh … Wenn er nur einmal mit der Faust auf den Tisch schlagen würde.

Exstar: Jim! Dein Frühstück ist auf dem Tisch!

Macho: Äh … Danke, ich hab' keinen Hunger.
An meinem ersten Schultag stopfte mich meine Mutter so voll, dass ich bis zur Pause nicht pusten konnte.

Exstar: Iss, du musst etwas essen.

Macho: Ich bin nervös.

Exstar: Sei kein Hasenfuß, Jim! Du wirst es ihnen zeigen, dass dein alter Vater stolz auf dich sein kann! Und dann noch eins: Sei vorsichtig mit der Wahl deiner Freunde. Sieh sie dir genau an!

Macho: Weißt du was, mach deine Gedächtnisübungen allein.

Exstar: Hör auf, die paar Verdreher. Aber du bist zu spät gekommen.
Macho: Ich komme wenigstens noch.

Exstar: Hast du ihn gesehen? Was macht er? Hat er etwas gesagt? Wann ist es endlich soweit?! Wie lange soll ich noch warten?! Wie lange noch?!

Macho: Schone. Deine Stimme. Er kann jeden Moment anrufen.

Exstar: Artur?

Macho: Artur? Konzentrier dich!

[Aus dem Polnischen von Bernhard Hartmann]

OSOBY:
EXGWIAZDA, która Jest też Aktorką i matką Naszczęściesyna
NIESTETYCÓRKA, która nie może pozbyć się Matki
JESZCZEKOBIETA, która nie spełniła swoich marzeń
HISZPANKA, która powinna być jak zaraza
MATKA, która wierzy w Księdza i prześladuje Niestetycórkę
NASZCZĘŚCIESYN, który chce żyć po swojemu
KSIĄDZ, który jest też Aktorem 2
MACHO, który jest też Aktorem 1

Sztuka dzieje się głównie we wspomnieniach, wizjach, marzeniach kobiet, których życie przemija...

CZĘŚĆ PIERWSZA

Na kanapie siedzą cztery kobiety: ExGwiazda, JeszczeKobieta, NiestetyCórka, Hiszpanka. Czekają, rozmyślają, wspominają, marzą...

Scena Pierwsza
Wizja ExGwiazdy. NaSzczęścieSyn i Macho przebrani za drag queen.

Naszczęściesyn: Ja pierdolę! To się nazywa mieć styl i klasę! Cekiny, dżety, koraliki. Celebracja życia, nie śmierci. Jeszcze żyjemy! Do licha...

Macho: Jeszcze żyjemy. Dziś. A jutro czerwone wykwity. Białe pęcherze. Jak u Boscha.

Naszczęściesyn: Ten CEBV lekko mnie załamał. Wychodzi na to, że myślenie naprawdę szkodzi.

Macho: Mnożą się w tempie geometrycznym. Założyłaś? W sumie to ciekawe: „założyć", nie „włożyć". Założyć. Jak czapkę. Nawet brzmi podobnie.

Naszczęściesyn: Widziałaś gdzieś telefon?

Macho: Zaraz. A jak się mówi: włóż czapkę czy załóż czapkę?

Naszczęściesyn: Chodzę bez. Nie wiem. Szczypie, hijo de puta!

Macho: Rozpuszcza się.

Naszczęściesyn: Kiedy przestanie?

Macho: Jak się rozpuści. Wtedy zginą, ale design mają niezły. Bryła z otoczką, spirala z otoczką, bryło-spirala z otoczką w kształcie bryły lub spirali. Takie drobiny, a niemal niezniszczalne.
Naszczęściesyn: Wstań.

Macho: Dobrze mi tu.

Naszczęściesyn: Siedzisz na nim! Oddaj!

Macho: Nie dzwoń.

Naszczęściesyn: Oddaj!

Macho: Daj jej spokój. Wyjdziesz na idiotkę. Znowu.

Naszczęściesyn: Nic nie słychać.
Scena druga
Wspomnienie ExGwiazdy. Reklama, w której zagrała.

Aktor 1: Dzień pierwszy: czerwone wykwity i białe pęcherze na skórze.

Aktorka: Dzień drugi: czarne podniebienie.

Aktor 2: Dzień trzeci: rozmiękcza się serce, ciało wydala własne ciało.

Aktor 1: Rozbryzgując się na innych. A jeśli to będą twoi bliscy? Mąż, żona, dzieci, rodzice?

Aktorka: Nawet u Boscha nie było takich obrazów cierpienia.

Aktor 1: E.bo. la.

Aktorka: Ha pięć.

Aktor 1: En jeden.

Aktorka: Hapefał. Rota. Hif. Hacefał.

Aktor 2: Tefałpe, emtiwi, tefałen.

Aktor 1: Aha jeden, en jeden i cebevał.

Aktor 1: Wirusy, wiriony, priony.

Aktor 2: Obok ciebie.

Aktorka: Ciebie.

Aktor 1: I ciebie.

Aktor 2: Naiwne.

Aktor 1: Nie wiedzą, że jesteś...

Aktor 2, AKTORKA: ... uzbrojony!

Aktor 1: Zabij je, zanim one wykończą ciebie!

Aktor 2: Zakładasz…

Aktorka: ...i masz...

Aktor 1: ... wirusy w...

Aktor 2: ... z głowy!

Scena trzecia
Wizja JeszczeKobiety, w której spełnia swoje marzenie – jest panią z telewizji.

Jeszczekobieta: *(czołówka)*
Rodzina. Idylla, czy koszmar? Rodzice. Dzieci. Błogosławieństwo, czy przekleństwo? Witam w cotygodniowym programie Laboratorium ludzkich ja.
(w studio)
Pewien reżyser, którego nazwisko litościwie, ze względu na pożal się boże twórczość, pominę, powiedział – zdaje się przez przypadek – rzecz bardzo ciekawą, żeby nie powiedzieć oryginalną. Zapytany, jak widzi naszą przyszłość, nas, jako gatunku ludzkiego, powiedział, że w przyszłości będziemy tak niedoskonali i nasze niedoskonałości będą tak widoczne, że nie pozostanie nam nic innego, niż być tolerancyjnym wobec innych i nietolerancyjnym wobec samych siebie. A może odwrotnie? Dlatego pytam: czy rodzina to nadal jedynie podstawowa komórka społeczna? Czy raczej przestrzeń dyskursywna, otwarta na różnorodność odczytań, umożliwiająca jej członkom zajmowanie rozmaitych – często wzajemnie konfliktowych – pozycji identyfikacyjnych? Pytanie to kieruję do gości, których specjalnie dla państwa zaprosiłam dziś do mojego programu. Szanowni państwo! Przed państwem Gwiazda!
(brawa)
Gwiazdo, jesteś aktorką, gwiazdą, ale i troskliwą matką. Czym dla ciebie jest rodzina?

Exgwiazda: Wszystkim.
(brawa)
Powietrzem.
(brawa)
Bez rodziny się duszę. Nie przyjmuję ról, które uniemożliwiają mi bycie z rodziną. Jeśli w kontrakcie nie mam zapewnionych warunków, by rodzina była ze mną, z projektu nici.

Jeszczekobieta: Masz syna...

Exgwiazda: Tak.
(brawa)
To moje oczko w głowie.
(brawa)
Mój skarb.
(brawa)
Moje przeznaczenie. Moje życie. Moje wszystko. *(brawa)*

Jeszczekobieta: Jesteś samotną matką.

Exgwiazda: Tak wyszło.

Niestetycórka: Faceci to dranie.

Jeszczekobieta: Jak zwykle ostra Żyleta! Feministka! Artystka dyskursywna i poetka genderu. Ostrymi, punkowymi słowami pomaga nam rozwikłać zagadkę płci i seksualności. Witamy Żyletę!
(brawa)
Jesteś singlem, Żyleto?

Niestetycórka: Nie, albumem studyjnym.
(śmiech)

Jeszczekobieta: Więc?

Niestetycórka: Jestem człowiekiem samodzielnym, ale nie samotnym.

Jeszczekobieta: Jesteś kobietą, prawda?

Niestetycórka: Powiem tak: jeśli kobiecość można nosić jak maskę, zarówno w celu ukrycia męskości, jak i w celu uniknięcia odwetu w wypadku, gdyby wyszła ona na jaw, to tak, jestem kobietą.

Jeszczekobieta: Masz rodzinę?

Niestetycórka: Jeśli pytasz o rodzinę jako stan idyllicznej równowagi, to nie, nie mam.

Jeszczekobieta: A planujesz? Czy nie chciałabyś zakochać

się w niej, ewentualnie w nim, związać z nią, ewentualnie z nim, swoje życie, mieć z nią, ewentualnie z nim, dzieci?

Niestetycórka: Nie.
(brawa)

Jeszczekobieta: Dwa skrajne spojrzenia na istotę rodziny. Zapowiada się ostro. Czas na telefony! Laboratorium ludzkich ja czeka na twoje problemy! Splątane? Rozplączemy! Skomplikowane? Uprościmy! Zagmatwane? Wyjaśnimy! Pierwsze pięć osób, które dodzwonią się do nas otrzyma kupon …! Uwaga... Jest! Halo?

Naszczęściesyn: Dzień dobry.
(brawa)

Jeszczekobieta: Kimkolwiek jesteś, witam cię w programie Laboratorium ludzkich ja!
(brawa)
Jak masz na imię?

Macho: Idiota.

Naszczęściesyn: Artur.

Jeszczekobieta: Witaj, Arturze, musisz ściszyć telewizor, bo słychać echo.

Naszczęściesyn: Teraz lepiej?

Jeszczekobieta: Znacznie. Z jakim problemem dzwonisz do nas, Arturze?

Naszczęściesyn: Moja matka jest toksyczna.

Matka: Bzdura. Nie ma złych matek. To wina dzieci, że czasem matkę poniesie.

Ksiądz : Koroną starców są synowie synów, a chlubą dzieci są ich ojcowie.

Niestetycórka: To mój program, mamo.

Jeszczekobieta: Raczej mój.

Niestetycórka: Przepraszam.

Matka: To ja przepraszam.

Ksiądz: Nie bądź toksyczna!

Jeszczekobieta: Więc, mówisz Arturze, że twoja matka jest toksyczna? A na jakiej podstawie? Przypomnę ci, że od wniosków jestem ja. Taka jest formuła tego programu. Ty opisujesz objawy, ja stawiam diagnozę.
Naszczęściesyn: Uważa, że powinienem się zbuntować, a skoro tego nie robię, nie jestem normalny.

Exgwiazda: A jesteś?

Jeszczekobieta: Komentarze za chwilę.

Naszczęściesyn: Systematycznie, od dziesięciu lat zamienia moje życie w piekło. Nie stawia mi granic. Wszystko mogę: narkotyzować się, upijać, przeklinać, uprawiać seks z kim chcę i jak chcę. Oczekuje, że będę agresywny, wulgarny, bezwzględny.

Jeszczekobieta: Widzisz w tym coś złego?

Naszczęściesyn: To nienormalne.
(śmiech)

Jeszczekobieta: Co zatem, twoim zdaniem, jest normalne?

Naszczęściesyn: Wszystko inne, co nie jest takie, jakie ona chce, żeby było. Nie wiem, nie umiem powiedzieć.

Jeszczekobieta: Ile masz lat?

Naszczęściesyn: Dziewiętnaście.

Exgwiazda: Jak ty masz na imię?

Macho: Idiota.

Naszczęściesyn: Artur.

Ezgwiazda: Arturze, czy twoim zdaniem twoja matka cię kocha?

Naszczęściesyn: Ale to chora miłość.

Jeszczekobieta: Ostrzegam cię, Arturze, jeszcze jedna twoja diagnoza i zdejmiemy cię z programu.

Exgwiazda: Nie mam więcej pytań.

Jeszczekobieta: Dziękujemy ci Arturze. Za chwilę otrzymasz od nas diagnozę twoich problemów wraz z receptą jak je rozwiązać. Ale już otrzymałeś kupon o wartości 200 euro na zakupy bielizny jadalnej! Brawa za odwagę, Arturze!
(brawa)

Exgwiazda: Jego matka to wspaniałomyślna kobieta. I dobry człowiek o szerokich horyzontach myślowych. Otwiera przed swoim synem wiele drzwi i mówi: wybieraj, sprawdzaj, testuj, abyś wiedział, co dla ciebie najlepsze. To miłość w najczystszej postaci.
(płacze)
(brawa)

Jeszczekobieta: Jim, twój przypadek to czysta kliniczne problematyzacja mimetyczności realizmu w wersji ponowoczesnej oraz zaburzenie więzi referencjalnej w ujęciu reprezentacjonalistycznym, a także konsekwentne zaburzanie relacji między tym, co wyobrażone. Powiem więcej nawet! Realne.

Scena czwarta

Wizja NiestetyCórki, w której przekazuje swoje życiowe credo innym niestetycórkom. Nagle w jej wizję wkracza Matka, wraz z nieodłącznym Księdzem, którego NiestetyCórka nie słyszy i nie widzi.

Niestetycórka: Róża ma kolce, ma kolce, ma kolce.
Płatki mokre od łez i krwi.
Popatrz na mnie.
Co widzisz?
Pomalowane usta.
Pogrubione tuszem rzęsy.
Piersi w puszapie podane na tacy.
Pośladki jak marzenie alpinisty z czekanem w dłoni.
Nogi - autostrady do nieba.
I centrum wszechświata, na zdobycie którego czekają arsenały rakiet ziemia-powietrze.
Nieprawda. To co widzisz, to tylko zbiór danych dotykalnych zmysłowo. Zespół cech fizycznych.
Płeć.
Widać tylko płeć i wydaje się, że płeć to wszystko, co istnieje.
Nieprawda! Ja to nie płeć. Ja to ja.
Odklej swoje „ja" od płci. Nie bądź jej ofiarą.
To z jej powodu mówią do ciebie „kwiatuszku".
Stokrotko. Niezapominajko. Różyczko. Czemu nie powiedzą wprost: przedmiocie. By bez skrupułów po przedmiot sięgać!
Gdy róża krzyczy „nie" - oni słyszą „tak". Słowo „mak" wzięliby za „fuck", by jeszcze szybciej zacząć rżnąć.
Ale pamiętaj! Róże nie są bezbronne! Mają kolce.
Róża ma ma kolce, ma kolce, ma kolce.
Płatki mokre od łez i krwi.
Ale nie wystarczy mówić „nie". Trzeba im to „nie" pokazać! Nie! Nie! Nie! A jak? Tak! I tak! I tak! A potem tak, tak, tak, tak, tak...

Matka: Śniło mi się, że rodziłam. Rodzić syna, to pomyślność i szczęście dla całej rodziny. Córkę rodzić – to już gorzej. Znak, że Bóg człowieka opuścił. Córkę rodzić, to w nędzę popaść. I tak rodziłam w tym śnie dwa razy. Pierwszy raz jakieś światło szło stąd, ze mnie. Od razu wiedziałam, że to chłopiec. Ładny, różowy. Zielonymi oczami na mnie patrzył. Dobry taki. Potem rodzę drugi raz. Od razu wiedziałam, że to dziewczynka. Wierciła się. Kręcone miała włosy. Paznokcie na czerwono pomalowane. I usta grube, murzyńskie. Oj, pomyślałam, co mi z tej pomyślności, z tego chłopca urodzonego, pięknego, jak zaraz nędza na mnie spadnie. Obudziłam się i pomyślałam, że jakieś nieszczęście cię musi spotkać, córcia, dlatego przyszłam. Niech będzie pochwalona Maryja w Trójcy Przenajświętszej.

Ksiądz: Niech będzie.

Niestetycórka: Jak się mama…

Matka: … co jak? Lata mam, całe życie tyrałam dla rodziny, zdrowie całe na ołtarzu domowego ogniska złożyłam, to jak się mam czuć. Ledwo zipię.

Ksiądz: Powiedz jej prawdę.

Matka: Zaprawdę powiadam.

Niestetycórka: Powinna się mama przebadać.

Ksiądz: Serce masz jak dzwon. Pokaż jej ostatnie ekg.

Matka: Pokażę ci, gdzie mnie boli. Tu, i tu, i tu.
A ty dalej sama!

Ksiądz: Mario...

Niestetycórka: Mamo.

Matka: Sama jesteś, sama będziesz, to przekleństwo.

Niestetycórka: Mamo!

Ksiądz: Mario!

Matka: Umrzesz. Nie świętą i nie dziwką. Dziwadłem umrzesz. Feministką.

Niestetycórka: Tyle razy już mówiłam mamie, że człowiek nie rodzi się kobietą, tylko nią staje.

Matka: Pierwsze słyszę.

Ksiądz: Interesujące.

Niestetycórka: I że człowiek uświadomiwszy sobie, że jest kobietą nie musi brać udziału w maskaradzie, w jakiej większość kobiet nieuświadomionych bierze udział, uczestnicząc w pragnieniu mężczyzny nawet za cenę porzucenia samej siebie.

Matka: Co ty znowu wymyśliłaś?

Niestetycórka: Kobieta oczekuje, że będzie upragniona i kochana właśnie za to czym nie jest, a z czego czyni fetysz.

Ksiądz: Zapytaj ją co z libido.

Matka: Czy ty nie za dużo myślisz? Kobiety nie do myślenia zostały powołane, a do rodzenia. A w dzieciństwie ci śpiewałam:
„Ja jestem Ewa, żona szlachetnego Adama.
Nie byłoby piekła gdyby nie ja."

Niestetycórka: Nie pamiętam.

Ksiądz: I dobrze. Ciemnota i zabobon.

Matka: A to? Z czego zrobione są małe dziewczynki?

Niestetycórka: Z cukru, wonności i wszelkiej sprośności.

Matka: I wszelkiej słodkości. Zawsze głupia byłaś i uparta. Zupełnie jak twój ojciec. Życie mi zmarnował.
Coś ty taka blada?

Niestetycórka: Mdli mnie.

Matka: Wiedziałam! I po co ja cię na ten świat powiłam! Męża nie ma, a w ciąży jest!

Niestetycórka: Nie cieszysz się? Niepokalane poczęcie.

Matka: Dam ci ja poczęcie!

Ksiądz: Bóg cieszy się z każdego poczętego życia.

Matka: do NiestetyCórki
On może się cieszy. Ale nie ja.

do Księdza
I ani słowa!

Scena piąta
Wizja JeszczeKobiety, trwa jej program, nieoczekiwanie pojawia się Hiszpanka.

Hiszpanka: Masz rację, Arturze. Twoja matka jest nienormalna.
(buczenie)
Wibracja twojego imienia mówi mi, że nie kłamiesz. Wszystko można powiedzieć o piątkach, ale nie to, że kłamią. Jesteś wrażliwy i delikatny. Szukasz spokoju i stabilizacji. Poczucia bezpieczeństwa i miłości. Tego, niestety, twoja matka dać ci nie może.
(buczenie)
Z tej prostej przyczyny, że jest numerologiczną jedynką, które, jak wiadomo, niezdolne są do empatii i poświęcenia. Biedne, bo wredne.
(buczenie)

Jeszczekobieta: A co Hiszpanka ma nam do powiedzenia o siódemkach? Ta liczba jest jej chyba bardzo bliska. Ostatnie siedem lat spędziła w szpitalu psychiatrycznym.
(śmiech)
W którym założyła ugrupowanie terrorystyczne Kolektyw Normalnych Pacjentów!
(śmiech)
Głoszące, że to nie ich trzeba leczyć, a społeczeństwo!
(śmiech)
Wszystkie plany Kolektywu padły już podczas pierwszej akcji terrorystycznej, kiedy zamierzano wziąć zakładniczkę i zażądać za nią głowy ministra zdrowia!
(śmiech)
Dwóch pacjentów – przepraszam – dwóch terrorystów – pokłóciło się o logistykę uciszenia zakładniczki – pielęgniarki z oddziału neuroz. Jeden terrorysta był za knebIowaniem przez przyłożenie palca do ust i powiedzenia: ciiii, drugi, za bardziej brutalną formą: nabraniem wody w usta. Spór przybrał formę walki wręcz, podczas której jeden z terrorystów zabił drugiego,
(brawa)
używając w tym celu karabinu typu Mauzer, w wersji muzealnej.
(śmiech)

Hiszpanka: Nie zmienia to faktu, że matka Artura normalna nie jest.
(buczenie)

Exgwiazda: Jak się ma twój syn, Antonio?

Hiszpanka: Antek.

Exgwiazda: Antonio. Czy to normalne, że matka nie interesuje się losem własnego dziecka?

Hiszpanka: Antek. A czy to normalne, że matka tak bardzo nie akceptuje własnego dziecka?

Exgwiazda: Antonio. Zrobił karierę w Hollywood.

Hiszpanka: Antek. Której mu zazdrościsz.

Exgwiazda: Antonio. Nie ma czego. Mógł być artystą, a został gwiazdą.

Hiszpanka: Antek. Wibracja podpisu mu to gwarantowała.

Exgwiazda: Antonio. Wibracja? Owszem, ale nie taka jak myślisz. Jak się nie poświęcisz, to z kariery nici.

Hiszpanka: Antek. Nikt nie chciał twojego poświęcenia?
(buczenie)

Jeszczekobieta: Zdaje się, że dodzwonił się do nas kolejny widz.
(brawa)

Hiszpanka: *(śpiewa)*
drażnię cię
bo jestem taka normalna
drażnię cię
odrębna, niepowtarzalna
drażnię cię
bo wolę własne reguły
drażnię cię
bo plwam porządek nadpsuły

linoskoczkiem nad otchłanią jestem
kaczką dziwaczką
wolności questem
życie przeżyć jak fiestę
sobą umrzeć
sobą być
sobą jestem

drażnisz mnie
bo idziesz zawsze gęsiego
drażnisz mnie
bo nie masz zdania własnego
drażnisz mnie
bo słuchasz racji większości
zrozum że
inność jest znakiem boskości

linoskoczkiem nad otchłanią jestem
kaczką dziwaczką
wolności questem
życie przeżyć jak fiestę
sobą umrzeć
sobą być
sobą jestem

Jeszczekobieta: Zdaje się, że dodzwonił się do nas kolejny widz. Kimkolwiek jesteś, witamy cię!
(brawa)

Scena szósta
Wizja ExGwiazdy. SzczęścieSyn śpiewa razem z Hiszpanką. Tańczy i pozbywa się stroju drag queen.

Naszczęściesyn: „linoskoczkiem nad otchłanią jestem
kaczką dziwaczką
wolności questem
życie przeżyć jak fiestę
sobą umrzeć
sobą być
sobą jestem"

Macho: Idiota.

Scena siódma
Na kanapie siedzą cztery kobiety: ExGwiazda, JeszczeKobieta, NietetyCórka, Hiszpanka. Czekają...

Hiszpanka: *(nuci)*

Exgwiazda: Mówią, że świat się kończy.

Jeszczekobieta: Szybko i lepiej. Tak trzeba żyć.

Niestetycórka: Tak trzeba umrzeć. Im szybciej tym lepiej. W końcu świata nie martwi mnie, że się skończy, tylko to, jak będzie się kończyć. Spłonąć, utonąć czy zostać zmiażdżoną?

Exkobieta: Wysadzoną w powietrze.

Jeszczekobieta: Dlaczego?

Exgwiazda: Ból trwa sekundę.

Jeszczekobieta: I pustka, zero?

Hiszpanka: Zero to nicość, w której pulsuje potencjalność bytu i nowych początków. To nowy etap życia.

Exgwiazda: Nienormalna jesteś?

Hiszpanka: Normalna. Mam na to papiery.

Niestetycórka: Podrobione.

Exgwiazda: Po nas świat przestanie istnieć.

Hiszpanka: Zaraz świat. Tylko kula ziemska. Kulka. Kuleczka. Koralik. W skali wszechświata nic się nie zmieni. Za dużą wagę przywiązujemy do samych siebie i życia.

Exgwiazda: Łatwo ci tak mówić. Nie masz rodziny.

Hiszpanka: Mam, ale już mnie nie potrzebuje. Trzeba wiedzieć kiedy poluzować więzy.

Exgwiazda: Gdy pielęgniarz zdejmuje kaftan?

Hiszpanka: Widziałam w szpitalu takie jak ty, toksyczne matki. Niektóre z miłości pożerały własne dzieci.

Exgwiazda: Nienormalna jesteś.

Niestetycórka: Dlatego nie będę mieć dzieci. Dopamina, oksytocyna i już nie jesteś sobą. Atawizm nazywany uczuciem.

Jeszczekobieta: Gdyby mnie na ulicy zaczepił jakiś reporter, wiecie, oni czasem przeprowadzają takie sondy uliczne, i zapytał, co chciałabym zrobić przed końcem świata, to powiedziałabym: chciałabym zakochać się w niej, ewentualnie w nim, związać z nią, ewentualnie z nim, swoje życie, mieć z nią, ewentualnie z nim, dzieci.

Exgwiazda: Nikt nas nie zapyta. Za stare jesteśmy.

Niestetycórka: *(do JeszczeKobiety)*
Jesteś lesbą?

Exgwiazda: Jesteś wulgarna. Lesbą. Asia lesbą?

Niestetycórka: A ja bym chciała.

Jeszczekobieta: Być wulgarna?

Niestetycórka: Wszystko, byle całego życia na ołtarzu domowego ogniska nie składać.

Jeszczekobieta: A samotność? Nie przeraża cię?

Niestetycórka: Jestem człowiekiem samodzielnym, ale nie samotnym.

Hiszpanka: Pieprzenie.

Scena ósma
Mieszkanie ExGwiazdy. Ćwiczy dialogi z "Buntownika bez powodu". Gdy pojawia się Macho – ćwiczą razem.

Exgwiazda: Zmień ton, Jim, bo pożałujesz.
Będę robił co mi się podoba.
Nie tu i nie ze mną. Chcesz rozrabiać, żebyśmy cię zamknęli, tak?
Dlaczego ona traktuje go jak popychadło?
Kto? Matka? Babka?

Matka.
Wchodzi Macho.
Spóźniłeś się.

Macho: *(nie może się połapać w tekście)*
Yyy?

Exgwiazda: Kto? Matka? Babka?

Macho: Matka. Traktuje go jak popychadło. Dlaczego on się jej nie postawi?

Exgwiazda: Bo jest słaby?

Macho: Chyba chciał pan powiedzieć: delikatny.

Exgwiazda: Wiem, co chciałem powiedzieć. Słabi są przegrani, Jim.

Macho: Yyy?
Chce być moim kumplem. Nie chcę kumpla. Chcę ojca!

Exgwiazda: Czasem lepiej nie mieć ojca.

Macho: Yyy...
Gdyby choć raz się jej postawił.

Exgwiazda: Jim! Jajka na stole!

Macho: Yyy...
Chyba nie zjem.
Jak kiedyś zjadłem, to żułem do długiej przerwy.

Exgwiazda: Zjedz, musisz się odżywiać.

Macho: Jestem za bardzo zestresowany.

Exgwiazda: Nie bądź mięczak, Jim! Daj im popalić!
To ty wybieraj kolegów!

Macho: Wiesz co, sama sobie trenuj pamięć.

Exgwiazda: Daj spokój, drobne przestawki.
A ty się spóźniasz.

Macho: Ale jeszcze przychodzę.

Exgwiazda: Widziałeś go? Co robi? Mówił coś? Kiedy to wreszcie nastąpi?! Ile jeszcze mam czekać?! No ile?!

Macho: Głos. Oszczędzaj. W każdej chwili może zadzwonić.

Exgwiazda: Artur?

Macho: Artur? Skup się!

DANA ŁUKASIŃSKA (1972) – Dramatikerin, Drehbuchautorin, Dramaturgin, Script Doctor. Autorin darstellender Kunst und der Hörspiele *Agata sucht Arbeit, Strökne Ann, Bazuka, Olga. Eine charmante Frau, Hibakusha*, sowie der Drehbücher ausgewählter Folgen der Serie *Der Herr der Fliegen* und des Romans *Die fünfte Jahreszeit*. Teilnehmerin des Drama-Laboratoriums, Drehbuch-Laboratorium (PISF), des Konservatoriums Filmischer Novelle (PISF) und des Dramaturgischen Forums (Theaterinstitut). Ausgebildete Logopädin und Medienlogopädin. *Variationen mit Wiederholungen* ist ihr neuester Text.

Kontakt: dana@dana.lu" dana@dana.lu

DANA ŁUKASIŃSKA (1972) – dramatopisarka, scenarzystka, dramaturg, script doctor. Autorka sztuk scenicznych i słuchowisk *Agata szuka pracy, Strökne Ann, Bazuka, Olga. Eine charmante Frau, Hibakusha*, scenariuszy wybranych odcinków serialu *Włatcy Móch*, powieści *Piąta pora roku*. Uczestniczka Laboratorium Dramatu, Laboratorium Scenariuszowego (PISF), Konserwatorium Noweli Filmowej (PISF), Forum Dramaturgicznego (Instytut Teatralny). Z wykształcenia logopeda i logopeda medialny. *Wariacje z powtórzeniami* to jej nowy tekst.

Kontakt: dana@dana.lu



Joanna Bator Joanna Bator

BARBARA MIZERA BLICKT AUF MEINE OHREN BARBARA MIZERA PATRZY NA MOJE USZY

Romanfragment aus *Dunkel, fast schon Nacht*
fragment powieści *Ciemno, prawie noc*

Eine kleine Frau in Birnenform. Alles an ihr lastete schwer: das schlaffe Haar, die hängenden Augen- und Mundwinkel, das Fettgewebe, das auf Hüfte und Schenkel herabwallte und sich bäuchlings zur Stirnmoräne türmte, die geschwollenen Füße, die sie wie zwei Kerkerkugeln erdeten. Gelbes Haar, das ein achtloser Pferdeschwanz zusammenhielt, der Haaransatz fett wie Muttererde, Jeans und ein Snoopy-Shirt, dessen hysterisch heitere Miene in dieser Situation fehl am Platze war. Die engstehenden Augen, die gleichen wie bei der vermissten Tochter, blickten mich nicht völlig feindselig an. Als fragte sie sich an der Fleischtheke, ob sie fürs Mittagessen Schweinenacken oder doch lieber Hühnerlebern nehmen sollte. Ich heiße Alicja Tabor. Ich bin Journalistin. Wir haben telefoniert. Das stimmt wohl, seufzte Barbara Mizera und ließ mich eintreten.

Der Flur war schmal und dunkel, im Augenwinkel nahm ich das Innere des ersten Zimmers wahr, hinter dessen angelehnter Tür jemand im zerwühlten Bett lag, ich sah nur zwei große Füße mit Hornhautsohlen, gelb wie eine vertrocknete Zitronenschale. Im anderen Zimmer spielten die Kinder, ich hörte ihre piepsigen Stimmchen, von dort dröhnte auch der Fernseher. Wir setzten uns in der Küche an einen Tisch, auf dem das Wachstuchimitat einer Häkeldecke lag, das noch vom Spüllumpen klebte, mit dem es gerade abgewischt worden war. Also hatte die Hausfrau ein wenig Aufwand für den Besuch betrieben, sich die Lider getuscht, die Frontpartien des Gesichts in dunkles Puder gehüllt und den Tisch abgewischt. Auf ihm lag ein Päckchen Zigaretten, daneben stand ein Aschenbecher aus Steingut in Form einer Frau, die sich mit gespreizten Beinen auf dem Rücken räkelte. In ihrem offenen Bauch steckten zwei Zigarettenstummel. Auf dem Boden lag abgewetztes Linoleum, das pistazienfarbene Terrakottafliesen imitierte, die Wände waren kanariengelb, die Küchenschränke hatte vor zig Jahren irgendeine Gertrud oder Elke gescheuert, ehe sie sie zum letzten Mal angesehen und geseufzt hatte, wozu die beschissene Scheuerei, wenn man sie doch nicht mitnehmen konnte, und war gen Westen gezogen. Hilfe! gellte eine Stimme aus dem kreischenden Fernseher, in ihrem Gefolge zerstob eine Kaskade von Gegenständen. Barbara Mizera zuckte nicht einmal.

Ich holte das Diktaphon heraus. Danke, dass Sie sich zu dem Gespräch mit mir bereiterklärt haben. Was wollen Sie denn noch wissen? Andżelikas Mutter räusperte sich, ich bin heiser, sagte sie, und griff nach einer Zigarette. Geübt zündete sie sie an und presste das Streichholz dem Aschenbecher in den Bauch. Sie traf. Ich schüttelte den Kopf, als sie mir das Päckchen entgegenhielt. Ich möchte alles wissen. Alles? Als sie sich über den Tisch beugte, roch ich ihre Fahne. Alles sage ich nicht mal bei der Beichte! Barbara Mizera blinzelte mir zu und vollführte eine Geste, als vernähte sie sich die Lippen. Erstes Prinzip, nicht zu erkennen geben, dass man Ekel empfand, wenn man es schon dazu kommen ließ, ihn zu empfinden. Ich wollte verstehen, was geschehen war, nur das zählte, also konnte ich es mir nicht erlauben, Barbara Mizera nicht zu mögen, die mich abwartend musterte. Sie täuschte nur vor, nichts sagen zu wollen, in Wirklichkeit quoll sie über vor Redelust und richtete den Blick erkennbar auf meine Ohren. Nach fünfzehn Jahren Arbeit weiß ich, wenn jemand meine Ohren anblickt, wird er reden. Ich denke, dass meine kamelartige Unscheinbarkeit dazu führt, dass die nur leicht abstehenden Ohren die Aufmerksamkeit meiner Gesprächspartner auf sich ziehen, was könnte es für eine Journalistin Besseres geben?

Wohnen Sie schon lange hier? Seit der Kindheit, seit sie mich aus dem Krankenhaus hergebracht haben, genauso werden sie mich auch erst wieder mit den Füßen voraus raustragen, wie Mami auch. Die Großeltern hatte es nach dem Krieg hierher verschlagen. Woher? Aus der Gegend von Radom. Dort hatten sie Land gehabt, das Stück Land könnte man jetzt als Bauland für eine Wohnsiedlung verkaufen, für ein Handelszentrum, für irgendwas, damit handeln, dazu noch ein Stück Wald, im Wald gab's Pilze, Pfifferlinge, Hallimasch, und hier einen Scheiß. Sie hustete, als ob ihr die verlorenen Morgen, Pilze und Pläne im Halse steckengeblieben wären, sie sagte es nochmal, einen Scheiß in Kokillen. Die Kokillen sprangen so plötzlich und so schön aus dem Munde der Enkelin umgesiedelter Bauern, dass sie, selbst wenn ich diese Frau je hätte vergessen wollen, doch bis an mein Lebensende in Kokillen zu mir zurückgekehrt wäre. Andere hatten sich Häuser genommen, die Oma hat gesagt, in den Häusern bekamen sie alles auf dem Silbertablett serviert, bezogene Betten, gedeckte Tische, volle Speisekammern, man musste nur reingehen und leben, und hier war nur ein Scheiß, und der ist auch geblieben. Wie war es dazu gekommen? An der Grenze hatten sie rumgebummelt, etwas verloren, mit den Papieren gedreht. So oder so zu spät, Zurückgesetzte, und dazu kam zu allem Übel noch ein Jude, der hat sie hier an Ort und Stelle betrogen. Die Oma hat später gesagt, dass sie in Schmalztöpfen Goldmünzen für die Aussteuern versteckt hatte, in den Grieben, für Beerdigungen, für eine schwere Stunde, und der hat ihr so zugesetzt, ihr so das Ohr abgeschwatzt, dass sie sie ihm für einen Spottpreis verkauft hat, weg sind sie. Einmal hatte ihr eine Zigeunerin in Radom noch vorhergesagt, dass sie, wenn sie aufbräche, ihr Glück nicht finden würde, und bis ans Ende ihres Lebens hat sie in der Küche da gehockt und bereut. Barbara Mizera schlug mit der Hand einen Kreis um die Küche mit Gertruds oder Elkes Schränken, die antike Metallspüle und das einst deutsche Kitschbildchen mit Kätzchen in einem Korb, das darüber hing. Offensichtlich hatten sich auch die beiden späteren Generationen darauf konzentriert, jenem Goldmünzenschmalz nachzutrauern.

Aber Sie sind hiergeblieben. War's ihr auch nicht lieb, kam's doch so, dass sie blieb, seufzte Andżelikas Mutter in Reimen. Eine bessere Wohnung kriegen wir nirgends. Wir können hier vor Hunger verrecken, wen kümmert das schon. Vergiften können sie uns, mit vergiftetem Wasser, zuschütten wie Bergstollen, zerfetzen, wegsperren, ans Ausland verhökern, da ein Tritt in den Arsch und auf Wiedersehen, aber keine Wohnung. Bekommen andere denn Wohnungen? Aber sicher doch! nickte Barbara Mizera. Manche haben mehrere, und was für welche, rausgeputzt, aufgemotzt, in den Blocks auf Piaskowa Góra, in Podzamcze, und wer könnte so ein Vermögen schon ehrlich verdient haben? Die Frage blieb rhetorisch. Schwarzes, wie verkohltes Wasser kommt aus dem Hahn und stinkt nach faulen Eiern, sie vergiften uns, vergiften uns langsam, im Wasser sieht man, wenn man es gegen's Licht hält, Fusseln, schwarze Haare, chinesische Haare, eine biologische Waffe, den Armen kann man leichtesten verarschen, und wenn ein Armer stirbt, singt an seinem Grab nicht mal ein Hinkezigeuner. Die Sprache Barbara Mizeras gefiel mir immer besser, zwischen ihren gelichteten, gelben Zähnen hindurch strömten die Worte immer sicherer, ständig blickte sie auf meine Ohren, als wollte sie sich vergewissern.

Den Kindern geht es an den Kragen, auf den Magen, auf die Lunge, ihre Fingernägel blühen im Frühling, im Sommer, die Mandeln, Kleinscheiß, Dünnschiss. Ich hab's am Hals, hustete sie zur Bestätigung ihrer Worte, als ratterte eine Lore Kohle durch einen unterirdischen Korridor. Wohin würden Sie denn gerne ziehen? Die Nubberin aus dem Dritten ist nach England gezogen, früher haben wir zusammen Radios bei Diora zusammengeschraubt, am Band gesessen, mal gab es Gelächter, mal Langeweile, lang ist's her. Was war und nicht mehr ist, stiehlt nicht mal ein Zigeuner. In England bekommt sie an der Spüle zehnmal soviel auf die Hand, dort zehn, zwanzigmal, glauben Sie's? Da zieht sie sich täglich bei McDonald's mit den Kindern Scheißschejks mit Fritten rein. Hier hat sie rumgehartzt, da ist sie die große Dame, wie geht das denn? Plötzlich so viel haben, wenn sich die andern noch daran erinnern, dass man genauso wenig hatte, ist das nicht gegen mich und gegen die, die immer noch nichts haben? Für die Kinder kriegt sie Geld vom Staat, obwohl sie die hier bei der Oma gelassen hat, die Abzockerin, das Haus zahlt ihr der Staat, und mir zahlt keiner was, einen Scheiß drücken sie bei der Fürsorge ab, soviel wie der Jude in den Klingelbeutel wirft, woher soll ich's nehmen, gebären kann ich's nicht. Ein Haus! Barbara Mizera dehnte das so, als wollte sie das Wort in sich aufsaugen und wir einen Kaugummiballon aufblasen. Hier stank sie nicht nach Geld, und da kriegt sie für Staatspenunsen ein Haus, einen Garten, hier stank sie nicht nach Geld, und jetzt spaziert sie damit herum wie mit einer ganzen Drogerie. Der polnische Staat zahlt einem armen, bedürftigen Menschen, einer alleinerziehenden Mutter gerade mal so viel. Barbara Mizera ließ die hohle Hand so heftig in meine Richtung vorschnellen, dass es schien, als wollte sie mich schlagen. In die hohle Hand, den hohlen Zahn geschissen! Die hohle Hand mit dem Daumen, der abstand wie ein Schlagring, mit dem man ein Auge ausstechen konnte.

Würden Sie auch gerne nach England fahren? Gewollt hätt sie ja, dann wieder net, schließlich schiss sie in ihr Bett, prustete meine Gesprächspartnerin wieder reimweise los, winkte ab und hustete, deutete mit der Hand zum Hals, sie sei heiser. Was soll ich rumgurken? Weshalb? Ich hab kein Geld fürs Herumgurken, den Papierkram, die Herumlauferei auf den verschissenen Ämtern da, hier ausfüllen, da unterschreiben. Und wenn sie jemand einladen, hie und da helfen würde, mit Geld oder Kontakten, irgendjemand? Barbara Mizera blickte mich an, als erwartete sie, dass ich eine Einladung nach England und Bargeld aus der Tasche zöge. Hinter der Wand brach ein Kinderstreit aus, ein paar Kinderstimmchen kreischten etwas unisono über die Fernbedienung und einen Arsch, es klatschte, jemand heulte auf wie die laufende Sirene am Jahrestag des Warschauer Aufstands. Ruhe! brüllte Barbara Mizera, sogar ohne den Kopf zur Wand zu drehen, hinter der es nicht ruhig wurde, und erklärte mir, dass sich die Hosenscheißer ständig um die Fernbedienung stritten, schließlich konnte sie nicht jedem einen eigenen Fernseher kaufen. Sieht Andżelika auch gerne Fernsehen? Von morgens bis abends und umgekehrt, stimmte Barbara Mizera zu, als freute sie das aus irgendeinem Grund. Welche Programme gefallen ihr denn am besten? Wie welche? Welche Programme sieht ihre Tochter am liebsten? Kinderscheiß, Bärenschmuh scheißt der Puh, Kätzchen Keinschätzchen, Tanz mit den Stars, wie allen, um zu entspannen, den Stress abzubauen, schaut sie, antwortete sie schließlich. Welche hätten ihr denn gefallen sollen?, sah sie mich argwöhnisch an. Ich weiß nicht. Ich kenne ihre Tochter nicht. Wenn ein Kind etwas zu Essen

und zum Schlafen hat, braucht's nicht mehr wissen, erklärte mir Barbara Mizera.

Bitte erzählen Sie mir von dem Tag, an dem Andżelika verschwunden ist. Barbara Mizera atmete auf, danach war sie schon gefragt worden. Fahren hatte sie gewollt, Mama, Mama, fahren wir ein bisschen um den Teich. Da sag ich ihr, Endżi, was willst du im Dunkeln am Teich, durchs Nasse fahren, willst du dir einen Wolf holen? Sieh lieber fern. Und sie Maaama, Maaaama, nur ein Stündchen, ich nehm's Oskarchen mit, was, darf ich? Die Stadt liegt in einem Scheißloch, gute Frau, und jedes Jahr sinkt sie weiter ab, sogar wenn in ganz Polen schon Frühling ist, schneit es hier, ein wahres Sibirien am Arsch der Welt. Die hatten hier zum Rutschen solche Apfelbäume wie die aus Plastik vom Oschong. Na dann lauf, Scheibenkleister, sage ich, lauf. Hat sie den jüngeren Bruder mitgenommen? Sie hat sich um ihn wie eine Erwachsene gekümmert, um alle, aber um ihn am meisten. Oskarchen hier, Oskarchen da. Damals auch, Maaaama, Maaaama, ich pass auf ihn auf, und schon setzt sie ihm die Mütze auf, bindet ihm den Schal um. Und hat sie aufgepasst? Und wie! So eine Superdupermami, alles wollte sie bei ihm machen, er war ihr Augapfel, ihr Söhnchen, Lalelu hat sie ihn gewiegt, gefüttert. Was wirst du mal, wenn du groß bist? Wenn ich groß bin, werde ich Mami, hat sie immer gesagt. Einmal hat sie einen BH von mir genommen und ihm das Tittchen gegeben. Barbara Mizera lachte auf, und der Rauch quoll ihr in drei Ha, Ha, Ha aus dem Mund. Pickelsalbe, kein BH, und vom Bemuttern konnte sie nicht genug kriegen. Sie ließ ihn sogar bei sich schlafen. Als hätte der Kleine alleine Angst. Dabei hatte sie Angst. Sie hatte Angst? Wovor? Barbara Mizera zögerte. Sie hat irgendeinen Scheiß im Fernsehen gesehen, denn die Abende, die Sonntage lang, wenn sie nicht draußen war, das Gezänk um die Fernbedienung, Tanz mit den Stars, Arsch auf dem Mars, das Geheule, wer die Fernbedienung hält und drückt. Nachts hat sie mich dann geweckt, Maaama, Maaama, und sich mir mit Oskarchen ins Bett gepackt. Im Schlaf hat sie getreten, sich gewunden, sodass ich den ganzen Tag gerädert war. Müssen Sie früh aufstehen? Einen Augenblick lang begegneten sich unsere Augen, Barbara Mizera sprach in einem anderen Ton, als blickte sie mir nicht auf die Ohren, als erschiene ich ihr plötzlich als eine andere, weniger wohlwollende Person. Koch, wasch, putz den Hintern ab, gib mir was für ein Eis, und was und warum und wozu, für Schulhefte. Man weiß nicht, wo man anfangen soll, wenn man fünf Kinder hat, der Mensch fällt aufs Maul, und hier Maaama und Maaama. Sie haben sicher keine Kinder. Das war keine Frage, und ich hatte auch nicht die Absicht, darauf zu antworten. Barbara Mizera griff nach der nächsten Zigarette. Bei Diora habe ich Radios geschraubt, dann landeten wir auf der Straße, Scheißdreck, wie Müll, sogar einen Fußtritt in den Arsch gab es zum Abschied. Wann war das? Vor fünfzehn Jahren. Die Zeit ist verflogen, seufzte Barbara Mizera und stieß einen melancholischen Rauchstrom aus.

Hilft Ihnen denn niemand? Andżelikas Vater? Den habe ich auf die Straße gesetzt, ehe er sitzen ging, Diebsbrut, ein Bruder aus Sobięcin gab ihm Arbeit in der Werkstatt, da ließ er Werkzeug mitgehen, verkaufte es für Fusel, so haben ihn seine Kumpel eingestellt, so haben sie ihn rausgebracht. Ein schwacher Charakter, für seine Kumpels würde er aus seiner Mutter Leberwurst machen und aus dem Vater Wiener Würstchen. Haben Sie nicht nochmal geheiratet? Aber klar doch, ich träume nur davon, Scheißdreck, schmutzige Unterhosen zu waschen. Wissen Sie, wofür ein Kerl gut ist? Als Mehlschwitze für Meerrettich! Bei der Fürsorge werden sie Ihnen sagen, dass jedes meiner Kinder einen anderen Vater hat. Da hockt so ein schwindsüchtiges Weib auf dem Trockendock, die ist die erste, die unter der Bettdecke herumschnüffelt, soll sie doch an den Gammellaken riechen. Barbara Mizeras Lachen strömte wieder als Dissonanz in die triste Küche, und einen Augenblick lang sah ich sie so, wie sie sicher ihre Männer gesehen hatten, die Väter ihrer Kinder, und diesen erstaunlichen Augenblick lang war sie hübsch. Hält der Vater irgendwie Kontakt mit Andżelika? Kontakt? verzog sie das Gesicht. Der hat sich für immer und ewig verpisst, und die Alimente kann ich mir mit dem Finger im Arsch malen. Endżi hat ihn das letzte Mal vor zwei Jahren gesehen, als er völlig breit betteln kam. Zehn Złoty zog er ihr aus dem Sparschwein ab, pisste auf den Teppich, das war's schon mit dem Papa. Sie zündete sich wieder eine Zigarette an, die neue an der alten..

Und Ihr neuer Partner. Wie kommt er mit Andżelika zurecht? Roman? Was soll der zurechtkommen? Wenn sie älter wäre, müsste man auf sie aufpassen, aber so gingen sie sich aus dem Weg, Hallo, Hallo, Was gibt's, Auf Wiedersehn und fortgeschissen. Auf sie aufpassen? Ein Kerl ist kein Hund, er zieht Frischfleisch vor, erklärte mir Barbara Mizera, und wieder lachte sie das Lachen, das nicht zu ihren Worten und ihrem Gesicht passte. Mochte Andżelika Roman? Der Kerl ist mal da, mal nicht, und wenn der Balg nicht von ihm ist, dann zückt er das Portmonnee nicht. Roman kaufte ihnen die Sonnen zum Fahren im Oschong und das ist beim Kaufen rausgekommen, besser, wenn er nichts kauft, denn wenn ein Kerl von sich aus was kauft, dann ist es wie mit den Eiern auf Beton. Eine meiner Schwestern hat so einen abgekriegt, wenn der Brot holen geht, kommt er mit einem Schraubenzieher und einem Kilo Rote Bete heim. Haben Sie eine große Familie? Vier Brüder und drei Schwestern, alle sind wir hiergeblieben, sagte Barbara Mizera mit trister Entschlossenheit, die ich nach kurzem Überlegen für eine Art Stolz hielt, und ich spürte den Stachel der Eifersucht, denn diese Frau, die ich aus vielen Gründen bemitleidete, hatte sieben Geschwister, sieben potenzielle Zuhause, in denen es einen nahen Menschen ab, in denen es überhaupt jemanden gab. Seht ihr euch oft? Wenn keine Penunsen da sind, dann ist es schwer, sie zu bewirten, denn jeder ist mit seinem Rattenschwanz unterwegs. Aber als wir klein waren, da waren wir in ganz Nowe Miasto, hier, da, am Teich, auf den Kastanienbäumen am Stadion, auf den Halden haben wir Kohle gesucht oder Hallimasch auf dem Hügel gesammelt. Ein Kind muss Auslauf haben, das kannst du nicht wie einen Hund an der Hütte festbinden.

Die Frau drehte ihr Gesicht weg zum Fenster, und einen Augenblick lang dachte ich, sie beginnt zu weinen, sie zog den Gummi aus dem Haar und legte ihn wieder an, fasste die Strähnen im Pferdeschwanz zusammen. In der Stille, die zwischen uns eingetreten war, kreischte der Fernseher immer noch, und jemand zappte unaufhörlich von einer Idiotie zur nächsten. Schenk dir einen Hauch Luxus, stöhnte eine Frauenstimme, weil du es dir wert bist. Sie liebte es, durch die Nacht zu fliegen, sie flog, jetzt hat es sich ausgeflogen, fasste Barbara Mizera zusammen. Meinen Sie, ich weiß nicht, was die Leute reden? Dass die Mutter Schuld ist, dass die Mutter Augen im Kopf und am Arsch haben muss, dass eine Mutter alles sehen muss. Und ich habe nichts gesehen, nichts hat mich berührt. Ich hatte keine Vorahnung. Vom Erdboden verschluckt! Was haben Sie gedacht, als Ihre Tochter verschwunden war? Gedacht? Was hätte ich da denken sollen, bin ich fürs Denken da? Sie zog die nächste Zigarette heraus und nahm einen so tiefen Zug, als hätte sie mehrere Stunden lang nicht geraucht, schloss die Augen und stieß erst zwei wohlgeformte Kreise aus, dann einen reißenden grauen Strudel. Ich hatte den Eindruck, dass ich gleich in dem Qualm ersticken würde, den ihre unverwüstlichen Lungen ausstießen, aus deren Tiefen er noch als grauer Cumulus empor und auf mich zuströmte. Sie dachte und dachte, bis sie in die Hosen machte, fuhr sie wieder in Versform fort. Ich dachte, dass einem Armen der Wind immer in die Augen schlägt. Sie meinen, dass jemanden eine Andżelika Mizera interessiert? Ein anderes Kind hätten sie gründlicher gesucht. Wer hätte sie gründlicher gesucht? Die Polizei, der Staat, die Gesellschaft hätten auch gesucht. Niemandem liegt an uns, wir gehen allen am Arsch vorbei. Es gibt welche, die uns am liebsten wie Kakerlaken vergifteten, in Rauch aufgehen ließen, mit der Schaufel zuschlügen, drauf geschissen und vorbei. Wer? Was weiß ich denn wer? Was kann ich schon wissen. Die Polizei, Scheißdreck, die Politiker, die Reichen aus Szczawno Zdrój. Oder Zugereiste. Oh ja, gerade die, denn von denen sind viele nach Wałbrzych gekommen. Haben Geld gescheffelt, vergiften das Wasser, die Atmosphäre, beuten die Menschen aus, saugen das Blut aus ihnen heraus, nutzen die einfachen Menschen aus. Sie? Sollte es denn eine polnische Mutter nicht besser haben? erwiderte die polnische Mutter von sechs Kindern, von denen eines spurlos verschwunden war. Solche Dinge geschehen nicht einfach so von selbst. Es gibt Dinge auf Erden, die sich nicht grundlos ereignen. Solche Dinge wie Andżelikas Verschwinden? Das von Andżelika und den anderen, alle Drei aus Wałbrzych. Man sagt, dass das, was in Wałbrzych geschieht, und das Verschwinden der Kinder zusammenhängen, sagte Barbara Mizera zögernd, als verriete sie ein Geheimnis. Und was geschieht? In Sobięcin haben sie zum Beispiel eine Ungezieferplage, Gas entströmt der Erde, vergiftet, das schwarze Wasser, das grauenhafte Wasser, die chinesischen Haare. Woher kommt so plötzlich so viel schwarzes Wasser, so viel Gas? Oder die Mutter Gottes die Schmerzensreiche. Die Mutter Gottes die Schmerzensreiche? Im Springbrunnen am Marktplatz zeigt sie sich, und der, der sie als allererster im Stollen gesehen hatte, Jan Kołek, den haben sie grausam umgebracht. Sie werden nicht glauben wie. Wie? Sie haben ihm eine Krankheit gespritzt, die wie ein Herzinfarkt aussah, aber es war kein Infarkt. Das war so eine ferngesteuerte Bombe im Blut. Wer hat ihn getötet? Die waren nicht von hier. Sie sind extra hergekommen, um ihn zu töten. Sie haben eine Verschwörung angezettelt. Woher wissen Sie das? Alle wissen das. Die Leute reden hie und da. Wenn man das Ohr aufsperrt, hört man es.

Welchen Zusammenhang gibt es zwischen dem Verschwinden der Kinder und dem Tod Jan Kołeks? Der Rauch hatte uns schon so eingewickelt, als wäre ein allgegenwärtiger Nebel vom Augenblick meiner Ankunft in der ehemals deutschen Altbauküche in Nowe Miasto gekrochen, die Zigarettenstummel im Bauch des Aschenbechers stanken nach Teer. Man konnte zusehen, wie sich aus dem Ektoplasma die Geister der Wohnung materialisierten, uns ansahen, uns befahlen, das widerliche Linoleum aufzurollen, und Raus! schrieen. Ein böser Zusammenhang, als herrschte hier eine böse Kraft, als ginge es hier um eine uns entgegengesetzte Kraft. Eine sehr schädliche. Uns? Uns Polen zum Beispiel, den polnischen Müttern, antwortete Andżelikas Mutter, Ich spürte, dass sie fremde Worte nachsprach und dass ich herausfinden musste, wessen Worte das waren. Suchen Sie sie? Barbara Mizera zuckte die Achseln und zog wieder diese hässliche Grimasse, die ihr Gesicht wie die eigene Karikatur mit eingefallenen Lippen und zurückgezogenem Kinn aussehen ließ. Ich bin gleich danach zum Teich gegangen, einmal, zweimal ging ich, doch was konnte ich denn finden, wenn die anderen nichts gefunden hatten, die Polizei mit den Hunden, der Revierpolizist, sogar der Priester ging hin, und nichts war. In die Kirche ging man nicht, da hat der Herrgott gestraft, das hat er mir gesagt, den Schal zugebunden und ist davongeschissen. Ich ging die Häuser ab, die Siedlung, fragte die Kinder, die sie kannte, die Läden, ob sie da war, die Nachbarn. Schließlich fuhr ich zum Fernsehen. Die Frau stockte und sah zum Fenster, hinter dem sich das Dunkel ausbreitete wie Kohlenstaub.

Sie sind zum Fernsehen gefahren, ermunterte ich sie. Wozu? Ebendrum. Ich habe im Fernsehen so welche aus England gesehen, in Schale geworfen, rausgeputzt, feine Pinkel, sie wie eine Schauspielerin mit Strähnchen. Denen ist auch ein Kind verschwunden. Ein kleines Mädchen irgendwo im Urlaub, om Erdboden verschluckt, wer kann sich heute Urlaub leisten. Und sie gingen zum Fernsehen und überallhin, die konnten gut reden, hatten Beziehungen, Geld, Kontakte hier und da, Penunsen. Es gab Plakate und so ein gutaussehender Fußballer, wie heißt der noch, der Mann von der Viktoria da, er hat darüber gesprochen, ich habe es im Fernsehen gesehen. Sucht das Mädchen, sucht, das hat er gesagt, und im Stadion ein Riesenplakat. Sie sprechen von Madeleine McCann. Hätten Sie gewollt, dass man Andżelika gesucht hätte wie die kleine Maddie? Barbara Mizera nickte. Medi hin, Medi her, jemand hat diesen Reichen das Kind abgegriffen, ein Entführer oder schlimmer noch ein Schwuler, für solche gibt es keine richtige Strafe, sie leben unter den Menschen. Aber Penunsen haben sie bekommen, Geld zieht es zum Geld, ich sage Ihnen, sie haben das so gedreht, dass alle ihnen Geld für die Suche geschickt haben. Und mich hat der Portier beim Fernsehen nicht reingelassen.
Ehe ich die nächste Frage stellte, kam ein kleiner Junge in die Küche, besser gesagt er marschierte im Stechschritt herein. Winzig und mager, er hatte nackte Füße und trug einen drei Nummern zu großen Trainingsanzug aus Polyester. Die Haut des Kinds war zart und so weiß, dass sie fast schon durchsichtig war, die Augen glichen zwei Eisstückchen. Unser Oskarchen ist zu uns gekommen! Hat dich denn die Mami gerufen, dass du gekommen bist?, zwitscherte Barbara Mizera. Der Junge stand einen Augenblick lang starr da, blieb den Worten

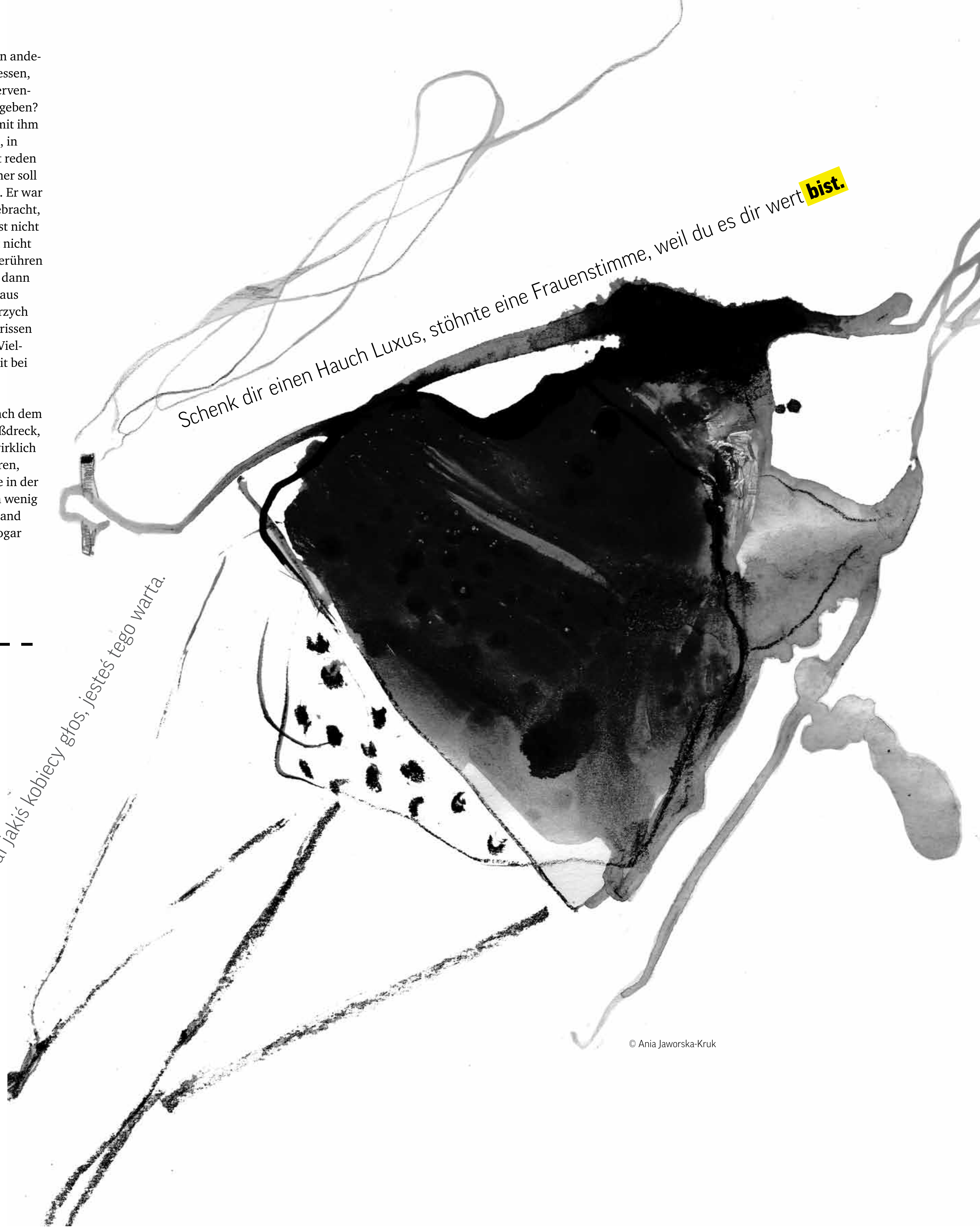
der Mutter gegenüber völlig gleichgültig, sah sie nicht einmal an, mich auch nicht. Sie ist nicht da, sagte er, breitete theatralisch die Hände aus wie ein Schmierenkomödiant. Der schwarze Mann aus dem Fernsehen hat sie mitgenommen, er sah in meine Richtung, aber nicht zu mir, und ich spürte beinahe physisch, wie Barbara Mizera auf der anderen Seite des Tisches erstarrte.
Der schwarze Mann, der schwarze Mann, verzog sie das Gesicht zur Karikatur eines mütterlichen Lächelns. Ist das richtig, die Frau, die aus Warschau gekommen ist, so anzulügen? Er lüge nicht, antwortete das Kind, er habe Andżelika nicht. Sie hatte ihn überallhin mitgenommen, wie eine kleine Mami, ihm das Tittchen gegeben, nicht wahr, Oskarchen? Barbara Mizera wandte sich weiterhin mit einer gekünstelten Stimme an das Kind, mit der manchmal Eltern zu ihren Kindern sprechen, wenn sie sich aus der Rolle der liebenden Eltern auf unbekanntes Terrain hinauswagen. Komm zu Mami, du bekommst ein Bonbon! Das Kind rührte sich nicht, starrte auf einen Punkt zwischen uns, hinter der angelaufenen Scheibe. Es blinzelte nicht. Seine Wimpern waren weiß und sehr voll, ich verspürte plötzlich den Wunsch, dieses Kind zu schützen. Er ist seltsam, bestätigte Barbara Mizera. Er lässt sich von niemandem anfassen, sie durfte es, Endżi durfte es. Er will nur fernsehen und fernsehen, immer dasselbe, und wenn ein Kind den Sender wechselt, schreit er los. Er hat keine Andżelika mehr, Das Kind ignorierte seine Erzeugerin völlig, mit Greisenernst breitete er die Arme in derselben, zuvor überzeichneten Geste aus, drehte sich um und marschierte aus der Küche. Die Hausärztin hat vor kurzem gesagt, dass er einen leichten Artismus haben könnte, seufzte Barbara Mizera. Sie musste ihn aus dem Kindergarten nehmen, mit den anderen Kindern kam er nicht zurecht, er wollte nicht essen, auch nicht liegen, pinkelte sich in die Hose, ein Nervenbündel, er sitzt zu Hause, denn wohin soll ich ihn geben? Waren Sie mit ihm beim Spezialisten? Man muss mit ihm nach Wrocław fahren, sagen sie, fahren muss man, in eine spezielle Praxis, was weiß denn ich, vielleicht reden sie nur so, weil sie geschmiert werden wollen, woher soll ich Schmiergeld nehmen, gebären kann ichs nicht. Er war zwei Jahre alt und hat sich selbst das Zählen beigebracht, wollen sie mir da einreden, dass er dumm ist? Er ist nicht dumm, gab ich Barbara Mizera Recht. Ihr Sohn ist nicht dumm. Aber durch den Artismus lässt sich nicht berühren und erfindet Dummheiten, wenn er mal losbricht, dann wie ein Gimpel aus der Nase. Der schwarze Mann aus dem Fernseher. Vielleicht ist ein Neger nach Wałbrzych geflogen, hat sich aus dem Bambus in Afrika losgerissen und ist hergeflogen, um Andżelika zu entführen? Vielleicht noch so ein Schlitzauge, das sie für die Arbeit bei Toyota hergekarrt haben?

Und was meinen Sie, wer? Barbara Mizera griff nach dem Päckchen Zigaretten, doch es war leer. Alle, Scheißdreck, seufzte sie. Ich weiß nicht, sagte sie, ich weiß es wirklich nicht, warum sollte jemand meine Tochter entführen, und ich wusste, dass Barbara Mizera sagte, was sie in der Tiefe ihres Herzen empfand und dass sie selbst ein wenig verblüfft über die eigene Ehrlichkeit war. Sie verstand nicht, wozu jemand ein Kind entführt hatte, das sogar ihr, seiner Mutter, nicht viel wert gewesen war.

[Aus dem Polnischen von Ursula Kiermeier]

Niewysoka kobieta w kształcie gruszki. Wszystko w niej ciążyło: oklapnięte włosy, opadające kąciki oczu i ust, tkanka tłuszczowa spływająca ku biodrom i udom, spiętrzona w morenę czołową na brzuchu, stopy opuchnięte jak dwie uziemiające ją kule. Żółte włosy związane w niedbały kucyk, odrosty tłuste jak świeża ziemia, dżinsy i bluza ze Snoopym, którego histerycznie radosna mina była nie na miejscu w tej sytuacji. Blisko osadzone oczy, takie same jak u zaginionej córki, patrzyły na mnie nie do końca wrogo. Jakby zastanawiała się przed gablotą w mięsnym, czy wziąć na obiad karkówkę, czy może jednak wątróbki drobiowe. Nazywam się Alicja Tabor. Jestem dziennikarką. Rozmawiałyśmy przez telefon. Na to wychodzi, westchnęła Barbara Mizera i wpuściła mnie.

Przedpokój był wąski i ciemny, kątem oka zauważyłam wnętrze pierwszego pokoju, za którego przymkniętymi drzwiami ktoś leżał w rozbebeszonym łóżku, dostrzegłam tylko dwie duże stopy o stwardniałych podeszwach żółtawych jak zeschła skórka cytryny. W drugim pomieszczeniu bawiły się dzieci, słyszałam w tle ich piskliwe głosiki, i to stamtąd dudnił telewizor. Usiadłyśmy w kuchni przy stole nakrytym ceratową imitacją szydełkowej serwety, lepką od szmaty, którą przed chwilą została przetarta. A więc gospodyni włożyła odrobinę trudu w tę wizytę, pomalowała sobie oczy, pokryła przód twarzy ciemnym



© Ania Jaworska-Kruk

pudrem i wytarła stół. Znajdowała się na nim paczka papierosów i fajansowa popielniczka w kształcie przewróconej na plecy kobiety z rozłożonymi nogami. W jej rozwartym brzuchu tkwiły dwa niedopałki. Na podłodze leżało zniszczone linoleum imitujące terakotę w pistacjowym kolorze, ściany były kanarkowe, kuchenne szafki kilkadziesiąt lat temu wyszorowane przez jakąś Gertrud albo Elke, zanim spojrzała na nie po raz ostatni, westchnęła, na cholerę było szorować, skoro zabrać się nie da, i ruszyła na zachód. Ratunku! Rozdarł się jakiś głos z ryczącego telewizora i w ślad za nim posypała się kaskada przedmiotów. Barbara Mizera nawet nie drgnęła.

Wyjęłam dyktafon. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać. Co pani chce jeszcze wiedzieć? Matka Andżeliki odkaszlnęła, chrypę mam, powiedziała, i sięgnęła po papierosa. Zapaliła z wprawą i pstryknęła zapałkę popielniczce w brzuch. Trafiła. Pokręciłam głową, gdy wyciągnęła paczkę w moją stronę. Chciałabym wiedzieć wszystko. Wszystko? Gdy pochyliła się nad stołem, poczułam w jej oddechu alkohol. Wszystkiego to ja nawet na spowiedzi nie powiem! Barbara Mizera mrugnęła do mnie i wykonała taki gest, jakby zaszywała sobie usta. Zasada pierwsza, nie dać po sobie poznać, że poczuło się niechęć, skoro już dopuściło się do tego, by ją poczuć. Chciałam zrozumieć, co się stało, tylko to się liczyło, więc nie mogłam sobie pozwolić na nielubienie Barbary Mizery, która przyglądała mi się wyczekująco. Tylko udawała, że jej się nie chce, naprawdę przepełniała ją chęć mówienia i wyraźnie patrzyła na moje uszy. Po piętnastu latach pracy wiem, że gdy ktoś spogląda na moje uszy, będzie mówił. Myślę, że moja wielbłądzia niepozorność sprawia, że tylko te lekko odstające uszy przykuwają uwagę rozmówców, a co może być lepszego dla reporterki?

Od dawna pani tu mieszka? Od dziecka, jak mnie ze szpitala przynieśli, tak mnie dopiero nogami do przodu wyniosą, jak moją mamusię. Dziadkowie tu po wojnie trafili jak kulą w płot. Skąd? Spod Radomia. Tam ziemię mieli, ziemi kawałek teraz by sprzedać można pod osiedle, pod centrum handlowe, pod coś by sprzedać, zhandlować można, kawałek lasu na dodatek, w lesie grzybki, kurki, opieńki, a tu gówno. Zakaszlała tak, jakby utracone morgi, grzyby i plany utknęły jej w gardle, i powtórzyła, gówno w kokilkach. Kokilki z ust wnuczki chłopów przesiedleńców wyleciały tak nagle i pięknie, że nawet gdybym chciała zapomnieć o tej kobiecie, do końca życia będzie do mnie wracać w kokilkach. Inni domy pobrali, babka mówiła, w domach wszystko mieli pod nos podane, łóżka posłane, stoły zastawione, pełne spiżarki, że tylko wchodzić i żyć, a tu gówno było i tyle zostało. Dlaczego tak się stało? Na granicy zbradziarzyli, coś zgubili, z papierami pokręcili. Tak czy siak spóźnieni, pokrzywdzeni, a do tego, co najgorsze jeden Żyd ich wziął i już tu na miejscu oszukał. Babka potem mówiła, miała w słoikach smalcu monety złote schowane na posagi, ze skwarkami, na pogrzeby, czarną godzinę, tak ją omotał, tak zagadał, sprzedała mu za bezcen, przepadły. Raz jej Cyganka w Radomiu jeszcze wywróżyła, że jak w drogę ruszy, to szczęścia nie znajdzie i do końca życia w tej kuchni siedziała moja babka i żałowała. Barbara Mizera zatoczyła ręką krąg, w którym znalazła się kuchnia z szafkami Gertrud albo Elke, antyczny metalowy zlew i kiczowaty poniemiecki obrazek z kotkami w koszyku wiszący nad nim. Najwyraźniej dwa kolejne pokolenia też się skupiły na żałowaniu tamtego smalcu ze złotymi monetami.

Ale pani tu została. Chciała nie chciała, wyszło, że została, westchnęła do rymu matka Andżeliki. Nigdy nie dostaniemy lepszego mieszkania. Możemy zdechnąć z głodu, ale co to kogo obchodzi. Wytruć nas mogą, wodą zatrutą, zalać jak kopalnie, rozszarpać, pozamykać, rozprzedać za granicę, i kopa w dupę na do widzenia, a nie mieszkanie. Inni dostają mieszkania? A jak! Przytaknęła Barbara Mizera. Po kilka mają i to jakie, na błysk odstawione, odpicowane, w blokach na Piaskowej Górze, na Podzamczu, a kto się uczciwie takiego majątku dorobi? Pytanie pozostało retoryczne. Woda leci czarna jak spalona i cuchnie zbukami, trują nas, podtruwają, w wodzie pod światło jakieś farfocle, czarne włosy, chińskie włosy, broń biologiczna, biednego najłatwiej wydupczyć, a jak biedny zdechnie, nawet mu kulawy Cygan nad trumną nie zaśpiewa. Coraz bardziej podobał mi się język Barbary Mizery, spomiędzy jej przetrzebionych żółtych zębów słowa płynęły coraz pewniej i ciągle spoglądała na moje uszy, jakby się upewniając.

Dzieciom się na gardło rzuca, na żołądek, na płuca, paznokcie im kwitną wiosna lato, migdałki, duperele, rozwolnienia. Mnie taka chrypa męczy, zakaszlała na potwierdzenie swoich słów, jakby w podziemnym korytarzu przetoczył się wózek z węglem. Dokąd chciałaby się pani wyprowadzić? Moja somsiadka spod trzeciego wyjechała do Anglii, radiaśmy razem skręcały w Diorze, się przy taśmie siedziało, śmiechu czasem było, a czasem nuda, dawne czasy. Co było, a nie jest, nawet Cygan nie ukradnie. W Anglii na zmywaku robi i dziesięć razy tyle ma na rękę, tam dziesięć, z dwadzieścia, pani uwierzy? Codziennie w McDonaldzie z dzieciakami, szejki srejki, frytezie wcina. Tu na bezrobotnym siedziała, a tam wielka dama, to jak to jest? Czy żeby tak nagle mieć, jak inni pamiętają, że się tak samo nie miało, to nie przeciwko mnie i innym, co nadal nie mają? Na dzieci jej państwo płaci, chociaż je tu z babką zostawiła, kukuła jedna farbowana, za dom jej państwo płaci, a mi nikt nic nie zapłaci, byle gówno skapną z opieki, tyle co Żyd da na tacę, to skąd mam wziąć, nie urodzę. Dom! Barbara Mizera zaciągnęła się tak, jakby chciała słowo dom wessać w siebie i wydmuchać jak balon z gumy. Tu groszem nie śmierdziała, a tam za państwowe piniądze dom, ogródek, groszem nie śmierdziała, a teraz jak perfumeria w te z powrotem się wozi. Polskie państwo biednemu, potrzebującemu człowiekowi, matce samotnej tyle płaci! Barbara Mizera pokazała figę, wyciągając pięść w moją stronę tak gwałtowanie, że wyglądało, jakby chciała mnie uderzyć. Figa z makiem i z robakiem! Pięść z kciukiem wystającym jak kastet, którym można wybić oko.

Pani też chciałaby wyjechać do Anglii? Chciała nie chciała, aż się zesrała, prychnęła znów do rymu moja rozmówczyni, machnęła ręką i znów się rozkaszlała, pokazując na migi w stronę gardła, że chrypa. A gdzie mi tam jeździć. Dlaczego? Nie składa mi się jakoś na jeżdżenie, papierki, załatwianie, latanie po urzędach takich srakich, tam wypełnić, tu podpisać. Jakby ktoś zaprosił, pomógł co i jak, jakoś może z plecami, wtykami gdyby ktoś? Barbara Mizera spojrzała na mnie, jakby spodziewała się, że wyciągnę z torby zaproszenie do Anglii i gotówkę. Za ścianą wybuchła jakaś dziecięca awantura, kilka dziecięcych głosików wrzeszczało coś unisono na temat pilota i dupy, coś plasnęło, ktoś zapłakał przejmująco jak włączona nagle syrena w rocznicę powstania warszawskiego. Spokój!, krzyknęła Barbara Mizera, nie odwracając nawet głowy w stronę ściany, za którą nie zrobiło się spokojnie, i wyjaśniła na mój użytek, że ciągle się gówniarze kłócą o pilota, a przecież nie kupi każdemu po telewizorze. Andżelika też lubi oglądać telewizję? Od rana do wieczora i z powrotem, przyznała Barbara Mizera, jakby ją to z jakiegoś powodu ucieszyło. Jakie programy najbardziej jej się podobają? Jak jakie? Jakie programy najbardziej lubi oglądać pani córka? Pierdoły dla dzieci, misie srysie, kotki niecnotki, Taniec z Gwiazdami, jak wszystkim, żeby się zrelaksować, odstresować się, patrzy, odpowiedziała w końcu. A jakie miały się podobać?, spojrzała na mnie podejrzliwie. Nie wiem. Nie znam pani córki. Dzieciak jak ma co jeść i gdzie spać, to poznawania nie potrzebuje, wyjaśniła mi Barbara Mizera.

Proszę mi opowiedzieć o dniu, w którym zaginęła Andżelika. Barbara Mizera odetchnęła, o to już ją pytano. Pozjeżdżać chciała, mama, mama pozjeżdżamy troszku koło stawu. Mówię jej wtedy, Endżi, gdzie będziesz na staw lecieć po ćmoku, po mokrym zjeżdżać, wilka chcesz dostać? Telewizor lepiej pooglądaj. A ona maaama, maaama tylko na godzinkę, weznę Oskarka, to co, uwiążę? To miasto leży w jakiejś gównianej dziurze, proszę panią, i co roku głębiej się zapada, nawet jak w całej Polsce wiosna, tu śnieg sypie, istny Sybir, zapizdów. Takie mieli do zjeżdżania jabłuszka jakby plastikowe z Oszom. No to leć, kurde, mówię, leć. Zabrała młodszego brata? Opiekowała się nim jak dorosła, wszystkimi, ale nim najbardziej, Oskarek to, tamto. Wtedy też, maaama, maaama, przypilnuję go, i już mu czapkę zakłada, szalik wiąże. I pilnowała? A jak! Mamusia kurduplusia taka, wszystko przy nim robić chciała, był jej oczkiem w głowie, synusiem, lulała, karmiła. Kim będziesz, jak dorośniesz? Jak dorosnę to będę mamusią, tak mówiła. Raz stanik mój nałożyła i niby cycka mu daje. Barbara Mizera roześmiała się, a dym wydobył się z jej ust w trzech cha cha cha. Maść na piegi, a nie stanik, a do mamusiowania się rwała. Nawet do spania go do siebie brała. Że niby mały sam się bał. A to ona się bała. Bała się? Czego? Barbara Mizera zawahała się. Pierdół się jakiś w telewizji naoglądała, bo całe wieczory, niedziele jak nie na dworze, to telewizor i telewizor, bicie o pilota, Taniec z gwiazdami, dupa z kartoflami, płacze, kto będzie trzymał i pstrykał. W nocy mnie potem budziła, maaama, maaama, i do łóżka mi się ładowała z Oskarkiem. Kopała przez sen, wierciła się, że cały dzień skołowana chodziłam. Musi pani wcześnie wstawać? Na chwilę spotkały się nasze oczy, Barbara Mizera mówiła innym tonem, gdy nie patrzyła mi na uszy, jakbym wtedy wydawał jej się inną, mniej przyjazną osobą. Ugotuj, upierz, podetrzyj tyłek, daj na loda, a co to, a dlaczego, po co, na zeszyty. Nie wiadomo, w co ręce włożyć, jak ma się piątkę dzieci, na pysk człowiek pada, a tu maaama i maaama. Pani pewnie nie ma dzieci. To nie było pytanie i nie zamierzałam na nie odpowiadać. Barbara Mizera sięgnęła po następnego papierosa. W Diorze radia skręcałam, ale poszliśmy na bruk, sru, jak śmieci, nawet kopa w dupę na do widzenia. Kiedy to było? Piętnaście lat temu wstecz. Zleciało, westchnęła Barbara Mizera i wypuściła melancholijną rzekę dymu.

Nikt pani nie pomaga? Ojciec Andżeliki? Wykopałam, zanim poszedł siedzieć, złodziejskie nasienie, brat z Sobięcina dał mu robotę na warsztacie, to wyniósł narzędzia, na wódę sprzedał, tak go koledzy ustawili, tak wyprowadzili. Charakter słaby, dla kolegów by własną matkę przerobił na pasztet, a ojca na parówki. Nie wyszła pani drugi raz za mąż? A pewnie, tylko marzę, kurde, żeby brudne gacie prać. Chłop jest, wie pani, do czego dobry? Na zasmażkę do chrzanu! W opiece pani powiedzą, że każde moje z innego ojca. Siedzi tam taka suchotnica niewydymka, pierwsza, żeby pod pierzyną węszyć, tyle jej, co stare prześcieradło powącha. Śmiech Barbary Mizery ponownie rozległ się w tej ponurej kuchni jak dysonans i przez moment zobaczyłam ją taką, jaką zapewne widzieli ją mężczyźni, ojcowie jej dzieci, i przez tę zadziwiająca chwilę stała się ładna. Ojciec utrzymuje jakiś kontakt z Andżeliką? Kontakt? Skrzywiła się, jak wyszedł, poszedł w długą i sru, alimenty to sobie mogę palcem w dupie narysować. Endżi ostatnio widział ze dwa lata temu wstecz, jak przyszedł wypity na żebry. Dziesięć złotych wyciągnął od niej ze świnki, naszczał na dywan i tyle było tatusia. Znów zapaliła, odpalając nowego papierosa od poprzedniego.

A pani nowy partner. Jak układa mu się z Andżeliką? Roman? A co mu się miało układać? Jakby starsza była, to trzeba by jej pilnować, a tak schodzili sobie z drogi, cześć cześć, co słychać, do widzenia i sru. Pilnować jej? Chłop nie pies, woli świeże mięso, wytłumaczyła mi Barbara Mizera i znów zaśmiała się tym śmiechem nie pasującym do jej słów i twarzy. Andżelika lubi Romana? Chłop raz jest, raz go nie ma, a jak dzieciak nie jego, to po portfel nie sięga. Roman kupił im te słoneczka do zjeżdżania w Oszom i tyle z tego kupowania wyszło, już lepiej, żeby nic nie kupował, bo jak chłop coś sam z siebie kupi to jak jajami o beton. Jednej mojej siostrze się trafił taki, co jak pójdzie po chleb, to wraca ze śrubokrętem i kilem buraków. Ma pani dużą rodzinę? Czterech braci i trzy siostry, wszyscyśmy tu zostali, powiedziała Barbara Mizera z ponurą determinacją, którą po namyśle uznałam za coś w rodzaju dumy, i poczułam ukłucie zazdrości, bo ta kobieta, której współczułam z wielu powodów, miała siedmioro rodzeństwa, siedem potencjalnych domów, w których był ktoś bliski, w których w ogóle ktoś był. Często się widujecie? Jak piniędzy nie ma, to trudno, żeby się gościć, każde za swoim ogonem lata. Ale jak byliśmy mali, to po całym Nowym Mieście, tam siam, na staw, na kasztany koło stadionu, po hałdach śmy węgla szukali, albo opieńki się zbierało na górce. Dziecko musi się wybiegać, przy budzie jak psa nie uwiążesz.

Kobieta odwróciła twarz do okna i przez chwilę myślałam, że zacznie płakać, zdjęła gumkę z włosów i jeszcze raz założyła, łapiąc kosmyki w kucyka. W ciszy, jaka między nami zapadła, wciąż ryczał telewizor i ktoś nieustannie zmieniał kanały z jednego idiotyzmu na drugi. Podaruj sobie odrobinę luksusu, zajęczał jakiś kobiecy głos, jesteś tego warta. Lubiła latać po nocy, latała, latała i się dolatała, podsumowała Barbara Mizera. Myśli pani, że nie wiem, co ludzie mówią? Że matka winna, matka ma mieć oczy w głowie i w dupie, matka ma wszystko widzieć. A ja nic nie widziałam, nic mnie nie tknęło.

Żadnego przeczucia nie miałam. Kamień w wodę!
Co pani pomyślała, gdy pani córka zaginęła? Pomyślałam? A co ja tam mogłam pomyśleć, czy ja jestem od myślenia? Wyjęła następnego papierosa i zaciągnęła się tak głęboko, jakby nie paliła od paru godzin, przymknęła oczy i najpierw wypuściła dwa zgrabne kółka, a potem rwącą szarą strugę. Miałam wrażenie, że zaraz się uduszę w oparach dymu przepuszczonego przez jej niezmordowane płuca, z których czeluści na koniec wydobył się jeszcze szary cumulus i popłynął w moją stronę. Myślała, myślała, aż się zesrała, przemówiła w końcu znów wierszem. Pomyślałam, że biednemu zawsze wiatr w oczy. Pani myśli, że kogoś obchodzi Andżelika Mizera? Innego dziecka by lepiej szukali. Kto by lepiej szukał? Policja, państwo, społeczeństwo też by szukało. Na nas nikomu nie zależy, w dupie nas wszyscy mają. Są tacy, co najchętniej by nas wytruli jak karaluchy, puścili z dymem, przyklepali łopatą, sru i po ptokach. Kto? Ja tam wiem kto? Co ja mogę wiedzieć. Policja, kurde, politycy, bogacze ze Szczawna Zdroju. Albo przyjezdni. O, zwłaszcza oni, bo się tego do Wałbrzycha naprzyjeżdżało. Się podorabiali, wodę trują, atmosferę zatruwają, żerują na ludziach, krew wysysają, na prostych ludziach żerują. Na pani? Bo czy polska matka nie powinna mieć lepiej?
Odparła pytaniem polska matka sześciorga dzieci, w tym jedno zaginione bez wieści.

Takie rzeczy nie dzieją się tak sobie bez powodu. Są takie rzeczy na ziemi, które nie zachodzą bez swojej przyczyny. Takie rzeczy, jak zniknięcie Andżeliki? Andżeliki i tych innych, całej trójki wałbrzyskiej. Mówią, że to, co się dzieje w Wałbrzychu i zniknięcia dzieci mają związek, powiedziała Barbara Mizera z wahaniem, jakby zdradzała mi jakąś tajemnicę. A co się dzieje? Na Sobięcinie mają plagę robactwa na ten przykład, gaz się spod ziemi ulatnia, truje, woda czarna, straszna woda, włosy chińskie. Skąd nagle tyle czarnej wody, tyle gazu? Albo Matka Boska Bolesna. Matka Boska Bolesna? W fontannie w rynku się ukazuje, a tego, co ją najsampierw spotkał w biedaszybie, Jana Kołka, okrutnie zamordowali. Pani nie uwierzy jak. Jak? Wstrzyknęli mu chorobę taką, co to wygląda na niby, że zawał, a to nie zawał. Taka jakby mała bomba we krwi zdalnie sterowana. Kto go zabił? Oni nie stąd byli. Specjalnie przyjechali, żeby go zabić. Cały spisek uknuli. Skąd pani to wie? Wszyscy wiedzą. Ludzie tu i tam gadają. Jak się ucho przyłoży, to słychać.

Jaki jest związek między zniknięciami dzieci i śmiercią Jana Kołka? Dym spowijał nas już tak, jakby mgła wszechobecna od chwili mojego przyjazdu wtargnęła do kuchni poniemieckiej kamienicy na Nowym Mieście, niedopałki w brzuchu popielniczki śmierdziały smołą. Tylko patrzeć, jak z ektoplazmy zmaterializują się duchy tego mieszkania, popatrzą na nas, każą zwinąć to odrażające linoleum i wrzasną Raus! Zły związek, jakby jakaś siła zła tym rządziła, o siłę jakaś nam przeciwną w tym chodzi. Bardzo szkodliwą. Nam? Polakom na przykład, matkom polskim, odpowiedziała matka Andżeliki. Czułam, że powtarza cudze słowa i będę musiała dowiedzieć się czyje. Szuka jej pani? Barbara Mizera wzruszyła ramionami i znów zrobiła ten brzydki grymas, który sprawiał, że jej twarz wyglądała jak własna karykatura z zapadniętymi ustami i cofniętym podbródkiem. Poszłam na staw zaraz potem, raz, drugi poszłam, ale co mogłam znaleźć, jak inni nie znaleźli, policja z psami, dzielnicowy, ksiądz nawet poszedł i nic. Do kościoła się nie chodzi, to Pan Bóg pokarał, tyle mi powiedział, zawinął kiecę i sru. Chodziłam po kamienicy, po osiedlu, pytałam dzieciaków, co ich znała, po sklepach, czy była, po somsiadach. W końcu pojechałam do telewizji. Kobieta przerwała i popatrzyła w stronę okna, za którym ciemność zrobiła się gęsta jak węglowy pył.

Pojechała pani do telewizji, zachęciłam ją. Po co?
Bo tak. Widziałam w telewizji o jednych takich z Anglii, odstawieni, wypindrzeni, ęą, ona jak aktorka, pasemka zrobione. Też zginęło im dziecko. Mała dziewczynka gdzieś na wczasach, jak kamień w wodę, na wczasy kogo dziś stać. I oni poszli gdzieś do telewizji i wszędzie, wygadani tacy, ze znajomościami, plecami, wtykami tu i tam, z piniędzmi. Były plakaty i taki przystojny piłkarz z tatułarzami, jak mu tam, mąż tej Wiktorii, o tym mówił, w telewizji widziałam. Szukajcie, szukajcie tej dziewczynki, tak mówił, a na stadionie plakat wielki. Mówi pani o Madeleine McCann. Chciała pani, by Andżeliki szukano tak, jak małej Maddie. Barbara Mizera pokiwała głową. Medi nie Medi, ktoś tym bogaczom świsnął dziecko, jakiś porywacz czy gorzej pedał, na takich kary nie ma, między ludźmi żyją. Ale oni dostali piniądze, piniądz ciągnie do piniądza, pani powiem, tak się zakręcić umieli, że wszyscy im słali na szukanie. Ale mnie do telewizji portier nie wpuścił.

Zanim zadałam następne pytanie, do kuchni wszedł mały chłopiec, a właściwie wmaszerował sztywnym krokiem żołnierzyka. Drobny i chudziutki miał bose stopy i zielony poliestrowy dres za duży o trzy rozmiary. Skóra dziecka była delikatna i tak biała, że prawie przezroczysta, oczy jak dwie bryłki lodu. Oskarek do nas przyszedł! A wołała cię mamusia, że przyszłeś?, zaszczebiotała Barbara Mizera. Chłopiec chwilę stał bez ruchu, zupełnie obojętny na słowa matki, nawet na nią nie spojrzał, na mnie też nie. Nie ma, powiedział, teatralnie rozłożył ręce i wzruszył chudymi ramionami niczym aktor z taniej farsy. Czarny pan z telewizora zabrał, popatrzył w moim kierunku, ale nie na mnie, i niemal fizycznie poczułam, jak Barbara Mizera tężeje po drugiej stronie stołu. Czarny pan, czarny pan, wykrzywiła się do dziecka w karykaturze matczynego uśmiechu. Ładnie tak kłamać panią, co do nas przyjechała z Warszawy? On nie kłamie, odpowiedziało dziecko, on nie ma Andżeliki. Wszędzie go ze sobą zabierała, jak mała mamusia, cysia mu dawała, tak Oskarek? Barbara Mizera nadal zwracała się do dziecka sztucznym głosem, jakim niekiedy rodzice mówią do swoich pociech, gdy wypadają z roli kochającego rodzica na nieznany teren. Chodź do mamusi, dostaniesz cukierka! Dziecko nie ruszyło się, wpatrzone w jakiś punkt między nami, za szybą spływającą wilgocią. Nie mrugało. Jego rzęsy były białe i bardzo gęste, odczułam nagłe pragnienie, by to dziecko ochronić. Dziwny jest, oświadczyła Barbara Mizera. Nikomu dotknąć się nie daje, a jej dawał, Endżi dawał. Tylko telewizor i telewizor chce oglądać, zawsze to samo, a jak kanał mu któreś zmieni, to w krzyk. On nie ma Andżeliki, dziecko zupełnie zignorowało swoją rodzicielkę, z powagą starca rozłożyło dłonie tym samym, co wcześniej przerysowanym gestem, odwróciło się i wymaszerowało z kuchni. Lekarka w przychodni mówiła ostatnio, że może mieć lekki artryzm, westchnęła Barbara Mizera. Z przedszkola musiałam go zabrać, z dziećmi się nie dogadywał, jeść nie chciał, leżakować też nie, pod siebie sikał, kłębek nerwów, w domu siedzi, bo gdzie go dam? Była z nim pani u specjalisty? Do Wrocławia, mówią, że trzeba jechać, do specjalnej przychodni od takich, ale ja tam, wiem, może tak tylko gadają, bo chcą, żeby w łapę dać, a skąd ja mam mieć w łapę, nie urodzę. Dwa lata miał i liczyć się sam z siebie naumiał, to co mi będą wmawiać, że głupi? Nie jest głupi, przyznałam rację Barbarze Mizerze. Pani syn nie jest głupi. Ale przez ten artyzm niedotykalski taki i wymyśla pierdoły, jak czasem wyskoczy, to jak gil z nosa. Czarny pan z telewizora. Co, murzyn może przyleciał do Wałbrzycha, z bambusa w Afryce się urwał i przyleciał porwać Andżelikę? Może jeszcze jakiś skośny, co ich przywieźli do pracy w Toyocie?

A jak pani myśli, kto? Barbara Mizera sięgnęła po paczkę papierosów, ale była już pusta. Wyszły, kurde, westchnęła. Nie wiem, powiedziała, naprawdę nie wiem, po co ktoś miałby porywać moją córkę, i wiedziałam, że Barbara Mizera mówi to, co czuje w głębi serca, i że być może sama jest zdziwiona swoją szczerością. Nie rozumiała, po co ktoś porwał dziecko, którego nawet ona, jego matka, nie uważała za wiele warte.

JOANNA BATOR (1968) – Schriftstellerin, Feuilletonistin der "Gazeta Wyborcza" sowie „Bluszcz". Sie ist Kennerin und Liebhaberin der japanischen Kultur. Ihr Buch *Japanischer Fächer* (2004, 2011) entstand nach mehrjährigem Aufenthalt in Tokio. 2005 erhielt sie für es den Beata-Pawlak-Preis sowie den Verlegerpreis. 2009 gab Joanna Bator ihre akademische Karriere auf und gab ihren ersten Roman *Sandberg* heraus. Das Buch erhielt den Verlegerpreis und wurde für den Nike, den Literaturpreis Gdynia sowie die Schlesischen literarischen Lorbeeren nominiert. Die deutsche Version (Übersetzung von Esther Kinsky) befand sich im Finale des Deutschen Internationalen Literaturpreises. Ihr nächster Roman *Chmurdalia* (2010) kam unter die besten Sieben des Nike. Ihre Romane werden u. a. ins Deutsche, Französische, Hebräische und Ungarische übersetzt. In diesem Jahr gibt die Autorin ihren nächsten Roman *Dunkel, beinahe Nacht* heraus (Ersterscheinen am 30. Mai 2012 im Verlag W.A.B.), dessen Handlung im Schatten des Schlosses Fürstenstein spielt. Ein Fragment daraus präsentieren wir oben.

Kontakt: jomabator@hotmail.com

JOANNA BATOR (1968) – pisarka, felietonistka „Gazety Wyborczej" i „Bluszcza". Jest znawczynią i wielbicielką japońskiej kultury. Jej książka *Japoński wachlarz* (2004, 2011) powstała po kilkuletnim pobycie autorki w Tokio. W 2005 Joanna Bator otrzymała za nią Nagrodę im. Beaty Pawlak i Nagrodę Wydawców. W 2009 roku Joanna Bator porzuciła karierę akademicką i wydała swoją pierwszą powieść *Piaskowa Góra*. Książka otrzymała Nagrodę Wydawców i została nominowana do Nike, Nagrody Literackiej Gdynia i Śląskiego Wawrzynu Literackiego. W wersji niemieckiej (*Sandberg* w przekładzie Esther Kinsky) znalazła się w finale Niemieckiej Międzynarodowej Nagrody Literackiej. Kolejna powieść *Chmurdalia* (2010), trafiła do finałowej siódemki Nike. Powieści Joanny Bator tłumaczone są między innymi na niemiecki, francuski, hebrajski i węgierski. W tym roku autorka wydaje kolejną powieść *Ciemno, prawie noc* (premiera 30 maja 2012 roku, Wydawnictwo W.A.B.), której akcja dzieje się w cieniu Zamku Książ. Jej fragment prezentujemy powyżej.

Kontakt: jomabator@hotmail.com



© Ania Jaworska-Kruk

Artur Klinaŭ Артур Клінаў

SCHALOM. EIN KRIEGSROMAN ШАЛОМ. ВАЕННЫЙ РАМАН

Auszug
урывак

Er hatte das Ding nicht sofort bemerkt. Das heißt, bemerkt schon, er hatte ihm bloß zunächst keine Beachtung geschenkt und war einfach weitergegangen. Doch dann blieb er unvermittelt stehen, wandte sich um und sah richtig hin.

Auf einem Tischtuch, das auf dem nackten Boden ausgebreitet war, stand zwischen allem möglichen Plunder, den er gar nicht mehr wahrnahm, ein Schalom – ein auf Hochglanz polierter, im gleißenden Sonnenlicht funkelnder Helm eines Soldaten der preußischen Armee, der seinen spitz zulaufenden Pickel in den Himmel reckte. Etwas zerknirschte in Andrés Kopf. Sein Mund wurde trocken. In der Brust setzte ein rasendes Hämmern ein, als ginge ein brutaler Boxer mit riesigen Lederfäustlingen von innen auf ihn los.

Wie versteinert zwischen den wuselnden Flohmarktbesuchern starrte André gebannt auf den Helm. Er hätte wohl noch lange so dagestanden, wäre er nicht angerempelt worden.
„Przepraszam, äh, bitte …“, da ihm gerade sämtliche Sprachen abhanden gekommen waren, sagte er einfach automatisch, was ihm als erstes über die Lippen kam.

Schließlich trat er zwei gezielte Schritte vor und deutete fragend auf den Helm:
„Was kostet der?“
„Fünfhundert Euro“, erwiderte der Händler, ein feister, grauhaariger Mann um die fünfzig und musterte André gelangweilt.
„Okay!“ nickte der, wandte sich um und tappte enttäuscht in Richtung Schuhgeschäft davon.
Doch nach vielleicht dreißig Metern blieb er plötzlich stehen. In seinem Kopf tobte ein grotesker Aufstand. Von allen Seiten kamen Gedanken herbeigeströmt und versuchten heiser, einander niederzubrüllen.
„Idiot!“, rief der eine. „Du musst ihn kaufen!“
„Die Schwiegermama wird dir was erzählen, von wegen Schalom! Die reißt ihn dir ab und den Kopf gleich mit!“, zeterte ein anderer.
„Du olle Nulpe! Das ist deine Chance! Fang ein neues Leben an! Scheiß auf die Schwiegerin! krakeelte der dritte.
„Deine Frau setzt dich vor die Tür und brät dir mit der gusseisernen Pfanne noch eins über!“
„Soll sie doch! Dafür hast du ja den Helm auf!“
„Die ganze Schule wird sich über deine Kinder lustig machen und ihren Vater einen Hornochsen nennen!“
„Wissen doch eh schon alle, dass du ein Hornochse bist!“
„Morgen gehst du an die Front, und du weißt doch: Im Feld nie ohne Helm!“
„Du verschreckst die ganze Kundschaft und bist bald völlig pleite! Kein Mensch gibt bei einem Spinner mit Pickelhaube einen Grabstein in Auftrag!“
„Was schert dich deine Kundschaft? Sollen sie sich ihre Grabsteine selber basteln oder zu Piatroŭ gehen! Hast du davon geträumt, als du Bildhauer werden wolltest? Ein Michelangelo wolltest du sein, Großes, Zeitloses schaffen! Und was ist aus dir geworden? Ein Arschloch, das nur Pfusch abliefert! Eines Tages werden sich die Toten zusammenrotten und dir in einem stillen Winkel des Friedhofs die Fresse polieren!“
„Jeder Bulle wird dich anhalten und nach deinem Pass fragen!“
„Na und? Machst du dir eben einen neuen mit Schalom-Foto!“
„Die Kinder werden mit dem Finger auf dich zeigen!“
„Sie werden dich im Fernsehen in 'Die geheimen Mächte der Politik' zeigen und dich als Freimaurer und Führer der belarussischen Opposition hinstellen!“
„Und wenn! Der erste Freimaurerjude in Mahiloŭ! Du wirst berühmt! Die Trinkhallen-Alkis werden dir ein Bierchen spendieren!“
„Fjodor Michailowitsch wird sehr zufrieden mit dir sein! Was glaubst du, wie der sich im Himmel freut, wenn er dich mit Pickelhaube sieht!“
„Deine Adepten werden dich für durchgeknallt befinden und schon vor Sonnenuntergang zu trinken anfangen!“
„Im Gegenteil! Sie werden im Glauben wachsen, wenn du ihnen im Schalom erscheinst! Du wirst ihr Buddha sein!“
„Die Dumpfbacken von Kuratoren werden dich endlich zu den wirklich heißen Ausstellungen einladen! Du wirst berühmter als der Hundemensch! Das ist es doch, was dir fehlt! Ruhm! Kohle! Eine Villa in Nizza!“
„Überleg doch mal! Was hast du zu verlieren? Nur den Mist, aus dem du dich nie befreien wirst!“

„Du hast doch überhaupt keine fünfhundert Euro!“
„Aber du hast das Geld für Schwiegermamas Stiefel, für Mitbringsel und Rückfahrkarte! Und den Rest vom Tagegeld, weil bei LIDL der Sprit so billig war!“
„Und wie willst du dann nach Hause kommen?!“
„Pipifax! Per Anhalter bis Berlin! Dort streckt dir die Diaspora was vor!“
„Schwachkopf! Du musst ihn kaufen!“
„Du olle Nulpe! Das ist deine Chance! Setz ihn auf und dann nie wieder ab!“
„Reiß die Tür zu deinem neuen Leben auf!“
„Die Schwiegermama reißt ihn dir ab und den Kopf gleich mit!“
„Deine Frau brät dir eins mit der gusseisernen Pfanne über!“
„SCHNAU-ZE!!!!!“
Mit einem Mal war alles still. Das Marktgesumm war für einen Moment verstummt, und André bemerkte, dass alle Umstehenden ihn schweigend und leicht befremdet musterten. „Also gut, jetzt reicht es aber wirklich!“, sagte er sich und ging schnurstracks in das Schuhgeschäft, in dem Schwiegermamas Stiefel warteten. Zielstrebig stieg er die Treppe ins Obergeschoss hinauf und näherte sich mit raumgreifenden, soldatisch festen Schritten und rudernden Armen der Auslage. Vor einem schwarzen Paar mit hohen Stöckeln blieb er stehen. Abschätzig, ja angeekelt betrachtete er die Stiefel, überlegte kurz, machte auf dem Absatz kehrt und ging so entschlossen, wie er gekommen war.
„Was kostet der?“, fragte er noch einmal, da er plötzlich wieder vor dem grauhaarigen Händler stand.
„Fünfhundert Euro.“
„Vierhundert!“
„Vierhundertneunzig!“
„Vierhundertzwanzig!“
„Vierhundertfünfundachtzig!“
„Vierhundertfünfzig!“
„Vierhundertfünfundachtzig!“
„Vierhundertsechzig!“
„Vierhundertachtzig!“
„Vierhundertsiebzig!“
„Vierhundertachtzig!“
„Vierhundertfünfundsiebzig!“
„Vierhundertachtzig!“
„Ach! Scheiß drauf! Vierhundertachtzig!“
André kramte umständlich die Scheine aus den diversen Geheimverstecken seiner Taschen. Er zählte vierhundertachtzig Euro ab, drückte sie dem Grauhaarigen in die Hand, hob vorsichtig den Helm vom Tischtuch und setzte ihn sich, den Triumph über die Stöckel auskostend, auf den Kopf!
Sein Herz blies sich zur Größe eines stattlichen Vogels auf und flatterte wie wild. Mit seinem ganzen Wesen spürte er: Was eben geschehen war, würde sein verkorkstes Leben für immer verändern. Ob zum Besseren, das blieb abzuwarten, aber in der Vorfreude auf das Neue, Unbekannte füllte sich seine Lunge mit fröhlicher Freiheitsluft. Als hätte er die Fesseln abgeworfen, die ihn so lange beengt hatten. Es surrte, pochte und ratterte nur so in seinem Kopf. Die Gedanken, die sich eben noch in irgendwelchen Ecken verborgen hatten, drängten nun wieder hervor und quäkten wild durcheinander.
„Sauber! Gibs ihnen!“, krächzte einer erfreut.
„Na, erst mal abwarten, was das wird“, bremste ein anderer.
„Schlimmer kann es ja nicht werden! Jedenfalls sind wir in diesem Skaphander gegen mechanische Schädigungen bestens geschützt“, sinnierte ein dritter.
„Aber in diesem Skaphander machen wir uns vor aller Welt zum Affen!“
„Alles easy! Was jucken dich diese Deppen und was sie von dir denken!“
„Wir hatten den Sonnenuntergang doch auf vierzehn Uhr vorgezogen! Sollten wir nicht mal langsam den Kater ersäufen, ich blick gar nicht mehr durch!“
Der letzte Gedanke erschien André als der einzig unbestreitbar wahre. Er zählte das noch verbliebene Geld und steuerte auf eine Bar am anderen Ende des Platzes zu.

„He, Big Ben! Was bist denn du für ein Regiment?“
André wandte sich um und sah am Nebentisch einen angetrunkenen, schmuddeligen Typen, der ihn dreist aus großen, braunen Augen anstarrte.
„Viertes Hubschraubergeschwader!“, antwortete André vorsichtig.
„Bist du Ausländer, oder was?“
„Jawoll!“
„Und wieso zum Henker läufst du mit diesem Feuerwehrhelm durch die Gegend? Der Krieg ist doch längst vorbei.“
„Morgen frühe ziehe ich los an die Ostfront. Dorthin, wo der Krieg nie vorbei sein wird.“
Der Typ nahm einen Schluck von seinem Bier und sah André wieder an.
„Filzstiefel nicht vergessen. Die Winter sollen streng sein, da in Sibirien.“
Die Kneipe füllte sich. Um André herum lärmten die anderen Gäste, ohne sich sonderlich für ihn zu interessieren. Nur selten nahm er einen flüchtigen, neugierigen Blick wahr. Vielleicht erinnerte er jetzt wirklich an Big Ben, wie er da einsam in den Schwaden der verrauchten Kneipe thronte und die vergoldete Spitze in den Himmel bohrte. Draußen dämmerte es bereits. Auf weitere Konversation mit dem Schmuddeltypen hatte er keine Lust.
„Dann will ich mal. Damit ich morgen ausgeschlafen bin für die Reise. Auf Wiedersehen!“
„Glück auf! Die Filzstiefel holst du dir im Feld!“, grinste der und widmete sich wieder seinem Bierglas.
André ging zum Tresen und bezahlte bei der Kellnerin mit dem Blumenschurz. Sie sah ihn jetzt beinahe mitleidig an, als wüsste sie, dass er am nächsten Morgen in ein fernes, geheimnisvolles Land aufbrechen und nie mehr wiederkommen würde. Er schenkte ihr ein Lächeln, griff nach seinem Rucksack und trat hinaus ins kühle Dämmerlicht der herbstlichen Straßen.

Zurück in seinem Zimmer fand André einen kleinen Zettel an die Tür gepinnt. Auf dem weißen Stück Papier standen eine Handynummer und das kurze Wort „Franka“. „Mist, jetzt habe ich mich nicht mal von La France verabschiedet! Auch egal. Von Berlin aus rufe ich sie sowieso nicht mehr an“, dachte er und ging ins Badezimmer, um sich endlich im großen Spiegel zu begutachten. André war kein Schönling und daher bei der Damenwelt nicht sonderlich erfolgreich. Jede Eroberung kostete ihn unsägliche Mühen. Er musste alles an Verstand und Charme aufbieten, mitunter sogar Revolutionslieder und Reden. Verglichen mit gut aussehenden Machos hatte

er ein ausdrucksloses Dutzendgesicht: stumpfe, sumpfgrüne Augen, eine unbedeutende Hakennase und hohle Wangen ohne Anzeichen von lebensbejahender Röte. Mit einem kantigen Kinn hätte daraus vielleicht noch eine runde Sache werden können. Aber sein Kinn war hundsbanal, sogar noch leicht eingefallen, fast etwas degeneriert. André selbst hielt sich zwar nicht für ausgesprochen hässlich, aber doch für einen Menschen, der dem Schöpfer gleichgültig sein musste und dessen Erschaffung ihn nicht allzu viel Schweiß gekostet haben konnte.

Doch sein jetziges Spiegelbild war phänomenal. Das nichts sagende Gesicht schien seine Vollendung gefunden zu haben, Harmonie, den fehlenden Akzent. Der Schalom saß wie angegossen, als hätte André die optimale Kopfgröße. Über seinem Scheitel ragte der vertikale goldene Pickel. Entfernt erinnerte er sogar an den Stöckel von Schwiegermamas Stiefel, nur dass er sich nicht in die Erde bohrte, sondern träumerisch himmelwärts strebte. André maß ihn mit zwei Fingerlängen, er dürfte gut und gerne zwölf Zentimeter lang sein.

Der Schalom war blitzeblank poliert. Offenbar hatte sich der grauhaarige Händler für den Flohmarkttag richtig ins Zeug gelegt. André trat näher an den Spiegel, um die Reliefzeichnung auf der Kokarde eingehender zu betrachten. Auf der eindrucksvollen Frontseite des Helms warfen sich zwei goldene Löwen in die Brust. Sie hielten einen goldenen Schild in ihren Pranken, vielleicht versuchten sie auch, ihn dem jeweils anderen zu entreißen. Offensichtlich waren die Löwen geopolitisch aktiv, zankten sie sich doch um einen auf dem Schild ausgebreiteten Fisch. André hob die Hände, um den Helm besser betrachten zu können, als eine strenge innere Stimme rief:
„Halt!!! Auf keinen Fall absetzen!“
André erstarrte, die Handflächen am Helm.
„Nun setz ihn schon ab! Hör nicht auf ihn!“
„Wenn du ihn absetzt, ist das ganze Konzept zerstört! Du darfst ihn unter keinen Umständen absetzen! Auch jetzt nicht, wenn dich keiner sieht! Das ist doch der Sinn der Sache!“
„Was denn für ein Sinn? Ein Schwachsinn ist das! Soll er sich jetzt für den Rest des Lebens zum Idioten machen?“
„Sein Leben ist doch eh schon die pure Idiotie! Das Leben ist überhaupt eine latente Form der Idiotie. Auf keinen Fall absetzen!“
„Absetzen, du Idiot! Überleg doch mal, was du dir da für einen Mist auf den Kopf gepackt hast!“
„Sinn! Sinn! Sinn! Nichts als Deppen-Deko! Was bringen dir die Sinne, wenn sie doch nur im Nichts enden!“
„Nichts als Atheisten-Gelaber! Wenn es keinen Gott gibt, ist natürlich überall nichts! Glaubt bloß nicht, ER wäre für alle gestorben!“
„Wieso denn krampfhaft glauben? Sagen: Ich glaube, weil ich nicht glaube! Ich glaube mir zum Trotz! Und wenn ich nun doch glaube, aber anders? Wenn Gott für mich gerade im Nichts wohnt? Davon habe ich aber auch nicht mehr Sinn! Wenn ich nicht glaube, dass ich mich morgen in eine Filzlaus, dann in einen Bären und danach in einen Kaiser verwandle! Ein Sinn ist doch ein Sinn, weil man ihn kapieren kann! Der Sinn des Nichts ist uns aber zu hoch! Vielleicht fehlt uns da eine Dimension?!“
„Wer so denkt, gehört nach Sibirien! Den Weißmeer-Kanal ausschachten, anstatt anderleuts Leben zu verpfuschen!“
„Fass dir mal an die eigene Nase! Du rauchst doch selber Belomor-Papirossy! Und bildest dir dann irgendwelche Sinne ein!“
„Depp! Ich rauche, was mir passt! Und du bist ständig besoffen! Die krümmste Windung in seinem Hirn!“
André stand immer noch mit den Händen am Helm vor dem Spiegel. Bei diesem Gedankenzwist konnte er sich nicht konzentrieren und zu einer Entscheidung kommen. Einen Augenblick lang glaubte er sogar, die beiden Löwen auf seinem Kopf wären die eigentlichen Streithähne.
Da mischte sich plötzlich ein dritter ein:
„Schluss jetzt! Genug der theologischen Hysterie! Du setzt den Helm nicht ab! Mach lieber die Flasche Wein auf, die du hinter dem Schrank versteckt hast!“
André riss sich vom Spiegel los und ging zurück in sein Zimmer. Er entkorkte die Flasche, schenkte sich ein und machte es sich bequem, die Füße auf dem Tisch. Nur kurz hielten sich die Gedanken zurück, dann nahmen sie, leicht angeheitert, wieder Fahrt auf:
„Sag mal“, meinte der eine, „du hast jetzt jahrelang als braver Soldat in der großen Kunstarmee gedient. Das war dein ganzes Leben. Deine besten Jahre hast du im Schützengraben verpulvert, auf Märschen, unter Beschuss, in Scheiße, Schlamm und Schuld, auf der Suche nach Sinn und Schönheit. Und was ist der Lohn? Wo sind Ruhm und Respekt? Wo sind Titel und Orden? Was hat dir dein Dienst gebracht? Geld hast du nicht. Eine anständige Familie auch nicht. Deine Frau und deine Schwiegermutter verachten dich insgeheim. Deine genialen Projekte hängen in der Luft. Du bist nämlich am falschen Ort geboren, hinterm Wald, im Arsch. Und die einsame Stimme aus dem Arsch ist auch bloß ein Furz. Vielleicht hören ihn die ganzen kleinbürgerlichen Säcke sogar, aber der Anstand verbietet ihnen, das auch zu zeigen. Du bist eine Nulpe! Eine miese, kleine Nulpe!“
„Und was hat die Pickelhaube damit zu tun? Kommt man mit Schalom etwa leichter aus dem Arsch? Von der Konstruktion her könnte das passen. Aber was würde das ändern? Du warst ein stiller, unauffälliger Idiot, wie alle anderen auch. Und jetzt schreibst du dir groß auf die Stirn: 'Ich bin ein Idiot! Hier! Bittesehr! Fasst mich an! Ich bin bekloppt und stolz drauf!'“
„Hör nicht auf ihn! Geh auf die Barrikaden! Zum Teufel mit der Kunst! Der Armee! Zum Teufel mit der ganzen beschissenen Welt! Zeig ihr den Stinkefinger! Mach aus dem Helm dein Projekt! Du bist der Erste! Da ist noch keiner drauf gekommen! Der Mann mit Helm! Das ist deine Chance!“
„Es gibt da noch einen weiteren Aspekt. Mit zwanzig eine Nulpe zu sein, ist kein Problem und keine Schande. Aber mit vierzig dämmert dir, dass dich Fortuna wohl nicht mehr ehelichen wird. Mit viel Glück nimmt dich irgendein alter Sack im Turban als Nr. 28 in seinen Harem auf. Aber auch das nur, weil seine Sammlung unvollständig ist. Der letzte Depp hat noch gefehlt!“
„Schau dir doch die stolzen Löwen auf deinem Helm an! Du bist jetzt ein Löwe! Ein preußischer Krieger! Der letzte Löwe in einem unbekannten Krieg!“
„Mumpitz! Mumpitz! Mumpitz hoch drei! Schwachsinn!“
„Was hast du denn zu verlieren? Bitte, setz ihn ab und geh zurück nach Mahiloŭ. Da darfst du dann bei den nächsten fünf Freilichtausstellungen mitmachen. Und? Was weiter?“
André erhob sich und ging nervös im Zimmer auf und ab wie ein Metronom, immer von Wand zu Wand. Dann griff er zur Flasche und goss sich sein Glas randvoll. Nach kurzer Starre setzte er es an die Lippen und stürzte es in einem Zug hinunter.
„Mach den Sack zu! Stoß die Tür auf! Fang ein neues Leben an! So eine Chance bekommst du nicht noch einmal!“
„Neues Leben! Neues Leben! Nulpe, Nulpe, Nulpe …“
Erregt tigerte André durch das Zimmer und murmelte abgerissene Halbsätze vor sich hin. „Der Mann mit Helm! Der Mann mit Helm! Die Chance! Das ist deine Chance! Konzeptuelles Projekt! Ich bin ein Idiot … Fasst mich an … Stolz, ich bin stolz drauf … Versoffene Visagen … Die einsame Stimme aus dem Arsch … Konzeptkünstler … Neues Leben … Neues Leben … Die Chance … Der Mann mit Helm … Stoß die Tür auf …“
Schweigend beobachteten die Gedanken André.

„Aber wieso ausgerechnet eine preußische Pickelhaube?“, platzte einer schließlich heraus. „Wieso nicht der Helm eines russischen Befreiungskriegers?“
Aus zornfunkelnden Augen wurde er mit allgemeiner Verachtung gestraft.
„Gut! Ende der Diskussion! Morgen ist ein langer Tag!“
André ging zum Tisch, schmierte sich ein Brot und machte sich kauend daran, diesen Tag, der für ihn nicht einfach gewesen war, zu Bett zu bringen.

[Aus dem Belarussischen von Thomas Weiler]

Гэты прадмет ён заўважыў не адразу. Дакладней, заўважыў, але спачатку не надаў значэньня і зрабіў некалькі крокаў наперад. Потым раптам спыніўся... Павярнуўся... І паглядзеў поўным вокам...

Перад ім на нейкім пакладзеным проста на зямлю абрусе, сярод усялякага хламу, якога ён ужо не заўважаў, стаяў Шалом – начышчаны да бляску, зіхоткі, у залатых промнях сонца, кайзэрскі шалом прускага жаўнера з накіраванай у неба востраканечнай пікай. У галаве Андрэ нешта хруснула. Вусны перасохлі. У грудзёх штосьці шалёна загрукала, як быццам нейкі нягоднік-баксэр залез у яго й моцна біў знутры дзьвюма вялікімі скуранымі пальчаткамі.

Скамянеўшы між прылаўкамі, Андрэ зачаравана глядзеў на шалом. Невядома, колькі часу ён мог бы так прастаяць, калі б хтосьці нечакана не штурхануў яго.

– Пшэпрашам, а-а... бітэ… – у гэты момант ён забыўся на ўсе мовы і мэханічна паслугоўваўся тымі, што першыя трапляліся на вусны.

Нарэшце ён зрабіў два рашучыя крокі насустрач і, паказаўшы на шалом пальцам, запытаў:
– Колькі каштуе?
– Пяцьсот эўра, – гандляр, грубы, сівы мужык гадоў пяцідзесяці без усялякага энтузіязму ацэньваюча паглядзеў на Андрэ.
– О’кей! – той павярнуўся і расчаравана патупаў у бок абутковай крамы.
Аднак, прайшоўшы мэтраў трыццаць, раптам спыніўся. У ягонай галаве пачынаўся дзіўны незразумелы бунт. Думкі зьбегліся з розных бакоў і спрабавалі адначасова з хрыпатой перакрычаць адна другую, і кожная – усе адразу.
– Прыдурак! – верашчала адна. – Ты мусіш яго купіць!
– Цешча табе пакажа шалом! Яна адарве яго разам з тваёй галавою – лямантавала другая.
– Чортаў лузэр! Гэта твой шанец! Зьмяні сваё жыцьцё! Плюнь на цешчу! – крычала трэцяя.
– Жонка выставіць цябе за дзьверы й запусьціць наўздагон самай цяжкой чыгуннай патэльняй!
– Нічога страшнага! Калі яна пацэліць у галаву, на ёй жа будзе шалом!
– З тваіх дзяцей будуць сьмяяцца ў школе й называць іх бацьку раганосцам!
– І так усе ведаюць, што ты раганосец!
– Ты заўтра выпраўляешся на фронт, і ты ведаеш: у акопе без шалома нельга!
– Ты адпалохаеш усіх кліентаў і застанешся зусім без грошаў! Хто даверыць надмагільны помнік паўдурку ў кайзэрскім шаломе!
– Пашлі да д’ябла сваіх кліентаў! Няхай лепяць самі альбо зьвернуцца да Пятрова! Няўжо ты пра гэта марыў, калі хацеў стаць скульптарам! Ты ж жадаў быць, як Мікелянджэлё, ствараць вялікае-вечнае! А цяпер ты хто – чмо, што ваяе халтуры! Аднойчы мерцьвякі сапраўды зьбяруцца ды адпізьдзяць цябе дзе-небудзь у зацішным закутку могілак!
– Цябе будзе спыняць кожны мент і пытацца пашпарт!
– Нічога! Ты зробіш новы пашпарт і сфатаграфуешся на яго ў шаломе!
– Дзеці на вуліцах будуць тыцкаць у цябе пальцам!
– Цябе пакажуць па тэлевізары ў перадачы «Таемныя спружыны палітыкі», дзе назавуць масонам і лідэрам беларускай апазыцыі!
– Ня страшна! Першы жыдамасон у Магілёве! Ты станеш папулярным! Ханыгі ў піўнухах будуць частаваць півам!
– Хведар Міхайлавіч будзе вельмі задаволены! Уяві, як ён узрадуецца на нябёсах, пабачыўшы цябе ў прускім шаломе!
– Твае адэпты вырашаць, што ты ужо чокнуўся, і пачнуць піць да заходу сонца!
– Наадварот! Іх вера ўзмацніцца, калі ты явішся ім ў шаломе са шпілем! Ты будзеш іх Буда!
– Гэтыя тупыя куратары пачнуць запрашаць цябе на сапраўды крутыя выставы! Ты станеш знакаміцейшым за Чалавека-сабаку! А гэта ўсё, чаго табе так не хапае! Слава! Бабкі! Віла ў Ніццы!
– Падумай! Што ты страчваеш! Лайно, зь якога ніколі ня вылезеш!
– У цябе нават няма пяцісот эўра, каб яго набыць!
– Але ты маеш грошы на цешчыны боты, на падарункі дачкам, жонцы, на квіткі дадому! А яшчэ

зэканомленыя на танным пойле зь «Лідлу» сутачныя!
– Як жа ты паедзеш дадому?!
– Фігня! Дабяруся да Бэрліну аўтастопам!
А там хобіты дапамогуць грашыма!
– Дурань! Ты мусіш яго купіць!
– Чортаў лузэр! Гэта твой шанец! Надзень яго
й ніколі не здымай!
– Адчыні дзьверы ў новае жыцьцё!
– Цешча адарве шалом разам з тваёй галавою!
– Жонка запусьціць самай цяжкой чыгуннай
патэльняй!
– МАЎ-ЧАЦЬ!!!!!
Раптам усё сьціхла. Рынкавы гоман у момант
спыніўся, і Андрэ заўважыў, што ўсе людзі, якія
сталі наўкол, моўчкі й неяк дзіўна пагладалі на яго.
«Ну досыць, гэта ўжо занадта!» – сказаў ён пра сабе
і рашучай хадою накіраваўся ў краму, дзе сталі
цешчыны боты. Імкліва ўвайшоўшы ў яе, ён падняўся
па сходах на другі паверх і шырокім чаканным кро-
кам, як жаўнер, размахваючы рукамі, набліізіўся да
прылаўку. Убачыўшы чорную пару на высокіх шпіль-
ках, спыніўся... Пагардліва, з агідай паглядзеў на яе...
Пачакаў некалькі імгненьняў... Павярнуўся... І гэтак
жа імкліва рушыў назад.
– Колькі каштуе? – спытаў ён зноўку, нечакана
паўстаўшы перад сівым гандляром.
– Пяцьсот эўра.
– Чатырыста!
– Чатырыста дзевяноста!
– Чатырыста дваццаць!
– Чатырыста восемдзясят пяць!
– Чатырыста пяцьдзясят!
– Чатырыста восемдзясят пяць!
– Чатырыста шэсьцьдзясят!
– Чатырыста восемдзясят!
– Чатырыста семдзясят!
– Чатырыста восемдзясят!
– Чатырыста семдзясят пяць!
– Чатырыста восемдзясят!
– А! Чорт з табой! Чатырыста восемдзясят!
Андрэ пачаў выцягваць з кішэняў прыхаваныя на
розныя мэты заначкі. Адлічыўшы чатырыста восем-
дзясят эўра, перадаў іх сівому, нахіліўся, асьцярожна
ўзяў у рукі шалом і з трыюмфам пераможцы над
абцасамі ўзьняў яго на галаву!

Сэрца Андрэ вырасла да памераў вялікай птушкі
і ашалела забілася. Ён адчуў усёю істотай: толькі
што здарылася нешта, што назаўжды зьменіць яго
няўцямнае жыцьцё. Ці стане яно лепшым, ён ня
ведаў, але прадчуваньне чагосьці новага, нязьведана-
га напаўняла лёгкія радасным паветрам свабоды.
Ён быццам скінуў кайданы, якія даўно скоўвалі яго.
У галаве ўсё гудзела, білася, грукатала. Думкі, што
былі схаваліся ў сваіх закутках, ізноў павысоўваліся
й нешта бязладна вякалі.
– Малайца! Гэтак ім! – радасна, нягучна прахр-
ыпела адна.
– Ну-ну, паглядзім, што з гэтага будзе, – ціха
агрызнулася другая.
– Горш ня будзе! Прынамсі, у гэтым скафандры мы
надзейна абароненыя ад мэханічных пашкоджаньняў,
– разважліва прамовіла трэцяя.
– Анягож, у гэтым скафандры мы станем
пасьмешышчам для ўсяго сьвету!
– Усё будзе клёва! Плюнь на гэтых казлоў і на тое,
што яны пра цябе думаюць!
– Дарэчы, заход сонца быў прызначаны на другую га-
дзіну! Ці не пара б нам прыкончыць гэтае пахмельле,
а то я ўжо нічога не разумею!
Апошняя думка падалася Андрэ адзінай бясспрэчна
слушнай. Ён пералічыў рэшту грошаў, што ў яго за-
сталіся, і рашуча накіраваўся ў бар, які месьціўся на
другім канцы плошчы...

– Гэй! Біг Бэн! Ты зь якога палка?
Павярнуўшыся, Андрэ убачыў за суседнім столікам
падпітага калматага мужыка з нахабнай фізіяномі-
яй, які зыркаў на яго вытарашчанымі брунатнымі
вачыма.
– З чацьвёртага верталётнага! – крыху падумаўшы,
адказаў Андрэ.
– Ты што, замежнік?
– Яволь!
– Якой трасцы тады ты напяў на сябе гэтую пажарную
каску? Вайна даўно скончылася.
– Заўтра раніцай я выпраўляюся на ўсходні фронт.
Туды, дзе вайна ня скончыцца ніколі.
Мужык адпіў з куфля й зноў паглядзеў на Андрэ.
– Не забудзься прыхапіць валёнкі. Тамака ў Сыбіры,
кажуць, суворыя зімы.
У кнайпе сталася цесна. Публіка вакол шумела
і ў прынцыпе не зьвяртала на Андрэ асаблівай увагі.
Толькі зрэдку мімаходзь ён лавіў на сабе асобныя
цікаўныя позіркі. Мабыць, цяпер ён сапраўды быў
падобны да лёнданскага Біг Бэну, што самотна
ўвышаўся ў тумане пракуранай піўнухі, працінаючы
неба вострым пазалочаным шпілем. За вакном
браліся прыцемкі. Працягваць размову з калматым
мужыком не хацелася.
– Добра, пайду! Перад дарогай трэба выспацца.
Аўфідэрзэен!
– Удачы! Здабудзь сабе валёнкі ў баю! – з ухмылкай
прараў мужык і зноў уткнуўся ў куфаль.
Падышоўшы да барнай стойкі, Андрэ разьлічыўся
з кельнэркай у квяцістым фартуху. Цяпер яна пагля-
дала на яго са спагадай, быццам ведала, што раніцай
ён рушыць у далёкую, загадкавую краіну, адкуль
ужо ніколі ня вернецца. Ухмыльнуўшыся ў адказ, ён
падхапіў заплечнік і выйшаў у прахалоднае сутоньне
здранцьвелых восеньскіх вуліцаў.

Вярнуўшыся ў свой пакой, Андрэ знайшоў малень-
кую паперку, прышпіленую да дзьвярэй. На белым
аркушыку былі нумар мабільнага тэлефона й карот-
кае слова: «Франка». «Халера, я нават не пасьпеў разь-
вітацца з маёй Францыяй! Добра, цяпер ужо няважна.
Буду ў Бэрліне, тэлефанаваць усё роўна ня стану»,
– падумаў ён і адразу накіраваўся ў ванную, каб
нарэшце добра разгледзець сябе ў вялікім люстры.

Андрэ ня быў прыгажуном і таму зазвычай не
карыстаўся посьпехам у пекных паненак. Кожная
перамога давалася яму зь неймаверным нама-
ганьнем. Даводзілася браць розумам, абаяньнем,
парой – рэвалюцыйнымі сьпевамі й прамова-
мі. У адрозьненьні ад прыгажуноў-мачо, твар ён
меў сярэднестатыстычны, невыразны: бляклыя
зеленавата-балотныя вочы, крыху курносы
нязначны нос, запалыя шчокі без прыкметаў
жыцьцясьцьвярджальнага румянцу. Калі б ён меў
мужны падбародак, то ўся канструцыя магла
б набыць завершаны выгляд. Але падбародзьдзе
было самае звычайнае, нават крыху ўпалае,
з прыкметамі выраджэньня. Сам Андрэ лічыў сябе
калі не выродцам, то ўжо напэўна чалавекам, да
якога Творца паставіўся абыякава, ня надта
папацеўшы падчас стварэньня.

Але цяпер ягонае адлюстраваньне было
прыўкрасным. Ніякі твар Андрэ быццам знайшоў
завяршэньне, гармонію, неабходны акцэнт. Ша-
лом сядзеў на ім проста ідэальна, як быццам быў
створаны дакладна пад памер галавы. Проста ад
макаўкі адыходзіў вэртыкальны залаты шпіль.
Чымсьці ён нават нагадваў шпільку цешчынага
бота, толькі яна не прыбівала да зямлі, а летуценна
ўзносіла ў неба. Андрэ зьмераў шпіль двума пальца-
мі, прыкінуўшы, што вышынёй ён каля дванаццаці
сантымэтраў.

Шалом быў напаліраваны да ідэальнага бляску. Сівы
гандляр, мусіць добра пашчыраваў сёньняшнім
кірмашом. Наблізіўшыся бліжэй да люстэрка, Андрэ
паспрабаваў разгледзець рэльефны малюнак кукарды.
На шыкоўным франтоне шалома важна гарцавалі два
залатыя ільвы. Яны ці то трымалі ў лапах, ці то спра-
бавалі вырваць адзін у аднога залаты рыцарскі шчыт.
Львы відавочна займаліся геапалітыкай, тузаючы
расплястаную на шчыце рыбу. Каб лепей разгледзець
шалом, ён міжволі пацягнуў рукі ўгару, як раптам
строгі ўнутраны голас вымавіў:
– Стой!!! Ня ўздумай здымаць!
Андрэ скамянеў. Ягоныя далоні застылі на шаломе.
– Здымай, здымай! Ня слухай яе!
– Калі ты яго здымеш, уся канцэпцыя зьнікне!
Ты мусіш ніколі яго не здымаць!. Нават зараз,
калі цябе ніхто ня бачыць! У гэтым сэнс!
– Які ж у гэтым сэнс? Гэта крэтынізм нейкі!
Што ж яму цяпер усё жыцьцё ідыётам хадзіць?
– Ягонае жыцьцё і без таго суцэльны ідыятызм!
Жыцьцё ўвогуле – лятэнтная форма ідыятызму.
Ня ўздумай здымаць!
– Здымай! Ідыёт! Падумай, якое глупства ты на
галаву начапіў!
– Сэнс! Сэнс! Сэнс! Дэкарацыя для дурняў! Што за
карысьць ад гэтых сэнсаў, калі яны ўсё адно сканча-
юцца пустэчай!
– Тыповая атэістычная лухта! Калі Бога няма, то
ясна: наўкол пустэча! Толькі не думайце, што Ён для
ўсіх памёр!
– Дык што ж сілком уveраваць? Сказаць: веру, таму
што ня веру! На зло сабе веру! А калі я ўсё ж такі веру,
але па-іншаму! Калі для мяне ў пустэчы Бог і тоіцца!
Толькі сэнсу ад гэтага ўсё адно больш не стаецца! Калі
я ня веру, што заўтра ў мандавошку, потым у мядзьве-
дзя, а потым у імпэратара ўвасоблюся! А сэнс таму
й сэнс, што яго зразумець можна! Сэнс жа пустэчы
для нас недасяжны! Можа, нам вымярэньняў бракуе,
каб у яе прасачыцца?!
– Такія думкі трэба ў Сыбір! На Беламорканал
ссылаць! Каб людзям жыццё не псавалі!
– На сябе паглядзі! Сама на «Беламоры» сядзіш!
Зь блёкату ўсялякія ілюзорныя сэнсы выдзьмуваеш!
– Дура! На чым хачу – на тым сяджу! А ты ўвесь час
бухая ходзіш! Самая крывая зьвіліна ў яго галаве!
Андрэ па-ранейшаму стаяў каля люстэрка, трымаючы
рукі на шаломе. Разлад думак не даваў засяродзіцца
і прыняць рашэньне. У нейкі момант яму нават пада-
лося, што два ільвы на яго галаве зусім не ільвы,
а дзьве, якія сварацца міжсобку, ільвіцы. Нечакана
ў спрэчку ўмяшалася трэцяя:
– Хопіць! Спыняйце гэтую тэалягічную гістэрыку!
А ты ня ўздумай здымаць шалом! Ідзі лепш адкаркуй
бутэльку віна, што ў цябе за шафай прыхаваная!
Адарваўшыся ад люстэрка, Андрэ вярнуўся ў пакой.
Адкаркаваўшы бутэльку, ён напоўніў шклянку
й, закінуўшы ногі на стол, уладкаваўся на крэсьле.
Думкі ненадоўга прыціхлі, а крыху захмялеўшы,
павесялелі й разьвязна працягнулі:
– Паслухай, – прамовіла адна, – шмат год ты
праслужыў простым шараговым жаўнерам вялікай
арміі мастацтва. Ты аддаў яму ўсё жыцьцё. Збаёдаў
найлепшыя гады ў акопах, паходах, пад абстрэламі,
у брудзе, лайне, віне, пошуках сэнсу і харавства.
А што атрымаў наўзамен? Дзе слава? Дзе пашана?
Дзе ордэны, званьні? Што дала твая служба? Грошай
у цябе няма. Сям'і нармалёвай таксама. Жонка і цеш-
ча цябе ціха ненавідзяць. Твае геніяльныя праекты
завісаюць у пустэчы. Таму што нарадзіўся ты
ў няправільным месцы, за плотам, у дупе.
А самотны голас з анусу *пярдзёж* завецца. І ўсялякія
дробнабуржуазныя фізіі, можа, і чуюць яго, але
з прыстойнасьці выгляду падаваць не жадаюць.
Ты *лузэр*! Самы банальны *лузэр*!
– І пры чым тут прускі шалом? Можа, у шаломе з ану-
су прасьцей выбірацца? Хіба што ў шаломе менавіта
такой канструкцыі. Але што ад гэтага зьменіцца, калі
не лічыць, што ты быў ідыётам ціхім, непрыкметным,
такім, як усе астатнія. А зараз ты на лобе шыльду
павесіш: «Я ідыёт! Наце! Глядзіце! Тыцкайце ў мяне
пальцам! Я крэтын! І ганаруся гэтым!»
– Не слухай яе! Узьнімі бунт! Пашлі да д'ябла маста-
цтва! Армію! Пашлі да д'ябла гэты трахнуты сьвет!
Пакажы яму фак! Ствары з шалому праект! Ты
першы! Да такога яшчэ ніхто не дадумаўся! Чалавек
у шаломе! Гэта твой шанец!
– А тут яшчэ новая акалічнасьць зьявілася. Быць
лузэрам, калі табе дваццаць, ня страшна й ня
крыўдна. Але ў сорак ты разумееш, што шанцаў узяць
шлюб з удачай практычна няма. Ну хіба што які-
небудзь стары чорт у чалме возьме цябе дваццаць
восьмай жонкай у гарэм. Ды й тое толькі таму, што
некамплект у яго. Якраз адной ідыёткі бракуе!
– Паглядзі, як гарцуюць ільвы на тваёй галаве! Цяпер
ты леў! Прускі ваяр! Апошні леў невядомай вайны!
– Лухта! Лухта! Яшчэ раз лухта! Маразм!
– Падумай, што ты страчваеш? Ну здымеш ты яго
– вернешся да сябе ў Магілёў. Ну, запросяць цябе
яшчэ на пяць пленэраў. І ўсё? А што далей?
Андрэ ўзьняўся й пачаў нэрвова хадзіць па пакоі
туды-назад, як мэтраном, ад сьцяны да сьцяны.
Потым узяў у рукі бутэльку й наліў поўную шклянку.
Замёршы ненадоўга, ён паднёс яе да вуснаў і залпам
асушыў да дна.
– Пастаў кропку! Адчыні дзьверы! Пачні новае

жыццё! Іншага шанцу ў цябе ня будзе!
– Новае жыццё! Новае жыццё! Лузэр… Лузэр… Лузэр… – Андрэ ўсхвалявана хадзіў па пакоі, ціха мармычучы абрыўкі нейкіх фразаў. – Чалавек у шаломе! Чалавек у шаломе! Шанец! Гэта твой шанец! Канцэптуальны праект! Я ідыёт… Тыцкайце пальцам… Ганаруся, ганаруся гэтым… Непахмялёныя лычы… Самотны голас з анусу… Канцэптуальны мастак… Новае жыццё… Новае жыццё… Шанец… Чалавек у шаломе… Адчыні дзьверы…
Думкі моўчкі пазіралі на Андрэ.
– Але чаму менавіта прускі шалом? – нарэшце, ня вытрымаўшы, ляпнула адна, – Чаму ня каска руска-га ваяра-вызваліцеля?

Усе з пагардай і абурэньнем паглядзелі на яе.

– Добра! Заканчваем дыскусіі! Заўтра рана ўставаць!
– Андрэ падыйшоў да стала, зрабіў сабе канапку, і праглынуўшы яе, адправіўся праводзіць у сон гэты няпросты для яго дзень.

ARTUR KLINAŬ (1965) – Schriftsteller, Künstler, Drehbuchautor, Herausgeber und Chefredakteur des kulturwissenschaftlichen Almanachs „pARTisan“. Debütierte in Deutschland mit dem Buch *Minsk. Sonnenstadt der Träume* („Suhrkamp” 2006), mit dem er in einer nostalgischen Reise durch die kommunistische Stadt seiner Kindheit die ästhetische Natur einer sozialutopischen Gesellschaft erforscht. Das Buch entwickelte sich in Belarus („Łohvinaŭ” 2008) zu einem Verkaufsschlager und wurde anschließend ins Polnische („Czarne” 2008) und Schwedische („Ersatz” 2011) übersetzt. In *Schalom. Ein Kriegsroman* („Łohvinaŭ” 2011) setzt sich der Autor mit der existenziellen Einsamkeit eines Künstlers auseinander, der das Konzept des totalen Aufstands zu seinem Kunstprojekt erkoren hat. Kann dieser Krieg gegen alle gewonnen werden, kann unsere Zeit einen neuen Messias hervorbringen? Im Jahr 2012 soll die russische Fassung des Romans bei „Ad Marginem” erscheinen. Gegenwärtig bereitet der Autor in Zusammenarbeit mit dem Regisseur Andrej Kudzinienka eine Verfilmung des Stoffes vor.

Kontakt: arturklinau@gmail.com
www.shalom.by

АРТУР КЛІНАЎ (1965) – пісьменьнік, мастак, кінадраматург, выдавец і галоўны рэдактар культуралагічнага часопісу "пАРТызан". У Няметчыне дэбютаваў кнігай *Minsk. Sonnenstadt der Träume* („Suhrkamp” 2006), у якой ён, праводзячы настальгічны экскурс праз камуністычны горад свайго дзяцінства, даследуе эстэтычную прыроду грамацтва сацыяльнай утопіі. Кніга стала хітом на радзіме аўтара („Logvinov” 2008), а у хуткім часе была выдадзена таксама на польскай („Czarne” 2008) і шведскай („Ersatz” 2011) мовах. У рамане *Шалом. Ваенны раман* („Logvinov” 2011) Артур Клінаў звяртаецца да тэмы экзыстэнцыйнай адзіноты мастака, які зрабіў канцэпцыю татальнага бунту сваім арт-праектам. Ці магчыма перамога у гэтай вайне супраць усіх, ці можа наш час даць новага Мэсію? У 2012 годзе рыхтуецца выданьне рускай вэрсіі раману Шалом у маскоўскім выдаўніцтве „Ad Marginem”. Зараз Артур Клінаў сумеснa з вядомым беларускім рэжысерам Андрэем Кудзіненка працуе над праектам экрані-зацыі рамана.

Кантакт: arturklinau@gmail.com
www.shalom.by



© Dorota Gawryszewska

Tanja Maljartschuk Таня Малярчук

GOTT IM HIMMEL UND AUF ERDEN БОГ НА НЕБІ І НА ЗЕМЛІ

Romanauszug
уривок із роману

In der siebenten Klasse begann Lena ernsthaft an ihrem Glauben zu zweifeln.

Gott, zu dem Lena brav jeden Morgen und Abend betete, verlor plötzlich jegliche Macht über sie, denn er erschien ihr mit einem Mal sehr unglaubwürdig. Lenas alte Großmutter hatte immer von ihm erzählt. Sie hatte ihn Lena geliehen, überlassen, bis sie einen eigenen Gott fände. Die Großmutter hatte Lena beigebracht zu beten, selbst betete sie ohne Ausnahme jeden Tag vor Sonnenaufgang und nach Sonnenuntergang. Die Großmutter hatte zwei Götter: Der eine hing in der Sommerküche (er gefiel Lena besser), der zweite in dem Zimmer, in dem die Großeltern schliefen. Morgens betete Großmutter zum zweiten Gott, abends – nachdem sie sich die Füße gewaschen hatte - zum ersten. Die Zähne putzte sich Großmutter übrigens nie. Warum, verstand Lena erst später:
Die Großmutter hatte keine Zähne mehr.
Lenas Großmutter wusch sich abends Gesicht und Füße, zog die Kittelschürze aus, und so wie sie war – dünn wie ein Faden, in einem langen, bis zum Boden reichenden Hemd – faltete sie die Hände vor der Brust und betete in einer Lena unbekannten Sprache. Der Anfang war immer gleich und wurde zu einem Wort zusammengezogen: „VaterunserimHimmel“. Lena saß daneben auf dem Bett und hörte zu, die Füße wusch sie sich nicht, weil sie zu faul war. Sie mochte Großmutters Gott und nannte ihn „Großmutters“. Er war streng, aber gerecht, allmächtig und sah sehr würdevollen aus. Er war um die Sechzig, genau das richtige Alter für Gott meinte Lena – nicht zu jung, einen Grünspecht würde niemand ernst nehmen, und nicht zu alt, also noch nicht senil. Großmutters sechzigjähriger Gott hatte einen prächtigen langen Bart und weiche Gesichtszüge, die sich veränderten, je nachdem ob Lena gesündigt hatte oder nicht.
Sie sprach oft mit ihm. Normalerweise traf sie abenteuerliche Abmachungen mit ihm. Wie etwa: Du, Gott, gibst mir dies oder jenes, und ich werde immer an dich glauben. Als ob es Gott juckte, ob man an ihn glaubt.
Manchmal stellte Lena ihn auf die Probe. Sie sagte zum Beispiel: „Ich habe ein Bonbon im Mund, beweise mir, dass es dich gibt und mach, dass mir das Bonbon aus dem Mund fällt. Dann werde ich an dich glauben.“
Und manchmal fiel das Bonbon aus ihrem Mund.

Lenas Großmutter hatte andere Anliegen. Sie bat für Lena und alle anderen Enkelkinder und Kinder, bot aber nichts dafür. Außerdem bat sie um gutes Wetter und eine gute Ernte. Darum, dass die Kuh gut kalbe und die Schweine den Boden im Schweinestall nicht mehr kaputt machten. Dass die Kartoffelkäfer nicht so gnadenlos wüteten. Dass das Heu bis zum Frühling reiche. Dass der Großvater weniger trinke, dass es Lenas Eltern gut gehe und sie endlich das ersehnte Auto kaufen könnten. Großmutter schloss immer mit den gleichen Worten:
Ich habe unzählige Male gesündigt, Gott, vergib mir.
Das verstand Lena nicht, denn Großmutter sündigte nie. Sie war ein überaus guter Mensch und war mit dem, was sie hatte, zufrieden. Und das war nie viel. Solche Menschen gibt es nicht mehr, sagte Lena später. Heute wollen die Menschen alles und sie machen nichts als wollen, Großmutter aber war schon froh darüber, gesund und auf den Beinen zu sein.
Großmutter hatte keine Zähne und manchmal, wenn sie schreckliche Lust auf saure Gurken hatte, rieb sie sich eine ganz fein und aß sie wie Brei. Großmutters Wünsche waren bescheiden und wenn sie nicht erfüllt wurden, war sie nicht besonders traurig.

Lenas Großvater war ganz anders. Wünsche hatte er jedoch nur zwei. Saufen und rauchen. Diese Wünsche waren so groß, dass sich Großvater im Alter, als Gott sie nicht mehr erfüllte, rächte und nicht mehr an ihn glaubte. Er lag hilflos in seiner dunklen Kammer, ohne Zigaretten und ohne Selbstgebrannten, und sah böse Geister. Damals nahm sich Lena vor, niemals etwas so sehr zu wollen, denn den bösen Geistern wollte sie auf keinen Fall begegnen.

Großmutters Gott sah alles und verzieh nichts. Er saß in Lena und beobachtete alles, was sie tat und dachte, und wenn sie etwas Schlechtes tat oder dachte, bekam sie stets, was sie verdiente.
Lena verlor ihre Lieblingshandschuhe, weil sie Mama

nicht beim Aufräumen geholfen hatte. Sie verstand nicht, wie der Winkelmesser funktionierte, weil sie zu Papa am Vorabend in Gedanken gesagt hatte „du bist blöd“ und „wenn ich groß bin, zahl ichs dir heim“.
So stand alles miteinander in Verbindung. Wirkung folgte auf Ursache wie von einer Maschine gesteuert. Lena ließ die Strafen ergeben über sich ergehen und sündigte auf kindliche Art weiter.
„Es war ein Spiel“, schrieb sie später. „Mein Kindheitsgott und ich zwinkerten einander zu. Wie du mir, so ich dir. So waren wir beide weniger allein.“

Während eines Abendgebetes jedoch bemerkte Lena plötzlich, dass sie nichts mehr empfand. Weder Angst davor bestraft zu werden, noch Dankbarkeit dafür, dass sie existierte. Jemand hatte ihren geliehenen Gott von der Wand genommen. An seiner Stelle klaffte nun ein großes schwarzes Loch, und Lena hatte nichts, womit sie es füllen konnte. Das Spiel war zu Ende und beide waren jetzt für sich allein. Mach, was du willst, sündige, wie du kannst, Schlechtes wird nicht bestraft, Gutes wird nicht belohnt.

Auch der sogenannte „allgemeine“ Gott, falls es ihn überhaupt gab, war überaus seltsam und weckte keinerlei Vertrauen in Lena. Leute, die siebzig Jahre lang nur an eine strahlende sozialistische Zukunft geglaubt hatten, verneigten sich plötzlich mit Hingabe in den aus dem Boden gestampften Kirchen. Von außen unterschieden sich die Kirchen nicht voneinander, und ging man hinein, war es schwer auszumachen, welche Konfession und Nationalität der hiesige Gott hatte und wieviel man für die Seelenrettung bezahlen musste. Immer mehr Götter tauchten auf. Es gab einen russischen und einen ukrainischen Gott, einen orthodoxen, einen griechisch- und einen römisch-katholischen, einen protestantischen, baptistischen, evangelistischen, einen Gott der Siebenten-Tags-Adventisten und einen der Zeugen Jehovas.
Da, wo Lena aufwuchs, im letzten Viertel sozialen Wohnungsbaus, entstanden fünf verschiedene Kirchen. Die einen gingen dahin, die anderen gingen dorthin. Ältere Ehepaare ließen sich nach vierzig gemeinsamen Jahren trauen, andere ließen sich nach allen Gesetzen und Ritualen der Kirche taufen, wieder andere überschrieben in glückseliger Extase ihr gesamtes Hab und Gut der Kirche. Und alle gemeinsam standen sie zu Ostern vor dem Beichtstuhl Schlange.

Lenas beste Freundin, die Lena Dackel nannte, überraschte damals alle. Mit fünfzehn heiratete sie aus heiterem Himmel.
Den Verlobten hatte Dackel vor Lena nie erwähnt, sie schwieg wie ein Grab. Vielleicht war es ihr unangenehm, vielleicht dachte sie, Lena würde es nicht interessieren. Alles in allem dachte Dackel wenig. Und sie war viel zu gutmütig, was in der Regel die Selbstzerstörung des Organismus zu Folge hat.
Dackel hatte ihren zukünftigen Ehemann in einer der fünf umliegenden Kirchen kennengelernt. Sie sagte: „Mir war langweilig.“ Aber sie sagte es so unbeschreiblich traurig, dass sie vielleicht meinte: „Ich war einsam.“
„Dackel!“, schrie Lena. „Du musst in die Schule gehen! Dort ist es nie langweilig!“
Aber die Schule hatte für Dackel schon längst jegliche Welt erschließende Bedeutung verloren. Dackel konnte lesen und schreiben, mehr brauchte sie nicht.

Der Mann war zwanzig Jahre älter und brachte seine junge Frau in ein abgelegenes Dorf mit einer Handvoll Einwohnern. Dackel machte einen zufriedenen Eindruck. Jetzt hatte sie ihr eigenes Haus, ihr eigenes Bett, ihren eigenen Fernseher.
Aber mit dem Fernseher gab es Probleme. Dackels Mann verbot ihr fernzusehen. Die Religion erlaubte es nicht. „Man soll sich nicht mit dreckigen Serien und falschen Nachrichten berieseln lassen!“ Warum er überhaupt einen Fernseher zu Hause hatte, war nicht nachvollziehbar. Vielleicht um täglich seinen Willen zu trainieren und die Tiefe des Glaubens zu erleben.
Da sowohl Dackels Glaube als auch ihr Wille gleich Null waren, schaute sie heimlich fern, und dieses verbotene Fernsehen bereitete ihr doppelten Genuss. Bis ihr Mann sie auf frischer Tat ertappte. Er sagte nichts und sprach auch die folgenden zwei Monate kein einziges Wort mit ihr. Zuerst dachte Dackel, er mache Späße und würde, nachdem der erste Ärger verflogen sei, damit aufhören. Aber ihr Mann hatte seinen Willen jahrelang trainiert und er war im wahrsten Sinne des Wortes stählern.
Nachdem Dackels Mann exakt zwei Monate geschwiegen hatte, sprach er Worte der Wahrheit:
„Der Fernseher ist böse. Du darfst nicht mehr fernsehen. Denk an deine unglückliche Seele. Was für Qualen sie in dieser feindseligen Welt und in diesem nichtsnützigen Körper leidet. Wenn du den Fernseher noch einmal aufdrehst, rede ich ein halbes Jahr nicht mit dir.“
Da verstand Dackel, dass er nicht spaßte. Nach zwei Monaten des Schweigens hätte sie mit ihrem eigenen Schatten und mit den Mäusen in der Speisekammer geredet. Den Fernseher drehte sie nicht mehr auf, aus Angst. Aber mit dem Fernsehen begann die Arbeit an ihrer Seele erst.
Der nächste Punkt war das Essen: Man darf nicht viel essen, denn die Verdauung stört die Annäherung an Gott. Für Dackel war das ein harter Schlag. Sie liebte essen über alles. Um genau zu sein war essen der einzige Beweis für Dackel, dass es eine höhere Kraft gab. Wenn sie heute zu essen hat, existiert Gott und er ist gut.
„Man darf nur Schwarzbrot essen“, sagte Dackels Mann. „Ich will hier kein Weißbrot sehen. Wurst und Fleisch kannst du dir aus dem Kopf schlagen. Manchmal darf man ein Ei essen, aber nicht oft. Reis darf man nicht essen, er kommt aus China und dort glauben sie nicht an Gott. Kartoffeln und Bohnen erlaube ich. Aber das beste Essen für einen gläubigen Menschen ist immer noch Schwarzbrot. Und Wasser. Verstehst du, was ich meine?“
Dackel stahl ihrem Mann Kleingeld, kaufte darum im einzigen Laden des Dorfes Würstchen und verdrückte sie heimlich in der Nacht, wenn ihr Mann den Schlaf des Gerechten schlief. Sie wusste nicht, wie lange ihr Mann nicht mit ihr reden würde, wenn er sie mit einem Würstchen ertappte, aber sie vermutete lang.
Dackel begann sich vor allem zu fürchten, sie hatte Albträume, in denen sie am Kreuz hing wie Jesus Christus und die Welt um sie in Würstchen und Ketchup versank. Außerdem durfte Dackel keine kurzärmeligen T-Shirts tragen und während der Menstruation Binden verwenden, sie durfte nicht singen, den Wunsch haben ihre Familie zu sehen und auch nicht mit ihr telefonieren.
Sie durfte nicht laut lachen, was Dackel gar nicht wollte, die Haare öfter als einmal im Monat waschen, rauchen (damit hatten Dackel und Lena gemeinsam begonnen, und jetzt musste Dackel es sich abgewöhnen), ihrem Mann widersprechen, denn er ist ein Vertreter Gottes auf Erden, ihm nicht einmal in die Augen schauen, denn Gott darf man nicht ansehen, das ist Hochmut.
Um Missverständnisse zu vermeiden, wurde ein genaues Register von Vergehen und Strafen angelegt und kurz auf einem Stück Papier festgehalten. Der Zettel wurde mit einem Magnet an der Tür des leeren Kühlschrankes befestigt.
Schweigen war nicht die einzige Art von Bestrafung. Es gab noch: ein oder zwei Wochen fasten, knien und – das war eine Besonderheit von Dackels Mann – die alte Eingangstür mit ausgestreckten Armen über dem Kopf halten, und zwar die ganze Nacht lang.
Am häufigsten weinte Dackel. Manchmal tröstete ihr Mann sie. Dann sagte er:
„Wein ruhig. Tränen reinigen. Sie waschen den Ungehorsam Gott gegenüber aus ihr heraus. Du musst verstehen, dass du böse bist. Verstehst du mich?“
Dackel nickte, ja, sie verstand.

Als eines Tages Dackels Eltern zu Besuch kamen, ließ ihr Mann sie nicht ins Haus. Daraufhin zeigten die Eltern ihn bei der Miliz an. Am nächsten Tag kam ein Milizionär, um sich ein Bild von der Situation zu machen. Er sagte zu Dackel, dass sie mit ihm kommen könne, wenn sie wolle. Dackel lehnte ab.
„Ich habe Informationen“, sagte der Milizionär, „dass Ihr Mann Sie misshandelt. Stimmt das?“
„Nein“, antwortete Dackel. „Er schlägt mich nicht.“

Drei Jahre später hatte das Ganze ein Ende.
Dackels Mann sagte:
„Du bist verloren. Jetzt weiß ich es sicher. Die größte Sünde ist, keine Kinder zu haben. Du bist unfruchtbar. Warum wirst du nicht schwanger?“
„Ich weiß nicht“, antwortete Dackel.
„Aber ich weiß es. Du hast keine Kinder, weil du böse bist. Verstehst du, was ich meine?“

Daraufhin begann Dackel aus allen Körperöffnungen, die der Mensch hat, zu bluten. Sie blutete einige Tage lang, als wollte sie ihrem Dackelkörper entfliehen. Das Haus war eine einzige Blutlache, Dackels Mann betete unterdessen für ihre verlorene, sündige Seele. Das sah die Briefträgerin, als sie das Arbeitslosengeld (von dem Dackel und ihr Mann lebten) brachte, und rief die Rettung. Scheinbar zog sie ihm sogar eins mit einem Hocker über, denn er ging zu Boden und heulte vor Schmerzen, als fühlte er zum ersten Mal welche.
Die Sanitäter hatten noch nie gesehen, dass aus allen Körperöffnungen Blut spritzt. Auch im Krankenhaus konnten sie keine Diagnose stellen, sie steckten Dackel lediglich Wattetampons in Ohren und Nase.
Nach drei Monaten war Dackel über den Berg.
Lena und Dackel gingen im Park des Krankenhauses spazieren, Dackel schwieg die ganze Zeit über. Obwohl die beiden ihren Weg gemeinsam begonnen hatten, klaffte jetzt ein tiefer Abgrund zwischen ihnen.
„Gut, dass ihr keine Kinder hattet“, sagte Lena aus irgendeinem Grund zum Abschied.
„Um Kinder zu haben, muss man hin und wieder etwas dafür tun“, antwortete Dackel. „Verstehst du, was ich meine?“

[Aus dem Ukrainischen von Maria Weissenböck]

У сьомому класі в Лєни почалися серйозні проблеми з вірою.

Бог, якому Лєна чемно молилась кожного вечора і кожного ранку, раптом втратив над нею владу, бо якось дуже несерйозно виглядав. Лєні розповіла про нього її старенька бабця. Вона позичила його Лєні, віддала ненадовго в користування, поки Лєна не знайде свого власного. Бабця навчила Лєну молитися, що вона сама робила без винятку кожного дня, до світанку і після заходу сонця. У бабці було два Бога – один висів на стіні в літній кухні (цей Лєні подобався більше), а другий – в кімнаті, де вона спала зі своїм дідом. Вранці бабця молилася другому, ввечері – першому, після того, як мила ноги. Зуби бабця, до речі, ніколи не чистила. Лєна вже пізніше зрозуміла, чому. В неї їх уже не було.
Лєнина бабця ввечері мила лице і ноги, знімала робочий одяг і так, в самій сорочці, довгій, аж до п’ят, худа як тріска, складала перед грудьми руки і молилася невідомою Лєні мовою. Початок завжди був однаковим і вимовлявся одним словом: «Очченашежиєсинанебесі». Лєна сиділа на тапчані поруч, ноги не мила, бо було ліньки, і слухала. Їй подобався бабчин Бог, якого Лєна так і називала «Бабчин». Він був суворим, але справедливим. Він був всемогутнім і виглядав дуже статечно. Років мав так шістдесят, – Лєна вважала це найкращим віком для Бога – не замолодий, бо шмаркача б не слухали, і не застарий – бо думали б, що змаразматів. Цей шістдесятирічний бабчин Бог мав довгу розкішну бороду і м’яке лице, яке, однак, могло змінюватися залежно від того, як Лєна за день нагрішила.
Вона часто з ним говорила. Зазвичай пропонувала якісь авантюрні угоди. Наприклад, ти мені, Боже, дай це або то, а я буду в тебе завжди вірити. Ніби Богові розходиться на тому, щоб у нього вірили.
Іноді Лєна його екзаменувала. Казала, наприклад: «У мене в роті цукерка, доведи, що ти існуєш, зроби так, щоб ця цукерка випала з рота. Тоді я повірю».
І деколи цукерка випадала.

У Лєниної бабці були інші угоди. Вона просила за Лєну і за всіх інших онуків та дітей, нічого не пропонуючи натомість. Також вона просила за хорошу погоду і добрий урожай. За те, щоб корова щасливо отелилась і свині перестали ламати у свинарнику підлогу. Щоб колорадські жуки не жерли так безпардонно картоплю. Щоб вистачило сіна до весни. Щоб дід менше пив, щоб у Лєниних батьків було все добре і щоб вони нарешті купили омріяний автомобіль. Закінчувала бабця завжди словами: без числа нагрі-

шила, прости мені, Боже. Цього Лєна не розуміла, бо бабця ніколи не грішила. Вона була безмежно доброю і задовольнялась усім, що мала, а мала вона завжди небагато. Таких людей більше нема, згодом казала Лєна. Нині люди всього хочуть, вони тільки те й роблять, що хочуть, а бабця раділа вже тим, що здорова і що не лежить.
Вона не мала зубів, і деколи, коли їй страшенно кортіло з'їсти кислий огірок, бабця терла його на дрібній терці і ковтала як кашу. Її бажання були дуже скромними, і, якщо вони не здійснювались, бабця не особливо страждала.

Ленин дід, той був зовсім іншим. Він мав бажання, щоправда, тільки два. Пити і курити. Ці бажання були настільки сильними, що на старість, коли його Бог перестав їх виконувати, дід помстився і перестав в нього вірити. Він безпомічно лежав у своїй темній кімнаті, без сигарети і «погарчика» самогону, і йому ввижалися чорти.
Тоді Лєна пообіцяла собі, що ніколи не буде хотіти чогось дуже сильно, бо не хоче з ними зустрічатися. Бабчин Бог все бачив і нічого не прощав, він сидів в Лєні і наглядав за всім, що вона робить і що думає, і коли вона робила і думала погане, то завжди отримувала по заслугах.
Лєна загубила свої улюблені рукавиці, бо не захотіла допомогти мамі прибрати в квартирі. Лєна не зрозуміла, як працює транспортир, бо минулого вечора подумки сказала батькові «дурний» і «коли виросту, помщуся».
Так все було пов'язане між собою. Причинно-наслідковий зв'язок спрацьовував як розрахункова машина. Лєна покірно приймала покарання, продовжуючи по–дитячому грішити.
«Це була така розвага, – писала вона потім. – Ми з моїм дитячим Богом підморгували одне одному. Ти мені, я тобі. Так обом нам не було самотньо».

Аж якось під час чергової вечірньої молитви Лєна раптом зрозуміла, що нічого більше не відчуває. Ані страху за покарання, ані вдячності за існування. Що цього її позиченого Бога хтось зняв зі стіни і тепер на його місці зяє велика чорна діра, яку нема чим натомість затулити. Що гра закінчилася, і вони обоє тепер самі по собі. Роби, що хочеш, гріши, як можеш, – не буде ані покарання за погане, ані винагороди за добре.

Так званий «суспільний» Бог, якщо такий існує, теж поводився дуже дивно і не викликав у Лєни довіри. Люди, які сімдесят років вірили лишень у світле соціалістичне майбутнє, раптом усі гамором кинулися бити поклони в новозбудованих церквах. Ці церкви ззовні нічим не відрізнялись між собою, і зайшовши всередину, важко було зрозуміти, якої саме конфесії і національності тутешній Бог і скільки йому треба за спасіння платити. Багатобожжя процвітало. Боги були російські і українські, православні, греко-католицькі і римські, протестантські, баптистські, євангелістські, адвентистів сьомого дня і воїнів царства небесного.

В районі останнього соціального житла, де виросла Лєна, з'явилося п'ять церков і всі різні. Одні ходили туди, інші сюди. Підстаркуваті подружжя після сорока прожитих років брали церковний шлюб, інші приймали хрещення за всіма канонами і ритуалами, ще інші в блаженному екстазі відписували церкві своє майно, і всі разом напередодні Великодня стояли в чергах до священиків, щоб висповідатися.

Найкраща подруга Лєни, яку Лєна називала Псом, тоді дуже всіх здивувала. Вона раптом ні з того ні з сього у п'ятнадцять років вийшла заміж.
Про нареченого Лєна ніколи нічого не чула, Пес мовчала як партизан. Чи їй було соромно, чи вона нічого не розповідала, бо думала, що Лєні не цікаво. Вона взагалі мало думала. І була надто добра, що, як правило, веде до самознищення організму.
З майбутнім чоловіком Пес познайомилася в одній з п'яти навколишніх церков. Вона сказала:
– Мені було нудно, – але сказала це якось так невимовно печально, що, можливо, малося на увазі «самотньо».
– Пес! – кричала Лєна. – В школу треба ходити! Там ніколи не нудно!
Але школа для Пса вже давно втратила будь–яке онтологічне значення. Пес навчилася читати і писати, і цього їй було досить.

Чоловік, старший щось на років двадцять, перевіз молоду дружину у глухе село на десять людей. Пес виглядала задоволеною. Тепер у неї була своя хата, своє ліжко, свій телевізор.
Але з телевізором вийшло не все так просто. Перше, що зробив Псовий чоловік – заборонив їй його дивитися. Релігія не дозволяла. «Нема чого забивати собі голову розпусними серіалами і брехливими новинами!». Навіщо він взагалі тримав телевізор вдома – загадка. Можливо, для того, щоб кожного дня тренувати силу волі і намацувати глибину віри.
Оскільки у Пса віра і воля дорівнювали абсолютному нулю, вона потайки все одно телевізор дивилася, і таким, забороненим, телебачення приносило їй удвічі більше насолоди. Аж поки одного разу чоловік не застукав Пса на гарячому. Він нічого їй не сказав, і наступні два місяці взагалі до неї не говорив. Пес спочатку думала, що це такий жарт, що він посердиться і перестане, але чоловік тренував свою волю роками, вона в нього була сталева у прямому значенні цього слова.
Промовчавши рівно два місяці, чоловік нарешті промовив Псові слова істини:
– Телевізор – це зло. Ти не повинна його більше дивитися. Подумай над своєю нещасною душею. Як вона мучиться в такому ворожому світі і такому нікчемному тілі. Якщо ти ще раз увімкнеш телевізор, я не буду з тобою говорити півроку.
І тоді Пес зрозуміла, що він не жартує. За два місяці мовчання вона вже була ладна говорити з власною тінню, з мишами в коморі. Телевізор більше не вмикала, бо боялася. Але телевізор був тільки початком її душевного удосконалення.
Наступним етапом стала їжа – не можна було багато їсти, бо травлення заважає пізнанню Бога.
Для Пса це був удар нижче пояса. Їсти вона любила чи не найбільше за все на світі. Власне, їжа для Пса була єдиним доказом існування вищих сил. Якщо вона має що сьогодні з'їсти, значить Бог існує і він добрий.
– Їсти можна лише чорний хліб, – казав Псові чоловік, – щоб я не бачив вдома білого хліба. Забудь про м'ясо і ковбаси. Деколи можна з'їсти яйце, не часто. Рис не можна їсти, бо він з Китаю, а там в Бога не вірять. Картопля, квасоля – дозволяю. Але найкраща їжа для віруючої людини все ж таки чорний хліб. І вода. Ти розумієш, про що я?
Пес крала в чоловіка дрібні гроші, купувала собі сардельки в єдиному на все село магазині і нишком наминала їх вночі, коли чоловік спав мертвим сном праведника. Вона не знала, скільки часу чоловік не буде з нею говорити, якщо впіймає на сардельках, але відчувала, що довго.
Пес почала всього боятися, їй снилися страшні сни, в яких вона висить, як Ісус Христос, розіп'ята на хресті, а весь світ довкола всипаний сардельками і политий кетчупом.
Також Псові заборонялося вдягати футболки з коротким рукавом, користуватися гігієнічними прокладками під час менструації, співати, хотіти побачити рідних і навіть дзвонити до них. Не можна було голосно сміятись, але Пес і не хотіла, мити волосся частіше, ніж раз у місяць, курити (що Пес навчилася з Лєною, і тепер мусила покинути), перечити чоловіку, бо він – намісник Бога на землі, і навіть дивитися йому в очі, бо на Бога не можна дивитися, це гординя.
За всі провини, щоб уникнути непорозумінь, згодом була складена чітка система штрафів, коротко і ясно записана на аркуші паперу. Цей папір кріпився магнітом до дверей порожнього холодильника.
Мовчання було не єдиним видом покарання. Також – голодувати тиждень або два, стояти на колінах і – це було особистим ноу-хау Псового чоловіка – цілу ніч тримати над головою на витягнутих руках старі вхідні двері.

Найчастіше Пес робила те, що плакала. Іноді чоловік її заспокоював. Він говорив так:
– Плач. Сльози – це очищення. Вони вимивають з тебе непокору Господу нашому. Ти мусиш зрозуміти, що ти зла. Ти розумієш мене?
Пес кивала головою, що так, що розуміє.

Коли одного разу до Пса в гості приїхали батьки, Псовий чоловік не впустив їх до хати. Тоді батьки написали заяву в міліцію, і наступного дня міліціонер прийшов виясняти ситуацію. Він сказав Псові, що вона може піти з ним, якщо захоче. Пес відмовилася.
– У мене є інформація, – сказав міліціонер, – що ваш чоловік над вами знущається. Це правда?
– Неправда, – відповіла Пес. – Він мене не б'є.

Все закінчилось років через три.
Псовий чоловік сказав їй:
– Ти неспасенна. Тепер я точно це знаю. Найбільше зло – не мати дітей. Ти безплідна. Чому ти не маєш дітей?
– Я не знаю, – відповіла Пес.
– А я знаю. Ти не маєш дітей, бо ти зла. Розумієш, про що я?

Тоді у Пса пішла кров з усіх отворів, які є в людині. Йшла без упину кілька днів, ніби хотіла втекти з цього собачого тіла. Вся хата була залита кров'ю, а Псовий чоловік у той час молився за її грішну неспасенну душу. Це побачила поштарка, яка принесла допомогу по безробіттю (Пес з чоловіком жили тільки на неї) і викликала швидку. Вона, здається, навіть вдарила чоловіка табуреткою, і той розпластався на підлозі, виючи від болю так, ніби вперше його відчув.
Лікарі швидкої ще не бачили, щоб отак з усіх отворів хлистала кров. В обласній лікарні теж не змогли поставити діагноз, тільки затикали вуха і ніс ватними тампонами.

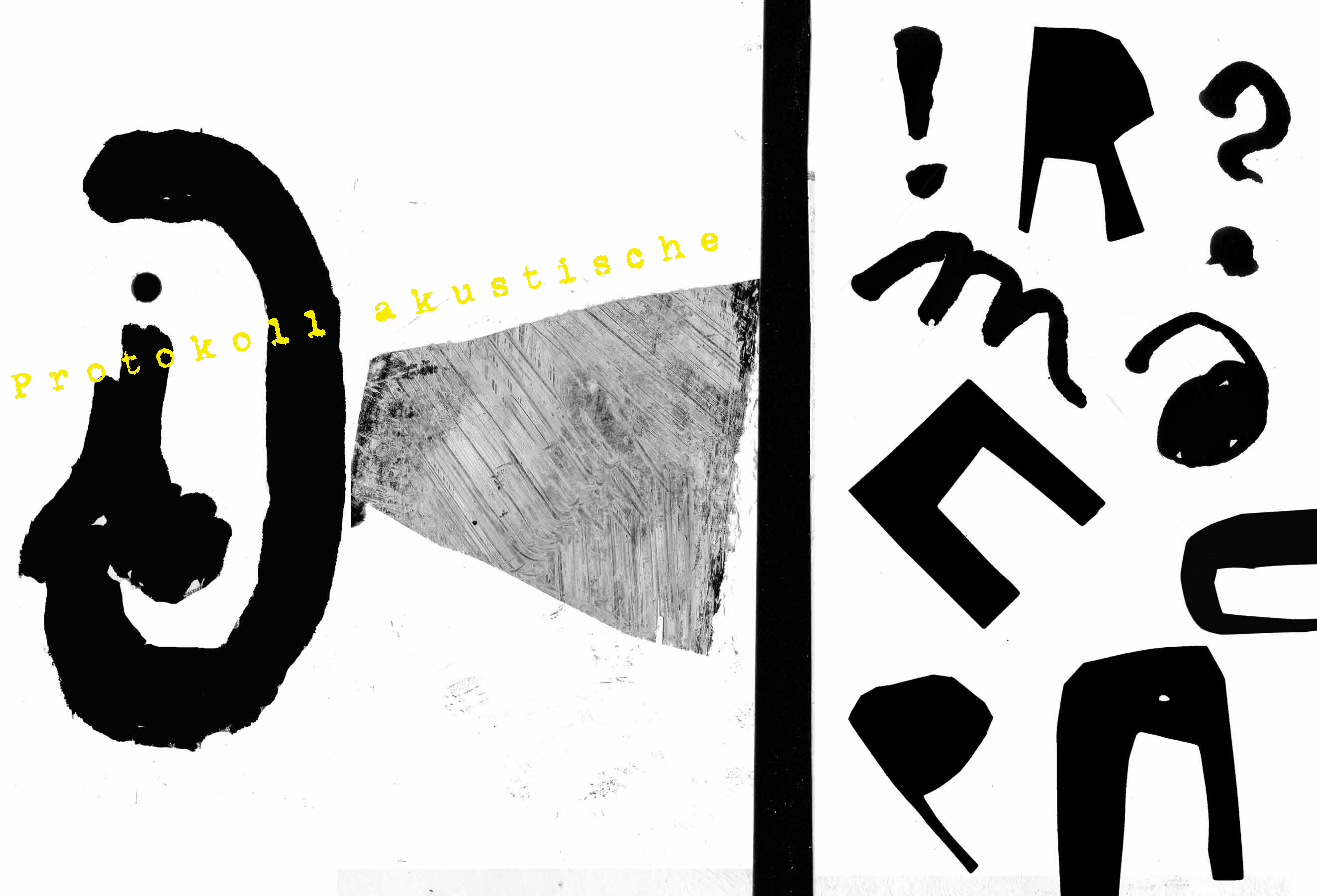
Через три місяці Пес оклигала.
Вони з Лєною гуляли в лікарняному парку, і Пес завжди мовчала. Між ними, хоч вони і починали дорогу разом, тепер стояла бездонна прірва.
– Добре, що у вас не було дітей, – чомусь сказала Лєна Псові на прощання.
– Бо щоб мати дітей, – відповіла Пес, – треба іноді цим займатись. Розумієш, про що я?

TANJA MALARTSCHUK (1983) – Schriftstellerin, Autorin von sechs Prosawerken. Absolventin der Ukrainistik an der Nationalen Wassyl-Stefanyk-Universität der Vorkarpaten in Iwano-Frankiwsk. Einige Zeit arbeitete sie als Fernsehjournalistin in Kiew. Heute wohnt sie in Wien. Ihre Erzählungen erschienen in zahlreichen ukrainischen und internationalen Literaturzeitschriften. Stipendiatin des Programms *Homines Urbani* in der Villa Decius in Krakau. Das präsentierte Fragment stammt aus dem unveröffentlichten Buch *Biographie eines zufälligen Wunders*.

Kontakt: tanya_malyarchuk@ukr.net

ТАНЯ МАЛЯРЧУК (1983) – письменниця. Авторка шести книг короткої прози. Закінчила Прикарпатський національний університет імені В. Стефаника. Деякий час працювала телевізійним журналістом у Києві. Зараз живе у Відні. Оповідання та есеї публікувалися в численних іноземних та українських часописах. У 2009 році в Австрії вийшов переклад книжки *Говорити* під назвою *Neunprozentiger Haushaltsessig*. Стипендіатка проекту *Homines Urbani* на Віллі Децюша у Кракові. Поданий текст – фрагмент зі ще не виданого роману *Біографія випадкового чуда*.

Контакт: tanya_malyarchuk@ukr.net


protokoll akustische

Viktar Marcinovič **Віктар Марціновіч** **Виктор Мартинович**

PARANOIA ПАРАНОЙЯ

Romanauszug
отрывок из романа

Ministerium für Staatssicherheit

Protokoll akustische Wohnraumüberwachung
Objekt Mietwohnung
ul. Serafimowitscha, Hs 16, Whg 7
30. September

Oberstlt P. Grobar

Die observierten Personen betraten das Objekt nach schlüsselmäßiger Öffnung der Tür um 17.07 Uhr. In der Diele (Mikrofon 2) führten sie ein Gespräch über Serafimowitsch: Sie äußerten Vermutungen über dessen möglichen Hintergrund (Gogol: Kommissar einer Partisaneneinheit, der im Himmel gelandet ist, bei den Serafim; Fuchsie: Parteifunktionär, dessen Stammbaum sich bis zum Heiligen Seraphim von Sarow zurückverfolgen lässt). Gogol bat Fuchsie zum Mikrofon 3 (Küche), auf ein „Grauöhrl" (unsicher). Im Zuge der Zubereitung ließen weitere Äußerungen (Gogol: „Der ist ja schön schwarz, mit Fruchtstückchen") darauf schließen, dass von einem Tee die Rede war, evtl. einem Schwarztee der Sorte Pekoe. Der Zweck der mutwilligen Entstellung wurde nicht ersichtlich, Anhaltspunkte für eine gezielte Täuschung der akustischen Überwachung konnten nicht ermittelt werden. Möglicherweise ist dies Verhalten lediglich der üblichen „Spinnerei" geschuldet. Im Zuge des Teekonsums begannen die Objekte, den Sauggeräuschen nach zu schließen, einander Küsse zu verabfolgen, anschließend kam es zur Kopulation. Dem Geräusch eines umgefallenen Stuhles und charakteristischen Äußerungen nach zu schließen (Fuchsie: „Ah, ich rutsch ab, ich zieh mich wieder hoch"), hat Gogol sie auf dem Küchentisch platziert (Schema beil.). Im Zuge der Kopulation beschloss man, ins Schlafzimmer (Mikrofon 1) umzuziehen, wo weitere 45 Minuten kopuliert wurde. Anschließend tätigte Gogol liegend Pfeifgeräusche unter Zuhilfenahme von Lippen, Nase, Mund und weiteren Atemwegsorganen, in der Art einer Dampflokomotive oder eines Nebelhorns. Vermittels dieser nicht in Worte gefassten Geräusche wollte Gogol seinem besonderen Zustand Ausdruck verleihen, was aus den folgenden Wendungen ersichtlich wird: „Erst war es so 'uuuu', dann sind wir schneller geworden und es war so ein 'uuuueeeee'". Oder: „Wir waren so im Rhythmus und dann ging es einfach 'eeeeeaaaa'". Fuchsies Verhalten ließ darauf schließen, Gogols verbales Gebaren sei ihr verständlich und erscheine ihr in keinster Weise unnormal. So fragte sie während des zweiten 'uuuueeeee' nach, ob es nicht ein eher brustiges 'uuuu-eeeeehhhhh' gewesen sei, was er bejahte. Es kann nicht ausgeschlossen werden, dass die observierten Personen sich einer chiffrierten Sprache bedienten, deren Lautbedeutungen vorab vereinbart worden waren. Ferner kann nicht ausgeschlossen werden, dass dieser Gesprächsabschnitt unter dem Einfluss halluzinogener Substanzen stand und die observierten Personen ihren Rauschzustand erörterten. Nach 10 Minuten wurde das Gespräch mehr oder weniger wesentlich.

Fuchsie. Glaubst du, die haben uns auf dem Schirm? Können die uns jetzt hören?
Gogol. Ist mir egal. Ehrlich, das ist mir ganz egal.
Fuchsie. Unser ganzes Gestöhn, unsere kleinen Worte, alles, was nur uns gehört?
Gogol. Das spielt keine Rolle, ganz ehrlich. Aber ich nehme eher an, dass sie uns abhören.
Fuchsie. Aber wie sind sie dahinter gekommen? Du hast die Wohnung doch über Borka gemietet?
Gogol. Weißt du, wenn du dich auf paranoide Verdächtigungen einlassen willst, musst du zu dem Schluss kommen, dass der erste potentielle Anrufer ausgerechnet Borka ist. Diese ganze Geschichte – ich brauche eine Wohnung für die Verwandte einer Bekannten, aber die kann nicht selbst – das klingt doch wirklich nach einem guten Grund, bei ihnen anzurufen. Aber ich glaube nicht, dass Borka uns verpfiffen hat. Ich will überhaupt nicht überlegen, warum wir abgehört werden.
Fuchsie. Ein- oder zweimal die Woche gehe ich in den Schönheitssalon. Dass ich zwar den entsprechenden Hauseingang nehme, dann aber nicht in den Salon, sondern hoch in die für uns gemietete Wohnung gehe, ist alles andere als offensichtlich. Um das herauszubekommen, müsste man das Publikum im Salon ausspionieren, da habe ich aber nie verdächtige Gestalten gesehen.
Gogol. Nette Theorie. Aber nur, wenn man von vornherein ausschließt, dass die Visagistinnen auch Schulterklappen mit Sternchen tragen könnten. Pass auf. Ein- oder zweimal die Woche sind wir beide an einem Ort. Einmal bin ich dem Außendienst durch die Hintertür entwischt (falls die nicht nur mit mir gespielt haben), lass es zweimal gewesen sein. Jetzt kommt es mir nicht mehr so vor, als würde ich überwacht, aber das kannst du genauso gut als handfesten Beweis dafür nehmen, dass unsere Bärenhöhle schon entdeckt und verwanzt ist. Sie wissen höchstwahrscheinlich, dass sich unsere Wege irgendwo in der Serafimowitscha kreuzen. Alles weitere dürfte im persönlichen Ermessen des Genossen Murawjow liegen.
Fuchsie. Du meinst, sie waren hier? Sie haben … unser Bett angefasst? Unsere Spinnereien gesehen? Männer in grauen Anzügen, in Pullovern, Stiefeln? Fremde Männer mit widerlichem Rasierwassergeruch?
Gogol. Wir sollten es nicht ausschließen.
Fuchsie. Und er … Er war auch hier?
Gogol. Weiß ich nicht. Vielleicht hören sie uns ja auch gar nicht ab, Dummilein! Nein, komm her.
Fuchsie. Sie hören unsere heimlichen Namen, sie wissen, dass du mein Bär bist, sie hören, wie wir hier rummachen und über unsere Orgasmen reden?
Gogol. Hab keine Angst, Kleines. Hier ist niemand. Beim MfS sind alle schwul! Siehst du, wenn sie hier wären, hätten sie jetzt schon protestiert, Schatz, ganz ruhig.
Fuchsie. Mir ist kalt.
Gogol. Dir kann gar nicht kalt sein. Komm, du brauchst keine Angst zu haben! Hör mir jetzt mal zu: Ich glaube, es gibt eigentlich gar kein MfS.
Fuchsie. Pfft. Wie bitte?
Gogol. Warte, hör mir zu. Stell dir mal vor: Es gibt tatsächlich diese Behörde mit ihren Zielen, ihren Interessen, und sie erhalten die Ordnung aufrecht. So eine Behörde gibt es in jedem Land. Da arbeiten ganz normale Durchschnittstypen, wie dieser Operative, über den was in der SB stand. Die schnappen mal einen, hören vielleicht sogar wen ab. Ganz normale Menschen. Die haben Familie, Kinder, singen zur Gitarre, schauen sich die Sterne an. Wozu sich vor denen fürchten? Dieses schwarze, klebrige Gefühl, Lisa, in dem wir gerade ertrinken, das hat überhaupt nichts mit denen zu tun. Dieses Gefühl erzeugen wir selbst. Okay, sie haben ihre Makarow, fettes Gehalt, Rente, Wohnung. Okay, sie haben getönte Scheiben und diese Habt-Acht-Visage. Aber sie sind nicht schrecklich. Sie sind stinknormal! Stell dir einfach vor, wie sie sich das über unsere Orgasmen anhören! Oder mitschreiben, wie du mich aus dem Bett schmeißt! Was ist denn das für ein Job?
Ihr ganzer Schrecken und ihre Allwissenheit sind nur aus unserer Paranoia geboren. Wir müssen nur aufhören, uns vor ihnen zu fürchten, schon können wir sie nicht mehr ernst nehmen. Was kann uns denn passieren? Im schlimmsten Fall? Was denn? Gefängnis? Sie jubeln uns Drogen unter und stecken uns ins Gefängnis? Und? Haben wir etwa Angst davor? Dass wir Suppe löffeln müssen und der Kübel direkt in der Zelle steht? Nein, wir schlottern davor, dass sie – immer dieses grässliche Pronomen –, dass sie alles wissen. Dass sie uns um uns selbst berauben. Dass sie uns beim Verhör mit ihren zusammengepressten Lippen zerquetschen. Dass sie uns in- und auswendig kennen und wissen, was wir als nächstes sagen werden. Dabei sind sie bloß normale Familienväter, die sich überlegen, wie sie sich ein neues Auto zulegen und heute mal ein bisschen früher Feierabend machen könnten. Ohne unsere Angst sind diese klebrigen Wellen …
Fuchsie. Ich habe aber Angst.
Gogol. Die kommt aber nicht von ihrer Arbeit. Das ist deine Paranoia. Reiß sie dir aus, und wir haben nichts mehr zu befürchten!
Fuchsie. Ein einziges Gegenargument. Serakowski, von dem du erzählt hast. Der ist nicht von meiner Paranoia verschleppt worden.
Gogol. Pass auf. Sigmund Serakowski, Waleri Wrublewski und Jaroslaw Dombrowski sind … Das ist sehr kompliziert. Sie waren Romantiker, Idealisten. Und dumme Jungs, das natürlich auch. Wie die Dekabristen wollten sie mit bloßen Händen die ganze Welt beglücken. Schmetterlinge gegen Panzer. Die hätten sich besser auf den Hosenboden gesetzt und die Geschichte des Großfürstentums Litauen studiert. Nur soviel: Es wäre überhaupt nicht nötig gewesen, sie verschwinden zu lassen. Ihre Verschwörung war von Anfang an utopisch, ein romantischer Traum, an den nur sie selbst glaubten. Hätte man sie einmal richtig angeraunzt, sie hätten sich von selber verkrümelt. Deshalb weiß ich auch nicht, was aus ihnen geworden ist und was das MfS damit zu schaffen hat. Ich weiß es nicht. Eine wirre Geschichte. Nichts weiter.
Fuchsie. Weiter nichts? Du hast mit einer der Witwen gesprochen. Seiner Witwe. Er ist nicht mehr da, sie schon. Alles völlig unklar, aber er ist nicht mehr da. Nicht mehr bei ihr. Und ich habe Angst. Ich sehe doch, dass du auch Angst hast. Sie hören dich. Das geht doch so nicht. Ich zieh mich lieber an, ja?
Gogol. Hast du etwa Angst, dass sie dich nackt hören? Achtung, Achtung! Jelisaweta steigt in ihren Schlüpfer! Er spannt gewaltig über ihrem kleinen Po!
Fuchsie. Hör auf damit, Bär!
Gogol. Jelisaweta zieht den BH an! Hoppla, eine Brust ist rausgepoppt!
Fuchsie. Du sollst aufhören damit!
Gogol. Wir setzen unsere Live-Übertragung für die Offiziere der Firma Horch und Guck fort, die das unerbittliche Schicksal heute von Weib und Kind getrennt und in den Schützengraben des Spionageabwehrkampfes geworfen hat. Die Bluse ist zugeknöpft und strammgezogen, aber wenn ihr sehen könntet, teure Bannerträger, welches Bild sich nun von hinten bietet! Oh, das Objekt tritt ab! Das Objekt hat sich in der Nasszelle verbarrikadiert! Nun wird mir klar, ihr lieben Brüder, welch schweren Dienst ihr tut: Ich sehe überhaupt nichts mehr, aber das gedämpfte Fauchen, mit dem der straffe Po grad in die Jeans einfährt, bringt mich um den Verstand! Ich leide mit euch, liebe Brüder!
Mikrofon 4
Fuchsie. Halt endlich die Klappe, du Riesenbär!

Die observierten Personen kleideten sich hastig an und verließen das Objekt. Gogol rief im Hinausgehen: „Fühlen Sie sich wie zu Hause, Genosse Offizier!"

Ministerium für Staatssicherheit

Protokoll akustische Wohnraumüberwachung
Objekt Mietwohnung
ul. Serafimowitscha, Hs 16, Whg 7
4. Oktober

Unterlt MfS A.M. Geworkjan

Nach Betreten des Objektes um 16.00 Uhr (Tür schlüsselmäßig geöffnet) war Gogol lange in der Küche

zugange. Den Geräuschen nach zu urteilen, bereitete er das Abendessen zu. Fuchsie erschien um 19.30 Uhr, sie wechselten zu Mikrofon 3 und aßen. Nach dem Abendessen zogen sie sich ins Schlafzimmer (Mikrofon 1) zurück und machten dort Liebe. Danach führten sie Gespräche persönlich-intimer Natur oder sprachen über nicht operativ relevante Sachverhalte ohne Bezug zur Staats- und Gesellschaftsordnung. Unter anderem ging es um Kindheitserinnerungen. Aufgrund mangelnder Relevanz wurde von einer schriftlichen Dokumentation dieser Äußerungen, deren Inhalt nur für die beiden von Interesse ist, Abstand genommen. Später schliefen die Objekte ein und verbrachten die ganze Nacht schlafend im Objekt. Um 08.35 Uhr erwachte Gogol, hantierte in der Küche herum und verließ nach kurzzeitiger Rückkehr ins Schlafzimmer zu Fuchsie das Objekt, ohne diese zu wecken. Fuchsie verließ das Objekt um 10.30 Uhr.

Protokoll zurück in die Abteilung Akustische Wohnraumüberwachung mit dem Vermerk „nochmalige Audiodekodierung".

Ministerium für Staatssicherheit

Zweitdekodierung Audioaufzeichnung Objekt
Mietwohnung ul. Serafimowitscha, Hs 16, Whg 7
vom 4. Oktober, erstellt von *LtdOpBev J.P. Zupik*

Gogol empfing Fuchsie an Mikrofon 2 mit den Worten: „Ich hab Hühnchen in Ananas gemacht." Nach dem Essen wechselten die observierten Personen zu Mikrofon 1, wo sie ca. 1 Stunde lang Lautäußerungen tierisch-heftigen Charakters tätigten. Gogol eröffnete anschließend das Gespräch.

Gogol. Erzähl mir von deiner Kindheit.
Fuchsie. Aufgewachsen bin ich in Kobrin, im Schatten eines Riesenrads. Es war das beherrschende Bauwerk, das Riesenrad thronte über Kobrin, wie ein Rathaus über einem historischen europäischen Städtchen, und ich habe immer noch den Eindruck, dass das Leben dort insgeheim von diesem Rad aus gesteuert wurde, das sich in der Abenddämmerung als düsteres Spinnennetz vom Himmel abhob. In Kobrin bin ich zur Mittelschule gegangen, anschließend zum Studium nach Minsk. Dort war es mit meiner Kindheit dann vorbei.
Gogol. Ich wollte doch keine Fragebogenauskunft von dir. Erzähl mir, woran du dich am deutlichsten erinnerst. Welches Bild steht dir vor Augen, wenn du „Kindheit" hörst?
Fuchsie (nach längerer Pause). Wir lebten in einem Holzhaus, zwei Etagen für fünf Familien, so war in der Nachkriegszeit bei uns gebaut worden. Es lag eingebettet in Heckenrosensträucher, und vor dem Haus war eine kleine Grasfläche mit winzigen Rosen, die Großmutter goss und schnitt. Dort habe ich einmal einen richtigen Igel gesehen. Er lief dort ganz gemütlich wie ein Hund und hatte so gar nichts mit dem Igelbild in der Fibel zu tun, dass mir schon damals der Verdacht kam, die Erwachsenenwelt sei nichts als Lüge.
Gogol. Du meinst, die von Erwachsenen erdachte Kinderwelt ist Lüge.
Fuchsie. Nein. Die Erwachsenen-, nicht die Kinderwelt. Gegen die Kinderwelt habe ich bis heute keinerlei Vorbehalte. Das Haus lag an einem Hang, der zu einem versandeten, von Brennnesseln überwucherten Flusstal abfiel. Irgendwann stand da plötzlich ein alter Bus, aus dem buchstäblich über Nacht alles Verwertbare verschwunden war: Räder, Motor, Kühler. Aber die Fahrerkabine mit Lenkrad und allen möglichen Schaltern war noch da. In die bin ich praktisch eingezogen. Ich weiß noch, dass die Tür sich mit einem Griff öffnen ließ, an den ich geradeso herankam, und mitten auf dem Armaturenbrett war ein riesiger Tacho, so groß wie mein Gesicht, und die Nadel bewegte sich, wenn ich beschleunigte. Ob ich mit dem Bus auch abheben konnte, weiß ich gar nicht mehr … Mitfahren durften nur wenige Auserwählte: der Rentner von nebenan, der immer in seinem braunen Anzug unterwegs war, immer aufrecht und freundlich, so ist er auch gestorben. Papa und Mama, an die ich mich schon damals nicht mehr richtig erinnern konnte. Das Mädchen aus dem Nachbarhaus, das nicht laufen konnte, sie hatte irgendetwas mit den Beinen. Deshalb saß sie immer am Fenster, und ich pflückte Rosen und legte für sie damit Wörter: „Papa", „Mama" – zwei paarige Silben, die ich nie hatte.
Auf dem Armaturenbrett waren auch zwei runde, hervorstehende Schaltknöpfe, ein roter und ein grüner. Wenn die Sonne darauf schien, leuchteten sie in Rubin- und Smaragdtönen, wie ich sie später nur noch bei Chagall gefunden habe. Im Winter stürzte dann das Busdach ein, danach war es drinnen feucht und ungemütlich, außerdem hatte jemand das Lenkrad abgeschraubt, einfach so, jetzt lag es in den Brennnesseln wie ein angefahrenes Tier. Ich fuhr zwar noch einige Zeit, es ging aber immer schlechter. Die Fantasie war eingerostet, die Schalter wollten nicht mehr so schön leuchten, und jemand hatte den Tacho eingeschlagen und die Nadel geklaut.
Die Erwachsenenwelt mit ihren echten Autos und Flugzeugen war nichts als Lug und Trug … Du bist dran.
Gogol. Mit meiner Kindheit?
Fuchsie. Was fällt dir bei „Kindheit" als erstes ein?
Gogol. Mal überlegen. Tintenblaue Nacht …
Fuchsie. Tintenblau? Wie sieht das aus?
Gogol. Wie ein Tintenfläschchen gegen das Licht gehalten.
Fuchsie. Ein Tintenfläschchen. Vielleicht eine Flasche Rotwein? Oder eine Druckerpatrone? Die Metapher ist schon ein bisschen angesäuert. Vom Fortschritt überrollt!
Gogol. Okay: dunkelblaue, in etwa der Rahmenfarbe des Internet-Explorer-Logos entsprechende Nacht …
Fuchsie. Ist ja gut. Ich quatsche auch nicht mehr dazwischen.
Gogol. Tintenschwarze Tintennacht, kristallene Sternbilder über mir, und Mama, die riesige, duftige Mama, hält mir ihre heiße, pulsierende Zitze hin, prall von schlafender Milch, aber diese Zitze will erst einmal gefunden sein in dem eisgepanzerten, verharschten Pelz. Du stupst sie mit deiner feuchten Nase an, glühst, frierst und bibberst gleichzeitig vor Ungeduld. Kurz darauf: der Sprung in das Eisloch, das panische Zucken des auf einen Sitz verschlungenen Fisches im Hals, über dir das phosphoreszierende, wie am Computerbildschirm entworfene Nordlicht, und vor allem die Erkenntnis, dass der Fisch im Meer und das flimmernde Licht über dir niemals ausgehen werden, solange das Leben auch sein mag …
He, was fällt dir ein!
Fuchsie. Anatoli Newinski: geboren in einer Eisbärenfamilie, Studium der Praktischen Konversation mit jungen Damen an der Hochschule für Runkelrübenkunde, das war ernst gemeint! Ich hab mich hier vor dir nackig gemacht! Splittergranatennackig!
Gogol. Aber ich hab dich nicht aus dem Bett geschmissen.
Fuchsie. Jetzt erzähl schon, Bär. Aber ohne Quatsch! Ganz im Ernst!
Gogol. Ein Sonnenfleck auf den gewaltigen Dielen am Fußboden. Mittagssonne, Mama steht in der Küche, in der Wohnung herrscht eine Stille, dass man die Staubkörner im Sonnenlicht sich reiben hört. Nein, sie reiben sich nicht, sie berühren einander mit einem kaum wahrnehmbaren, glasklaren Ton. Ich liege in dem Sonnenfleck am Fußboden, ganz in ihn eingepasst, hineinkomponiert, aufgehoben in ihm. Mit geschlossenen Augen siehst du die Innenseite deiner Lider – eine leuchtend rote Marsoberfläche mit unförmigen, schillernden Punkten. Bestimmt hatte ich damals mit meinen Soldaten gespielt, aber das war alles weit weg. Nur noch das helle, warme, aber nicht zu warme Licht, das mich auf dem Fußboden umschloss. Heute hat dieses Bild eine fast religiöse Dimension für mich: Die Sonne und ich. Die Sonne hat sich nicht verändert, selbst die Dielen sind immer noch da, aber meine kindliche Offenheit für das Neue, das nicht interpretiert werden muss, ist Vergangenheit.
Ich kann nicht mehr in jenem Sonnenfleck liegen, nicht mehr mit jenen Gedanken, jenen Luftschlössern, die sich aus orangefarbenen Wolken auf der Innenseite meiner Lider aufgeschichtet haben.
Fuchsie. Ich will mich mit dir in der Stadt treffen. Aber richtig, ganz real.
Gogol. Wie meinen?
Fuchsie. Wir arrangieren ein klassisches Rendezvous. Gemütlicher Spaziergang zu zweit, Macchiato im Café.
Gogol. Hm. Daran habe ich irgendwie noch gar nicht gedacht. Hast du vergessen, dass wir vielleicht beschattet werden? Weißt du noch, dass du Angst hattest, abgehört zu werden? Die erkennen uns doch sofort, entweder identifizieren sie uns mit ihren Überwachungskameras oder mein Begleitschutz gibt durch, dass ich einen neuen Kontakt habe. Falls sie es nicht längst wissen.
Fuchsie. Dann lass uns überlegen, wie wir sie austricksen. Ich will an deiner Schulter draußen spazieren gehen. Und regnen soll es und kalt sein, aber zusammen kuschlig warm.
Gogol. Ich weiß nicht. Wir können uns sonst was ausdenken, aber die Wahrscheinlichkeit, dass wir unbemerkt durch die Stadt spazieren können, ist minimal. Weißt du noch, wie schnell der rothaarige Schrank im Hawaiihemd an uns dran war? Das wäre Wahnsinn. Aber wir könnten eine Route verabreden und sie zeitversetzt ablaufen. Erst du, dann ich. Und anschließend treffen wir uns hier und reden drüber … Wobei das auch wieder verdächtig wäre. Vielleicht so: du gehst Samstag Abend um Acht, ich Sonntag Abend um Acht. Dann sehen wir genau dasselbe – Fußgänger, Autoscheinwerfer, Laternen, Luft und Wind. Wir sind quasi zusammen unterwegs.
Fuchsie. Ich will aber kein „quasi". Lass es uns riskieren. Du und ich. Dieselbe Luft, derselbe Wind, dieselben Fußgänger für uns beide.
Gogol. Aber der Außendienst!
Fuchsie. Du hast doch gesagt, das ist bloß Paranoia. Und selbst wenn nicht … Seis drum …

[Aus dem Russischen von Thomas Weiler]

Министерство госбезопасности

Протокол аудиодокументирования
объекта «Жилая квартира
по адр. ул. Серафимовича, д. 16, кв. 7». 30 сентября

Ст. лейтенант Гробарь П.

Наблюдаемые проникли на объект, открыв дверь своим ключом, в 17.07. В прихожей (микрофон 2) у них состоялась беседа о Серафимовиче – они высказывали предположения о том, кем он мог быть (Гоголь: партизанский комиссар, попавший на небо, к серафимам; Лиса: партийный деятель, ведущий родословную от преподобного Серафима Саровского). Гоголь пригласил Лису на микрофон 3 (кухня), выпить чайку (с ударением на 1 слог). В процессе приготовления по репликам (Гоголь: «Какой он черный, байховый») стало понятно, что речь идет не о чайке, а о чае. Цель смыслового искажения не выявляется, признаков желания создания превратного понимания у прослушки не было. Возможно, такое поведение было продиктовано обычной «придурью». В процессе распития чая, судя по сосущим звукам, объекты начали целоваться, после чего у них началась случка. Судя по звуку упавшего стула и характерным репликам (Лиса: «Ой, я сползаю, подтянусь»), Гоголь разместил ее на кухонном столе (схема прилагается). В процессе случки они решили переместиться в спальню (микрофон 1), где случивались еще 45 минут.
Вслед за этим Гоголь лежал и издавал гудение с помощью губ, носа, рота и других органов дыхания, подражая то ли паровозу, то ли кораблю. С помощью этих не оформленных в слова звуков Гоголь пытался сообщить некую особенность своего состояния, о чем свидетельствуют следующие речевые повороты: «Это сначала было похоже на «уууу", а потом мы ускорились, и оно стало таким «ууууээээ". Или «Мы стали так, ритмично, и началось просто «ээээаааа"». Лиса вела себя так, будто это словесное поведение Гоголя является понятным ей и в целом соответствует манере поведения нормального человека. Так, во время второго «ууууээээ» она переспросила, не было ли это более грудным, таким «уууу–ээээ–еееeеххххх», и он согласился, что было. Не исключено, что наблюдаемые изъяснялись неким шифрованным языком, о звукозначениях которого сговорились ранее. Также нельзя исключать, что в этом фрагменте беседа велась под воздействием галлюциногенов,

наблюдаемые обсуждали какой–то свой наркотический «приход». Через 10 мин. беседа пошла более-менее по существу.

Лиса. Как ты думаешь, нас вычислили? Нас могут слушать сейчас?
Гоголь. Мне все равно. Правда. Мне все равно.
Лиса. Все наши стоны, все наши словечки, все то, что только для нас?
Гоголь. Клянусь тебе, это неважно. Но я думаю, что нас, скорей всего, слушают.
Лиса. Но как они узнали? Квартиру ты ведь снимал через Борьку?
Гоголь. Знаешь, если ступать на путь параноидальных допущений, придешь к выводу, что первым, кто мог им позвонить, был как раз Борька. Вся эта затея –нужна квартира для родственницы знакомой, а она сама не может – согласись, звучит как хороший повод для звонка им. Но я не думаю, что Борька нас сдал. Я вообще не хочу думать о том, почему нас слушают.
Лиса. Раз или два раза в неделю я выхожу в салон красоты. Тот факт, что, заходя в подъезд с этим салоном красоты, я прохожу мимо его входа и поднимаюсь наверх, в снятую для нас квартиру, отнюдь не лежит на поверхности. Для того чтобы его установить, нужно отслеживать публику в салоне, а никого подозрительного я там никогда не видела.
Гоголь. Теория красивая. Работает только в том случае, если исключить вероятность того, что у тамошних визажисток лейтенантские погоны. Послушай. Раз или два раза в неделю мы оказываемся в одном и том же месте. Ну один раз мне удалось уйти от наружки, пройдя через сквозные подъезды (если только они не играли со мной, показывая, что да, мол, ушел), ну два… Ну возникло у меня впечатление, что за мной сейчас не следят, но ведь это можно трактовать и как прямое доказательство того, что наша берлога найдена и поставлена на аудиомониторы. Скорей всего, им известно, что наши с тобой маршруты совпадают в районе улицы Серафимовича. Все, что дальше, – вопрос личного выбора товарища Муравьева.
Лиса. Ты думаешь, они были здесь? Трогали… нашу кровать? Видели наши… дурости? Люди в серых костюмах, в свитерах, в ботинках? Чужие, пахнущие ужасными одеколонами люди?
Гоголь. Давай не будем это исключать.
Лиса. И он… Он здесь был?
Гоголь. Я не знаю. Может, нас и не слушают, глупая! Не отстраняйся, иди ко мне.
Лиса. Они слышат наши тайные имена, они знают, что ты – медведь, они слышат, как мы копошимся, как говорим об оргазмах?
Гоголь. Маленькая, не бойся. Здесь никого нет. МГБ – пидарасы! Вот, слышишь, если бы они были рядом, они бы запротестовали, милая, не колотись.
Лиса. Мне холодно.
Гоголь. Тебе не может быть холодно… Не бойся, слышишь, не бойся! Слушай, вот слушай меня: я думаю, что никакого МГБ на самом деле не существует…
Лиса. Бгга. Это как?
Гоголь. Спокойно, слушай. Вот представь: действительно есть ведомство, со своими целями, своими интересами, охраняют порядок. Так в любой стране такое ведомство есть. Там работают обычные, нормальные люди, как вот этот опер, о котором «Эсбэшка» написала. Ну, ловят кого-то, ну, может, даже слушают. Обычные люди. Семья есть, дети, под гитару поют, на звезды смотрят. Чего их бояться? Это черное липкое чувство, в котором мы сейчас, Лиза, тонем, – это чувство не имеет к ним никакого отношения. Это чувство продуцируем мы. Ну да, у них – табельный ПМ, хорошая зарплата, пенсия, жилье. Ну да, стекла тонированные и морда внимательная. Но они – не страшные. Они обычные! Ну ты прикинь, вот про наши оргазмы слушать! Или, как ты меня с кровати скидываешь, писать! Ну? Серьезная работа? Вся их страшность, всесведущесть – плод нашей паранойи. Перестанем бояться их – они перестанут быть серьезными. Ну что нам грозит? Вот по максимуму? Ну что? Тюрьма? Наркоты подбросят, и в тюрьму? Ну? Этого мы боимся? Того, что щами будут кормить и в камерах с парашей содержать?
Нет, мы трясемся от того, что они – ох уж это страшное местоимение, – что они все знают. Что они могут забрать у нас – нас самих. Что они одним сжиманием губ во время допроса нас раздавят. Что они видят нас насквозь, знают, что мы следующим скажем. А они – обычные семьянины, которые думают, как бы себе тачку поновей прикупить и с работы к жене пораньше слинять. Без нашего страха, этих липких волн…
Лиса. Но мне страшно.
Гоголь. Это – не плод их работы. Это – твоя паранойя. Изгони ее из себя, и нам ничто не будет угрожать!
Лиса. Всего один аргумент против. Сераковский, о котором ты рассказывал. Не моя паранойя его выкрала.
Гоголь. Послушай. Зигмунд Сераковский, Валерий Врублевский, Ярослав Домбровский – это… Это очень сложно. Они… были романтиками и идеалистами. Ну и дураками, конечно, они были. Они, как декабристы, – взялись чистыми руками ковать счастье на всей земле. Мотылек против танка… Лучше бы сидели и историю Великого княжества Литовского учили… Я одно тебе скажу: никакой необходимости их похищать не было. Их заговор изначально был утопией, романтической мечтой, в которую только они и верили. На них бы шикнуть, как на детей, сами бы разбежались… А потому я не знаю, что с ними стало и при чем здесь МГБ. Не знаю. Очень странная история. И все.
Лиса. И все? Ты говорил с вдовой одного из них. Вдовой. Его уже нет, а она – есть. Ничего не понятно, но его нет. С ней нет. Мне страшно. Я вижу, что и тебе страшно. Они тебя слышат. Не надо так, не надо. Можно, я оденусь?
Гоголь. Боишься, что они услышат тебя голую? Внимание! Елизавета надевает трусики! Они с трудом натягиваются на ее маленькую попку!
Лиса. Прекрати, медведь!
Гоголь. Елизавета затягивает лифчик! О, одна грудка вывалилась!
Лиса. Ну прекрати ж ты, ну!
Гоголь. Продолжаем репортаж для офицеров прослушки, которых нелегкая доля оторвала сегодня от жены и детей и бросила в пучину борьбы со шпионами. Блузка застегнута и одернута, но видели бы вы, мои знаменосные, тот вид, который открывается сзади! О, объект уходит! Объект заперся в санузле! Вот сейчас, родимые, я понимаю, какая сложная у вас служба: я ни черта не вижу, но вот эти сдавленные звуки, издаваемые впихиваемой в джинсы тугой попкой, просто сводят меня с ума! Как же тяжело вам, родимые!

Микрофон 4

Лиса. Да замолчи ж ты, медведина!

Наблюдаемые спешно одеваются и покидают объект. Гоголь напоследок кричит: «Не скучайте, товарищ офицер!»

Министерство госбезопасности

Протокол аудиодокументирования
объекта «Жилая квартира
по адр. ул. Серафимовича, д. 16, кв. 7». 4 октября

Мл. лейтенант МГБ Геворкян А. М.

Появившись на объекте в 16.00 (дверь открыл ключом), Гоголь что–то долго делал на кухне: судя по характеру звуков, готовил ужин. Лиса появилась в 19.30, они прошли на микрофон 3, кушали. После ужина уединились в спальне (микрофон 1), где занимались любовью. После этого вели разговоры личного, интимного характера либо говорили о вещах, не имеющих информативной ценности и отношения к текущей общественно–политической ситуации. В частности, вспоминали детство. Ввиду отсутствия мотивов для документирования этих сведений, эти разговоры, интересные только им двоим, опускаются. После этого объекты заснули и спали всю ночь на объекте. В 08.35 Гоголь проснулся, чем–то гремел на кухне, затем, зайдя на секунду в спальню к Лисе, покинул объект, не разбудив ее. Лиса ушла с объекта в 10.30.
Протокол возвращен в управление аудирования с резолюцией «повтори, аудиодекриптация».

Министерство госбезопасности

Повторную расшифровку аудирования объекта «Жилая квартира по адр. ул. Серафимовича, д. 16, кв. 7» от 4 октября выполнил *ст. оп. уп. Цупик Е. П.*

Гоголь встретил Лису на микрофоне 2 словами: «Курица в ананасах там». После еды пошли на микрофон 1, где наблюдаемые ок. 1 часа издавали звуки страстного, животного происхождения. Разговор завел Гоголь.
Гоголь. Расскажи мне про детство.
Лиса. Я выросла в городе Кобрине, осененном колесом обозрения. Это была главная постройка Кобрина, колесо возвышалось над ним, как ратуша над стареньким европейским городком, и у меня до сих пор ощущение, что жизнь в Кобрине неким тайным образом регулировалась с этого колеса, рисовавшегося на закатах мрачным паучьим силуэтом. В Кобрине я закончила среднюю школу и уехала поступать в город Минск. Там мое детство закончилось.
Гоголь. Я ведь не анкету у тебя спрашиваю. Скажи, что ярче всего помнишь из детства? Какой образ приходит в голову при слове «детство»?
Лиса (после долгого молчания). Наш дом был деревянным, трехэтажным, на пять семей: такие строили сразу после войны. Он гнездился в зарослях шиповника, и перед ним была лужайка с малюсенькими розами, бабушка их поливала и подрезала. Я там однажды видела настоящего ежа: он бежал трусцой, как собака, и настолько не вязался с картинкой ежа в букваре, что я уже тогда заподозрила, что взрослый мир – сплошное вранье.
Гоголь. Что детский мир, придуманный взрослыми, вранье, ты хочешь сказать?
Лиса. Нет. Именно взрослый мир вранье, а не детский. К детскому миру у меня до сих пор никаких претензий нет. Дом был на глиняном обрыве, внизу – овраг с пересохшим ручьем, овраг, поросший такой пекучей крапивой… Однажды в овраге появился старый автобус, с которого буквально за ночь сняли все полезное: колеса, двигатель, радиатор. Осталась только кабина с рулем и кучей кнопок. Я буквально переселилась в него. Я помню, что дверь открывалась таким рычагом, до которого я едва доставала, а по центру приборной доски был огромный, с мое лицо, спидометр, стрелка которого двигалась по мере того, как я разгонялась. Теперь уже не вспомню, удавалось ли мне на нем взлететь… Я возила на автобусе совсем немного людей: старого пенсионера-соседа, который все время ходил в коричневом костюме, прямой, добрый, да таким и умер. Папу с мамой, которых я уже тогда толком не помнила. Девочку из соседнего дома, которая не могла ходить – у нее было что-то с ногами. И она сидела у окна и постоянно смотрела вниз, а я срывала розы и выкладывала перед ее глазами слова: «папа», «мама» – два парных слога, которых у меня никогда не было.
На приборной доске было два круглых, выпуклых индикатора зеленого и красного цвета. Когда солнце попадало на них, они загорались таким рубиновым, таким изумрудным оттенками, которые я позже видела лишь у Шагала. Перезимовав, автобус провалился крышей, в нем стало мокро и неуютно, к тому же кто-то свинтил руль, просто ради прихоти, – он валялся рядом, беспомощный, как сбитое машиной животное. Я еще некоторое время ездила, но это давалось все сложней, воображение как будто закостенело, и переключатели теперь не загорались драгоценным сиянием, да и в спидометре кто-то разбил стекло и вытащил стрелку. Взрослый мир, с настоящими машинами и полетами, оказался полной фальшивкой… Твой ход.
Гоголь. Рассказать тебе о детстве?
Лиса. Что первое приходит тебе в голову при этом слове: «детство»?
Гоголь. Дай подумать. Чернильная синева ночи…
Лиса. Чернильная синева? Это как?
Гоголь. Это как взгляд в чернильницу на просвет.
Лиса. Чернильница. Это бутылка с плодово-ягодным вином? Краситель для принтера? Метафора немножко скисла. Ее прибил прогресс!
Гоголь. Хорошо, темно-синяя, похожая на окантовку ярлычка Internet Explorer синева ночи…

Лиса. Ладно, хватит дурачиться. Я не буду перебивать.
Гоголь. Чернильная чернота ночи, с хрусталем созвездий над головой, и мама, огромная, теплая мама подставляет горячий, живой сосок, наполненный сонным молоком, но сосок еще нужно нащупать среди покрывшегося ледяной коркой, заиндевевшего меха. Тыкаешься в него своим влажным носом, и сгораешь от нетерпения, и мерзнешь, и дрожишь. Чуть позже – ныряние в полынью, трепетные вздрагивания враз перекушенной рыбины во рту, фосфоресцирующее, как будто на компьютере нарисованное, полярное сияние над головой, и главное – осознание того, что, какой бы долгой ни была жизнь, рыба в океане и мерцание сияния над головой не кончатся никогда… Блин, ну что ты делаешь!
Лиса. Анатолий Невинский: родился в семье полярных медведей, а общению с дамами учился в Институте картофелеводства, но я ведь с тобой серьезно! Я была с тобой искренна! Искрометно искренна!
Гоголь. А я тебя не скидывал с кровати.
Лиса. Давай рассказывай, медведь. И без дурашеств! Ну, серьезно!
Гоголь. Солнечный зайчик на огромных досках пола. Сонный полдень, мама готовит на кухне, а дома – такая тишина, что слышно, как трутся друг о друга пылинки в луче света. Хотя нет, не трутся, скорей – сталкиваются с едва слышным стеклянным звоном. Я лежу в солнечном пятне на полу, полностью в него поместившийся, закомпонованный, заключенный в него. Закрываешь глаза и видишь изнанку собственных век-ярко-красное марсианское марево в бесформенных радужных пятнах. Я, наверное, играл тогда в каких-нибудь солдатиков, но все ушло: остался только яркий, теплый, но не горячий свет, обнимающий меня на полу. Сейчас, пожалуй, для меня этот образ наполнен почти религиозным смыслом: я и солнце. Солнце не изменилось, даже доски пола все на своем прежнем месте, но эта детская открытость новому, не нуждающемуся в интерпретации, – ушла. Условно говоря, мне не лежать больше в том пятне света, не лежать с теми же мыслями, теми же сказочными замками, рисовавшимися в оранжевых облаках внутренней поверхности век.
Лиса. А давай встретимся в городе. По-настоящему, в реале.
Гоголь. В смысле?
Лиса. Устроим себе классическое свидание. Тихая прогулка, макиато в кафе.
Гоголь. Ну. Это как-то не приходило мне в голову. Ты помнишь, за нами могут следить? Помнишь, как боялась прослушки? Нас же моментально опознают – идентифицируют камеры слежения или просто мои топтуны сообщат, что у меня – новый контакт. Если до сих пор не знают.
Лиса. Давай придумаем, как их обмануть. Я хочу идти по улице, кутаясь в твое плечо. И чтобы шел дождь, и чтобы по отдельности было холодно, а вместе – тепло.
Гоголь. Нужно подумать. Но, что бы мы ни придумали, вероятность того, что мы сможем разгуливать по городу незамеченными, довольно мала… Помнишь, как быстро к нам приклеился тот рыжий боров в гавайской рубашке на генеральной репетиции? Так что вся эта затея – безумие. Но мы можем наметить маршрут и прогуляться по нему с разницей в час. Сначала ты, потом – я. А потом соберемся здесь и обсудим… Хотя такое поведение тоже будет подозрительным. Мы можем прогуляться так: ты в субботу, в восемь вечера, я – в воскресенье, в восемь вечера. Наши глаза будут видеть одно и то же – прохожих, огни машин, фонари, воздух, ветер… Мы будем как бы вместе.
Лиса. Я не хочу «как бы». Давай рискнем. Ты и я. Один воздух, один ветер, одни прохожие на двоих.
Гоголь. Но «наружка»!
Лиса. Ты ведь сам сказал, все это – паранойя. А даже если нет… Гори оно все…

VIKTAR MARCINOVIČ (1977) – belarussischer Schriftsteller und Publizist. Katholik. 2009 erschien sein Roman *Paranoia*, der in Belarus verboten wurde, sich aber außerhalb des Landes rasch verbreitete (*Paranojja*. Moskva: AST 2010). Allein die Internetfassung wurde über 100.000 Mal heruntergeladen. Der Roman wird, gefördert durch ein Übersetzungsstipendium des amerikanischen PEN-Zentrums, gegenwärtig ins Englische übertragen, Auszüge erschienen bereits in der Januarausgabe der New Yorker Literaturzeitschrift „Epiphany". Die Erzählung *Tabu* wurde in der Anthologie *Best European Fiction 2011* bei Dalkey Archives in Illinois veröffentlicht. Im Jahr 2011 legte der Autor mit *Eisiger Süden* sein belarussisches Romandebüt vor, das 2012 auf der Longlist für den wichtigsten belarussischen Belletristikpreis steht, gestiftet vom PEN-Zentrum und dem Schriftstellerverband.

Kontakt: vittius@yandex.ru

ВІКТАР МАРЦІНОВІЧ (1977) – беларускі пісьменнік, публіцыст. Каталік. У 2009 годзе выдаў раман *Параноя*, які быў забаронены на радзіме, аднак пачаў спрытна разыходзіцца за мяжой (*Paranojja*. Moskva: AST 2010). Толькі ў Сеціве раман спампавала больш за 100 тысяч чытачоў. Раман перакладаецца на англійскую мову пры дапамозе перакладчыскага гранту амерыканскага ПЭН-Цэнтру, вытрымкі змешчаныя ў студзеньскім нумару ню-ёркскага літаратурнага часопісу „Epiphany". Апавяданьне Марціновіча *Табу* ўвайшло ў зборнік *Best European Fiction 2011*, выдадзены выдавецтвам Dalkey Archives з Ілліною. У 2011 годзе Віктар дэбютаваў у беларускай мове, выдаўшы раман *Сьцюдзёны вырай*, які ў 2012 годзе трапіў у лонг-ліст галоўнай празаічнай прэміі Беларусі, фундатарамі якой з'яўляюцца ПЭН-Цэнтар і Саюз пісьменьнікаў.

Кантакт: vittius@yandex.ru

Natalka Sniadanko Наталка Сняданко

FRISCHES BASILIKUM MIT EIN PAAR TROPFEN MORGENTAU ГЕРБАРІЙ КОХАНЦІВ

Romansauszug
уривок із роману

Es scheint, als sei gerade das Basilikum die Ursache eines der ersten schwerwiegenden Konflikte zwischen der Oma und dem Vater gewesen. Zunächst schaute die Oma sich den Schwiegersohn genau an und duldete ihn, wie sie normalerweise die Männer duldete, die sie generell für schwach entwickelte und unzuverlässige Wesen hielt. Wenn zur Speise irgendetwas anderes als Salz, Pfeffer und Zucker beigefügt wurde, weckte dies keine besondere Begeisterung bei ihr, aber Liebstöckel in der Dachkammer und in der Suppe ließ sie noch über sich ergehen. Wahrscheinlich hätte sie auch das Basilikum im Salat mit zusammengebissenen Zähnen erduldet, aber der Schwiegersohn beging einen schweren taktischen Fehler, und obwohl dieser Fehler ohne Absicht passierte, minderte er in Omas Augen keineswegs seine Schuld. Er hatte das, nach ihrer Meinung völlig unnütze Basilikum in einen Blumentopf gepflanzt, in dem sie schon Tomatensamen ausgesät hatte. Da konnte die Oma sich nun nicht mehr zurückhalten, ein Skandal brach aus, bei dem, da es der erste war, beide Seiten einen kühlen Kopf bewahrten. Papa entschuldigte sich, obwohl er von den Tomatensamen nichts gewusst hatte, und die Oma hüllte sich in Schweigen, weil sie so ihren missglückten Versuch, diese launige Saat zu bezwingen, verheimlichen konnte.
[…]
In jenem Jahr, dass das letzte Jahr werden sollte, in dem meine Eltern mit meiner Oma unter einem Dach lebten, ging in dem Blumentopf Basilikum auf und keine Tomaten. Meine Oma sagte nichts, fühlte sich aber vom Schwiegersohn heimlich gekränkt. Es folgte eine Zeit eines lang anhaltenden Waffenstillstandes, in der die Oma jede Bewegung des Schwiegersohns aufmerksam verfolgte und darauf wartete, dass er etwas wirklich Ungeheures begehen würde. Dann würden alle sehen, dass ihre Abneigung gegen ihn, die sie von Anfang an verspürt hatte, berechtigt war, obwohl sie selbst auch nicht sagen konnte, warum.

Es kam der Augenblick des Schweineschlachtens. Der Schwiegersohn nahm an diesem sakralen Ritual, das zweimal im Jahr stattfand und für damalige Verhältnisse von einem ziemlich wohlhabenden Leben zeugte, nicht zum ersten Mal teil. Dabei lernte die Oma sein kulinarische Geschicklichkeit kennen, denn er konnte nicht nur den Schlächter ersetzen, den man früher immer extra hatte einladen und bezahlen müssen, er konnte sogar das Schwein mit einem präzisen Stich töten, während der Schlächter selten im nüchternen Zustand eintraf. Einmal hatte sich sogar ein Schwein von ihm losgerissen, mit einem Messer im Herzen war es mit furchbarem Gekreische durch den Hof gelaufen und hatte das kostbare Blut verspritzt. Gerade in dem Augenblick war die damals noch ganz kleine Sarona vor die Haustür getreten, das Schwein hätte sie beinahe umgerannt.

Dem Vater passierten solche Pannen nie. Er traf blitzschnell ins Herz und führte geschickt alle weiteren Handlungen aus. Er goss das Blut in eine glänzend geputzte Schüssel und trug das kostbare Blut vorsichtig in die Sommerküche. Das Blut sollte nicht nur für die Blutwurst mit Buchweizen und Grammeln reichen, das in den unbeschadeten Darm gestopft, im Ofen gebacken wurde, sondern auch für die Sülze, die nur von der Oma in ein Liter große Weckgläser, gezaubert werden durfte. Der Schwiegersohn zog und wickelte das Gedärm auseinander, übergoss den entleerten Schweinemagen mit siedendem Wasser, wobei sich der aufsteigende Wasserdampf so nebelartig verdichtete., dass man galubte, jeden Moment würde daraus ein leibhaftiger Zaubergeist erscheinen, der alle Anwesenden auffordern würde, sich etwas zu wünschen. Sarona reizte es, mit den Händen den Kopf oder die frisch gesengten Schweineklauen zu berühren, aber sie fürchtete sich davor, als könnte das Schwein jederzeit zusammenzucken und einen schweren Seufzer der Agonie ertönen lassen. Danach entfernte der Vater aus dem ausgespülten Dick- und Dünndarm den Schleim, wobei er virtuos mit der Rückseite des Messers hantierte. Seine Bewegungen waren schnell und geschickt, die Oma blickte eifersüchtig auf seine Finger, denn früher war nur sie es gewesen, die

die hohe Kunst des Ausnehmens beherrscht hatte.

Und während die restlichen Erwachsenen, als auch die kleine Sarona, an diesem Tag zu willigen Gehilfen degradiert wurden und ihr Stimmrecht verloren, schweigend den Speck würfelten und ihn in Grammeln oder Schmalz verwandelten, widmete sich der Schwiegersohn der hohen Logistik der Fleischverteilung – das bessere für die Fleischroulade, das etwas schlechtere – für Wurst, und ein kleines Stück vom Filet – für das Sonntagsschnitzel.

Oma gewöhnte sich langsam an den Geschmack von Liebstöckel, den er zum Fleisch gab, obwohl sie weiterhin der Meinung war, dass man darauf verzichten könnte. Der Schwiegersohn war der einzige, der außer Oma bis in die tiefe Nacht seine Munterkeit und gute Laune behielt. Denn das Fleisch sollte ja möglichst schnell verarbeitet werden, damit es nicht verdarb. Gegen Abend, als es immer noch viel zu tun gab, aber keiner mehr Kraft hatte, kam die schwierigste Aufgabe. Angelockt durch die Ausdünstungen des geschmolzenen Specks saßen narkotisierte Katzen auf der Schwelle der Sommerküche, die heute bis zum Umfallen gefüttert werden. Das Stakkato-Klopfen der Messer wurde immer schwächer, verlor an munterem Rhythmus und Kraft, die zu fetten Bergen angewachsenen Stücke aus Rohfleisch und Speck füllten allmählich alle freien Schüsseln, Töpfe und Geschirr, die künftigen Grammeln und Würste türmten sich auf den Tischen, die aus der ganzen Wohnung in der Küche zusammengetragen, mit bunten Plastikdecken bedeckt wurde. Diese Fleischberge nahmen immer bedrohlichere Ausmaße an und erinnerten an Osterbrot, das im glühenden Ofen so stark aufging, dass es jeden Augenblick drohte aus der Backform zu quellen, irgendwohin zu fließen und alles drum herum mit seiner süßlich-stickigen Vanille-Wolke gefangen zu nehmen.

Jeder der willigen Gehilfen träumte nur davon, dass diese Qual möglichst schnell beendet sein würde, und man endlich die stickige Küche verlassen könnte, aber es fand kein Ende. Es schien, als würde das schon vor Stunden zerteilte Fleisch gleich wieder zusammenwachsen, wie die Helden aus den Plastilin-Zeichentrickfilmen. An den Fingern schmerzten die durch den Druck vom Messerschaft entstandenen Schwielen, das Salz brannte in den kleinen Schnittwunden, und es schien, als wäre alles mit dem Gestank des schmelzenden Specks behaftet. Und in diesem kritischen Augenblick verschwand der Vater für wenige Minuten, um mit einem Tablett Kaffee, der nach Kardamom roch zurückzukehren; und dieser Duft verdrängte wie durch ein Wunder den omnipräsenten Gestank des heißen Schmalzes. Zum Kaffee gab es einen selbstgebrannten Kirschliquor und den tags zuvor gebackenen „gewundenen" Kuchen mit Pflaumenmarmelade. „Ein Drittel des Teigs wird eingefroren und mit einer großen Reibe über der Marmelade zerrieben" – diesen Satz aus dem Rezept behielt Sarona für immer.

Nach dem Kaffee lebten alle wieder auf, und der Vater pflegte etwas aus seiner Kindheit zu erzählen. Er war als Kind von Akrobaten in einem Wanderzirkus aufgewachsen und konnte immer etwas Interessantes berichten. Seine Mutter war Ukrainerin, der Vater – Rumäne, beide waren früh verunglückt, und er war in ein Kinderheim gekommen.

In solchen Augenblicken war Sarona eifersüchtig auf die anderen, denn über seine Kindheit im Zirkus erzählte der Vater ihr immer vor dem Einschlafen. Sie wollte, dass diese Geschichten nur ihnen beiden gehörten. Jedes Jahr, wenn der Herbst nahte, gingen seine Eltern auf eine neue Tournee, und niemand kam je auf den Gedanken, ihn in die Schule zu schicken. Die Eltern waren überzeugt, dass der Kleine irgendwann auch ein Akrobat wird, und dafür spielte Bildung keine besondere Rolle. Für die Zirkus-Fachschule genügte es, wenn man elementare Sachen beherrschte. Als der Vater acht Jahre alt geworden war, begann die Kostümfrau aus dem Zirkus, eine liebe Oma mit knallrot gefärbten Haaren, ihm jeden Abend vorzulesen. Da sie aber nur wenige Bücher besaß, benutzten sie zum Lernen die große illustrierte „Bibel der Rezepte", wie die Kostümfrau diese Geschenkausgabe bezeichnete. Das Buch wurde nie für seinen eigentlich Zweck verwendet. Die darin beschriebenen Speisen waren zu fein und zu kompliziert in der Zubereitung, als dass es jemandem hätte einfallen können, über fünf Stunden eine Boullion aus mehreren Fleischsorten zu kochen oder zwei Stunden damit zu verbringen, Gemüse in einem hermetisch geschlossenen Topf zu backen, geschweige denn unbekannte Saucen und Gewürze, die für solche Speisen erforderlich waren zuzubereiten. Aber die „Bibel der Rezepte" hatte große Buchstaben, und die Kostümfrau fand, dass sie für einen Leseanfänger geeignet waren. Wahrscheinlich war es eben diese „Bibel der Rezepte", die die Leidenschaft meines Vaters für die Kochkunst hervor gerufen hatte. Stundenlang hatte er sich die Bilder und Zeichnungen angeschaut, und versuchte sich vorzustellen, wie ein zwischen den Fingerspitzen zerriebener getrockneter Liebstöckel riecht oder frisches Basilikum mit ein paar Tropfen Morgentau, was er vom Hörensagen kannte, aber nie gekostet hatte.
[…]
Während dieser Gespräche schwieg Oma grimmig, sie mochte es nicht, wenn man von der Arbeit abgelenkt wurde. Aber nach dieser kurzen Pause waren alle lebendiger und hantierten viel schneller mit den Messern. Ihr Klopfen bildete sogar eine gewisse Gleichmäßigkeit, die etwas von einer monotonen Melodie besaß.

Die Autorität des Schwiegersohnes in kulinarischen Angelegenheiten war unangefochten und weckte selbst bei Oma keine Zweifel. Zumindest bis Saronas Vater anfing, strategische Fehler zu begehen, indem er der kulinarischen Raffinesse vor der bäuerlichen Sparsamkeit den Vorzug gab. Und diese Sparsamkeit war in Omas Haus das oberste Gebot. Dazu hatte sie das Leben erzogen, in dem als Höhepunkt des Wohlstandes immer ein Wintervorrat an Speck, Kartoffeln und Sauerkraut vorhanden war. Oma war die älteste Tochter einer armen Bauernfamilie, mit acht weiteren Kinder. Als Erwachsene hatte sie den Krieg erlebt, drei Kinder geboren und in der Kolchose geschuftet und in vier Gemüsegärten. Und selbst wenn nach all dem, der lange versprochene Kommunismus eingetreten wäre, würde die Oma kaum glauben, dass man auf die Wintervorräte von Kartoffeln, Speck und Sauerkraut verzichten kann.

Diesmal, als man das Schwein schlachtete, wurde Oma krank. Sie hatte Schnupfen und hohes Fieber. Aber das Datum dieses sakralen Rituals wurde immer im Voraus bestimmt, sodass es mit dem Kirchenkalender übereinstimmte, und die Familie in der Fastenzeit kein Fleisch essen oder die Feiertage ohne Wurst verbringen musste. Es war nicht üblich, das Ritual auf ein anderes Datum zu verlegen. Daher leitete die Oma stoisch, wie immer, den ganzen Prozess. Und nachdem alle wichtigen Entscheidungen getroffen waren, der Schweinekörper aufgeund zerteilt war, und nur die monotone Produktion von Grammeln und Schmalz übrig blieb, legte sich die Oma kurz auf die Seite. Und in diesem Augenblick traf Saronas Vater jene schicksalhafte Entscheidung und würzte das ganze Filet, das kostbarste Stück Fleisch, das in kleine Portionen eingeteilt, geräuchert und dann sparsam zu Feiertagen aufgeschnitten wurde. Ein Stück vom frischen Filet wurde gleich am selben Tag, an dem man das Schwein schlachtete, gebraten, um sich für die schwere Arbeit zu belohnen, und es war das feinste Fleisch, das Sarona je gekostet hatte. Weitere Schnitzel wurden am nächsten Tag, während des sonntäglichen Mittagessens, verspeist. Der Rest wurde in Schinken verwandelt, dabei ließen die Oma und der Opa den Schwiegersohn selten dabeisein, damit er die kostbare Nahrung nicht mit seinem Basilikum oder Liebstöckel verdarb. Schinken und Wurst wurden für den feierlichen Tisch bestimmt, daher achtete man bei der Zubereitung darauf, dass es in der langen Zeit von Weihnachten bis Ostern nicht schlecht wurde, deshalb wurde das Fleisch meistens zu stark gesalzen und geräuchert. Das Wichtigste war eben nicht der Geschmack, sondern die Haltbarkeit. Aber zu Feiertagen, als es außer Wurst ohnehin genug zu essen gab, war das kalte geräucherte Fleisch nicht sonderlich gefragt, vielleicht landete deswegen ein Großteil davon bei den Hunden und Katzen, denn beim langen Stehen auf dem Festtisch wurde es meistens doch schlecht. Aber selbst wenn jemand gewagt hätte, Oma etwas darüber zu erzählen, hätte man sie nicht überzeugen können. Die traditionellen Mechanismen der bäuerlichen Sparsamkeit waren tief verwurzelt, und so eine nichtige Sache wie Genuss wurde von ihnen nicht berücksichtigt. Das Wichtigste war, dass die Nahrung ausreichte und nicht vergeudet wurde — und nicht ihr Geschmack. Insgeheim war Saronas Vater damit nicht einverstanden und beschloss, die Oma umzustimmen, indem er das Gesetz der Sparsamkeit verletzte. Am darauffolgenden Sonntag, als alle mit einem schweren Kopf, wie nach einem Kater, erwachten, wie das nach intensiver Inhalation von Ausdünstungen des geschmolzenen Specks in der Regel der Fall war, schmorte die Überraschung des Schwiegersohns schon in der Sommerküche und verbreitete solche Düfte, die in der asketischen Kochkunst der Oma einfach unvorstellbar waren. Zum Mittagessen gab es mehr Fleisch und Salate, als Kartoffeln. Schweigend reagiert Oma auf eine solche Liederlichkeit. Sie kam nicht gleich darauf, aus welchem Fleisch der Braten war, daher gelang das Mittagessen ganz friedlich. Alle entspannten sich, tranken etwas zu viel, der Opa begann davon zu erzählen, wie das Schwein bei der deutschen Wirtin Monika, geschlachtet worden war, bei der er im Krieg gearbeitet hatte, nachdem er aus dem Konzentrationslager geflüchtet und er, wie durch ein Wunder, sich auch noch falsche Papiere hatte besorgen können. Monika war eine nette Frau, und Opa erinnerte sich oft daran, „was es für eine Ordnung beim Deutschen gab", und daran, dass ein Bruder von Monika „Schlesier" war und zu den Partisanen übergelaufen war, und der andere Bruder zur SS. Einmal trafen sie aufeinander, der SS-Mann rettete alle Partisanen, die er vernichten sollte, legte dann seine Uniform ab, und zusammen mit seinem Bruder flüchteten sie in den Westen und nach dem Krieg eröffneten sie irgendeine Firma in Kanada.

– Siehst du, wie sie – die Deutschen – alle sind, sprach Opa, als er die Episode mit Monika erzählt hatte – Bei uns hätte ein Bruder den anderen umgebracht und Punkt. Haben wir schon gesehen. Und die da, nein, die flüchteten und sind beide wohlauf. Das sollte man sich bei dem Deutschen abgucken. Und ich habe es mir abgeguckt.
– Du hättest dir lieber abgucken sollen, wie man weniger Schnaps trinkt und seine Zunge im Zaum hält – ergänzte Oma ihn immer an dieser Stelle.
Ihr Wortwechsel war immer gleich und festgelegt wie das Menü für den Festtisch.
– Bleib ruhig, Weib! – würde der Opa nach Omas Worten mit der Faust auf den Tisch hauen und fortfahren – das Weib, wissen Sie, das ist eine Null. Und nur der Mann ist die Phase. Und wenn die Phase auf Nullleiter trifft, wissen Sie, was dann passiert? Sie wissen's nicht, aber ich weiß es. Weil ich die Welt gesehen habe.
Und wenn der Opa diese Worte sprach, bedeutete es, dass er einen Grad der Trunkenheit erreicht hatte, bei dem jede Diskussion mit ihm vergeblich war. Aber diesmal wurde Oma, offenbar durch die unerwartete Menüänderungen bedingt, abgelenkt, und in dem Augenblick, als der Opa sich schon anschickte, mit der Faust auf den Tisch zu hauen, witterte sie plötzlich etwas, sprang vom Tisch auf und stürzte in die Sommerküche, in der das Fleisch zum Räuchern aufbewahrt wurde. Während die Oma vergeblich nach dem Filet suchend, mit Wut verzerrtem Gesicht ins Zimmer zurückkehrte, wo sie auf der Schwelle erstarrte und nach einem gewichtigen Wort rang, saß der Opa mit erhobenen Armen, ratlos, wie er nun die traditionelle Moral der Geschichte vorbringen sollte. Oma und Opa, die vor lauter unerwarteten und widersprüchlichen Gefühlen erstarrten, erinnerten an eine Plastikgruppe oder an das Fragment einer avantgardistischen Aufführung, die unter anderem die Handlungen der Protagonisten in Zeitlupe verwendet. Oma blieb noch eine Weile in Gedanken stehen, unsicher, ob ihr gewohntes „wo gibt's denn sowas?" diesmal nicht zu alltäglich klang, dann holte sie Atem und sagte mit einer zitternden Stimme:
– Du, elender Zigeuner, willst du hier Fleisch stehlen?

Danach war es am Tisch totenstill. Und nach wenigen Monaten zogen Saronas Eltern in das Nachbarstädtchen und hinterließen Oma die Käfige mit Kaninchen, Biberratten sowie den getrockneten Liebstöckel auf dem Dachboden. Den Liebstöckel rührte die Oma nicht an, noch jahrelang fiel er auf den Boden und verlieh dem Duft des trockenen Heus, das auf dem Dachboden lag, etwas Würziges.

Mit „Zigeuner" hänselte man Saronas Vater im Waisenhaus für seinen dunkleren Teint und für seine pechschwarzen Locken. Im Zirkus, lang bevor seine Eltern bei einer Aufführung verunglückten, weil ihre Nummer durch die Fahrlässigkeit eines anderen misslang, wurde

Saronas Vater nie Zigeuner genannt. Dieser Spitzname tauchte bei ihm zusammen mit dem Tod der Eltern, im Waisenhaus auf, wo er viel zu früh seine Kindheit verlor. Als nämlich im Waisenhaus etwas verloren ging, verdächtigte man zuerst ihn. Die Zigeuner klauen ja bekanntlich. Dieses völlig unbegründete Vorurteil machte Saronas Vater noch wütender als der Spitzname selbst, obwohl er trotz dieser Empörung gewöhnlich wie alle um ihn herum sagte: „Wissen sie, er ist halt ein Jude", um danach eine vieldeutige Pause einzulegen, als würde das Gesagte von selbst etwas erklären.

[Aus dem Ukrainischen von Roman Dubasevytsch]

Виноград ріс на балконі кухні і ніколи не встигав дозріти за літо. Восени Орест робив із цього винограду домашнє вино, яким страшенно пишався попри його доволі сумнівні смакові якості. З балкона було видно шматочок грядки, точніше, того, що колись було грядкою у внутрішньому дворі будинку, і стіну, глуху триметрову стіну, яка відділяла сусіднє обійстя. Та стіна теж була обвита виноградними гілками, але вони чомусь не плодоносили. Можливо, це був спеціальний сорт винограду, призначений для таких суміжних міжсусідських стін, сорт, який повинен давати лише естетичний ефект і берегти вразливі сусідські стосунки від передбачуваного конфлікту, наприклад, через неможливість справедливо поділити ягоди винограду, які раптом дозріли б на спільній стіні.

Ірина любила виходити на цей балкон опівдні, коли туди доходило сонце і освітлювало внутрішній двір і стіну. Дивилася на сонце крізь плетиво виноградної лози, у якому непросто було розгледіти крихітні зелені ягідки. Вони не встигали за літо дозріти як слід, бо росли на тінистій стороні будинку, але їй розходилося лише про те, щоб застати виноград у відповідний момент, наприклад, опівдні сонячного дня або після раптового дощу, коли дощові краплі перекочувалися з листка на листок, переносячи за собою хвости сонячних зайчиків, які сипалися кудись, у недоступні міжлисткові глибини, ніби шукали невидимі схованки, в яких пересиджуватимуть тінь аж до наступного полудня.

Одного такого пообіддя Орест раптом запропонував Ірині прогулятися на край села. Вона здивувалася, бо придатних для романтичних прогулянок місць в околицях села не було, і коли їм хотілося кудись вийти, вони здебільшого їхали на каву до міста. Орест взяв із собою велику торбу, і вони вирушили у напрямку поля, де їхні односельці вирощували овочі.

Був саме період дозрівання кабачків, насаджених поміж кукурудзою, і Орест запропонував зірвати собі кілька на вечерю. Кабачків було так багато, що навряд чи господарі помітять втрату. Ірина почувала себе не дуже комфортно, їй ніколи раніше не доводилося нічого красти, а переконати себе, що це не крадіжка, ніяк не вдавалося. Вона раз по раз боязко озиралася, у шурхоті кукурудзяних стебел їй вчувалися кроки розлючених господарів. Орест заспокоїв її, що навряд чи в неділю навіть найпильніші селяни підуть на поле, і мав рацію, але Ірина все одно почувалася непевно. Орест із Іриною забрели у густу кукурудзу, намагаючись знайти у ній здобич і водночас не перечепитися об розгалужене по землі бадилля. Ірина так і не наважилася зірвати жодного кабачка, але Орест швидко знайшов кілька велетенських і кинув їх у торбу.

Потім він підійшов до Ірини ззаду і зненацька запхнув руку їй під спідницю. Ще за мить вона відчула доторк його гарячого набряклого прутня. Від несподіванки їй запаморочилося у голові, і мало не вперше за весь час їхнього роману вона відчула справжнє збудження. Орест поводив себе зовсім не так, як завжди. Не було ні методичного розтирання прутня, поки він не досягне потрібної твердості, ні такого ж методичного, аж до болю, потирання клітора, щоб викликати збудження в Ірини, ні розмірених поштовхів, терплячих і заколисливих, які зовсім не збуджували її, та і Орест зосереджувався в основному на тому, щоб не кінчити передчасно.

Орест дуже пишався своєю еротичною майстерністю, багато розповідав Ірині про східні практики пролонгованого статевого акту, про те, як часто і як довго він може кохатися, про те, що ніколи не дозволяє собі залишити партнерку без оргазму, таке було би образою його гідності. Усі ці розповіді подобалися їй, вона дізнавалася багато нового для себе, їй було цікаво, хотілося спробувати все це на власному досвіді, і вони пробували — часто, багато, з регулярними оргазмами. І тоді Ірині здавалося, що так і повинно бути, все це вигідно відрізнялося від кохання із надто кваплівими і нестриманими однолітками, які мало знали, ще менше вміли й здебільшого не дуже переймалися тим, чи сподобалися любощі партнерці. Реулярний оргазм Орест вважав найміцнішою запорукою щасливого сімейного життя, і важко було йому заперечити.

Але тільки тепер, коли збудження прийшло до неї несподівано, спонтанно і вона готова була відразу прийняти в себе його гарячий прутень, тільки тепер вона відчула, що однієї лише майстерності так само замало, як замало самої лише молодості і сили бажання. Для того, аби все було так, як зараз, коли не потрібні жодні техніки, жодні умови, жодні афродизіаки чи пестливі слова, які Орест любив чергувати з матюками. Щоб все було так, потрібно щось зовсім інше, щось спонтанне і випадкове, щось справжнє. І це їм вдалося один-єдиний раз. Ірина стала на коліна і відчула, як Орест входить у неї ззаду, рухається повільними ривками, зовсім не м'яко-заколисливо, як раніше, відчула, що йому складно стримуватися, і що їй теж складно стримуватися, відчула наростання тепла і злагоджений рух м'язів, уже незалежний від її волі, позбавлений її контролю, відчула спалах і терпке поколювання у пучках пальців, відчула, як Орест виходить з неї і зі стогоном кінчає просто на сумку з кабачками. Вона безсило опустилася на землю і заплющила очі, намагаючись затримати момент, якого більше не буде, це вона знала точно, і від цього було водночас сумно і радісно, було ясно, що відтепер у ній щось змінилося, вона відкрила у собі щось нове, що нездатна пояснити раціонально, але це щось дуже важливе і це примусить змінитися всю її істоту.

Усвідомлення права на дослухання потреб власного тіла було дуже важливим відкриттям, і протягом певного періоду ні про що інше Ірина просто не могла думати. Але коли минула ця перша ейфорія, Ірина раптом відчула, що почала нудитися у цьому будинку, відчула потребу вийти назовні, побачити людей, побувати у місті. Це сталося дуже раптово. Кілька тижнів підряд вона навіть не думала про те, щоб поїхати кудись і вийти далі, ніж у сад, а потім одного ранку прокинулася з переконаністю, що мусить якнайшвидше вирватися звідси, бо по-іншому збожеволіє. Це було трохи схоже на голод. Спершу він ледь відчутний, і якщо займатися чимось цікавим, то можна спокійно не зважати на нього, потім на якусь мить стає нестерпним, і вже неможливо думати ні про що інше. Але якщо перетерпіти цей момент, не кинутися на пошуки їжі, то потім відчуття голоду знову ослабне і навіть прийде якесь просвітлення, предмети довкола здаватимуться чіткішими, а почуті випадково фрази наштовхуватимуть на несподівані роздуми. Приходить якесь очищення, коли думки і відчуття звільняються від зайвого баласту органіки і накоротко, але все ж таки почувають радість звільнення від постійного диктату шлунку.

Так було і тут. Мозок Ірини поволі очищувався від зайвих вражень, думок і непотрібного стресу. Але в якийсь момент виникло відчуття протесту і знову захотілося до звичної рутини.

Того дня падав дощ, і ґрунтова дорога по селі, якою треба було йти до автостради, розмокла. Аби Ірина могла дістатися до зупинки автобуса, Орест обмотав її черевики пластиковими торбинками і ще дві дав із собою на зворотню дорогу. Собі він теж обмотав ноги і відпровадив її до зупинки. Перестрибуючи через велетенські калюжі і провалюючись у глибоку багнюку, Ірина хвилин сорок плenталася до зупинки. Потім ще півгодини чекала на автобус, який їхав до центру близько години. Іти на каву їй давно розхотілося, і вона побрела навмання, дивуючись, скільки довкола непотрібного галасу і метушні. Виявляється, вона вже встигла відвикнути від усього цього, і тепер її дратували речі, яких вона просто не помічала раніше. Ірина спробувала купити продуктів додому, але зловила себе на думці, що не пам'ятає, чого бракує, а тим більше яким саме продуктам надає перевагу Орест. У нього була ціла мережа надійних постачальників, які діставали для нього у ті дефіцитні часи все необхідне. Врешті вона купила вина і повернулася. Орест явно не чекав її так рано і здивувався, що вона не повеселішала.

Ірині складно було сказати йому про це, але під час тієї поїздки вона раптом злякалася, що Орест узалежнить її від себе у такий простий побутовий спосіб. Як надто дбайлива мати, яка самовіддано щоранку варить кашку для єдиного сорокарічного сина, а натомість вимагає від нього детального звіту про те, як минув день. І обоє вважають, що так і повинна виглядати дбайливість і взаємна любов – цілковитий контроль плюс нездатність до самостійного існування.

Усе це було несподівано навіть для неї самої, так несподівано випадає сніг, якого ніби очікуєш щодня, але тільки не того дня, коли він справді з'являється. Одного ранку її розслаблений і напівсонний стан раптом кудись зник і вона подивилася на все зовсім іншими очима, чітко усвідомлюючи різницю між дитячим бунтом та дорослою люттю, між свідомо обраною тактикою дрібних компромісів і різким, як бритва, відчуттям приниження, з яким неможливо змиритися. Приниження від заздалегідь призначеної тобі ролі, призначеної за якимись спільними для всіх критеріями, на які ти не можеш вплинути, і жодні твої особисті якості чи заслуги не здатні змінити твого майбутнього статусу і ставлення до тебе.

Компроміси, які вона змалку звикла вважати неминучими, раптом перестали її влаштовувати. Вона усвідомила, що нездатна більше вважати нормальним те, що їхні з Орестом стосунки все більше нагадують вдалу комерційну оборудку, в якій обидві сторони поступилися чимось не дуже важливим заради взаємної вигоди. Орест сприймав її готовність оселитися у його відрізаному від решти світу і захаращеному будинку з майже благоговійною вдячністю, і за цю вдячність очікував від неї готовності прислухатися до його вимог, пристосовуватися до запровадженого ним раз і назавжди способу існування, у якому вона не могла змінити нічого справді суттєвого. Їй було віддано право панувати над дрібницями, але в жодному разі не запроваджувати якихось кардинальних змін. Навіть на побутовому рівні. Пропозиції зробити ремонт, переставити меблі чи полагодити колонку лякали Ореста, він розгублено та невпевнено обіцяв їй, що все зробить, тільки не сьогодні, зараз у нього багато справ, але взагалі він і сам давно збирався, але тепер, коли їм так добре разом, шкода на це часу, тому вони все вирішать і спокійно все залагодять, лише трохи згодом. Спершу Ірина справді вірила цим обіцянкам, потім збагнула, що Орест говорить так лише для того, щоб не сперечатися з нею. А далі просто перестала пропонувати якісь кардинальні зміни і під настрій займалася самим лише дрібним прибиранням, пранням штор, витиранням пилу і впорядковуванням предметів у шафах. Усе це викликало в Ореста захоплення, і на знак вдячності він із особливим натхненням проводив час на кухні, готуючи неймовірно смачні страви. Поступово Ірина зрозуміла, що цей сегмент господарської діяльності – єдиний, який Орест готовий віддати до її диспозиції, тут вона може робити все що завгодно, йому це просто байдуже, і поволі він припинить із таким ентузіазмом дякувати їй за зроблене і просто не звертатиме уваги на те, чисто

у нього в будинку чи ні. Як і на те, наскільки комфортно їй живеться посеред усіх цих поламаних колонок, запилюжених антресолів і десятиліттями небілених стін. Так само категорично він ніколи не допустить її до прийняття якихось важливіших рішень, спершу м'яко заперечуючи, мовляв, навіщо тобі у все це вникати, а потім і грубо демонструючи власну чоловічу перевагу. Адже важливі рішення – не для жіночих голівок. Колись, у стані п'яної відвертості щось таке вирвалося у нього, й Ірина усвідомила, що саме так він і думає, думає про всіх жінок, і вона зовсім не є винятком, рано чи пізно їй доведеться це відчути на власній шкірі.

– Жінка як кішка, – сказав він тоді. – Хто погладить, до того і притулиться. Жінці може бути добре з будь-яким чоловіком. Тільки дурні вважають, що жінку секс не цікавить. Насправді тільки секс її і цікавить. Тож тільки той, хто може добре виграти свою кобіту, застрахований, що вона його не кине і що в сім'ї все буде як слід.

Чомусь із усього цього монологу найбільше різонуло Іринине вухо слизьке і холодне, мов слимак, фінальне «як слід». Чомусь їй пригадалося у той момент, як у спальні її батьків, розташованій на п'ятому поверсі бетонної багатоповерхівки, з'явилася тріщина у зовнішній стіні. І як не намагалися батьки залатати її, тріщина не зникала, щоразу поновлюючись і прозираючи з-під тиньку, вона не збільшувалася, але і не зменшувалася, демонструючи не стільки безпосередню загрозу, скільки якусь понуру безнадійність у спробах боротися з собою. Тріщина ніби демонструвала батькам, що не вони приймають тут рішення і визначають, як слід виглядати стіні.

NATALKA SNIADANKO (1973) – Schriftstellerin, Übersetzerin aus dem Polnischen, Deutschen und Russischen, Redakteurin der Zeitschrift RADAR sowie Literaturkritikerin. Absolventin der nationalen Iwan-Franko-Universität in Lemberg und der Universität Freiburg im Breisgau. Übersetzete Bücher vom Franz Kafka, Günter Grass, Elfride Jelinek, Friedrich Dürrenmatt, Herta Müller, Czesław Miłosz u.a. Autorin von sieben Prosabände (in deutscher Übersetzung erschien der Roman *Sammlung der Leidenschaften*, dtv, 2007). Ihre Texte wurden ins Polnische, Deutsche, Englische und Russische übersetzt. Preisträgerin des *Joseph-Conrad-Preises 2011*. Stipendiatin des Programms *Homines Urbani* in der Villa Decius in Krakau, *Gaude Polonia*, der Berliner Akademie der Künste sowie anderer. Das präsentierte Fragment stammt aus ihrem neuesten Buch *Das Liebhaber-Herbarium* (Verlag „Klub simejnoho dozwillia", Kharkiw, 2011)

Kontakt: snyadanko73@yahoo.com

НАТАЛКА СНЯДАНКО (1973) – письменниця, перекладачка з польської, німецької і російської, редакторка часопису „Радар" та літературний критик. Випускниця Львівського національного університету ім. Івана Франка та університету міста Фрайбурга. Перекладачка творів Франца Кафки, Ґюнтера Ґрасса, Ельфріде Єлінек, Фрідріха Дюрренматта, Герти Мюллер, Чеслава Мілоша та ін. Авторка 7 книг прози (німецькою опублікована *Sammlung der Leidenschaften*, dtv, 2007). Її тексти перекладені польською, німецькою, англійською і російською мовами. Лауреатка Премії *Джозефа Конрада у 2011 році*. Стипендистка програми *Homines Urbani* у Віллі Децюша в Кракові, *Gaude Polonia*, Берлінської Академії мистецтв та ін. Презентований фрагмент вибрано з найновішої книги авторки Гербарій коханців ("Клуб сімейного дозвілля", Харків, 2011).

Контакт: snyadanko73@yahoo.com

Robert Ostaszewski Robert Ostaszewski

Alle lesen Krimis!
Wszyscy czytają kryminały!

Manchmal entwickelt sich die Literatur auf eine vollkommen unvorhergesehene Art und Weise. Das ist in den letzten Jahren in Polen der Fall. Am lebhaftesten entw-ickelt sich nicht etwa der Mainstream der polnischen Prosa, den interessantesten Texten begegnet man in den Genres Reportage und Kriminalroman. Der Aufschwung der Dokumentarliteratur ist dabei wohl keine große Überraschung, schließlich genießt die polnische Reportageschule seit Jahrzehnten auch international hohes Ansehen – hier seien nur die bekannten Autoren Hanna Krall und Ryszard Kapuściński genannt. Derzeit betritt eine neue Generation talentierter Reportage-Autoren die literarische Bühne, wie Jacek Hugo-Bader, Mariusz Szczygieł oder Wojciech Tochman, um nur einige Beispiele zu nennen. Im Gegensatz dazu ist der Krimi-Boom eine echte Überraschung. Warum?

Innerhalb von nur zwölf Jahren hat sich die polnische Kriminalliteratur wie Phoenix aus der Asche erhoben. Noch Anfang des neuen Jahrtausends war sie praktisch nicht existent, nur wenige polnische Autoren widmeten sich dieser Spielart der Literatur; die Leser ignorierten sie und griffen lieber nach den Übersetzungen englischer oder skandinavischer Autoren, die Kritiker taten sie als wertlose Trivialliteratur ab. Die Gründe für den plötzlichen Wandel, die Renaissance des Krimis sind vielfältig, und ihre Analyse würde einen eigenen Text erfordern. Ich will aber zumindest auf einige Faktoren hinweisen, die entscheidend dazu beigetragen haben, dass sich die Situation des Krimis grundlegend verändert hat. Ein erstes Schlüsselereignis war der Erfolg von Marek Krajewskis düsteren Retro-Krimis um den Breslauer Polizisten Eberhard Mock, von denen Leser und Kritiker gleichermaßen begeistert waren. Eine wichtige Rolle spielte auch das Internationale Krimi-Festival, das heute in Breslau stattfindet, das diese Literaturgattung erfolgreich popularisiert und Autoren wie Verlage überzeugen konnte, auf Krimis zu setzen. Und schließlich setzten die Autoren auf die vielversprechende Formel „Krimi+".
Was aber ist das?
Jahrelang war in Polen die – auch von Literaturwissenschaftlern ständig wiederholte – Überzeugung verbreitet, Krimis seien ausschließlich Unterhaltungsliteratur: Ihre Verfasser seien geschickte literarische Handwerker, die hübsch angerichtete Geschichten von Verbrechen servieren könnten – mehr aber auch nicht. In den letzten Jahren aber haben die polnischen Krimiautoren dieser Überzeugung zum Trotz die klassische Formel der Gattung – von skandinavischen Vorbildern inspiriert – schöpferisch weiter entwickelt. Als ein sehr „kombinierfähiges" Genre lässt sich die Kriminalliteratur mit Motiven und Darstellungsformen anderer Gattungen wie Horror oder Fantasy verbinden. Ein Teil der polnischen Autoren wählte jedoch einen anderen Weg und bereicherte ihre Texte stattdessen um Elemente des Gesellschafts- oder Sittenromans, des psychologischen oder des historischen Romans. Anders gesagt: Sie bedienten sich zwar weiterhin der klassischen Krimi-Staffage, griffen aber erfolgreich Themen auf, die bisher Domäne der Mainstream-Literatur gewesen waren. Das ist das Wesentliche der Formel „Krimi+". Im Folgenden werde ich nur einige ausgewählte Strömungen der polnischen Kriminalliteratur beschreiben, die außerordentlich vielfältig ist – und das ist schließlich noch eine ihrer Vorzüge!

Die Retro-Krimis, deren Handlung in der Zwischenkriegszeit angesiedelt ist, erfreuen sich nach wie vor großer Beliebtheit. Das ist einerseits auf den Erfolg von Krajewskis Detektiv Mock zurückzuführen. Zudem griffen die Autoren auf ein bereits früher erprobtes Prosa-Modell zurück, auf die in den 1990er Jahren sehr beliebte, regional verwurzelte „Literatur der kleinen Heimaten". Im Retro-Krimi ist der historische Hintergrund mindestens genauso wichtig wie der eigentliche Kriminalfall – wenn nicht noch wichtiger! Auf die Frage: „Was ist Ihrer Meinung nach im Retro-Krimi wichtiger – die Geschichte oder das Verbrechen?" antwortete Piotr Schmandt, Autor eines Anfang des 20. Jahrhunderts in Neustadt in Westpreußen spielenden Krimizyklus um Inspektor Braun (*Das preußische Rätsel*, *Die Fotografie*), in einem Interview rundheraus: „Ganz eindeutig die Geschichte. In diesem Genre beobachte ich das Streben

nach höchstmöglicher Glaubwürdigkeit und umfassender Darstellung der historischen Wirklichkeit in allen ihren Aspekten. Das ist auch mein Anspruch." Die Verfasser von Retro-Krimis wählen als Schauplatz ihrer Geschichte häufig Städte und Regionen, die von der großen Geschichte umgepflügt oder ausgelöscht wurden und bewahren sie auf diese Weise vor dem Vergessen. Das gilt für Krajewskis bereits erwähnten Kommissar Mock aus Breslau, aber auch für einen neuen Helden dieses Autors, den Kommissar Popielski, der im Lemberg der Vorkriegszeit ermittelt. Dort ist auch der investigative Journalist Stern aus der Feder Paweł Jaszczukos zuhause (*Foresta umbra*, *Saras Plan*, *Marionetten*), während die Geschichten Marcin Wrońskis über den Kommissar Maciejewski (*Zensierter Mord*, *Kino Venus*, *Und sie wird Aniela heißen*) in Lublin angesiedelt sind. Insbesondere der Autor von *Kino Venus* ist einer der besten zeitgenössischen polnischen Autoren überhaupt, nicht nur in der Kategorie Retro-Krimi. Wroński bietet seinen Lesern mehr als ungewöhnliche Kriminalfälle – er bringt ihnen auch die Geschichte und Atmosphäre des Lublins der Zwischenkriegszeit nahe, einer nur auf den ersten Blick provinziellen Stadt, die durch ihre Multikulturalität bestach. Gekonnt bedient sich der Autor dabei der Schemata der klassischen Kriminalliteratur – seine Hauptfigur, der Kommissar Maciejewski, scheint dem Roman Noir entsprungen zu sein. Aber darüber hinaus haben Wrońskis Geschichten noch das „gewisse Etwas", eine stilistische Virtuosität, wie man sie in diesem Genre nur selten findet.

Auch die Entwicklungen im Frauenkrimi sind höchst interessant. So ging der prestigeträchtige Literaturpreis „Großes Kaliber", der für den besten Krimi oder Thriller des Jahres verliehen wird, in den letzten beiden Jahren jeweils an eine Autorin. Das spricht für sich und für die Preisträgerinnen Joanna Jodełka und Gaja Grzegorzewska. Das von Joanna Chmielewska, der Grande Dame des polnischen Krimis, erprobte Modell des Kriminalromans, das in leichter und humorvoller Form auch gesellschaftliche Themen aufgreift, wirkt weiterhin stilprägend. Andere Autorinnen gehen dagegen eigene Wege. So nimmt Gaja Grzegorzewska in ihrem von Sex und Gewalt überbordenden Büchern (*Der Erntearbeiter*, *In der Nacht von Donnerstag auf Sonntag*, *Die Ertrunkene*) eindeutig auf die Tradition des amerikanischen Krimis Bezug: ihre Privatdetektivin Dobrowolska ist ein echter „Marlowe im Rock". Jolanta Jodełka hat sich dagegen durch vielschichtige, komplexe Handlungsführungen einen Namen gemacht. In ihrem Debütroman *Polychromie* präsentierte sie den Lesern ein fertig ausgearbeitetes literarisches Konzept, das Elemente von Großstadtkrimi (mit Posen als einer der „Hauptfiguren") und Sittenroman verband. In ihrem jüngsten Roman *Die Klapper*, der um einen Fall von Säuglingshandel aufgebaut ist, erweiterte sie dieses Konzept um Elemente des skandinavischen Krimis und des psychologischen Romans. Besondere Beachtung verdienen dabei die Präzision und Tiefe, mit der Jodełka das Innenleben ihrer Charaktere zeichnet, das von anderen Autoren häufig vernachlässigt wird.

Der Krimi in der Formel „+" eignet sich bestens, Veränderungen im heutigen Polen zu beschreiben und zu analysieren. Häufig setzen die Autoren bei der Gestaltung ihrer Kriminalfälle auf heikle Themen und gesellschaftliche Kontroversen. Beispiele dafür sind die Überprüfung von ehemaligen Geheimdienstmitarbeitern (Der Verräter von Marek Harny) oder die Aufarbeitung der kommunistischen Vergangenheit und damit die Geschichte Volkspolens insgesamt (wie in Zygmunt Miłoszewskis aufsehenerregendem Roman Verstrickung, der auch verfilmt wurde). Zunehmend werden auch in der Prosa bislang nur selten präsente oder gar stillschweigend übergangene Milieus und gesellschaftliche Gruppen dargestellt. So schildert Mariusz Czubaj in seinem Roman *21:37 Uhr* die Welt der Priesterseminare, während Edward Pasewicz in *Tod im Darkroom* einen Kriminalfall im Posener Schwulenmilieu angesiedelt hat. Die Autoren sind bemüht, die polnische Wirklichkeit in möglichst vielen verschiedenen Facetten zu zeigen, nicht nur in der düsteren und blutigen.

Schon dieser kurze Überblick zeigt die Vielfalt und den Reichtum der zeitgenössischen Kriminalliteratur und ihre zunehmende Bedeutung in der polnischen Prosaliteratur. Man muss nur auswählen und zugreifen! Und dann lesen, lesen, lesen!

[Aus dem Polnischen von Saskia Herklotz]

Zdarza się, że literatura zmienia się w sposób absolutnie nieprzewidywalny. Tak właśnie dzieje się w ostatnich latach w polskiej literaturze. Najbujniej rozwija się, najciekawsze teksty przynosi wcale nie proza głównego nurtu, lecz reportaż i powieść kryminalna. Tak właśnie! Rozkwit reportażu nie jest może aż tak wielkim zaskoczeniem, polska szkoła reportażu od dziesięcioleci ma świetne notowania, by wspomnieć cenionych nie tylko w kraju i na świecie Hannę Krall i Ryszarda Kapuścińskiego, obecnie pojawiło się kolejne pokolenie zdolnych reportażystów, takich jak – dla przykładu – Jacek Hugo-Bader, Mariusz Szczygieł czy Wojciech Tochman. Natomiast kryminalny boom to absolutna niespodzianka. Dlaczego?

W ciągu dwunastu lat polska proza kryminalna odrodziła się niczym Feniks z popiołów. Jeszcze na początku wieku praktycznie nie istniała, niewielu pisarzy stawiało na tę odmianę prozy gatunkowej, czytelnicy ignorowali ją, woląc sięgać po tłumaczenia kryminałów anglojęzycznych czy skandynawskich, krytycy lekceważyli, uważając za nic nie wartą literaturę wagonową. Przyczyny nagłej zmiany, renesansu kryminału są złożone, analiza ich wymagałaby oddzielnego tekstu, wskażę jedynie kilka czynników, które wpłynęły na to, że sytuacja kryminału zmieniła się diametralnie. Pierwszym sygnałem był sukces serii mrocznych retro kryminałów Marka Krajewskiego, z policjantem z Breslau Eberhardem Mockiem jako głównym bohaterem, które zostały docenione zarówno przez czytelników, jak i krytyków. Ważną rolę odegrał Festiwal Kryminału, obecnie funkcjonujący jako Międzynarodowy Festiwal Kryminału we Wrocławiu, promujący – z sukcesem – tę odmianę prozy, co sprawiło, że tak pisarze, jak i wydawcy przekonali się, że warto stawiać na kryminały. A wreszcie – autorzy powieści kryminalnych postawili na formułę kryminał+, która – jak się okazało – przyniosła im sukces. Co to takiego?

Przez lata pokutowało u nas – powielane bezrefleksyjnie przez literaturoznawców – przeświadczenie, że kryminały należą li tylko do literatury rozrywkowej, że dostarczają co najwyżej zgrabnie podanych opowieści o zbrodni, zaś twórcy tego rodzaju prozy mogą być co najwyżej sprawnymi rzemieślnikami literackimi, nikim więcej.
W ostatnich latach autorzy prozy kryminalnej zadali kłam temu przeświadczeniu, twórczo rozwijając – dzięki inspiracji kryminałem skandynawskim – klasyczną formułę tego gatunku. Kryminał należy do gatunków łączliwych, z łatwością wchłaniających schematy i motywy rodem z innych odmian prozy – dla przykładu: horroru czy fantastyki. Część polskich autorów kryminałów poszła nieco inną drogą, wzbogacając swoje teksty elementami powieści obyczajowej, psychologicznej czy historycznej. Inaczej rzecz ujmując: posługując się kryminalnym sztafażem, z powodzeniem zaczęli pisać o problemach, którymi wcześniej zajmowała się proza głównego nurtu. Na tym właśnie zasadza się formuła kryminał+. Przybliżę, w jaki sposób jest realizowana, zastrzegając przy tym, że opisuję jedynie wybrane nurty w polskim kryminale, który jest niezwykle zróżnicowany (to jeszcze jedna jego zaleta!).

Najbardziej popularne w prozie kryminalnej wciąż są kryminały retro, których akcja rozgrywa się w okresie międzywojennym, co z jednej strony wynika z sukcesu cyklu Krajewskiego, z drugiej – z faktu, że autorzy tych kryminałów wykorzystali sprawdzony wcześniej model prozy, szczególnie popularny w latach 90. ubiegłego wieku, czyli schemat „literatury małych ojczyzn".
W kryminałach retro równie ważna, jak kryminalne intrygi, jest historia. A nawet istotniejsza! W jednym z wywiadów mówi o tym wprost Piotr Schmandt – autor między innymi cyklu kryminałów z inspektorem Braunem, których akcja rozgrywa się na początku ubiegłego wieku w Wejherowie (*Pruska zagadka*, *Fotografia*) – który na pytanie: „Co jest Pana zdaniem w kryminale retro ważniejsze – historia czy intryga kryminalna?", odpowiada wprost: „Zdecydowanie historia. Zauważam w książkach tego gatunku, i sam to praktykuję, ambicje do maksymalnie wiarygodnego i wszechstronnego ukazania rozmaitych aspektów ówczesnej codzienności". Twórcy kryminałów retro najczęściej za miejsce akcji wybierają miasta i regiony, które przeorała, zniszczyła Historia, próbując w ten sposób ocalić pamięć o nich. Tak jest w przypadku wspomnianego już cyklu Krajewskiego o Breslau (i nowej serii z komisarzem Popielskim umiejscowionej w scenerii przedwojennego Lwowa), serii Pawła Jaszczuka o lwowskim dziennikarzu śledczym Sternie (*Foresta umbra*, *Plan Sary*, *Marionetki*) czy wreszcie – książek Marcina Wrońskiego o komisarzu Maciejewskim (*Morderstwo pod cenzurą*, *Kino Venus*, *A na imię jej będzie Aniela*), umiejscowionych w realiach przedwojennego Lublina. Właśnie – Wroński… Autor *Kina Venus* jest obecnie jednym z najlepszych pisarzy kryminalnych. Nie tylko w kategorii kryminałów retro. Wroński ma dar tworzenia niebanalnych intryg kryminalnych, ale też z pasją przybliża czytelnikom obraz i historię przedwojennego Lublina, miasta niby prowincjonalnego, ale intrygującego przez swą wielokulturowość. Wroński umiejętnie posługuje się klasycznymi schematami kryminału – postać głównego bohatera, komisarza Maciejewskiego jest rodem z kryminału noir – ale dodaje do nich coś jeszcze, stylistyczną wirtuozerię, co jest rzadkie w tej odmianie powieści.

Ciekawie rozwija się kryminał kobiecy. Znamienne jest, że prestiżowa Nagroda Wielkiego Kalibru dla najlepszej książki kryminalnej/sensacyjnej roku przez ostatnie dwa lata z rzędu trafiała do pisarek – Joanny Jodełki i Gai Grzegorzewskiej. Część autorek wykorzystuje sprawdzony przez pierwszą damę rodzimego kryminału, Joannę Chmielewską, model powieści kryminalnej w której ważne miejsce zajmuje rozbudowana, podawana lekko, z humorem, warstwa obyczajowa. Inne próbują wydeptywać własne ścieżki. Grzegorzewska w epatującym seksem i przemocną cyklu o prywatnej detektywce Dobrowolskiej wyraźnie odwołuje się do tradycji kryminału amerykańskiego, a jej główna bohaterka to prawdziwy Marlowe w spódnicy (*Żniwiarz*, *Noc z czwartku na niedzielę*, *Topielica*). Bardziej pokomplikowane, niejednoznaczne narracje tworzy Jodełka, która, wydając debiutancką *Polichromię*, przyszła do czytelników z gotowym pomysłem na prozę, zasadzającym się na połączeniu kryminału miejskiego (z Poznaniem jako jednym z bohaterów) z powieścią obyczajową. Rozwinęła go w *Grzechotce*, dodając jeszcze do tego motywy rodem z kryminału skandynawskiego i powieści psychologicznej. Intryga zbudowana jest w tej powieści wokół sprawy handlu niemowlętami. Warto zwrócić szczególną uwagę na precyzję i głębię psychologicznego rysunku bohaterów w książkach Jodełki, o co nie zawsze dbają autorzy kryminalnych opowieści.

Kryminał w formule „+" świetnie sprawdza się jako narzędzie opisu i analizy przemian zachodzących we współczesnej Polsce. Autorzy kryminałów chętnie stawiają na odwołania w kryminalnych intrygach do drażliwych kwestii, będących w danym momencie przedmiotem debaty publicznej, takich chociażby jak problem lustracji (*Zdrajca* Marka Harnego) czy w ogóle rozliczeń z PRL-owską przeszłością (głośne *Uwikłanie* Zygmunta Miłoszewskiego, które doczekało się adaptacji filmowej). Pokazują środowiska czy grupy społeczne wcześniej z rzadka przedstawiane w prozie, albo nawet pomijane milczeniem. Dla przykładu: Mariusz Czubaj w powieści *21:37* próbował prześwietlić świat seminariów duchownych, zaś Edward Pasewicz w *Śmierci w darkroomie* kryminalną zagadkę powiązał z opisem poznańskiego środowiska gejowskiego. Rzecz ujmując krótko, starają się pokazywać polską rzeczywistość w wszystkich możliwych aspektach, nie tylko mrocznych i krwawych.

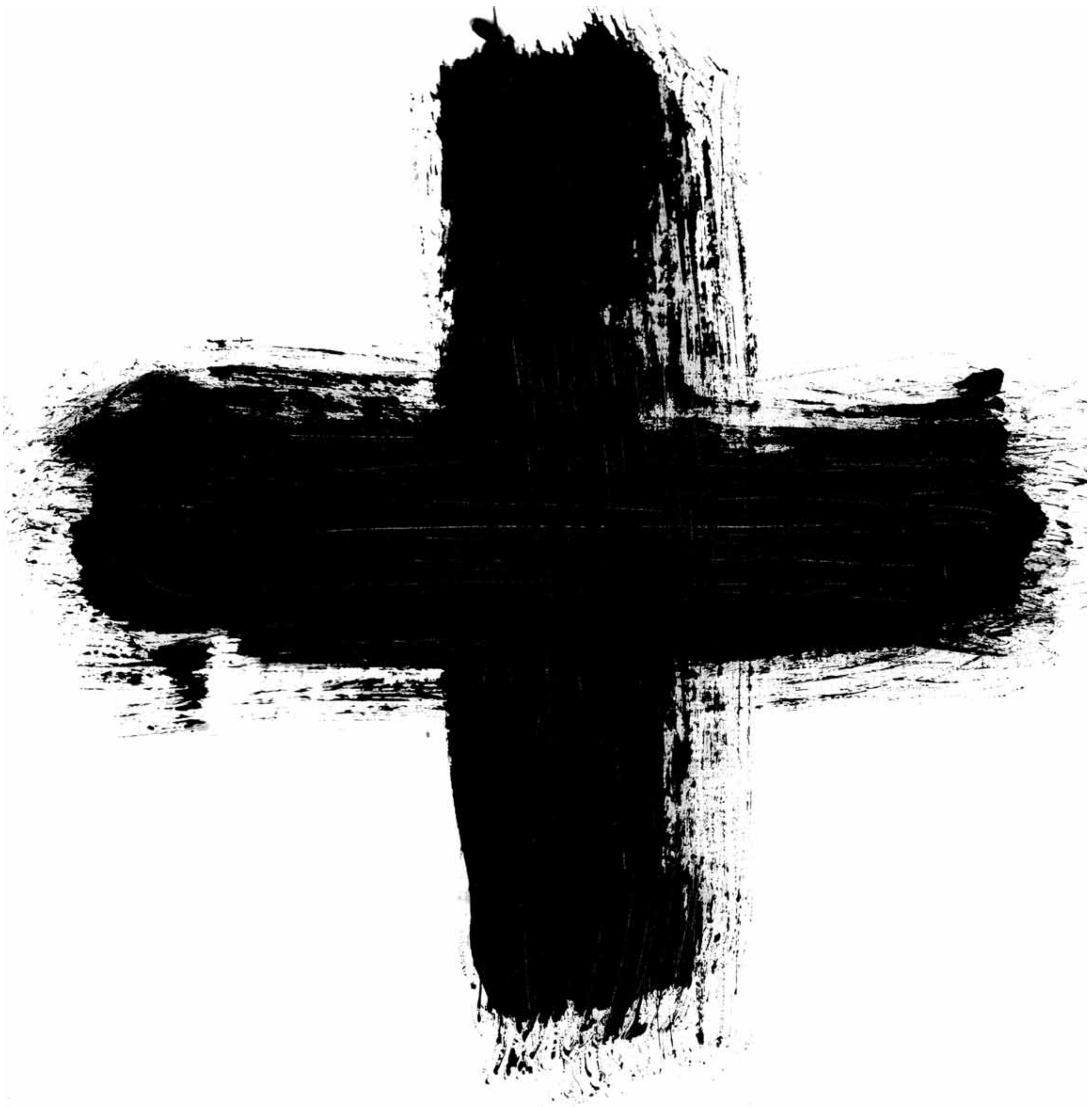
Już ten pobieżny przegląd pokazuje różnorodność, bogactwo współczesnej produkcji kryminalnej, jej coraz większe znaczenie w prozie.
Nic tylko brać, wybierać! I czytać! Czytać!

ROBERT OSTASZEWSKI (1972) – Schriftsteller, Literaturkritiker. Redakteur der Vierteljahresschrift „FA-art“ und der Monatsschrift „Dekada Literacka“. Ehemaliger Chefredakteur des „Portal Kryminalny“. Veröffentlichte (zusammen mit Marta Mizuro) u. a. den Kriminalroman *Wen ich liebe, wen ich mag* (W.A.B., 2010). 2012 erscheint ebenfalls bei W.A.B. sein nächster Krimi *Augustunken*, den er zusammen mit Violetta Sajkiewicz geschrieben hat.

Kontakt: ostiaczy1@wp.pl

ROBERT OSTASZEWSKI (1972) – pisarz, krytyk literacki. Redaktor kwartalnika „FA-art“ i miesięcznika „Dekada Literacka”. Były redaktor naczelny „Portalu Kryminalnego”. Między innymi opublikował (wraz z Martą Mizuro) powieść kryminalną *Kogo kocham, kogo lubię* (W.A.B., 2010). W roku 2012, również nakładem W.A.B., wyjdzie jego kolejny kryminał *Sierpniowe kumaki*, napisany wspólnie z Violettą Sajkiewicz.

Kontakt: ostiaczy1@wp.p



Joanna Jodełka Joanna Jodełka

DIE KLAPPER
GRZECHOTKA

Auszug
fragment

Sie erwachte nur langsam, sehr langsam, schwer. Ihre Lider zitterten, als wollten sie sich nicht voneinander trennen. Schließlich aber gestatteten sie den Augen, zu schauen – auf die abgeblätterten Fensterläden, auf die sich von den Wänden lösende Tapete, und auf den Schimmel, der bereits ungehindert von der Tapete auf die Zimmerdecke kroch.
Sie war zuhause.
Ihr Atem ging ruhiger, und sie rieb sich langsam die Reste von Schlaf aus den Augen. Reste von Schlaf und von einem Alptraum, in dem sie floh wie ein Tier, heulte wie ein Tier, schluchzte wie ein Mensch.
Ein Traum, nach dem selbst der Schimmel an den Wänden, gestern noch eine ekelerregende Kreuzspinne, die ihr ekelhaftes Netz größer und größer webte, jetzt wie eine exotische Blume erschien. Warum kam ihr das so vor? Fragte sie sich das, weil sie zuhause war? Weil es also schon gut war? Warum zitterte sie dann allein beim Gedanken, an den sie sich nicht erinnern konnte?
Es kamen keine Antworten, also stand sie auf, langsam, sehr langsam. Schleppend. Neuerdings hatte sie oft geschwollene Beine, sie fühlte sich schlecht, vielleicht musste das so sein, dachte sie. Sie saß auf dem Bett und zog die Decke mit beiden Händen um sich, hoch, bis unters Kinn, und zog die Füße an den Körper. Irgendetwas passte ihr nicht. Sie hatte einen kleinen Bauch. Sie hatte nicht viel zugenommen, fast nichts.
Kaum jemand hatte es überhaupt bemerkt.
Sie konzentrierte sich darauf, den Kopf gerade zu halten, der stur immer wieder zur Seite fallen wollte. Sie verbarg ihr Gesicht in den Händen, schloss die Augen, das half ein wenig. Allmählich hörte der Kopf auf, ihr schwer zu werden. Sie ließ ihn sinken. Die Decke war schon vorher zu Boden geglitten.
Und da sah sie es. Erst die Manschetten der weißen Bluse, mit schwarzen Nähten im Zickzackmuster.
Warum hatte sie in der Bluse geschlafen!? Und warum waren sie von Schlamm verdreckt, die Manschetten?!
Ihre Gedanken begannen zu schreien und dann zu brüllen. Die Augenlider versteckten sich vor lauter Angst. Zurück blieben große, entsetzte, weit aufgerissene Augen, die nicht weglaufen konnten. Auch der Körper selbst wich zurück, an die Wand, in die Ecke. Vor etwas, das nicht da war, vor jemandem, der nicht da war.
Vor dem Traum, von dem sie gedacht hätte, sie hätte ihn schon ausgeträumt.
Sie krümmte sich zusammen, legte sanft schützend die Hände auf den Bauch, mit einer Zärtlichkeit, die sie erst kürzlich wiedergefunden hatte.
Dann begannen ihre Finger umherzuirren. Langsam zuerst. Dann schneller! Nervös! Sie suchten eine harte, bewegliche, wie glattgeschliffene Fläche. Sie konnten sie nicht finden.
Langsam versanken sie.
Versanken in einer geleeartigen, vor Leere überlaufenden Masse.
Widerstandslos!
Ins Nichts!
Tiefer und tiefer!
Ihr Mund öffnete sich, ohne einen Laut von sich zu geben. Ihre Augen und ihre Hände suchten immer noch und konnten immer noch nichts finden.
Sie sprang auf. Drehte sich im Kreis, verscheuchte, wehrte sich, als würde sie von einem unsichtbaren Rudel wilder Tiere gebissen. Schlug mit den Fäusten in den leeren Bauch. Drehte durch.
Jemand hatte ihr das Kind weggenommen!
Aus ihrem Inneren!
Denn es war nicht mehr dort.
Die zu weiten Hosen rutschten herunter bis zu den Knien. Schlammig und blutbeschmiert.

Und es gellte ein Schrei, der die Tür zu Entsetzen und Angst öffnete. Und sie offen stehen ließ.

Weronika Król erhob sich vom Bett. Sie konnte sich nicht einmal an den Moment erinnern, in dem sie aufgewacht war. Sie war aufgestanden, und fertig. Mehr noch: mit dem rechten Fuß, da war sie sicher, so leicht und schwungvoll. Das hätte schon ausgereicht, damit sie gute

Laune bekam, die sie ebenso häufig hatte wie schlechte, ohne ersichtlichen Grund. Immer im Wechsel, mehr oder weniger regelmäßig. Das hing zusammen mit der Jahreszeit vor dem Fenster oder auch im Kalender, mit den Mondphasen oder ihrem eigenen, blutenden Herzen oder irgendetwas anderem. Das Leben spielte die richtige Musik oder eben nicht. Heute wurde sie gespielt, und es versprach, ein guter Tag zu werden.
Sie zog die Jalousien hoch. Vor dem Fenster fiel grauer Regen und wartete eine schwarze Katze.
„Perfekt!“, Weronika lächelte in sich hinein und schaute in den Himmel.
Sie musste den Kopf nicht allzu weit in den Nacken legen, denn der Himmel begann mehr oder weniger auf der Höhe ihrer Augen. Sie öffnete die Tür und fühlte den kalten Wind. Aus der Innenperspektive störte sie das nicht im Geringsten. Von ihr aus konnte der Wind dieses aus feinem Nieselregen und dichtem Nebel zusammengerührte Grau in alle Richtungen drehen und wenden, ganz nach Lust und Laune.
„Perfekt!“, sagte sie noch einmal zu sich selbst.
Sie ließ Fiasko herein und schloss schnell die Tür, denn die ungebetene Kälte machte sich schon im Zimmer breit. Sie schaute die Katze an. Die schaute sie nicht an, sondern strich ihr nur in gewohnter Art und Weise um die Beine.
„Und ich habe es nicht geschafft, dich sterilisieren zu lassen. Jetzt wird es Junge geben. Da kann man nichts machen.“ Sie ging zum Kühlschrank. Auf dem Weg dorthin schaffte es die Katze, zwei Achten zwischen ihren Füßen zu drehen.
„Gefällt dir dieses Ekel von nebenan jetzt doch nicht mehr?“, fragte sie Fiasko, die sich aber ausschließlich um ihr Fressen kümmerte. „Das merkst du jetzt, hinterher? Und jetzt frisst du für zwei, für drei oder auch für vier. Bist du eigentlich zu mir zurückgekommen oder zu deiner Futterschüssel?!“
Die Katze warf ihr einen kurzen Blick zu.
Auch dieser Blick erheiterte Weronika. „Du hast ja Recht“, sagte sie zu der Katze. „Solche Fragen stellt man besser nicht. Und außerdem passt du mir wunderbar in diesen Tag.“

Der Plan war klar: ein Buch, eine warme Decke, heißer Tee, Konfekt. Das alles in noch festzulegenden Anteilen, mit dem Regen vor dem Fenster als Dekoration und Hintergrundmusik. Und so von morgens bis abends. Allein schon der Gedanke bewirkte, dass sie sich fühlte, als hätte sie sich selbst den Tag versüßt. Perfekt. Vielleicht nur noch das Telefon ausschalten?
Der Gedanke kam zu spät.
Das Telefon klingelte.
Frühmorgens. Am Sonntag.
Anstatt das Telefon auszuschalten, schaute sie zu, wie es auf dem Tisch klingelte und bebte, als hätte es den Veitstanz. Sie überlegte, ob sie es vom Tisch fallen lassen sollte, damit es sich nicht mehr so quälte.
Sie trank Wasser, denn sie hatte Durst, und schaute weiter zu. Das Telefon klingelte aufdringlich. Seitdem es in eine Wasserkanne gefallen war, konnte sie auf dem Display nicht mehr sehen, wer anrief, aber bei diesem Klingeln musste sie aus irgendeinem Grund an ihren Exmann denken. Sie hatte aber keine Lust, sich den Tag zu versauen.
„Der ruft nur an, um sich in Selbstmitleid zu suhlen, nach dem nächsten Samstagabend mit irgendeiner Braut, und alles Konfekt dieser Welt reicht nicht aus, um mich zu trösten, wenn ich erst einmal abgenommen habe.“
„Oh, ich hab's nicht geschafft! Wie schade!“ sagte sie zu der Katze, ging zum Wasserkocher und goss das abgestandene Wasser aus.
Das Telefon klingelte erneut.
Diesmal tanzte es nicht. Es fiel mit einem Knall auf den Fußboden und direkt vor die Katze, die in die Luft sprang und sich zum Kampf mit dem Eindringling bereit machte.
„Reg dich nicht auf, das schadet den Kleinen. Ich geh ja schon ran.“

„Ja bitte?“ – Dieses „Ja bitte?“ klang übellaunig, ungeduldig und unfreundlich, und genauso sollte es sein.
„Frau Weronika Król?“
„Ja?“ Ohne zu wissen, warum, wusste sie beim Klang dieser Stimme, dass ihr Sonntag all seinen Zuckerguss verlor.
„Sie müssen uns helfen...“
„Muss ich nicht“, sagte sie, sehr zufrieden mit ihrer Antwort. „Und mit wem spreche ich überhaupt?“, fragte sie mit erhobener Stimme.
„Mit der Polizei. Es ist sehr dringend, jede Minute zählt.“
„Dann rufen Sie die Feuerwehr an und keine Psychologin. Ich bin auch kein Unterhändler! Und aus Ihrem Telefonverzeichnis streichen Sie mich sofort! Vielleicht gibt es ja in ganz Posen noch ein paar hundert andere Króls, also suchen Sie weiter!“, fügte sie sachlich hinzu.
Bei dem Gedanken an die über fünftausend Menschen mit dem Namen Król, die es in Polen gab, musste sie unwillkürlich lächeln.
„Von Ihren Kolleginnen ist auch keine da, die eine ist auf einer Fortbildung, die andere nicht bei Bewusstsein, und wir haben hier eine potentielle Kindsmörderin ohne Kind, und dieses Kind suchen wir! Und da soll ich die Feuerwehr rufen? Das ist keine Katze!“
„Wo muss ich hin?“, fragte Weronika und überlegte, ob sie Zeit zum Duschen haben würde oder nicht.
„In die Remise! Zur Polizei natürlich! Sie wissen doch, von wo ich anrufe!“ Die Stimme des Polizisten überschlug sich jetzt fast.
„Ja... das heißt, nein... aber doch, ich weiß schon. In zwanzig Minuten.“ Zum Duschen würde sie keine Zeit haben.
„Ich warte.“ Knallend fiel der Hörer auf die Gabel.
„Fiasko, verzieh dich“, sagte sie zu der Katze, die auch irgendetwas von ihr wollte.

Die Verkäuferin in der Konditorei putzte die Glasscheiben der Vitrine, in deren Inneren sich Käsekuchen mit Baiserüberzug oder Fruchtspiegel, mit Haselnüssen oder Mandeln gefüllte Napfkuchen und Milchcocktails drehten: violett mit Heidelbeeren, rosa mit Erdbeeren.
Hartnäckig putzte sie die Scheibe und sah sie nicht einmal an. Erneut blieb ihr Blick an einem Vater hängen, der eben gerade mit seinen zwei Töchtern die Konditorei betreten hatte. Ihr erschien er wie aus einem Bilderbuch. Sie beobachtete, wie er den beiden Mädchen die identischen Schals abwickelte, wie er ihnen die identischen Jacken aufknöpfte. Wie er seiner Frau aus dem Mantel half. Wie er die Mütze vom Kopf nahm, dem die kreisrunde Glatze sogar gut stand. Wie er sich an jede Einzelheit der Bestellung erinnerte: zwei Portionen Himbeereis, einmal mit, einmal ohne Schokoladensoße, zwei Kaffee, der eine schwarz, der andere mit einer doppelten Portion Milch.
„Wiener Käsekuchen, ja, Liebling?“ wandte er sich an seine Frau.
Und der Liebling, der gar nicht wusste, was er für ein Glück hatte, nickte mit gleichgültiger Miene zurück.
Die Verkäuferin schaute sich das an und heulte innerlich. Ihr Mann hatte sie verlassen, so wie ihr Vater ihre Mutter und ihr Großvater ihre Großmutter verlassen hatte, und der Urgroßvater war zu den Partisanen gegangen und auch nicht zurückgekehrt.
Sie schaute die Frau an und beneidete sie. Sie schaute die Kinder an und beneidete auch diese. Sie schaute den Mann an und beobachtete, wie er sein Telefon aus der Manteltasche holte, abnahm, wie er sich in eine Ecke zurückzog, lauschte, erstarrte... und wie er blass wurde. Wie er sich drehte und wand, während er seiner Frau etwas erklärte…
Wie er die Konditorei verließ und auf die Straße trat.
Sie fragte sich, ob er zurückkommen würde, während sie beobachtete, wie er eilig den Mantel anzog, den Schal über die Schulter warf, sich nach der vergessenen Mütze umwandte.
Sie fragte sich auch, ob die Frau wohl merkte, was hier geschah, ob sie, so wie sie, die Verkäuferin, die ganze Verworrenheit dieser Situation erkannte, die sich vor ihren Augen zutrug.
Sie war sich dessen nicht sicher, als sie die Frau ansah, die langsam den Milchschaum in dem hohen Glas umrührte. Sie schaute ihr und den beiden Mädchen noch einen Moment lang zu. Der starke Luftzug, in dem sie saßen, wirbelte die kurzen blonden Ponys der Mädchen von links nach rechts, nicht aber die glatten dunklen Haare der Frau, die zu beiden Seiten ihres Gesichts herabfielen.
Er hat nicht das Recht, sie zu verlassen, dachte die Verkäuferin und fragte sich, was dieser kleinen zierlichen Frau eine so starke Ausstrahlung verlieh. Aber sie kam nicht darauf. Sie hauchte noch einmal mit gespitzten Lippen die Scheibe an, und dann konnte sie nicht weiter beobachten, denn die saubere, trockene Scheibe quietschte schon unter dem Geschirrtuch.

Sie musste sich an einen anderen Platz begeben, von dem aus sie nicht mehr sehen konnte, wie die Frau langsam den langen Löffel aus dem hohen Glas zog und einen Berg Milchschaum zurück in den Kaffee fallen ließ. Wie sie anschließend von der Oberfläche den lockeren Milch-Kaffee-Schaum langsam zum Mund führte, der sich kaum in dem unbewegten Gesicht abzeichnete, und wie sie den abgeleckten Löffel noch lange im Mund hielt. Schließlich gaben die Lippen ihn frei, aber die Lippen erschienen nicht wieder im Gesicht, denn die Zähne bissen darauf. Die Lippen zeigten sich auch nicht, als die Frau ein Telefon und eine Visitenkarte aus ihrer großen Tasche im Schlangenlederlook zog, eine Nummer eintippte und zu sprechen begann.

Die Stimme, die zwischen den verkniffenen Lippen hervorkam, hörte Bartłomiej Pacyk. Er betrachtete sich im Spiegel und glättete den grauroten Igel auf seinem Kopf, und aus den Augenwinkeln sah er die an der Wand hängende Lizenz eines Privatdetektivs.
Sie sah aus wie eine Krone, also hörte er zu und nickte, und zu der Stimme aus dem Telefon machte er einen professionellen Gesichtsausdruck.
Nur ein Wort kam über seine Lippen:
„Gut.“
Und dann zwei weitere:
„Ich warte.“

Weronika Król wusste, für den Plan mit Decke, Buch und Konfekt wäre dieser Tag perfekt geeignet gewesen. Sie schaute auf die Aussicht aus dem Fenster, diesmal aber aus der Außenperspektive. Sie aß ein paar Stücke Konfekt, aber das machte alles nur noch schlimmer.
Die Erinnerung an die unerfüllt gebliebene Vergangenheit war so stark, dass sie schnell schlucken musste, um sie nicht auszuspucken. Sie lief in der Wohnung hin und her und vergrößerte mit jedem Schritt die zurückgelegte Strecke, von der Garderobe zum Schlafzimmer, vom Schlafzimmer zur Garderobe – um die Strümpfe zusammenzusuchen – vom Kleiderständer im Flur zum Kleiderständer im ersten Stock – um den eben passend zum Pullover ausgewählten Schal zu wechseln. Denn den Pullover hatte sie auch wechseln müssen: er hatte einen Fleck. Und das alles im Grunde schnell, aber doch wie in Zeitlupe. Die Koffeinbonbons schafften es nicht, ihr verschlafenes Unterbewusstsein aufzuwecken.
Im sommer hatte sie einmal zwei in ihrem Kaffeebecher ertrunkene Fliegen fast verschluckt. Seitdem trank Weronika Król keinen Kaffee mehr.
Alle Versuche, Energie in sich zu wecken, blieben erfolglos, und alle Versuche, sie aus einer anderen Quelle zu gewinnen, schienen von vornherein zum Scheitern verurteilt. Der verregnete Novembersonntag eignete sich ausschließlich dazu, drinnen zu bleiben. Und zu gar nichts anderem. Sie schaute Fiasko an. Die Katze hatte nicht vor, das Haus zu verlassen, und machte es sich auf einem Kissen am Kamin bequem.
Weronika beneidete sowohl das Kissen wie auch die Katze. Sie schlug die Tür zu, um sie im nächsten Moment wieder zu öffnen, weil sie den Regenschirm vergessen hatte. Der Regen wurde immer stärker. Sie hätte dem Wetter ins Gesicht gespuckt, wenn es das denn überhaupt bemerkt hätte. Von ihrem lila Käfer hatte sie noch vor ein paar Tagen vergnügt einige Hundert Blätter gesammelt, die vor Wut auf den Herbst gelb und rot geworden waren. Nun, nach einer feuchten Nacht, fand sich unter den Scheibenwischern nur noch schmieriger Unrat. Im Inneren des Autos war es keineswegs besser. Mit Abscheu berührte Weronika das kalte, feuchte Lenkrad. Auch die rosa Sitzbezüge konnten sie diesmal nicht aufheitern.
Das gelang auch dem Nachbarn nicht, der zwei Kindersitze ins Auto packte und ihr dabei zurief:
„Sei gegrüßt, schöne Spanierin!“
Sie nickte ihm zu, sie hatte keine Lust zu antworten. Vielleicht, weil er das „schön“ immer nur dann zu der „Spanierin“ hinzufügte, wenn seine Frau nicht in der Nähe war. Sie fragte sich sogar, ob er sich nicht über sie lustig machte. Und das nicht etwa, weil er sie „Spanierin“ nannte, obwohl er ganz genau wusste, dass ihre Mutter, deren Aussehen sie geerbt hatte, aus Kolumbien und nicht aus Spanien stammte.
Sie betrachtete sich im Rückspiegel des Autos.
Ihre schwarzen Haare fielen wie gewöhnlich glatt herab und ließen sich problemlos zu einem Pferdeschwanz binden, die dunklen Brauen und Wimpern betonten ganz von allein sanft, aber deutlich die Augen. Schlimmer war

es mit den Lippen, auf denen sich der Lippenstift nicht gleichmäßig verteilen wollte. Sie versuchte, ihn mit dem Zeigefinger zu korrigieren, dann rieb sie die Lippen aneinander, und schließlich fuhr sie mit der Zunge darüber und schaute nicht länger in den Spiegel. Sie fuhr los, ohne den Rückspiegel wieder so verstellt zu haben, dass sie die Heckscheibe sehen konnte, der Spiegel schaute also sie an und sah, wie sie ausrief: „Mein Gott! Eine Kindsmörderin!“
Mit ganzer Kraft schlug sie mit flachen Händen auf das Lenkrad. Das rächte sich sofort und lenkte die Räder des Käfers hinterhältig mitten in eine große Pfütze, genau in die, neben der der Nachbar mit seinem Kind auf dem Arm stand.

[Aus dem Polnischen von Saskia Herklotz]

Budziła się powoli, bardzo powoli, ciężko. Powieki mrugały, jakby nie chciały się ze sobą rozstać – od siebie do siebie. W końcu dały oczom popatrzeć – na odrapane okiennice, na odklejającą się tapetę, na grzyb, który ją odklejał i właził na sufit już bez przeszkód.
Była u siebie.
Odetchnęła spokojniej i palcami zaczęła ścierać sen z oczu. Jakiś koszmarny sen, że ucieka jak zwierzę, że wyje jak zwierzę, że łka jak człowiek.
Taki sen, przy którym nawet ten grzyb, który jeszcze wczoraj był obrzydliwym pająkiem krzyżakiem, rozwijającym swą obrzydliwą, większą i coraz większą pajęczynę, teraz zdawał się egzotycznym kwiatem. Dlaczego tak się jej wydawało? Pytała, bo była u siebie? Bo już dobrze? To dlaczego drży na samą myśl, której nie może sobie przypomnieć?
Odpowiedzi nie przychodziły, więc zaczęła wstawać. Powoli, bardzo powoli. Ociężale. Ostatnio puchły jej stopy, czuła się źle, pomyślała, że może tak powinno być. Usiadła na łóżku, okrywając się kocem trzymanym w obu rękach, wysoko, pod szyją. Podkuliła nogi. Coś jej nie pasowało. Miała mały brzuch. Niewiele przytyła, prawie nic. Niewiele osób w ogóle go zauważyło.
Skupiła się na dźwiganiu głowy, uparcie kiwającej się na boki. Chwyciła twarz w ręce, zamknęła oczy, trochę pomogło. Głowa powoli przestawała ciążyć, puściła ją. Koc zsunął się wcześniej.
I wtedy zobaczyła. Najpierw mankiety białej bluzki, przeszyte czarną nitką, w zygzakowaty wzorek.
Dlaczego w niej spała?! Dlaczego były ubłocone, te mankiety?!
Myśli zaczęły krzyczeć, a potem się wydzierać.
Powieki schowały się ze strachu. Zostały wielkie, przerażone oczy, otwarte na oścież, nie miały gdzie uciec. Ciało samo zaczęło się cofać, pod ścianę, w kąt. Przed czymś, czego nie było, przed kimś, kogo nie było.
Przed snem, który myślała, że już się wyśnił.
Skuliła się, objęła rękami brzuch, chroniąc go delikatnie, z czułością, którą niedawno odnalazła.
Potem palce zaczęły błądzić. Najpierw powoli. Potem szybciej! Nerwowo! Szukając twardej, ruchomej gładzonej i wygładzanej powierzchni. Nie mogły jej znaleźć.
Zaczęły się zatapiać.
Zatapiać w galaretowatej, przelewającej się pustką masie.
Bez oporu!
W nic!
Głębiej i głębiej!
Usta otworzyły się, nie wypuszczając z siebie żadnego dźwięku.
Oczy i ręce dalej szukały i dalej nie znajdowały.
Zerwała się. Zaczęła się kręcić, odganiać, osłaniać jak kąsana przez niewidzialną watahę dzikich zwierząt.
Wbijać pięści w pusty brzuch. Wariować.
Ktoś zabrał jej dziecko!
Ze środka!
Bo tam go nie było.
Za duże spodnie opadły do kolan.
Ubłocone, ukrwawione.

I rozległ się krzyk, który otworzył drzwi do przerażenia i do lęku. I zostawił je uchylone.

Weronika Król wstała z łóżka. Nawet nie pamiętała momentu, w którym się obudziła. Wstała, i już. Więcej, była pewna, że prawą nogą, bo jakoś tak lekko i z życiem. I to wystarczyłoby, żeby wprawić ją w dobry humor, który miewała równie często jak zły, bez wyraźnej przyczyny. Na przemian, mniej lub bardziej regularnie. I wiązało się to z porą roku za oknem czy w kalendarzu, cyklem księżyca lub jej prywatnym, krwawiącym sercem czy czymkolwiek innym. Była dobra melodia na życie bądź nie. Tego dnia była i zapowiadał się dobry dzień. Podniosła żaluzje w oknie. Za oknem czekał czarny kot i padał szary deszcz.
– Idealnie. – Uśmiechnęła się do siebie i popatrzyła na niebo.
Nie musiała też zadzierać głowy zbyt wysoko, niebo właściwie zaczynało się na wysokości jej oczu. Otworzyła drzwi i poczuła zimny wiatr. Z wewnętrznej perspektywy absolutnie jej nie przeszkadzał. Mógł sobie mieszać tę mokrą szarość i kręcić swoim rzadkim deszczem i gęstą mgłą we wszystkich kierunkach – do woli.
– Idealnie – jeszcze raz powiedziała do siebie.
Wpuściła Pomyłkę i szybko zamknęła drzwi, bo nieproszony chłód już zaczął wpychać się do środka. Spojrzała na kotkę. Ta na nią nie patrzyła, tylko zaczęła się łasić w znajomy sposób.
– No i nie zdążyłam jej wysterylizować. Będą małe. Trudno – dodała i poszła w kierunku lodówki. Po drodze kotka zdążyła zakręcić dwie ósemki między jej nogami.
– Odpodobał ci się ten paskud z sąsiedztwa? – pytała już jedzącą i nieważającą na nic Pomyłkę. – Teraz, po fakcie? Jesz za dwóch, za trzech czy czterech. Do mnie wróciłaś czy do tej miski?
Kotka spojrzała na krótką chwilę.
– Masz rację. – Weronikę rozbawiło to spojrzenie. – Lepiej nie zadawać takich pytań. A ty mi zresztą pasujesz do dnia.

Plan był jasny: książka, koc, herbata, ptasie mleczko. To wszystko w różnych, nie do końca jeszcze ustalonych proporcjach. Deszcz za oknem dla dekoracji i akompaniamentu. Tak od rana do wieczora. Rozmyślanie o tym sprawiało, że poczuła się tak, jakby sama siebie posłodziła. Idealnie. Może tylko wyłączyć telefon?
Nie zdążyła.
Zadzwonił.
Z samego rana. W niedzielę.
Nie wyłączyła go i patrzyła, jak dzwoni i drży na stole, jakby tańczył taniec św. Wita. Zastanawiała się, czy nie pozwolić mu spaść, żeby już się tak nie męczył.
Piła wodę, bo chciało jej się pić, i dalej patrzyła. Dzwonił natrętnie. Nie mogła zobaczyć na wyświetlaczu, kto dzwoni, po tym, jak telefon wpadł do dzbanka z wodą, ale te drgania jakoś kojarzyły się jej z byłym mężem.
Nie zamierzała zepsuć sobie dnia.
Na pewno dzwoni, żeby poużalać się nad sobą, po kolejnej sobocie z jakąś panną. Jak odbiorę, to pięterko ptasiego mleczka nie starczy na odżałowanie tego, że odebrałam.
– Oj! Nie zdążyłam, jaka szkoda – powiedziała do kota i podeszła do czajnika. Wylała wczorajszą wodę.
Telefon zadzwonił ponownie.
Tym razem nie potańczył sobie. Spadł z hukiem na podłogę, centymetr od kotki, która odskoczyła na metr, prężąc się do walki z intruzem.
– Nie denerwuj się, kociętom szkodzi. Już odbieram.
– Słucham. – To „słucham” było nadęte, zniecierpliwione i niemiłe. I takie miało być.
– Pani Weronika Król?
– Tak? – Nie wiedziała dlaczego, ale słuchając tego głosu, wiedziała, że spłynął lukier z jej dnia.
– Musi nam pani pomóc…
– Nie. Nie muszę – odparła zadowolona z własnej odpowiedzi.
– Z kim rozmawiam, to przede wszystkim? – zapytała już poniesionym głosem.
– Z policją. Sprawa jest bardzo pilna, liczy się każda minuta.
– To niech pan dzwoni do straży pożarnej, a nie do psychologa. Negocjatorem też nie jestem! I już mnie nie ma w waszej książce adresowej. Ewentualnie w Poznaniu jest jeszcze pięciuset innych Królów, niech pan szuka dalej – dodała rzeczowo i uśmiechnęła się sama do zdobytej ostatnio informacji o ponadpięćdziesięciotysięcznej populacji Królów w Polsce.
– Nie ma również pani koleżanek, jedna jest na szkoleniu, druga nieprzytomna. Takie bezkrólewie, a my mamy potencjalną dzieciobójczynię bez dziecka, i tego dziecka szukamy! Mam dzwonić po straż pożarną?
To nie kot!
– Gdzie mam być? – odpowiedziała, zastanawiając się, czy się myć, czy nie myć.
– W remizie! Na policji oczywiście! Wie pani przecież, skąd dzwonię! – głos zakrzyczał, tak przynajmniej się jej zdawało.
– Tak… wiem… nie wiem… a nie, już wiem, dwadzieścia minut. Wiedziała, że umyć to się nie zdąży.
– Czekam. – Trzask odkładanej słuchawki.
– Pomyłka, spadaj… – powiedziała do kotki, która też coś od niej chciała.

Sprzedawczyni z cukierni czyściła szybę półki, w środku kręciły się serniki z galaretką lub wiśniami, foremki z ciastek wypełnione orzechami lub migdałami i mleczne napoje, fioletowe od jagód, a różowe od truskawek. Czyściła tę szybę uparcie, ale nawet na nią nie patrzyła. Znowu jej wzrok przylepił się do ojca dzieciom, który właśnie wszedł. Patrzyła, jak na idealny, kolorowy obrazek. Patrzyła, jak dwóm dziewczynkom odwija takie same szaliczki, jak rozpina im identyczne kurteczki. Zdejmuje żonie płaszcz. Jak ściąga czapkę z głowy, której nawet nie przeszkadzała plackowata łysina. Jak zamawia i pamięta zamówienie: dwie porcje lodów malinowych, jedne z polewą czekoladową, drugie bez polewy, dwie kawy, jedna czarna, druga z podwójną porcją mleka.
– Sernik wiedeński? Tak, kochanie? – pyta, odwracając się do żony.
Kochanie, nie wiedząc, jakie ma szczęście, przytakuje z obojętną miną.
Sprzedawczyni patrzyła tak i wyła w środku.
Ją opuścił mąż, jej matkę jej ojciec, dziadek babkę, a pradziadek poszedł do partyzantów i też nie wrócił.
Patrzyła na kobietę i jej zazdrościła. Patrzyła na dzieci i im też zazdrościła. Patrzyła na mężczyznę i zobaczyła, jak ten odbiera telefon, jak wycofuje się gdzieś w kąt, jak słucha i zamiera w tym słuchaniu… i jak blednie.
I jak kręci się wokół siebie, jak kręci, tłumacząc coś żonie.
Jak wychodzi.
Zastanawiała się, czy wróci, widząc, jak nerwowo zakłada płaszcz, przerzuca przez ramię szalik, wraca się po zapomnianą czapkę.
Zastanawiała się też, czy żona zdaje sobie sprawę, co się dzieje, czy dostrzegła, tak jak ona, całą pokrętność dziejącej się wokół niej sytuacji.
Tego nie była pewna, patrząc na kobietę, która wolniutko mieszała mleczną pianę w wysokiej szklance. Przyglądała się jej i dziewczynkom jeszcze przez chwilę. Mocny nawiew, przy którym siedziały, przewracał jasne, krótkie grzywki z lewa na prawo, ale nie poruszył ciemnymi, prosto opadającymi na ramiona włosami kobiety.
On też nie ma prawa od niej odejść, pomyślała sprzedawczyni, myśląc o tym, co nadawało takiego charakteru owej drobnej kobiecie. Przyglądała się, ale nie potrafiła tego dojrzeć. Chuchnęła jeszcze raz ułożonymi w lejek mięsistymi ustami na szybę i dalej przyglądać się nie mogła, bo sucha po chwili powierzchnia zapiszczała pod ścierką.

Musiała przesunąć się w inne miejsce, z którego nie było już widać, jak kobieta wolno wyciąga długą łyżeczkę z wysokiej szklanki i pozwala klusce piany spaść do kawy z powrotem. A następnie zgarnia z wierzchu puszyste, kawowe mleko i wkłada powoli do ust, których kreseczka ledwo rysuje się na nieruchomej twarzy, i długo trzyma oblizaną łyżeczkę. W końcu usta ją puściły, ale już nie pojawiły się na twarzy, przygryzione przez zęby.
Nie pokazały się, gdy wyciągnęła telefon i wizytówkę z dużej torebki w wężowy deseń. Kiedy wystukiwała jakiś numer i zaczęła mówić.

Głos wydostający się przez zaciśnięte usta usłyszał Bartłomiej Pacyk, który odebrał telefon, gdy przeglądał się w lustrze, gładząc siworudego jeżyka na swojej głowie, i kątem oka widział wiszącą na ścianie licencję zawodowego detektywa.
Wyglądała ona jak korona, słuchał więc i potakiwał, a do głosu w słuchawce robił profesjonalnie mądrą minę.
Z jego ust padło jedno słowo:
– Dobrze.
A potem drugie:
– Czekam.

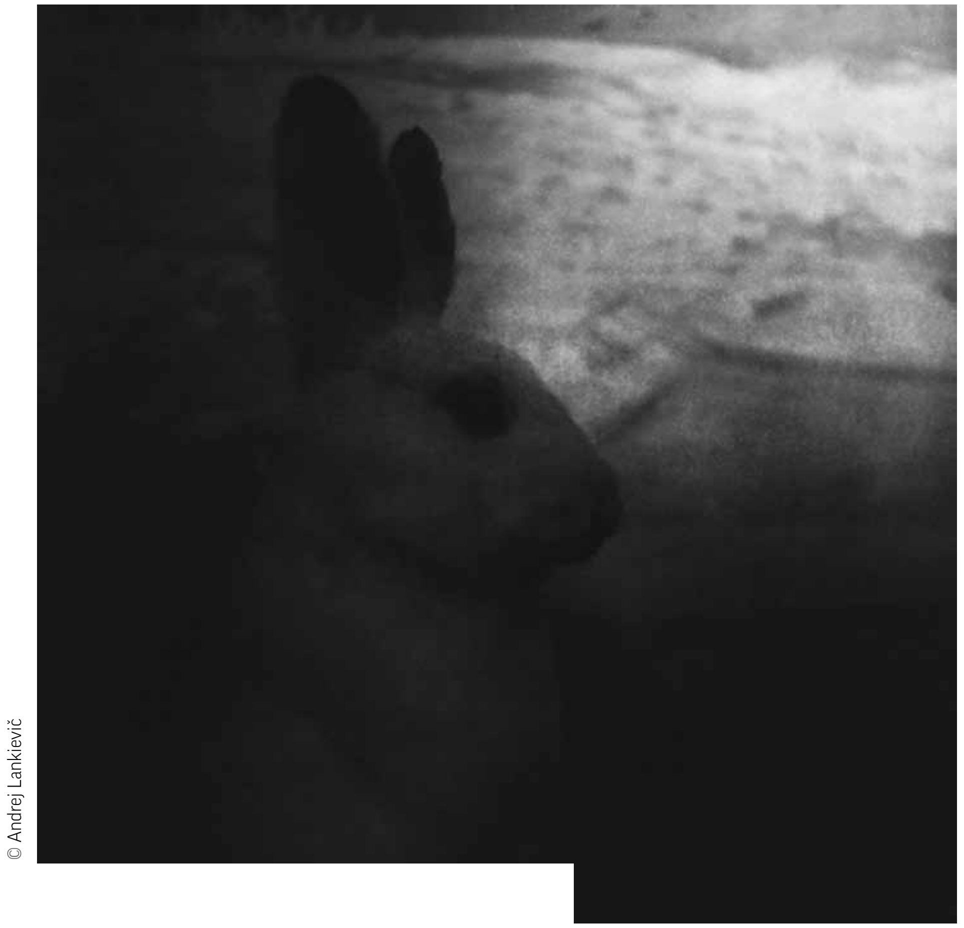
Weronika Król wiedziała, że do koncepcji z kocem dzień był idealny. Spojrzała na widok za oknem, tym razem z zewnętrznej perspektywy. Zjedzone kostki ptasiego mleczka nie pomogły za bardzo. Wywołały tylko wspomnienie niespełnionej przeszłości, i to tak silne, że gdyby ich szybko nie połknęła, toby je wypluła. Kręciła się po mieszkaniu, z każdą chwilą potęgując liczbę pokonywanych dystansów, kursów z garderoby do sypialni, z sypialni do garderoby – by skompletować skarpety – od wieszaka w przedpokoju do wieszaka na piętrze – by wymienić przed chwilą dobrany szalik do swetra. Sweter też trzeba było zmienić: ze względu na plamę. I to wszystko niby szybko, a jakby w zwolnionym tempie. Cukierki z kofeiną nie zadziałały na uśpioną podświadomość. Weronika Król kawy nie piła od lata, kiedy to prawie połknęła dwie utopione w niej muchy.
Próby wykrzesania z siebie jakiejś energii spełzły na niczym, próby zaczerpnięcia jej z jakiegokolwiek innego źródła zdawały się z góry skazane na niepowodzenie. Listopadowa deszczowa niedziela nadawała się tylko do tego, by zostać wewnątrz. I tylko do tego.
Spojrzała na Pomyłkę. Kotka nie zamierzała nigdzie wychodzić i ułożyła się wygodnie na poduszce koło kominka. Pozazdrościła i kotu, i poduszce. Zatrzasnęła drzwi, by po chwili wrócić po parasol. Padało coraz mocniej. Oplułaby tę pogodę, gdyby tylko ta to zauważyła.
Jeszcze parę dni temu z przyjemnością zgarniała ze swego fioletowego garbusa setki liści – zalanych żółcią i czerwonych z wściekłości na jesień. Teraz jedna mokra noc wystarczyła, żeby za wycieraczkami znalazły się tylko zgniłe śmieci. W środku samochodu wcale nie było lepiej.
Z obrzydzeniem dotknęła zimnej, wilgotnej kierownicy. Różowe pokrowce na siedzeniach też nie bawiły kolorem, jak to im się czasami udawało. Nie udało się to również sąsiadowi, który pakując dziecięce foteliki do samochodu, krzyknął:
– Witaj, piękna Hiszpanko.
Kiwnęła do niego głową, nie chciało się jej odpowiadać. Może dlatego, że „piękna" dodawał tylko wtedy, gdy nie było w pobliżu jego żony. Zaczęła się nawet zastanawiać, czy nie kpił. I nie dlatego, że mówił „Hiszpanko", choć doskonale wiedział, że urodę odziedziczyła po matce z Kolumbii, nie z Hiszpanii.
Pomyślała tak, przeglądając się w samochodowym lusterku, bo czarne włosy jak zwykle gładko się przyczesały i dały się związać w koński ogon, ciemne brwi i rzęsy same z siebie łagodnie, choć wyraźnie, malowały oko, gorzej natomiast było z ustami, na których ręcznie podana czerwień z pomadki nie rozłożyła się zbyt symetrycznie. Próbowała rozprowadzić ją palcem, potem pozagryzała wargi, pocierając jedną o drugą, na koniec przejechała po nich językiem i nie patrzyła już więcej w lusterko. Ruszyła, choć lusterka nie przekręciła tak, by mogło odbijać tylną szybę, więc zerkało sobie na nią i widziało, jak krzyczy: – Boże! Dzieciobójczyni!
Uderzyła z całej siły otwartymi dłońmi w kierownicę. Ta nie pozostała dłużna, puszczona złośliwie poprowadziła koła w sam środek kałuży, tej dokładnie, obok której stał sąsiad z dzieckiem na ręku.

JOANNA JODEŁKA (1973) – Prosaikerin, Autorin von Kriminalromanen sowie Drehbüchern. Schon für ihren Debütroman, *Polichromia*, wurde sie mit dem prestigeträchtigen Literaturpreis „Großes Kaliber" für den besten Kriminalroman des Jahres 2009 geehrt. In ihrem Roman verbindet sich auf interessante Art und Weise ein aus der GattungsProsa stammendes Schema mit einem nicht ganz orthodox behandelten Feminismus, indem sie weibliche Heldinnen ins Zentrum der Erzählungen stellt.
Ihre Prosa wird durch große Sorge um den Stil und Sensibilität für Worte charakterisiert. Der präsentierte Text ist ein Fragment aus dem zweiten Roman von Joanna Jodełka *Grzechotka*, der 2011 vom Verlag W.A.B herausgegeben wurde.

Kontakt: joannajodelka@gmail.com

JOANNA JODEŁKA (1973) – prozaiczka, autorka powieści kryminalnych i sensacyjnych, a także twórczyni scenariuszy, już za swoją debiutancką powieść, *Polichromia*, uhonorowana została prestiżową Nagrodą Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej 2009 roku.
W swoich powieściach w ciekawy sposób łączy schemat rodem z prozy gatunkowej z nieortodoksyjnie traktowanym feminizmem, stawiając w centrum kreślonych opowieści bohaterki kobiece. Jej proza charakteryzuje się dużą dbałością o styl i wrażliwością na słowo. Prezentowany tekst to fragment drugiej powieści Joanny Jodełki zatytułowanej *Grzechotka*, wydanej w 2011 roku przez wydawnictwo W.A.B.

Kontakt: joannajodelka@gmail.com


© Andrej Lankievič


© Andrej Lankievič

Marcin Wroński Marcin Wroński

DER GEFLÜGELTE SARG
SKRZYDLATA TRUMNA

Auszüge
fragmenty

Die fatale Liebe eines Nachtwächters

Lublin — am 8. des Monats, einem Sonntagmorgen, machte in der kürzlich verstaatlichten Lubliner Flugzeugfabrik L.W.S. (vormals *Plage & Laśkiewicz*) der Fabrikwächter Zenon Madej bei Antritt seiner Frühschicht eine grauenvolle Entdeckung. Beunruhigt, weil sein Kollege aus der Nachtschicht, Feliks Susek, auf seine Rufe nicht antwortete, begab er sich auf einen Rundgang durch die Fabrikgebäude und fand seinen Kollegen erhängt vor.
Der an den Ort des Geschehens gerufene Notarzt konnte nur noch den Tod feststellen.
Die ersten Nachforschungen der Ermittler der Staatspolizei ergaben, dass Feliks Susek, 32 Jahre alt, Familienstand: ledig, seit mehreren Wochen um die Gunst des schönen Fräuleins Felicja mit dem vielsagenden Nachnamen Verführ geworben hatte, von Beruf Schneiderin, 24 Jahre alt. Aufgrund einer leichten Hasenscharte taugte Susek kaum als Don Juan, dafür hatte er ein gutes Herz und eine feste, halbwegs anständig und vor allem regelmäßig entlohnte Anstellung. Unfähig, die Gleichgültigkeit der Auserwählten zu ertragen, nahm er sich das Leben.
Die einen wird verwundern, dass diese Geschichte wie aus einem altmodischen Dreigroschenroman sich in einem der modernsten Betriebe unserer Stadt zugetragen hat, der Lubliner Flugzeugfabrik L.W.S. Die anderen, dass aus einem einfachen Nachtwächter eine geradezu Shakespeare'sche Gestalt hatte werden können. Und wieder andere wird vor allem wundern, dass der Tod des Unglückseligen kein Akt des Protests dagegen gewesen sein sollte, dass und wie man die bisherigen Fabrikinhaber aus der Firma getrieben hatte.
„Er hat gedroht, er würde sich umbringen, aber wie hätte ich ahnen sollen, dass er das wahr macht?", sagte uns die Femme fatale aus Bronowice.
„Ach, ihr Frauen, seid nicht so herzlos, denn manche Männer meinen wirklich ernst, was sie sagen!"
[…]
Zyga starrte versonnen auf die weithin sichtbaren graubraunen Gebäude der Eternit-Fabrik, die einzig der Wasserturm aus roten Ziegeln ein wenig auflockerte. Aus dem Schornstein daneben stieg träger Rauch auf und hing schwer in der feuchten Luft.
[…]
Die ungepflasterte Straße am Flugfeld war voller Staub, und die Gebäude rechts und links erinnerten immer weniger an Stadthäuser, immer öfter aber an Bauernkaten. Selbst wenn wirklich alle Wege nach Rom führten, für diesen hier traf das nicht zu: dieser führte ohne jeden Zweifel auf ein Kartoffelfeld. Und dieses Ermittlungsverfahren führte zu gar nichts Gutem, das spürte Maciejewski ganz deutlich.
Er zog ein letztes Mal an der Zigarette und schnippte die Kippe aufs Feld.
„Noch ein kleines Stück. Das Haus da drüben müsste es sein", sagte er zum Droschkenfahrer und zeigte auf eine zusammengedrängte Häusergruppe linker Hand der Straße.
Mit unverhohlenem Widerwillen bog der Kutscher in den schlammigen Weg ein. Die Hufe des Pferdes schmatzten in den Pfützen. Wäre Maciejewski nicht seit frühmorgens nüchtern wie ein Schwein gewesen, er hätte das Gefühl gehabt, ein déjà vu zu erleben, denn Zenon Madejs Haus sah seinem eigenen in Rury Jezuickie zum Verwechseln ähnlich. Auch dieses Haus hier schien geradezu im bodenlosen Lössschlamm zu versinken, und die Fenster waren von Schmutz in einem Maße verklebt, dass Vorhänge überflüssig waren. Dennoch bezweifelte Zyga, in seinem Zeugen eine verwandte Seele zu finden.
„Warten Sie hier", von der Droschke aus schaute sich der Kommissar nach einem trockenen Fleckchen Erdboden um, wo seine Schuhe nicht im Schlamm versinken würden.
„Dauert das lange? Das Warten?", fragte der Kutscher und schob die Fellmütze aus der Stirn. „Soll ich das Pferd abdecken oder nicht?"
„Das fragen Sie mich?", Maciejewski sprang auf ein Fleckchen ausgetrocknetes Gras. „Abdecken, abdecken. Und leuchten Sie mir!"
Die Karbidlaterne warf etwas Licht vor die Füße des Kommissars. Zyga hangelte sich am Zaun entlang zur Pforte, machte einen großen Bogen um einen an seiner Leine zerrenden Köter und klopfte an die Tür.
Die Tür öffnete eine etwa zwanzigjährige verwahrloste Frau mit einem Kind auf dem Arm, während ein zweites trotz der Novemberkälte barfuß und, sah man vom allzu kurzen Hemdchen ab, vollkommen nackt am Rockzipfel der Mutter hing.
„Was ist?", fragte die Frau, und ihr unebenmäßiges Gesicht mit dem spitzen, vorspringenden Kinn verzog sich noch stärker.
„Polizei", Maciejewski zeigte ihr seine Dienstmarke. „Zu Zenon Madej."
Der ältere Junge mit weit offenem Maul hob sein Hemd und kratzte sich an den Genitalien. Die Mutter schlug ihm auf den Kopf und trat in den Flur zurück. Das jüngere Kind schluchzte kurz auf.
Aus der offenen Tür zum Zimmer fiel ein Streifen Licht auf die Frau, und nun verstand Zyga, warum ihr Gesicht ihm so hässlich erschien. Außer dem Hakenkinn entstellten die eingefallene Nase, typisches Zeichen einer angeborenen Syphilis, und der offenstehende, von eitrigen Schrunden bedeckte Mund ihr Gesicht.
„Zenek!", rief sie mit heiserer Stimme.
„Ich esse!", hörte der Kommissar.
Sanft schob Zyga die Frau zur Seite und betrat das Zimmer. In der Mitte des Raums hing eine Petroleumlampe von der Decke, aus dem Ofen strömte Wärme.
Der Fabrikwächter schaute den Ermittler verwundert an und ließ den Löffel in einen Teller dünner Kohlsuppe sinken. Von allen Wänden blickten Heilige vorwurfsvoll auf die getrockneten Reste schwer identifizierbarer Gottesgaben auf dem ausgeblichenen, löchrigen Wachstuch.
Schwerer zu ertragen war der faulige, abgestandene Gestank: wie in einer überfüllten Zelle, in der nie das Fenster geöffnet wurde.
„Die Staatspolizei wünscht Ihnen guten Appetit, Herr Madej", der Kommissar zog sich einen Stuhl an den Tisch, nahm den Hut ab und setzte sich. „Lassen Sie sich nicht stören."
Der Mann sah ihn noch immer mit dem Gesichtsausdruck eines Dorftrottels an, der zum ersten Mal in seinem Leben eine Dampflokomotive sieht. Unter dem Bett schaute ein drittes Kind hervor, ein schmutziges Mädchen mit blonden Zöpfen. Auf der kurzen Pritsche am Ofen bewegte sich eine Gestalt – was Zyga zunächst für einen Berg hingeworfener Kleidungsstücke gehalten hatte, stellte sich nun als winzige, grauhaarige Alte in Kapuzenmantel und Kopftuch heraus. Den fehlenden Anzeichen einer unbehandelten Syphilis nach zu urteilen war sie eher die Mutter als die Schwiegermutter Madejs.
Madejs Frau hatte sich an der Tür niedergelassen, die beiden Jungen wichen ihr nicht von der Seite. Eine Stille wie vor einer Urteilsverkündung machte sich breit.
„Erklären Sie mir noch einmal, warum sich Feliks Susek aufgehängt hat?", der Kommissar knöpfte seinen Mantel auf. „Das ist sehr wichtig, Herr Madej."
Der rührte unsicher mit dem Löffel in der Suppe herum.
„Wegen einem Flittchen, heißt es."
„In der Fabrik haben Sie mir aber was anderes gesagt."
„Ich?", gedankenverloren rührte Madej weiter in der Suppe. Schließlich lag das ganze Kraut auf der linken Seite, die Kartoffeln auf der rechten, ein winziges Stück Fleisch in der Mitte. „Ja, weil Sie nicht gefragt haben!", erinnerte er sich schließlich. „Alle in der Fabrik wussten, dass Susek in eine Schneiderin aus der Chlewna-Straße verliebt war, aber die wollte ihn nicht. Da hat er sich aus Verzweiflung aufgehängt." Die Erleichterung über seine Antwort war ihm deutlich anzusehen.
Ohne den Artikel im „Express" mitzuzählen, hatte Zyga heute nun schon zum zweiten Mal denselben Unsinn gehört, noch dazu von Zeugen, die ganz eindeutig nicht ihre eigenen Worte gebrauchten. Auch Madej, der vorher keinen einzigen ordentlichen Satz zusammenbekommen hatte, sprach nun wie ein Polizeibericht.
„Lesen Sie das und sagen Sie mir, ob das stimmt", der Kommissar zog eine Zeitung aus der Manteltasche und schlug sie auf der zweiten Seite auf.
Der Wächter hob den „Express" langsam an und begann mit gesenktem Kopf die Lippen zu bewegen. Zyga wollte ihn schon ungeduldig darauf hinweisen, dass er statt des Artikels gerade eine Reklame für Osram-Glühbirnen las, als Madej die Zeitung plötzlich zusammenfaltete und sie Maciejewski zurückgab.
„Es war alles genau so, wie es hier steht", sagte er im Brustton der Überzeugung.
„Und diese Frau heißt also tatsächlich … Sofia Feder?", erfand der Kommissar aufs Geratewohl.
„Na, so steht es da geschrieben", nickte Madej zustimmend.
„Sie lügen wie ein Hund", sagte Zyga langsam.
„Und außerdem sind Sie ein Analphabet, Madej."
„Woher denn!", erwiderte der entsetzt. „Ich bin ein römischer Katholik! Meine Mutter kann es bezeugen!"
„Bei allen Heiligen Gottes!", sagte die Alte und bekreuzigte sich. Das Gesicht der jungen Frau war noch angsterfüllter als zuvor, sie dachte bei dem Wort „Analphabet" offenbar nicht an Gottlosigkeit, sondern an eine schreckliche Seuche.
„Ist in der Fabrik bekannt, dass Sie nicht lesen können?", hakte Maciejewski nach.
„Ach, lesen!", erwiderte Madej, zu dem langsam durchdrang, worauf der Kommissar hinauswollte. „Und was geht die Polizei an, ob ich lesen kann?", blaffte er.
Maciejewski grinste hinterhältig. Zwar fehlte unter den Heiligen an der Wand der Erzengel Michael, Patron der Polizisten und der Spitzel, aber sie hatten ihn trotzdem auf eine Idee gebracht. Ohne lange zu überlegen, nahm er die Schwarze Madonna von Tschenstochau und ein glänzendes Kruzifix von der Wand.
„Stellen Sie den Teller weg", forderte er Madej auf.
„Und bekreuzigen Sie sich."
Mit dem Ärmel wischte er ein paar Brotkrümel vom Tisch und legte das heilige Bild vor den überraschten Mann. Das Kruzifix hielt er in der Hand.
„Und jetzt sagen Sie mir die Wahrheit", befahl er.
„Und schwören bei den Wunden Jesu Christi und der Heiligen Jungfrau."
„Aber ich habe doch nichts Böses getan, Herr Kommissar!"
„Sie wollten die Polizei belügen, Madej, allein schon dafür gibt es einen Paragraphen. Und dann ist es gegen die Vorschrift, dass ein Schreibunkundiger Dienst mit der Waffe versieht", log Zyga mit steinernem Gesicht.
„Wollen Sie gefeuert werden?"
„Herr Wachtmeister!", stöhnte die Frau des Wachmanns auf. „Richten Sie uns nicht zugrunde!"
„Ich sehe doch, dass Sie nicht auf Rosen gebettet sind, und ich bin schließlich auch ein Mensch", Maciejewski wiegte gnädig den Kopf. „Ich schreibe keinen Bericht. Aber Sie müssen die Wahrheit sagen, haben Sie mich verstanden? Legen Sie zwei Finger auf das Kreuz, Madej, und reden Sie."
Gehorsam streckte der Mann die Hand aus, zog sie aber im nächsten Augenblick wieder zurück und verbarg das Gesicht in den Händen.
„Als erster hat es dieser Buchhalter bemerkt", seufzte er. „Sie wissen schon, wo man bei der Lohnauszahlung unterschreiben muss."
„Der Buchhalter? Duski?"
Madej nickte.
„Und? Der Direktor hat Sie nicht entlassen?", fragte der Kommissar verwundert.
„Der Direktor?", der Wachmann sah den Polizisten an und zuckte die Schultern. „Den Direktor habe ich viel-



leicht einmal gesehen, als er von Warschau kam oder wo er residiert. Wir haben nur einen Fabrikleiter, und warum hätte der mich entlassen sollen? Weil ich etwa ohne Lesen die Fabrik schlechter bewache? Ein guter Mensch. Hat mich runtergeputzt, und das war‘s. Schließlich hab' ich gelogen mit meinen vier Klassen... Na, und als der Chef mich fertig ausgeschimpft hatte, da hat er nur gesagt, ich soll nicht am Tor stehen und die Passierscheine kontrollieren. Also hat er mir die Fabrik gegeben. Und da erkenne ich ja wohl, wer da hingehört, und wer nicht!"

„Und Susek? Warum hat der sich aufgehängt?"

„Und woher soll ich das wissen, Herr Kommissar? Den einen Tag hat er noch gelebt, und am nächsten hat er gehangen." Der Mann bekreuzigte sich und legte von allein zwei Finger auf das Bild der Heiligen Jungfrau.

„Ich schwöre, dass ich meinen Platz nicht verlassen habe. Heute, als ich den Dienst antrat, wurde ich ans Telefon gerufen. Da war der Direktor dran, aus seinem Warschau, was hab‘ ich mich erschrocken. Aber er war freundlich, selbst meinen Namen wusste er noch: 'Hören Sie, Madej‘, hat er gesagt, 'das ist nicht gut für die Fabrik, wenn die Leute sich da aufhängen. Das muss so aussehen, als wäre der Susek verrückt gewesen, verstehen Sie?' Und was hätte ich da nicht verstehen sollen, Herr Kommissar?"

„Moment, Madej!", Zyga legte die Stirn in Falten.

„Wann, sagen Sie, hat man Sie ans Telefon gerufen …?"

„Na heute, sagte ich doch! Gleich am Morgen. Dass er sich aus Liebe aufgehängt hat, soll ich sagen, wenn jemand fragt. Denn er mit seinem schiefen Gesicht, und sie so ein Püppchen... Es geht doch um die Ehre der Fabrik, da kann das doch kein Verbrechen sein. Hätten Sie denn nicht gelogen? Für so eine gute Stelle würde ich noch ganz andere Dinge tun!"

Also hatte sich ein loyales Rindvieh gefunden! Maciejewski hatte keinen Zweifel daran, dass Madej für solch eine gute, sichere Stelle auch bereit gewesen wäre, einem anderen die Kehle durchzuschneiden. Die Ehre der Fabrik, diese Hurensöhne! Und das heute, also schon nachdem etwas an die Zeitungen durchgesickert war.

Zyga hob das Kruzifix höher, als wollte er einen bösen Geist vertreiben.

„Küssen Sie die verwundeten Füße des Herrn Jesus Christus zum Zeichen, dass Sie die Wahrheit sagen", sagte er im Tonfall eines Priesters.

Der Mann berührte gehorsam mit den Lippen die Füße des Gekreuzigten. Die Kinder drückten sich eng an ihre Mutter. Die Alte in ihrer Ecke wiegte sich vor und zurück und murmelte unablässig vor sich hin.

„Ist das wahr, was Sie mir von dem toten Susek erzählt haben? Haben Sie ihn gesehen, an einem Kabel hängend?"

„So war es!", Madej schlug sich mit der Faust auf die Brust, dass es dröhnte. „Aber Halt, Moment! Was für ein Kabel? Wer hat Ihnen denn solche Dinge eingeredet? An einem Strick hat er sich aufgehängt, glauben Sie mir!"

Dem Wachmann war nicht beizukommen, er entschlüpfte immer wieder wie ein marinierter Steinpilz der Gabel eines Betrunkenen.

Maciejewski hatte große Lust, Madej jetzt eins mit der Faust aufs Ohr zu geben. Und sei es nur, um sich zu überzeugen, ob es stimmte, dass, wenn man jemanden schlug, der gerade eine Grimasse schnitt, ihm diese für immer im Gesicht stehen blieb. Madej hätte sie gut gestanden.

„Angeblich hatten Sie vor ein paar Tagen Streit mit Susek", erinnerte Zyga ihn.

„Ich wollte mit ihm die Nachtschicht tauschen, denn der hier, Antoś" – der Mann erhob sich halb vom Stuhl und packte eines der Kinder am Hemd – „hatte sich eine Bohne in die Nase gesteckt und wir mussten mit ihm zum Doktor." Der Junge, dessen geschwollene Nase für sich selbst sprach, stemmte die Füße in den Fußboden, aber Madej stellte ihn vor dem Kommissar auf und schlug ihm mit der flachen Hand auf den Kopf.

„Sag dem Herrn Wachtmeister die Wahrheit, oder du kommst ins Gefängnis!", befahl er.

Antoś biss die Zähne zusammen. Vielleicht träumte er von einer Karriere als Krimineller, aber vielleicht tat er das auch nur seinem Vater zum Trotz. Zumindest in diesem Punkt konnte Zyga ihn verstehen. Er selbst hatte sich in diesem Alter nichts sehnlicher gewünscht, als in die Geheimpolizei des russischen Zaren einzutreten. Zwar wusste er damals noch nicht genau, was das bedeutete, aber so viel verstand er immerhin schon, es war die einzige Möglichkeit, die Aufmerksamkeit seiner Eltern auf sich zu ziehen, die nur illegalen Waffenbesitz und die Flugblätter der Polnischen Sozialistischen Partei im Kopf hatten.

„Und Susek wollte nicht mit Ihnen tauschen?!"

„Wollte er nicht, der Schuft!" Mit einem gut gezielten Klaps schickte Madej den Jungen wieder zu seiner Mutter. „Und sie ist auch nicht gerade gescheit, da würde man sich nur schämen vor dem Doktor." Mit dem Kopf wies er auf seine Frau. „Aber zum Glück hatte der Chef ein Einsehen. Ein guter Mensch. Aber Herr Kommissar, wegen so etwas beschimpft man sich, haut sich eine in die Fresse, aber doch nicht mehr! Und außerdem hätte ich es doch nie geschafft, so einen starken Kerl hochzuheben und aufzuhängen!"

„Wenn es etwas gibt, das Sie mir verschweigen haben...", unterbrach der Kommissar.

„Das ist wirklich alles. Jetzt habe ich Ihnen wirklich alles gesagt", versicherte Madej. „Ich schwor es bei der Muttergottes! Und jetzt schwören Sie, dass alles so kommt, wie Sie gesagt haben. Dass niemand herausfindet, dass ich mit den vier Klassen gelogen habe." Madej drehte das Bild der Muttergottes um und schob es dem Polizisten hin.

„Sonst was? Schlagen Sie mir den Schädel ein?", Zyga lachte auf. „Aber gut, wie Sie wollen. So wahr mir Gott helfe. Aber sagen Sie mir zum Schluss noch" – der Kommissar erhob sich und griff nach seinem Hut – „wenn Sie nicht lesen können, woher wissen Sie dann, dass da im Hangar ein Schild mit der Aufschrift 'Rauchverbot' hängt?"

„Aber was sollte denn sonst da draufstehen?" Der Wachmann lächelte vor Freude über seine Gewitztheit. „Früher hing da ein Bild mit einer durchgestrichenen Zigarette."

*

„Unter deinen Schutz und Schirm fliehen wir, o heilige…", murmelte die alte Madej. „Umlegen hätte man ihn sollen, damit er nichts verpfeift. Verschmähe nicht unser Gebet…"

„Sie sind auch schon verblödet, Frau Mutter!" Der Fabrikwächter schlug mit dem Löffel in die kaltgewordene Suppe. „Was stehst du so dumm herum?", knurrte er seine Frau an. „Kaltes Essen kriegen die Schweine." Wortlos schüttete die Frau die Suppenreste in den Topf und stellte ihn auf den Herd.

„Er wird dich verraten, du wirst schon sehen", unkte die Alte. „Und was wird dann aus uns? Sondern erlöse uns jederzeit von allen Gefahren..."

„Vielleicht auch nicht", Madejs Stimme klang bekümmert. „Er hat es immerhin geschworen... Wenn wir doch noch in Mokradła wären! Aber Sie haben ja selbst gesehen, Frau Mutter, was für ein kräftiger Bursche das war, und ganz sicher bewaffnet."

„Du bist ein Schwächling." Mit sichtbarem Widerwillen schüttelte die Alte den Kopf. „Unsere Frau, unsere Mittlerin... Deiner Angetrauten haust du auch nie mal eine runter." Sie drohte der Schwiegertochter, die gerade kostete, ob die Suppe schon heiß genug war, mit der Faust.

„Frau Mutter, Sie verstehen das Leben in der Stadt nicht. Das war ein Kommissar. Das ist so etwas wie ein Starost!"

„Unsere Fürsprecherin. Versöhne uns mit deinem Sohne... Wie ein Starost, sagst du? Dann hätte man ihm vielleicht Geld geben müssen? Na, nicht so einem, der hat selber so viel, dass es ihm zu den Ohren rauskommt. Aber was sagst du dem, dem Duski da?"

„Wie, dem Duski? Nichts sage ich dem! Hungrig bin ich! Wie lange soll ich denn noch warten?" bellte Madej.

„Wer weiß, vielleicht ist das ja auch gut, da nun..."

Die Alte wiegte den Kopf. „Stelle uns vor deinem Sohne. Amen." […]

*

Auf dem Friedhof an der Unicka-Straße pfiff ein kalter, stürmischer Wind. Er zerrte komisch an der Soutane des Priesters, der vor dem Sarg einherschritt. Dafür flatterten die beiden roten Fahnen der Arbeiter fast schon stolz: Eine gehörte den Arbeitern der Ziegelei an der Gliniana-Straße, die andere der Polnischen Sozialistischen Partei. Dass Maciejewskis ehemaliger Nachbar ihr angehört hatte, das hatte der Kommissar bis zu dessen Beerdigung nicht gewusst. Obwohl, Moment mal – dunkel, wie durch einen dichten Nebel aus zu viel Alkohol, tauchten die Worte des alten Knackers wieder in seinem Ohr auf:

„Die Kommunisten haben natürlich rumgemault, aber 1919 haben wir die ganzen Bolschewistenschweine aus dem Arbeiterrat geschmissen." „Und Sie haben mit rausgeworfen, Herr Kapran?" - „Da fragen Sie mal Ihren Onkel, mein lieber Herr Kommissar."

Auch wenn der kürzlich verstorbene alte Kapran nie im Leben die Definition eines rhetorischen Arguments gekannt hatte, gebrauchen konnte er sie. Und Maciejewskis Onkel war ein unschlagbares Argument. Zum letzten Mal hatte er seinen Onkel gesehen, als... Der Unterkommissar klappte den Mantelkragen hoch, denn von Norden, aus der Bazylianówka-Straße, wehte mit dem kalten Wind auch die Vorankündigung nassen, pappigen Schnees heran. Seinen Onkel hatte er zum letzten Mal auf der Beerdigung seiner Mutter gesehen. Wie diese Beerdigungen doch einander glichen... „Ach, Zygmunt, da ist also ein Bulle aus dir geworden", hatte sein Onkel festgestellt. „Und löst du nun Demonstrationen auf oder bespitzelst du andere Leute?" – „Fürs Bespitzeln wird man besser bezahlt", Zygmunt schaute von oben auf seinen Onkel herab. „Wir kennen uns nicht. Grüßen Sie mich nicht, wenn wir uns auf der Straße begegnen", hatte sein Onkel daraufhin die Unterhaltung beendet. Ein Jahr später war er an Schwindsucht gestorben. Auch auf seiner Beerdigung hatten die Flaggen der Arbeiterbewegung geweht, dafür waren weder ein Priester noch der junge Spitzel Maciejewski zugegen gewesen.

Die frisch gebackene Witwe Kapran, eine kleine, rundliche Frau, folgte dem Sarg ihres verstorbenen Ehemannes, ohne eine einzige Träne zu vergießen, ließ sich aber zur Schau von zwei gottesfürchtigen Nachbarinnen stützen.

Verstohlen blickte sie sich um und merkte sich genau, wer zur Beerdigung gekommen war, ob er angemessen Trauer trug und wie viele Kurze er allem Anschein nach schon zu sich genommen hatte. Als sie Maciejewski bemerkte, der, erschreckend nüchtern, vor ihr den Hut zog, neigte sie würdevoll den Kopf. Zyga löste sich von dem schwachen, jungen Baum, an dem er gelehnt hatte – denn nur solche hatten bisher auf dem neuen Städtischen Friedhof wachsen können – und schloss sich dem Trauerzug an.

„Meine Hochachtung, Herr Geheimagent!" Einer der Angelkumpane des Verstorbenen, einst ein stadtbekannter Taschendieb, ließ dem Kommissar höflich den Vortritt.

„Ein Wetter ist das, als hätte sich ein Bulle aufgehängt. Warum kommen Sie zu spät?"

„Nicht im geringsten, Herr Myszkowski, aber Ihre Fürsorge ehrt mich", knurrte Zyga. „Besuchen Sie uns mal wieder auf dem Kommissariat?"

„Das bezweifle ich", Myszkowski verzog den Mund, als wollte er dem Polizisten vor die Füße spucken. „Ich bin jetzt in Rente."

„Was soll nur aus unserem schönen Polen werden, wenn Leute wie Sie so ihr Talent vergeuden! – Gibt's Interessantes zu berichten aus der Stadt?" Maciejewski fasste ihn unter.

„Aber was sind Sie denn so anhänglich?!" Myszkowski stieß die Hand des Polizisten fort. „Ich kann mit Ihnen auf den Seelenfrieden des Verstorbenen trinken, aber reden werde ich mit Ihnen nicht."

„Aber wer sagt denn, dass ich mit Ihnen reden will, Herr Myszkowski?" Zyga zuckte die Schultern. „Aber so an der Lunge zu sterben, wenn gerade die Zeit zum Eisangeln ist und die Barsche beißen..."

„Wohl wahr, wohl wahr…", seufzte der Dieb. „Schade um den Alten!"

„Milder Jeeesus, Herrscher Duuuu, ..." intonierte der Priester am Kopf des Zuges, und Myszkowski unterstützte ihn mit seinem verstimmten Bass.

Der Unterkommissar senkte in tiefer Trauer den Kopf.

„Da fällt mir ein, wo wir schon einmal hier sind..." Maciejewski senkte vertraulich die Stimme. „Haben Sie von Feliks Susek gehört, dem mit der Hasenscharte?"

„Herr, steh deinen Dienern bei, welche dich in Demut bitten", intonierte der Priester, als hätte er die Absichten des Kommissars erkannt.

„Ich kannte einen Susek, aber der hieß Walenty", knurrte Myszkowski. „Und schön war er, bildhübsch. Er hat aber unglücklicherweise auch schon den Löffel abgegeben."

„Dann haben Sie also gehört, dass dieser andere Susek sich aufgehängt hat", Zyga griff den verrenteten Ganoven am Ellenbogen.

„Wegen seiner Hasenscharte?" scherzte der Dieb.

„Wegen seiner Schwermut", erwiderte Maciejewski. „Ich suche seine Verwandten, seine Bekannten. Damit der Verstorbene nicht etwa traurig ist, weil niemand seinem Sarg folgt."

„Den Verstorbenen ist das gleich." Myszkowski schaute den Polizisten feindselig an. „Und Sie sind schon wieder so anhänglich! Wenn ich Sie nicht kennen würde, würde ich meinen, Sie sind kein Bulle, sondern eine Tunte."

„Das interessiert mich einen Scheißdreck, was Sie denken." Der Unterkommissar drückte den Arm Myszkowskis fester. „Wollte Ihr Verein was von ihm?"

„Ich habe Ihnen doch schon gesagt, ich bin in Rente."

Der Dieb schwieg einen Moment. Der Trauerzug bog bereits in eine Seitenallee ein, an deren Ende vier auf

ihre Schaufeln gestützte Totengräber den Kunden erwarteten. „Und es interessiert mich einen Scheißdreck, ob jemand hinter seinem Sarg hergeht oder nicht."
„Aber wo bleibt denn da die Nächstenliebe, Herr Myszkowski?", fragte der Kommissar mit einem Lächeln.
„Erstens war das keiner meiner Lieben, sondern ein Unbekannter. Zweitens werden Selbstmörder sowieso nicht auf dem christlichen Friedhof beerdigt, was soll das also für eine Beerdigung sein? Und drittens" – hier schüttelte er die Hand des Polizisten endgültig ab – „habe ich diesen Menschen überhaupt nicht gekannt, und ich weiß über ihn nur, was in der Zeitung steht. Das war eine Lusche, keiner kannte ihn. – Nimm uns nach vollbrachtem Laaaauf zur dir in den Himmel aaaaauf", stimmte er in den Gesang der Trauergemeinde ein und gab so dem Kommissar zu verstehen, dass mit ihm nun nicht mehr zu verhandeln war.

[Aus dem Polnischen von Saskia Herklotz]

Fatalna miłość nocnego stróża

Lublin – W niedzielę nad ranem 8 b. m. w przejętych niedawno przez skarb państwowy zakładach lotniczych L. W. S. (wcześniej Plage i Laśkiewicz) rozpoczynający dzienną służbę stróż fabryczny Zenon Madej dokonał makabrycznego odkrycia. Zaniepokojony faktem, iż jego poprzednik z nocnej zmiany, Feliks Susek, nie odpowiada na wołania, udał się na inspekcję pomieszczeń i zastał swego kolegę powieszonego. Wezwany na miejsce lekarz pogotowia ratunkowego stwierdził zgon.
Szybkie dochodzenie Wydziału Śledczego P. P. ujawniło, że Feliks Susek, kawaler l. 32, od kilku tygodni starał się o względy pięknej panny Krystyny o nazwisku – nomen omen – Kusik, z zawodu krawcowej, l. 24. Z racji lekko zajęczej wargi amantem filmowym być nie mógł, miał za to dobre serce i stałą, nienajgorzej płatną posadę. Nie mogąc znieść obojętności wybranki, targnął się na swoje życie.
Jednych zdziwi, że historia jak z dawnego romansu miała miejsce w jednej najnowocześniejszych fabryk naszego miasta, L. W. S. Innych, że prosty stróż okazał się postacią tragiczną niczym z tragedii Szekspira. Jeszcze innych, że śmierć nieszczęśliwca nie była bynajmniej protestem przeciw wygryzieniu z interesu dotychczasowych właścicieli fabryki.
– Groził, że się zabije, ale czy ja mogłam wiedzieć? – powiedziała nam femme fatale z Bronowic.
Drogie Panie, nie bądźcie tak zimne, bo niektórzy stróże nie rzucają słów na wiatr!
[…]

Zyga zapatrzył się na widoczne z oddali szarobure zabudowania fabryki eternitu, ożywione nieco przez wieżę ciśnień z czerwonej cegły. Z przylegającego do niej komina snuł się niemrawy, wiszący w wilgotnym powietrzu dym.
[…]
Przylegająca do lotniska niebrukowana ulica była pełna kałuż, a stojące przy niej budynki coraz rzadziej przypominały kamienice, a coraz częściej wiejskie chałupy. Jeśli nawet wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, nie dotyczyło to tej jednej: nieuchronnie prowadziła w kartoflisko.
Zaś Maciejewski czuł, że i to śledztwo nie doprowadzi do niczego dobrego.
Zaciągnął się resztką papierosa i pstryknął niedopałkiem daleko w pole.
– Jeszcze kawałek. Chyba tamten dom – wskazał dorożkarzowi grupę budynków stłoczonych po lewej stronie drogi.
Woźnica z wyraźnym obrzydzeniem skręcił i wprowadził konia w błotnistą, mlaskającą pod kopytami kałużę. A Maciejewskiego, gdyby nie był od rana trzeźwy jak świnia, ogarnęłoby bez wątpienia poczucie déjà vu, ponieważ dom Zenona Madeja jako żywo przypominał jego własny na Rurach Jezuickich. Też zdawał się zapadać w rozmiękłym lessie, a brud tak oklejał okna, że nie trzeba było wieszać w nich firanek. Mimo to Zyga wątpił, by świadek okazał się bratnią duszą.
– Pan poczeka. – Komisarz stanął na stopniu dorożki i rozejrzał się za jakimś miejscem na tyle suchym, by błoto nie połknęło mu butów.
– A długo będzie tego czekania? – Dryndziarz zsunął z czoła futrzaną czapkę. – Znaczy czy przykrywać konia, czy nie przykrywać?
– Mnie pan pyta? – Maciejewski zeskoczył na spłachetek wyschniętej trawy. – Przykryć, przykryć… I niech pan poświeci.
Karbidowa latarka rzuciła nieco światła pod nogi komisarza. Zyga, przytrzymując się płotu, dotarł do furtki, szerokim łukiem ominął szarpiącego się na łańcuchu kundla, wreszcie zapukał.
Drzwi otworzyła dwudziestoparoletnia, niechlujna kobieta z jednym dzieckiem uczepionym jej szyi, a drugim, mimo listopadowego chłodu bosym i nie licząc przykrótkiej koszulki, całkiem gołym, trzymającym matkę za spódnicę.
– Czego? – zapytała, krzywiąc jeszcze bardziej swoją nieregularną twarz z wąską, sterczącą brodą.
– Policja. – Maciejewski pokazał jej swoją blachę.
– Do Zenona Madeja.
Starszy chłopiec zadarł koszulkę i z otwartą szeroko gębą podrapał się po genitaliach. Matka trzepnęła go w ciemię, cofając się do przedsionka, a mniejsze dziecko załkało krótko.
Gdy kobieta stanęła w smudze światła padającej z otwartego pokoju, Zyga zrozumiał, dlaczego jej twarz wydała mu się tak brzydka. Oprócz haczykowatej brody deformował ją wklęśnięty nos syfilityczki od urodzenia i niedomknięte wargi z paprzącymi się zajadami.
– Zenek! – krzyknęła schrypniętym głosem.
– Jem przecież! – usłyszał komisarz.
Delikatnie odsunął kobietę i wszedł do izby. W środku paliła się zawieszona u sufitu lampa naftowa, z nagrzanego pieca buchało ciepło. Strażnik fabryczny spojrzał na śledczego zdziwiony i opuścił łyżkę do talerza z rzadkim kapuśniakiem. Ze wszystkich ścian postaci świętych wpatrywały się z wyrzutem w zaschnięte bryzgi trudnych do zidentyfikowania darów bożych na wyblakłej i dziurawej ceracie. Gorszy był jednak stęchły, zastały smród: zupełnie jak w przepełnionej celi, gdzie nie otwiera się okna.
– Smacznego życzy Policja Państwowa, panie Madej.
– Komisarz przystawił sobie krzesło i usiadł, zdejmując kapelusz. – Niech pan sobie nie przeszkadza.
Mężczyzna wciąż patrzył na niego z miną wiejskiego przygłupa, który pierwszy raz w życiu widzi parowóz.
Spod łóżka wyjrzało jeszcze jedno dziecko, umorusana dziewczynka z dwoma jasnymi warkoczykami. Na krótkim wyrku przy piecu poruszył się kształt, który Zyga w pierwszej chwili wziął za rzucone na kupkę ubrania, tymczasem była to maleńka, siwa starucha okutana w burkę i grubą chustkę. Sądząc po braku znamion nieleczonej kiły, raczej była to matka niż teściowa Madeja.
Jego żona usiadła przy drzwiach, chłopcy przylepili się do niej. Zapadła cisza jak przed ogłoszeniem wyroku.
– Powie mi pan jeszcze raz, dlaczego powiesił się Feliks Susek? – Komisarz rozpiął płaszcz. – To bardzo ważne, panie Madej.
Ten niepewnie zamieszał łyżką zupę.
– Mówi się, że przez jedną zdzirę.
– A w fabryce powiedział mi pan co innego.
– Ja? – Madej zamyślił się, wciąż machinalnie poruszając łyżką. Po chwili cała kapusta znalazła się po lewej stronie talerza, ziemniaki po prawej, a skrawek mięsa pośrodku.
– A bo pan nie zapytał! – przypomniał sobie. – Wszyscy w fabryce wiedzieli, że Susek zakochał się w jednej krawcowej zamieszkałej przy ulicy Chlewnej, ale ona go nie chciała. No to się powiesił z rozpaczy – zakończył z wyraźną ulgą strażnik.
Nie licząc artykułu w „Expressie", Zyga już drugi raz dzisiaj usłyszał tę samą bzdurę, na dodatek przytoczoną przez świadków wyraźnie nie ich słowami. Również Madej, który wcześniej nie potrafił sklecić zdania podrzędnie złożonego, teraz gadał jak z policyjnego raportu.
– Niech pan przeczyta i powie, czy tak było. – Komisarz wyjął z kieszeni gazetę i otworzył na drugiej stronie.
Strażnik powolnym ruchem podniósł „Express" i opuściwszy nad nim głowę, zaczął poruszać ustami.
Zniecierpliwiony Zyga już chciał mu zwrócić uwagę, że ogląda reklamę żarówek Osram w górnej części strony, zamiast czytać artykuł wydrukowany na dole, kiedy raptem mężczyzna złożył gazetę i oddał Maciejewskiemu.
– Tak było, jak tu napisali – stwierdził z przekonaniem.
– I ta kobieta rzeczywiście nazywa się… Zofia Pióro?
– zmyślił na poczekaniu komisarz.
– No… tak napisali – kiwnął głową Madej.
– Łżecie jak pies – powiedział powoli Zyga. – W dodatku jesteście analfabetą, Madej.
– Gdzieżby! – przeraził się tamten. – Ja jestem rzymski katolik! Matka powie!
– Święci pańscy! – przeżegnała się starucha. Madejowa spojrzała na śledczego z jeszcze większym lękiem, jej zapewne słowo „analfabeta" kojarzyło się nawet nie z bezbożnością, ale ze straszliwą zarazą.
– W fabryce wiedzą, że nie umiecie czytać? – ciągnął Maciejewski.
– A, czytać! – Do mężczyzny dotarło, czego chce komisarz. – A co policji do mojego czytania? – warknął.
Maciejewski uśmiechnął się podle, bo chociaż wśród świętych na ścianach brakowało Michała Archanioła, patrona mundurowych i tajniaków, to i tak podsunęli mu pewien pomysł. Nie zastanawiając się dłużej, zdjął Matkę Boską Częstochowską oraz błyszczący krucyfiks.
– Zabierzcie talerz – zażądał. – I przeżegnajcie się.
Zmiótł rękawem okruchy chleba ze stołu i położył przed zaskoczonym mężczyzną święty obraz. Krucyfiks trzymał w ręku.
– A teraz powiecie mi prawdę – rozkazał. – I przysięgniecie. Na rany Chrystusa i na Najświętszą Panienkę.
– Ale co ja złego zrobiłem, panie komisarzu?
– Chcieliście ołgać władzę, Madej, już chociażby za to jest paragraf. A po drugie, przepis zabrania niepiśmiennym pełnić służbę z bronią – skłamał z kamienną twarzą Zyga.
– Chcecie wylecieć z roboty?
– Panie władzo – jęknęła żona strażnika – niech pan nas nie gubi!
– Widzę przecież, że się u was nie przelewa, a ja też jestem człowiek – łaskawie pokiwał głową Maciejewski.
– Nie sporządzę raportu, ale mówcie prawdę, rozumiecie? Połóżcie dwa palce na krzyżu i mówcie, Madej.
Mężczyzna posłusznie wyciągnął rękę, by po chwili cofnąć ją i ukryć twarz w dłoniach.
– Pierwszy to ten cały buchalter się spostrzegł – westchnął. – Pan wie, gdy trzeba było podpisać przy wypłacie.
– Buchalter? Duski?
Madej pokiwał głową.
– I co? Dyrektor was nie zwolnił? – zdziwił się komisarz.
– Dyrektor? – Strażnik spojrzał na policjanta i wzruszył ramionami. – Dyrektora to ja może raz widziałem, jak przyjechał z Warszawy czy gdzie on tam urzęduje. Nad nami tylko kierownik, a on niby czemu miałby zwalniać? Abo to ja i bez czytania źle fabryki pilnuję? Ludzki człowiek, zwymyślał i tyle. Było nie było, ołgałem z tymi moimi niby czterema klasami… No a jak kierownik skończył mnie rugać, to mówi tylko, cobym na bramie nie stał, coby przepustków nie sprawdzać. Dał mnie na fabrykę.
O, a tam to ja nie poznam, kto swój, a kto obcy?!
– A Susek? Dlaczego się powiesił?
– Panie komisarzu, a skąd mnie to wiedzieć? Jednego dnia żył, drugiego wisiał. – Mężczyzna przeżegnał się i nieprzymuszany położył palce na obrazie Jasnogórskiej.
– Przysięgam, żebym się z tego miejsca nie ruszył! Dziś, jakem zaczął służbę, to wołają mnie do telefonu. A tam dyrektor, z samiuśkiej Warszawy, aż się wystraszyłem!
Ale on do mnie po ludzku, nawet nazwisko pamiętał: „Słuchajcie, Madej, to nie jest dobrze dla fabryki, kiedy ludzie się w niej wieszają. To trzeba zrobić tak, żeby ten Susek był stuknięty, rozumiecie?". A co ja miałem nie rozumieć, panie komisarzu?
– Czekajcie, Madej! – Zyga zmarszczył czoło. – Mówicie, że kiedy zawołano was do telefonu?
– No przecież, że dziś! Z samego rana. Że niby z miłości się powiesił, tak miałem mówić, jakby kto pytał. Że on to był nie bardzo z tą krzywą wargą, a ona laleczka taka. Przecież to szło o honor fabryki, to nie może być przecież przestępstwo. A pan by nie skłamał? Toż za taką dobrą pracę to ja bym i więcej zrobił!
Znalazło się lojalne bydlę! Maciejewski nie wątpił, że za taką dobrą, stałą pracę Madej byłby gotów i łeb urżnąć. Honor fabryki, skurwysyny! I to dziś, czyli już po tym, jak poszedł przeciek do gazety.
Zyga podniósł wyżej krucyfiks, jakby chciał odpędzić zły urok.
– Pocałujcie poranione stopy Pana Jezusa na znak, że mówicie prawdę – powiedział kapłańskim tonem.
Mężczyzna posłusznie dotknął ustami nóg Ukrzyżo-

wanego. Dzieci skupiły się koło matki. Siedząca w kącie babka kiwała się w przód i w tył, mamlając coś pod nosem. – Czy to, coście mi powiedzieli o martwym Susku, to tak było? Widzieliście go powieszonego na kablu?
– Tak było! – Madej huknął się pięścią w pierś, aż zadudniło. – Nie, zaraz! Na jakim kablu? Kto panu władzy takich rzeczy naopowiadał? Niech pan nie wierzy, na sznurku wisiał. – Strażnik nie dał się nadziać, umknął jak śliski marynowany podgrzybek przed widelcem pijaka.
Maciejewski miał wielką chęć palnąć go teraz pięścią w ucho. Chociaż po to, by się przekonać, czy to prawda, że jeżeli uderzyć kogoś robiącego głupią minę, to ta zostanie mu na zawsze. Madejowi bardzo by pasowała.
– Podobno przed kilkoma dniami mieliście zatarg z Suskiem – przypomniał mu Zyga.
– Chciałem się z nim zamienić na nocną służbę, bo ten o, Antoś – mężczyzna, półwstając ze stołka, przyciągnął za koszulę jedno ze swoich dzieci – napchał sobie fasoli do nosa i trzeba było z nim do doktora.
Chłopiec, którego napuchnięty nos mówił sam za siebie, zapierał się nogami, jednak Madej postawił go przed komisarzem i pacnął otwartą dłonią w ciemię.
– Powiedz prawdę panu władzy, bo pójdziesz do więzienia! – rozkazał.
Antoś zacisnął zęby. Być może marzyła mu się kariera kryminalisty, a może tylko chciał zrobić ojcu na złość. Pod tym względem Zyga go rozumiał, sam pamiętał, że w jego wieku najbardziej na świecie pragnął wstąpić do carskiej ochrany. Nie wiedział wtedy, co to dokładnie oznacza, lecz słusznie rozumował, że byłaby to jedyna szansa, aby rodzice, pochłonięci nielegalną bronią i ulotkami PPS-u, zwrócili na niego uwagę.
– Susek nie chciał się z wami zamienić?
– Nie chciał, drań! – Madej celnym klapsem odesłał syna do matki. – Ona nie jest rozgarnięta, wstyd tylko byłby przed doktorem. – Ruchem głowy wskazał żonę. – Bogu dzięki kierownik się zlitował, ludzki człowiek. No ale panie komisarzu, za takie coś to można obsobaczyć, w mordę dać, nie więcej! Zresztą gdzie ja bym sam dał radę takiego silnego chłopa wziąć i powiesić!
– Jeżeli jest coś, czego mi nie powiedzieliście… – Komisarz urwał.
– Naprawdę już wszystko. Już wszystko panu powiedziałem – zapewnił mężczyzna. – Na Matkę Boską przysięgałem! A teraz niech pan przysięgnie, że będzie tak, jak pan powiedział. Że nikt się nie dowie o tych moich niby to skończonych czterech klasach. – Madej obrócił obraz Matki Bożej i przysunął policjantowi.
– Bo co? Bo łeb mi urżniecie? – parsknął Zyga. – Dobrze, niech wam będzie, tak mi dopomóż Bóg. Ale powiedzcie mi tak na koniec – komisarz wstał i sięgnął po kapelusz – jeżeli nie umiecie czytać, to skąd wiedzieliście, że tam na hangarze jest napis wzbraniający palenia?
– Eee, a niby co innego miało być napisane? – Strażnik uśmiechnął się zadowolony z własnego sprytu. – Jeszcze za poprzednich właścicieli w tym samym miejscu wisiał obrazek z przekreślonym papierosem.
*

Pod twoją obronę uciekamy się, święta Boża… – mamrotała stara Madejowa. – Zaciukać by go trzeba, ani by kwiknął… Naszymi prośbami racz nie gardzić…
– Matka też zdurniała! – Strażnik fabryczny plasnął łyżką w niedojedzoną zupę. – Co tak stoi, głupia, co stoi?!
– warknął na żonę. – Zimne to świnie jedzą!
Kobieta bez słowa wlała resztkę zupy do garnka i podłożyła pod kuchnię.
– On cię wyda, zobaczysz – krakała starucha. – I co z nami będzie? Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze wybawiać…
– Może nie wyda… – zafrasował się Madej. – Przysiągł niby… Żeby to jeszcze u nas w Mokradłach było! No ale widziała matka sama: silne chłopisko, pewno i pod rewolwerem.
– Słaby jesteś. – Baba pokręciła głową z wyraźnym niesmakiem. – O Pani nasza, orędowniczko nasza… Tej twojej ślubnej też nigdy nie przylejesz. – Pogroziła pięścią synowej, która właśnie próbowała, czy kapuśniak już dość ciepły.
– Matka się na miejskim życiu nie rozumie. To był komisarz. To coś jak starosta!
– Pocieszycielko nasza! Z Synem swoim nas pojednaj… Jak starosta, mówisz? To może pieniędzy by trzeba? Nie, gdzie tam pieniędzy dla takiego, sam ma tyle, aż rzyga! A co powiesz temu tam… Duskiemu?
– No jak? Nic nie powiem! Głodnym! Długo mam czekać? – burknął Madej.
– Może to i dobrze, skoro tak… – Matka pokiwała głową. – Swojemu Synowi nas oddawaj. Amen. […]
*

Na cmentarzu przy Unickiej był wściekły wygwizdów. Zimny wiatr komicznie szarpał sutannę kroczącego przed trumną księdza, za to nader dumnie łopotały czerwone robotnicze sztandary: jeden pracowników cegielni przy Glinianej, drugi Polskiej Partii Socjalistycznej. Że dawny sąsiad Maciejewskiego do niej należał, komisarz aż do jego pogrzebu nie miał pojęcia. Chociaż zaraz, zaraz, przypominał sobie przez jakąś dawną alkoholową mgłę słowa starucha: „Komuniści pyskowali, ale w dziewiętnastym roku żeśmy z rady robotniczej wypieprzyli całe to bolszewickie bydło". „I pan też wypieprzał, panie Kapran?". „Pan się swojego stryjka zapyta, panie komisarzu kochany".
Jakkolwiek zmarły przed kilkoma dniami stary Kapran nie umiałby podać definicji argumentu retorycznego, używać ich potrafił, a stryj Maciejewskiego był argumentem koronnym. Ostatni raz widzieli się… Podkomisarz szczelniej zapiął płaszcz, bo od północy, od strony Bazylianówki, dmuchnęło nie tylko chłodem, ale i wilgotną zapowiedzią lepkiego śniegu. Ze stryjem ostatni raz widzieli się na pogrzebie matki. Jak te pogrzeby przypominają inne pogrzeby… „No to tak, Zygmunt, gliną zostałeś – stwierdził stryj. – Będziesz rozbijał demonstracje czy szpiclował?". „Za szpiclowanie lepiej płacą", Zyga spojrzał na niego z góry. „Nie znamy się. Niech mi się pan nie kłania na ulicy", zakończył wtedy stryj. Rok później umarł na gruźlicę. Na pogrzebie też były robotnicze sztandary, ale nie było księdza ani młodego szpicla Maciejewskiego.
Kapranowa, świeżo upieczona wdowa, malutka i baryłkowata, szła za trumną nieboszczyka męża bez jednej łzy, chociaż dla picu pozwoliła się podtrzymywać pod ręce dwóm sąsiadkom dewotkom. Ukradkiem rozglądała się i notowała w pamięci, kto przyszedł pogrzeb, czy dość żałobnie ubrany i na ile wypitych już setek można go oszacować. Zauważywszy Maciejewskiego, trzeźwego przerażająco, uchylającego jej kapelusza, skłoniła dostojnie głową. Zyga odkleił się od wątłego, młodego drzewka, bo tylko takie zdążyły wyrosnąć na nowym miejskim cmentarzu i dołączył do konduktu.
– Szacuneczek panu wywiadowcy! – Jeden z kompanów nieboszczyka od wędki, dawny kieszonkowiec, zrobił komisarzowi miejsce wśród stłoczonych żałobników.
– Pogoda, jakby glina się powiesił. Dlatego pan spóźniony?
– W żadnym razie, panie Myszkowski, ale wzrusza mnie pańska troska – burknął Zyga. – Spotkamy się kiedyś na komisariacie?
– Nie sądzę. – Doliniarz zmiął pysk, jakby chciał splunąć glinie pod nogi. – Emeryt jestem.
– Do czego dojdzie w tej naszej Polsce, skoro takie talenty się marnują! A coś słychać ciekawego na mieście?
– Maciejewski wziął go pod ramię.
– Co się pan tak przytula?! – Myszkowski strącił rękę policjanta. – Mogę wypić z panem za spokój duszy nieboszczyka, ale gadać nie będę!
– A czy ja chcę z panem gadać, panie Myszkowski?
– wzruszył ramionami Zyga. – Swoją drogą, tak umrzeć na płuca, gdy idzie pora na okonie pod lodem…
– Co prawda, to prawda – westchnął złodziej.
– Szkoda starego!
– Dooobry Jezu, a nasz Paaanie… – zaintonował ksiądz, w czym fałszującym basem wspomógł go Myszkowski. Podkomisarz zwiesił żałobnie głowę.
– A tak mi się przypomniało, skoro tu jesteśmy… – nachylił się do ucha kieszonkowca. – Słyszał pan o Feliksie Susku, takim z zajęczą wargą?
– Przybądźcie z nieba na głos naszych modlitw… – zaintonował ksiądz, zupełnie jakby wyczuł intencje komisarza.
– Znałem jednego Suska, ale temu było Walenty – burknął Myszkowski. – I śliczny był jak malowanie. Nieszczęśliwie też walnął w kalendarz, tyle że swoją śmiercią.
– No to jednak pan słyszał, że facet się powiesił. – Zyga uchwycił emerytowanego złodzieja pod łokieć.
– Z powodu zajęczej wargi? – zakpił złodziej.
– Z powodu melancholijnego usposobienia – odparował Maciejewski. – Potrzebowałbym jakichś jego krewnych, znajomych. Oczywiście by nieboszczykowi nie było smutno, że nikt nie idzie za trumną.
– Nieboszczykom jest wszystko jedno. – Myszkowski spojrzał wrogo na policjanta. – A pan znowu się przytulasz. Jakbym pana nie znał, tobym pomyślał, że nie glina, tylko pedał.
– Gówno mnie obchodzi, co pan sobie pomyślisz.
– Podkomisarz ścisnął mocniej jego ramię. – Ferajna miała coś do niego?
– Mówiłem panu, że jestem emeryt. – Złodziej zamilkł na chwilę. Kondukt skręcał już w boczną alejkę, na której końcu oczekiwało klienta czterech grabarzy opartych o szpadle. –I gówno mnie obchodzi, czy ktoś będzie szedł za jego trumną.
– A gdzie miłość bliźniego, panie Myszkowski? – uśmiechnął się podkomisarz.
– Po pierwsze, to nie był bliźni, tylko nieznajomy. Po drugie, samobójcy i tak nie pochowają na chrześcijańskim cmentarzu, więc jaki to będzie pogrzeb? A po trzecie – doliniarz strącił wreszcie rękę policjanta – naprawdę nie znałem człowieka, a wiem o nim tyle co z gazety. Frajer był, nikt go nie znał. Anielski orszak niech twą duszę przyyyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieeeba – włączył się do śpiewu złodziej, dając tym samym znać komisarzowi, że definitywnie zakończył z nim interesy.

MARCIN WROŃSKI (1972) – Prosaiker, Kriminalbuchautor. Debütierte mit dem Erzählband *Der Schenkel der Frau Nacht* (1992), seit vielen Jahren mit dem Theater als Autor von Liedern und Kabarettsketchen verbunden, sowie mit dem Radio. 2007 eröffnete er mit dem Buch *Der Mord unter der Zensur* eine Krimireihe mit dem Kommissar Maciejewski, deren Handlung im Lublin der Zwischenkriegszeit spielt. Seine folgenden Kriminalromane wurden für den Literaturpreis "Großes Kaliber" für den besten Krimi oder Thriller des Jahres nominiert. In seinen Roman verbindet er erfolgreich komplizierte Krimiplots mit pietätvoller und präziser Beschreibung des Polens der Zwischenkriegszeit. Von Literaturkritikern wird er als einer der besten – neben Marek Krajewski und Zygmunt Miłoszewski – zeitgenössischen Krimiautoren angesehen. Das präsentierte Fragment stammt aus dem Buch *Geflügelter Sarg*, das 2012 vom Verlag W.A.B. herausgegeben wurde.

Kontakt: www.marcinwronski.art.pl

MARCIN WROŃSKI (1972) – prozaik, autor kryminałów. Debiutował tomem opowiadań *Udo Pani Nocy* (1992), przez lata związany był ze sceną, jako autor piosenek i skeczy kabaretowych, oraz z radiem. W 2007 r. książką *Morderstwo pod cenzurą* otworzył cykl kryminałów z komisarzem Maciejewskim, których akcja rozgrywa się w przedwojennym Lublinie. Jego kolejne książki kryminalne i sensacyjne nominowane były do Nagrody Wielkiego Kalibru dla najlepszej powieści kryminalnej/sensacyjnej roku. W powieściach udanie łączy pokomplikowane fabuły kryminalne z pełnym pietyzmu i dokładności opisem Polski lat międzywojennych. Przez krytyków literackich powszechnie uważany jest za jednego z najlepszych – obok Marka Krajewskiego i Zygmunta Miłoszewskiego – współczesnych autorów kryminałów. Prezentowany fragment pochodzi z książki *Skrzydlata trumna*, wydanej w 2012 roku przez wydawnictwo W.A.B.

Kontakt: www.marcinwronski.art.pl



WYDAWCA/HERAUSGEBER/ ВИДАВЕЦЬ/ВЫДАВЕЦ

VILLA DECIUS

Herausgegeben im Rahmen des Programmschwerpunkts „tranzyt. Literatur aus Polen, der Ukraine und Belarus". Der neue Regionalschwerpunkt ist ein Projekt der Leipziger Buchmesse, der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit und der Robert Bosch Stiftung.

Herausgegeben mit finanzieller Unterstützung der Stiftung für deutsch-polnische Zusammenarbeit.

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Robert Bosch Stiftung

Leipziger Buchmesse
15.–18. März 2012

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

egzemplarz bezpłatny/kostenloses exemplar/ безкоштовний примірник/ бясплатны экзэмпляр